

Ulisa Unger

MÓJ PRZYJACIEL
MROK

LISA
UNGER

MÓJ PRZYJACIEL MROK

Przekład Paweł Lipszyc



Tytuł oryginału: *Darkness, My Old Friend*

Copyright © Lisa Unger, 2011

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXV

Copyright © for the Polish translation by Paweł Lipszyc, MMXV

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Część I. Odejść

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

Część II. Wiara

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

Przypisy

CZĘŚĆ I

Odejść

*– Głupcy – rzekłem. – Czy nie wiecie:
Cisza rośnie niby rak.*

Simon & Garfunkel
The Sound of Silence

Prolog

Kłeska nie była uczuciem, ale posmakiem w ustach, bólem karku. Gorączkowo szumiała mu w głowie.

W spiętym, sztucznym uśmiechu żony, kiedy wracał do domu pod koniec dnia, widział odbicie porażki.

Czuł jej zimny, zaborczy uścisk. Żona nie zdawała sobie sprawy z najgorszego. Nikt sobie nie zdawał.

Jednak chyba wyczuwali zapach końca. Jakby zionął wodą.

Ruch na autostradzie przypominał wymowę jękały. Oddychając głęboko, próbował uwolnić się od poczucia uwięzienia, aż zbyt dobrze znanego ucisku frustracji. Powiódł wzrokiem po innych pasażerach, zdziwiony, że żaden nie zaczyna krzyczeć albo tłuc pięścią w tablicę rozdzielczą. Jak oni to znosili dzień po dniu? Wypruwali flaki w bezsensownej pracy, która napełniała kieszenie komu innemu. Potem tkwili w niekończącym się korku, by wrócić do domu, do nieustającej litanii potrzeb. Dlaczego? Czemu tak dużo ludzi żyło w ten sposób?

„W ten weekend nadarza się ostatnia okazja, by upolować najniższe ceny w Ed’s Automart. Nie macie pracy, zdolności kredytowej, niczego nie możecie zastawić? Żaden problem. Pomożemy!”

Kevin Carr wyłączył radio, ucinając schizofreniczne ujadanie krytyki i żądań. „Jedź to. Kup tamto. Musisz schudnąć? Wybielić zęby? Podwójny cheeseburger z bekonem. Prywatny trener. Aukcja w postępowaniu egzekucyjnym w niedzielę”. Ale cisza, jaka zapadła, była jeszcze gorsza, ponieważ teraz słyszał tylko własne myśli, podejrzenie podobne do jazgotu radia, tyle że nie było wyłącznika.

Otoczający go ludzie w autach – niektórzy złożyli się z innymi na wspólną podróż, ale większość stanowili tacy jak on samotni kierowcy – mocno ściskali kierownice i patrzyli przed siebie. Nikt chyba nie wyglądał na szczęśliwego. Ludzie ci nie śpiewali przy akompaniamencie radia, nie uśmiechali się do siebie. Wielu mówiło, gestykulując tak, jakby ktoś siedział obok. Ale przecież byli sami. Czy ci ludzie naprawdę mieli poszarzałe, gniewne twarze? Sprawiali wrażenie chorych, niezadowolonych? Czy może tylko tak mu się wydawało? Czyżby w otaczającym świecie widział portret własnego życia wewnętrznego?

Bez kierunkowskazu szybko skręcił na prawy pas, zajeżdżając drogę

dupkowi w nowym modelu BMW. Tamten nacisnął hamulec i zatrąbił. Kevin zobaczył w lusterku, jak kierowca pokazuje mu palec i wydziera się, choć musiał wiedzieć, że nikt go nie słyszy. Kevin poczuł przyptyw złośliwej radości. Po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął.

Zadzwoił telefon. Nacisnął przycisk na kierownicy, chociaż nie lubił odbierać telefonów, kiedy nie widział na ekranie, kto dzwonił. Żonglował tyłoma piłeczkami, że z trudem za tym nadążał.

– Kevin Carr – powiedział.

– Hej. – To Paula. – Wracasz do domu?

– Zbliżam się do zjazdu – odparł.

– Mała potrzebuje pieluszek. Cameron jest trochę ciepły. Mógłbyś kupić motrin?

– Jasne. Coś jeszcze?

– To chyba wszystko. Dziś udało mi się dotelepać do sklepu. – W tle słyszał szum wody, podzwanianie naczyń w zlewie. – Dasz wiarę: obyło się bez katastrofy. Cammy był bardzo grzeczny. Ale zapomniałam o pieluchach.

Bez trudu mógł sobie ich wyobrazić. Claire siedzi w nosidełku umieszczonym na wózku zakupowym, Cameron sunie za Paulą, ściągając rzeczy z półek i pajacując. Paula zawsze była opanowana, uczesana, w makijażu. Nie tak jak inne matki, które widywał, gdy podrzucał Camerona do szkoły – z podkrążonymi oczami, plamami na bluzkach, z potarganymi włosami. On by na to nie pozwolił.

– Następnym razem zrób listę – powiedział.

W ciszy, jaka zapadła, usłyszał zawodzenie małej. Ten odgłos, świdrujący krzyk, który przejdzie we wrzask, jeśli ktoś nie domyśli się, czego chciała, przyprawiał go o ciarki. Był zarazem oskarżeniem, orzeczeniem winy i wyrokiem.

– Jasne, Kevin – powiedziała Paula. Radosny ton całkowicie zniknął z jej głosu. – Dzięki za radę.

– Nie chciałem...

Ale już się rozłączyła.

W sklepie Elton John oznajmiał, że w kosmosie człowiek czuje się samotnie. Elton śpiewał o tym, że nie jest tym, za kogo biorą go w domu. Kevin aż zbyt dobrze wiedział, co ma na myśli. Chodził między ogromnymi półkami. Wprost uginały się pod jaskrawo opakowanymi przetworzonymi obietnicami – niska zawartość tłuszczu, bez węglowodanów, bez cukru, bez cholesterolu, superodchudzające, kup jedną, drugą dostaniesz gratis, same

naturalne składniki. W dziale dla dzieci wszystko przybrało różowe, niebieskie i żółte barwy, pojawiły się kacuszki i żabki, Odkrywczyńni Dora, Elmo. Kevin rozglądał się za zielono-brązowym opakowaniem pieluszek, w które Paula lubiła przewijać małą – organiczne, ulegające biodegradacji. Uważał, że cały ten organiczny cyrk jest szczytem wszystkiego. Od czasów rewolucji przemysłowej korporacje gwałciły i plądrowały środowisko naturalne – wywalały zanieczyszczenia w powietrze i do wody, wycinały lasy tropikalne, zatrzuwały ziemię. Teraz, ni stąd, ni zowąd, jednostka mogła ocalić planetę, płacąc podwójnie za „zielone” produkty i tym samym powiększając zyski tych samych firm, które ponoszą odpowiedzialność za globalne ocieplenie, niemal całkowite wyczerpanie zasobów naturalnych, nie mówiąc już o otyłości i związanych z nią chorobach. To go dobijało, naprawdę.

Przy lśniących kasach wolna była młoda, ładna dziewczyna; wertowała brukowiec o życiu gwiazd. Jak się nazywała? Bez okularów nie potrafił przeczytać imienia na tabliczce. Tracie? Trixie? Trudie?

– Hej, panie Carr. Wcześniej widziałam pana żonę i dzieci. – Przesunęła zakupy przez czytnik. Pieluszki: 12,99 dolara. Motrin: 8,49. Widok dwudziestoletnich cycków: bezcenny. Nie potrzebował okularów, żeby je zobaczyć.

Paula karmiła piersią Camerona do drugiego roku życia, aż zorientowali się, że znów jest w ciąży. Teraz karmiła Claire już osiemnasty miesiąc (choć obiecała, że odstawi ją po roku). Oboje zaczęli postrzegać piersi Pauli jako coś użytecznego, kiedy tak wyskakiwały z koszuli, gdy tylko Claire zaczynała marudzić. Koronkowe push-upy i jedwabne staniki poszły precz. Teraz, jeśli Paula w ogóle nosiła biustonosze, miały odpinaną miseczkę, żeby mała mogła ssać. TracieTrixieTrudie nosiła pewnie coś różowego i ślicznego, miała piersi jak brzoskwinie, żaden niemowlak nie wysysał z niej jeszcze seksapilu.

– Szczęściarz z pana – powiedziała kasjerka. – Ma pan piękną rodzinę.

– To prawda. – Zajrzał do portfela. Jak zwykle nie miał przy sobie gotówki. Przyglądał się siedmiu wielobarwnym kartom kredytowym, które patrzyły na niego szyderczo z przegródek. Nie mógł sobie przypomnieć, na której nie zrobił jeszcze debetu. – To prawdziwe błogosławieństwo.

Z uśmiechem przesunął kartę Platinum Visa i wstrzymał oddech, dopóki na elektronicznym czytniku nie pojawiła się rubryka na podpis.

Kevin zdawał sobie sprawę, co widziała w nim ta dziewczyna, dlaczego tak słodko się uśmiechała. Widziała zegarek Breitling, garnitur od

Armaniego, obrączkę ślubną z diamentami. Łączny koszt tego, co miał na sobie, przewyższał jej półroczną pensję. Kiedy na niego patrzyła, widziała pieniądze, nie zaś rosnący, niekontrolowany dług, symbolizowany przez zakupy. Tylko to widzieli ludzie: połyskliwe pozory. To, co znajdowało się w głębi, to, co było prawdziwe, nie miało znaczenia.

– Czy pamiętał pan o torbie wielokrotnego użytku? – Posłała mu kolejny promienny uśmiech i pogroziła palcem w udanym upomnieniu.

– Nie – przyznał. Wchodząc w grę, udał skruchę. – Ale to nic. Nie potrzebuję jej. – Sięgnął po dwa zakupione towary i ruszył do wyjścia.

– Właśnie uratował pan drzewo, panie Carr! – zawołała za nim kasjerka. – Brawo!

Wobec jej kipiącej młodzieńczości poczuł się jak stulatak. Właśnie w chwili gdy wychodził spod zadaszenia, zaczęło mocno padać. Do samochodu wsiadał przemoczony. Zakupy cisnął na sąsiednie siedzenie. Potem, przejrząwszy się w lusterku, przygładził palcami ciemne włosy. Z leżącej z tyłu torby na siłownię wyjął ręcznik, wytarł marynarkę i skórzaną tapicerkę wokół siebie.

Po włączeniu silnika zaczął drzeć. Wcale nie było zimno. Po prostu poczuł znajomy chłód rozchodzący się po całym ciele. Przez chwilę siedział z pustką w głowie. Potrzebował minuty spokoju, nim na powrót przywdzieje maskę. Już miał wyjechać z parkingu i ruszyć do domu, kiedy nagle zachciało mu się sięgnąć pod fotel pasażera i wyjąć niedużą czarną torbę. Chciał tylko sprawdzić, zobaczyć go.

Torba leżała tam od czasu ich podróży na Florydę, kiedy zabrali dzieci w lecie do Disneylandu. Park rozrywki, hotel i jedzenie kosztowały go ponad trzy tysiące dolarów. Całe przedsięwzięcie było parodią normalności. Niekończąca się podróż na południe składała się z fruwających krakersów w kształcie złotych rybek, kartonów z sokiem, obłąkańczych ścieżek dźwiękowych z płyt DVD puszcanych przez Camerona, nieustannego płaczu i marudzenia Claire. Dni spędzali w parku rozrywki, gdzie Cameron świetnie się bawił. Claire była jednak za mała; z powodu upału i tłumów łączących z rozdziawionymi gębami bezustannie narzekała, doprowadzając go niemal do szału. Przyklepił uśmiech na twarz i udawał, że wcale nie czuje się tak, jakby głowa miała mu eksplodować. Kiedy poznał Paulę, była młoda, gorąca, bystra, pełna życia. Teraz, jako mama w Disneylandzie, była o dwa rozmiary większa niż wtedy, gdy się poznali. Kiedy jej tak przytyły nogi? Właśnie podczas tego wyjazdu zrozumiał, że musi pryskać. Nie mógł żyć w ten sposób. Oczywiście rozwód nie wchodził w grę. Co za banał.

Pewnej nocy wyszedł po pizzę i wstąpił do jednego z licznych sklepów z bronią, które wcześniej mijał.

– To najpopularniejsza broń ręczna w Ameryce – powiedział sprzedawca.
– Glock 17 może wystrzelić siedemnaście naboju typu Luger kalibru dziewięć milimetrów. Jest superlekki, idealny do domu. Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pan musiał go używać, ale nawet jeśli nie jest pan obyty z bronią palną, zdoła pan tym obronić rodzinę.

Dwudziestoletni sprzedawca, który przejawiał niezdrowy entuzjazm do swojej pracy, sprzedał mu też pudełko naboju. Kevinowi nie mieściło się w głowie, że może wyjść ze sklepu z pistoletem, nabojami i małą płócienną torbą. Na parkingu schował wszystko pod siedzenie pasażera. Tam broń leżała przez blisko pół roku. Paula nigdy nie jeździła tym wozem. Nawet w weekendy brała mercedesa, bo tam miała foteliki, torby na pieluchy i rozmaite dziecięce akcesoria – chodziki, kubeczki, chusteczki higieniczne. Ktoś mógłby pomyśleć, że Paula wybiera się dokądś na cały miesiąc.

Teraz rozpiął suwak torby, wyjął pudełko z twardego plastiku, otworzył. W bursztynowym świetle, sączącym się do samochodu z latarni na parkingu, obejrzał płaski czarny pistolet w pudełku, zgrabne kontury, wygodną kolbę. Słyszał bębnienie deszczu o dach, przytłumiony głos kobiety, która rozmawiała przez telefon, idąc do samochodu. „Nie mogę uwierzyć, że to powiedział!”. Jej słowa niosły się echem. „Co za dupek!”.

Widok pistoletu dodał mu otuchy. Poczuł, jak ramiona mu się rozluźniają, łatwiej mu się oddycha. Część straszliwego napięcia, dźwiganego przez cały dzień, ustępowała. Sam nie wiedział dlaczego. Nawet gdyby ktoś go zapytał, nie potrafiłby wytłumaczyć, czemu na widok tej broni spływało na niego uczucie błogosławionej ulgi.

Jones Cooper bał się śmierci. Groza budziła go w nocy, sadzała na łóżku, wyciskała oddech z płuc, zwężała przełyk, sprawiała, że chrypiał w ciemności. Przerażenie zmieniało zwykłe cienie dzielonej z żoną sypialni w hordy intruzów i potworów czających się ze złowrogimi zamiarami. Kiedy? Jak? Zawał. Rak. Wypadek. Czy przyjdzie po niego szybko? Czy powoli wyniszczy go i odczłowieczy? Jeśli cokolwiek czekało na niego potem, co to było?

Cooper nie był człowiekiem wierzącym. Nie miał też całkiem czystego sumienia. Nie wierzył w dobroduszny wszechświat światła i miłości. W przeciwieństwie do innych nie potrafił opierać się na tych wartościach; najwyraźniej wszyscy chronili się jakoś przed widmem pewnego kresu. Wszyscy oprócz niego.

Jego żonę, Maggie, zmęczyły te ataki paniki o drugiej nad ranem. Początkowo siadała przy mężu i pocieszała: „Po prostu oddychaj, Jones. Rozluźnij się”. Jednak nawet ona, psychoanalityczka o niewyczerpanej cierpliwości, zaczęła sypiać w pokoju gościnnym, czasem na kanapie, niekiedy wręcz w pokoju ich syna, pustym, odkąd Ricky wyjechał we wrześniu do Georgetown.

Żona uważała, że ma to związek z wyprowadzką ich syna.

– Wyjazd dziecka na studia jest kamieniem milowym. To naturalne, że pojawiają się refleksje na temat przemijania – powiedziała. Zdaniem Maggie uznanie własnej śmiertelności to rytuał przejścia, który jest udziałem wszystkich ludzi. – Ale w pewnym momencie, Jones, refleksja staje się pobłażaniem sobie, autodestrukcją. Widzisz chyba, że przeżywanie życia w lęku przed śmiercią jest śmiercią samą w sobie.

Jednak według Jonesa ludzie wcale nie zastanawiali się nad śmiercią. Wszyscy kręcili się, najwyraźniej nieświadomi czekającego ich końca – całymi godzinami siedzieli na Facebooku, rozmawiali przez komórki w drodze do Starbucks, wylegiwali się na kanapach, oglądając brednie w telewizji. Ludzie nie zwracali uwagi – ani na życie, ani na śmierć, ani na siebie nawzajem.

– Rozchmurz się. Naprawdę. – Tymi słowami Maggie pożegnała go tego ranka, udając się na spotkanie z pierwszym pacjentem. Próbował się rozchmurzyć. Naprawdę się starał.

Jones grabił liście; rozłożył dęby na podwórzu jak co roku zaczęły je zrzucić. Na ziemi leżała ich zaledwie garstka. Przy krawężniku usypał mały stosik. Przez wszystkie lata spędzone tutaj wynajmował kogoś do tej pracy. Jednak od przejścia na emeryturę, blisko rok temu, postanowił wziąć na siebie obowiązki związane z utrzymaniem domu: kosił trawę, dbał o ogród, czyścił basen, mył okna, teraz grabił liście, kiedy przyjdzie pora, odgarnie śnieg. Zdumiewające, jak te czynności wypełniały mu czas. Od świtu do zmierzchu krzątał się, jak to ujmowała Maggie, zmieniał żarówki, przycinał drzewa, mył samochody.

„Ale czy to wystarczy? Masz wysoką inteligencję. Potrafisz się w ten sposób zadowolić?”. Żona go przeceniała. Wcale nie był przesadnie inteligentny. Sąsiedzi zaczęli na nim polegać; cieszyli się, że kiedy są w pracy czy na wakacjach, na miejscu jest emerytowany gliniarz. Jones wpuszczał monterów, odbierał pocztę, zapalał światła, kiedy sąsiedzi wyjeżdżali, sprawdzał obejście, utrzymywał naładowaną broń w dobrym stanie. Początkowo ten stan rzeczy grał Maggie na nerwach – sąsiedzi dzwonili i wpadali, prosili o to i tamto, zwłaszcza że Jones nie przyjmował pieniędzy, nawet od ludzi, których praktycznie nie znał. Potem sąsiedzi zaczęli przynosić podarki – butelkę szkockiej, talon prezentowy do Grillmarksa, eleganckiej knajpy serwującej steki.

– Mógłbyś z tego zrobić prawdziwy interes – stwierdziła z nieoczekiwanym entuzjazmem Maggie pewnego wieczoru przy kolacji zafundowanej przez Pedersenów. Jones przez tydzień karmił ich wrednego kota imieniem Cheeto.

– Jasne – prychnął. – Facet z sąsiedztwa wałęsa się po okolicy i nie ma nic lepszego do roboty, niż wpuszczać hydraulika? Tak bym nazwał mój biznes?

Maggie posłała mu ten rozbijający uśmiech, który uwielbiał. Gdy uważała, że jest zabawny, ale nie chciała dać mu tego poznać, unosiła kącik ust.

– To poszukiwane usługi, za które ludzie chętnie by zapłacili – powiedziała. – Przemyśl to.

Ale Jones lubił to robić i nie chciał brać za nic pieniędzy. Miło było czuć się potrzebnym, dbać o sąsiedztwo, pilnować, żeby wszystko było w porządku. Człowiek nie przestawał być gliniarzem, kiedy przestawał być gliniarzem. Zresztą tak naprawdę nie był na emeryturze, prawda? Nie opuściłby stanowiska, gdyby nie czuł, że zaszła taka konieczność, że w tej sytuacji to właściwe rozwiązanie. Ale to była całkiem inna historia.

Idealne przedpołudnie: dwadzieścia stopni. Złociste światło, w powietrzu woń grabionych liści, skądś dobiega aromat palonego drewna. Odnowiony gto z 1966 roku czeka na podjeździe, aż jego właściciel przyjedzie na przyszły weekend. Jones kazał wyregulować silnik i wypucować wóz na przyjazd Ricky'ego.

Tęsknił za synem. Niestety, w okresie jego dorastania w ich wzajemne kontakty wkraść się konflikt. Mimo to nie mógł się doczekać, aż Ricky znów znajdzie się pod ich dachem, choćby na cztery dni. Gdyby ktokolwiek uprzedził Jonesa, jak bardzo, jak mocno będzie tęsknił za synem, jaki skurcz serca będzie czuł, mijając ten pusty pokój, nie uwierzyłby. Uznałby, że to kolejny oklepany banał na temat bycia rodzicem.

Oparł grabie o pień dębu i zdjął rękawice. Para gołębi karolińskich zagruchała do niego. Ptaki przycupnęły na balustradzie werandy, strosząc śniade pióra.

– Przepraszam – powiedział nie pierwszy już raz. Wcześniej uprzątnął zaczątek gniazda, luźny kopczyk z gałązek i papieru, które jakimś cudem zdołały ułożyć pod osłoną mechanizmu do otwierania drzwi garażowych. Gołębie karolińskie wiły marne gniazda, niekiedy z lenistwa zajmowały porzucone gniazda innych ptaków. Garaż musiał więc wydać się im idealnym schronieniem przed drapieżnikami. Ale Jones nie chciał gołębi w garażu. Wszyscy wiedzieli, że zwiastowały śmierć. Teraz, od rana, siedziały na podwórzu i dawały mu do zrozumienia, że mają pretensję.

– Możecie uwić gniazdo w innym miejscu – powiedział, wskazując ruchem ręki na działkę. – Tylko nie tutaj.

Gołębie jakby słuchały, przekrzywiając szyje. Potem odfrunęły z gniewnym, melodyjnym świergotem.

– Głupie ptaszyska.

Jones przesunął ręką po czole. Mimo niewysokiej temperatury spocił się od grabienia. To przypomniało mu o konieczności zrzucenia dziesięciu kilogramów, o które jego lekarz suszył mu głowę od lat. Ten przystojny mężczyzna o irytująco smukłej sylwetce, mniej więcej rówieśnik Jonesa, nigdy nie omieszkał wspomnieć o nadwadze, niezależnie od tego, czy powodem wizyty była grypa, skręcony przegub, czy cokolwiek innego. „Kiedyś też umrzesz, doktorku”, chciał zawsze wtedy powiedzieć Jones. „Pewnie kopniesz w kalendarz podczas ćwiczeń. Ile biegasz ostatnio, osiem kilometrów każdego ranka, więcej w weekendy? To cię zaprowadzi przedwcześnie na cmentarz”. Zamiast tego Jones raz po raz przypominał lekarzowi, że przed rokiem tłuszcz na brzuchu uratował mu życie.

– Nie jestem pewien, czy to jest zasadny argument – mówił doktor Gauze.
– Jakie jest prawdopodobieństwo, że znowu dostaniesz kulkę w bebechy, zwłaszcza teraz, gdy jesteś na zielonej trawce?

Na zielonej trawce? Jones miał dopiero czterdzieści siedem lat. Właśnie myślał o zielonej trawce, kiedy przed domem zatrzymała się beżowa toyota camry. Jones patrzył, ale nie dostrzegął kierowcy. Po chwili drzwi się otworzyły i wysiadła drobna kobieta, którą poznał, choć nie potrafił umiejscowić. Zbyt chuda, miała wygląd kogoś, kto stracił apetyt z powodu stresu. Szła przez podjazd, poruszała się wolno, jakby niedawno przeszła jakąś chorobę, przyciskając do boku skórzaną torebkę. Chociaż stał na środku podwórza, najwyraźniej go nie widziała. Minęła go jak powietrze.

– W czym mogę pani pomóc? – spytał w końcu. Kobieta odwróciła się do niego zaskoczona.

– Jones Cooper? – powiedziała. Nerwowo przesunęła dłonią po siwo-czarnych włosach, przyciętych mało korzystnie na pazia.

– To ja.

– Zna mnie pan?

Podszedł bliżej, stanął tuż przed nią na wybrukowanym podejździe, który należało odnowić. Owszem, wydawała się znajoma, ale nie wiedział, jak się nazywa.

– Przepraszam – powiedział. – Czy myśmy się już widzieli?

– Jestem Eloise Montgomery.

Zajął mu to chwilę. Potem policzki oblał rumieniec, w ramionach poczuł napięcie. „Chryste”, pomyślał.

– Czym mogę służyć, pani Montgomery?

Nerwowo się rozejrzała, a Jones podążył spojrzeniem za jej wzrokiem, na opadające liście, przejrzysty błękit nieba.

– Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać? – Wędrujące spojrzenie kobiety spoczęło na domu.

– Nie możemy pomówić tutaj? – Splótł ręce na piersi i ani drgnął. Maggie byłaby oburzona tak grubiańskim zachowaniem, ale Jones nic sobie z tego nie robił. Nie zamierzał zapraszać tej kobiety do domu.

– To sprawa osobista – wyjaśniła. – Poza tym jest mi zimno.

Kobieta ruszyła w stronę domu, zatrzymała się u stóp trzystopniowych schodów prowadzących na pomalowaną na szaro werandę, odwróciła się i spojrzała na Jonesa. To, że stała tak blisko domu, nie podobało mu się bardziej niż widok pary gołębi. Kobieta była drobna i płochliwa, ale było od niej osobliwe zdecydowanie. Kiedy bez zaproszenia weszła po schodach

i stanęła przed drzwiami, pomyślał o tym, jak źdźbło trawy, dzięki wytrzymałości, potrafi się przecisnąć przez beton. Już się spodziewał, że pociągnie siatkowe drzwi i wejdzie, ona jednak czekała. Jones ruszył niechętnie, rzucając rękawice ogrodowe obok grabi.

Chwilę później siedziała przy stole w jadalni, a on parzył kawę. Stojąc przy kuchennym blacie, widział ją wyraźnie: usiadła jak grzeczna panienska, ze splecionymi dłońmi. Nie zdjęła płaszcza w pepitkę, wciąż przyciskała do ciała torebkę. Oczy nieustannie się poruszały.

– Nie chce mnie pan tutaj – stwierdziła, rzuciła szybkie spojrzenie w jego stronę, po czym spuściła wzrok na dłonie. – Chciałby pan, żebym sobie poszła.

Z szafki wyjął dwa kubki i postawił je na stole z łoskotem, choć wcale nie miał takiego zamiaru.

– Kurczę – powiedział. – Jestem pod wrażeniem. Pani naprawdę czyta w myślach.

Nie chciał mu się znów na nią patrzeć; pozwolił oczom spocząć na kalendarzu za telefonem. Za kilka godzin miał wyznaczoną wizytę u psychoanalityka, której panicznie się bał. Kiedy znowu na nią spojrzął, przyglądała mu się z nieznacznym uśmiechem.

– Sceptyk – stwierdziła. – Pańska żona i teściowa okazują mi więcej szacunku.

– Na szacunek trzeba sobie zasłużyć. – Nalał kawy. – Jaką pani pije? – spytał, choć był przekonany, że czarną.

– Poproszę ze śmietanką i cukrem – odparła. – Co powinnam zrobić, by zaskarbić sobie pański szacunek?

Jones podszedł z kubkami kawy i usiadł naprzeciwko gościa.

– Co mogę dla pani zrobić, pani Montgomery?

Dochodziło południe. Ostatnia przedpołudniowa sesja Maggie miała skończyć się za kwadrans, potem wróci do domu na lunch. Kiedy to nastąpi, nie chciał, żeby Eloise tu siedziała. Ta kobieta mogła przywieść Maggie na myśl tylko złe wspomnienia o wszystkim, co wycierpieli w minionym roku i wcześniej. A ani on, ani jego żona tego nie potrzebowali.

– Wie pan o mojej pracy? – spytała Eloise.

Praca. Serio? Tak to nazywali? Sądziłby raczej, że powie o darze albo trzecim oku. Czy na przykład o zdolnościach. Ale pewnie myślała o tym jako o pracy, skoro właśnie w ten sposób zarabiała na życie.

– Owszem – odpowiedział. Starał się zachować beznamiętny ton głosu, nie dopytywać się ani nie zachęcać, lecz ona i tak odczuwała potrzebę

wyjaśnienia.

– Jestem jak radio. Zewsząd odbieram sygnały, rozproszone, fragmentaryczne. Nie panuję nad tym, co widzę, nad stopniem ostrości i mocą. Mogę zobaczyć coś na drugim krańcu świata, ale coś w sąsiednim domu może mi umknąć.

Z trudem powstrzymał się, aby nie przewrócić oczami. Naprawdę spodziewała się, że on w to uwierzy? Serio?

– Dobra – powiedział i łyknął kawy. Nie podobała mu się własna narastająca irytacja, niepokój. Siedząc na krześle, czuł fizyczny dyskomfort, rozdrażnienie spowodowało, że zapragnął nerwowo chodzić po pokoju. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Staje się pan sławny w miasteczku. Ludzie wiedzą, że jest pan skory do pomocy, pod ich nieobecność zajmuje się domami, odbiera pan pocztę.

– Tylko tutaj, w sąsiedztwie. – Wzruszył ramionami, oparł się na krześle, odwrócił dłonie wnętrzem do góry. – Co takiego? Wybiera się pani na wakacje? Chce pani, żebym karmił kota?

Eloise westchnęła i spojrzała na dzielący ich stół.

– Wkrótce ludzie zaczną przybywać z daleka po więcej – powiedziała. – Może to pana zaprowadzić w niespodziewane miejsca.

Jonesowi nie spodobały się jej słowa, ale postanowił nie reagować, by nie dać kobiecie satysfakcji.

– Dobrze – powiedział, przeciągając słowo.

– Chciałam, żeby był pan gotowy. Widziałam coś.

Gdy znów na niego spojrzała, jej błyszczące oczy go zaniepokoiły. Sam nie wiedział czemu, ale przywołały wspomnienie matki, kiedy po wylewie znalazł ją na podłodze łazienki. Odsunął krzesło od stołu i wstał.

– Dlaczego pani mi to wszystko mówi? – Oparł się o drzwi kuchenne.

– Bo musi pan wiedzieć – odparła. Siedziała sztywno, skrępowana, nie tknęła stojącej przed nią kawy.

„Dobra, świetnie. Dzięki, że pani wpadła. Proszę do mnie nie dzwonić, ja zadzwonię do pani. Odprowadzę panią”. Zamiast tego, ponieważ ciekawość zawsze brała nad nim górę, zapytał:

– Więc co pani zobaczyła?

– Trudno to wyjaśnić. – Przesunęła dłonią po włosach. – To jak opisywanie snu. Esencja może się zagubić w tłumaczeniu.

Jeśli to było przedstawienie, grała dobrze. Sprawiała wrażenie osoby szczerzej, nie dramatyzowała, nie szarżowała. Gdyby zeznawała jako świadek, uwierzyłby jej. Ale nie była świadkiem, była świruską.

– Niech pani spróbuje – ponaglił. – Przecież po to pani tu przyszła, prawda?

Kolejny powolny wdech i wydech. Wreszcie:

– Widziałam pana na brzegu rzeki... To mógł być też ocean. Jakiś zbiornik wzburzonej wody. Widziałam, jak pan biegnie, ścigał pan jakiś martwy kształt w wodzie. Nie wiem, kto to był. Mogę jedynie założyć, że kobieta albo dziewczyna, bo tylko tyle widziałam. Potem wskoczył pan do wody albo wpadł pan. Był pan za słaby. Woda pana wciągnęła.

Eloise mówiła spokojnie, beznamiętnie. Ktoś mógłby sądzić, że swobodnie rozprawia o pogodzie. Przywołany przez nią obraz nie zaniepokoił go ani nie zaskoczył. Kobieta wyglądała krucho, głupio, jakby wykonywała w cyrku numer, który ani nie dostarczał rozrywki, ani nie intrygował.

Tykanie dużego wahadłowego zegara w holu brzmiało szczególnie głośno. Naprawdę powinien się pozbyć tego grata, prezentu od teściowej na nowe mieszkanie. Czy rzeczywiście musiał słuchać, jak upływają minuty jego życia?

– Widzi pani, pani Montgomery, według mnie nie czuje się pani najlepiej – powiedział.

– Owszem, panie Cooper. Wcale nie czuję się dobrze. – Z ulgą spostrzegł, że wstała od stołu i ruszyła do wyjścia.

– Cóż, jeśli znajdę się na brzegu rzeki, gdy będę gonił za jakimś ciałem, z pewnością zostanę na lądzie – powiedział, przepuszczając ją i idąc za nią do drzwi. – Dzięki za przestrożę.

– Na pewno? Na pewno zostałby pan na lądzie? Wątpię. – Dłoń oparła na klamce drzwi wejściowych, ale ani ich nie otworzyła, ani nie odwróciła się.

– To by chyba zależało od okoliczności – powiedział. – Od tego, czybym uznał, czy mogę pomóc, czy nie. Czybym uznał, że udźwignę ryzyko. Wreszcie od tego, kto znajdowałby się w wodzie.

Dlaczego w ogóle kontynuował tę rozmowę? Ta kobieta najwyraźniej była niespełna rozumu; powinna się znaleźć w szpitalu, a nie łazić na wolności. Mogła zrobić krzywdę komuś albo sobie. Wciąż nie odwracała się, by na niego spojrzeć, tylko pochyliła głowę.

– Nie sądzę, że zdoła pan udźwignąć ryzyko – powiedziała. – W grę wchodzi siły potężniejsze niż pańska wola. Myślę, że to właśnie musi pan wiedzieć.

Biorąc pod uwagę to, jak bardzo Jones bał się śmierci, powinien chwycić się za serce z przerażenia. Ale prawdę powiedziawszy, cała sytuacja

wydawała mu się niedorzeczna. Czuł niemal ulgę, mogąc rozmawiać z kimś, kto miał jeszcze słabszy kontakt z rzeczywistością niż on.

– W porządku – powiedział. – Dobrze wiedzieć.

Ująwszy kobietę za ramię, delikatnie odsunął ją na bok i otworzył drzwi.

– Więc kiedy pani sobie to wyobraża? W The Hollows jest tylko jeden zbiornik wodny. – Black River była zazwyczaj spokojną rzeką toczącą się na dnie wąwozu polodowcowego. W czasie obfitych deszczy potrafiła wezbrać, ale od lat nie występowała z brzegów. Ten rok był suchy.

– Ja sobie niczego nie wyobrażam, panie Cooper. – uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie. – Ja widzę i mówię ludziom, którym muszę powiedzieć, żeby poprawili stan rzeczy. A jeśli nawet nie poprawili, to przynajmniej utrzymywali w takim stanie, jaki być powinien. To wszystko, co robię. Dawniej zadreślałam się, próbując odkryć, gdzie, kiedy i czy na pewno coś się wydarzy. Sądziłam, że mogę ocalać, pomagać, naprawiać, odchodziłam od zmysłów, kiedy mi się nie udawało. Teraz ograniczam się do prawdziwego przedstawiania swoich wizji. Nie zwracam uwagi na efekty, na to, czy ludzie traktują mnie z szacunkiem, czy wrogo, słuchają mnie czy nie.

– Czyli te pani wizje są dosłowne – stwierdził, nawet nie próbując ukryć sceptycyzmu. – Coś pani widzi, a potem wydarza się to dokładnie w ten sposób. Bez zmian.

– Nie, one nie zawsze są dosłowne – powiedziała.

– Ale czasami są?

– Czasami. – Przytaknęła z rozważą. – W życiu nic nie jest niezmiennie, panie Cooper.

– Oprócz śmierci.

– Cóż... – Urwała. Czyżby zachowywała się jak nauczycielka, której nie chce się prowadzić lekcji, bo uczeń i tak nic nie zrozumie?

Eloise wyszła z domu, puszczając siatkowe drzwi by się za nią zamknęły. Ponieważ nie wiedział, co powiedzieć, zmilczał i tylko patrzył, jak sztywno schodzi z werandy. Raz obejrzała się za nim, jakby chciała coś jeszcze dodać. Potem jednak ruszyła dalej po podjeździe. Szła lżej, jak po zdjęciu brzemienia z ramion. Już nie sprawiała wrażenia osoby kruchej czy schorowanej jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wsiadła do samochodu i powoli odjechała.

Pisała wolno. Mozolnie formowała każdy znak, aż ołówek przebijał stronę na wylot. U góry zeszytu do angielskiego pojawiły się drukowane litery: THE HOLLOWES TO DZIURA. To naprawdę była dziura. Nienawidziła tej miejsciny. Pod spodem napisała kursywą: *Dlaczego tu jestem? Dlaczego?*

– Willow? Panno Willow Graves. Może się pani do nas przyłączy?

Zaskoczona, wyprostowała się w ławce. Czasami znikła we własnej głowie, świat zewnętrzny rozpływał się w szum, by wrócić z łoskotem, często w żenujący sposób.

Podniosła wzrok na pana Vance'a, nauczyciela angielskiego, który przyglądał się jej z wyczekiwaniem.

– Nie słyszałam pytania. – Ktoś z tyłu klasy zachichotał, a ona poczuła, jak rumieniec pali jej policzki.

– Pytanie brzmiało: czy może mi pani wyjaśnić różnicę między porównaniem a metaforą?

Wcale nie chciała przewracać oczami, ale niekiedy jakby żyły własnym życiem. Pan Vance skrzyżował ręce na piersi i stanął w wyzywającej pozycji.

– Porównanie jest zabiegiem literackim porównującym rzeczy z użyciem łącznika „jak”. Na przykład: „jego oczy były niebieskie i przyzywające jak głęboki, rozległy ocean”. Metafora jest figurą retoryczną zrównującą dwie odmienne rzeczy. Na przykład: „jej miłość do niego była czerwoną różą”.

Chcąc wyjść z twarzą, wymówiła to zalotnie, jak wamp. Ale wyszło źle. Od strony ławek obsadzonych przez zombie dobiegły nowe chichoty. Z głębi klasy, gdzie siedzieli palacze trawy, niczym kłęby dymu doleciały słowa: „Co za kretynka”. Na twarzy pana Vance'a pojawił się wyraźny rumieniec – gniewu, zażenowania, może po części jednego i drugiego.

Kiedy Willow była młodsza, matka mawiała: „Niewyparzony język sprowadzi na ciebie kłopoty, mała”. Potem: „Język, Willow. Licz się ze słowami”. Ostatnio upomnienia padały tak często, że matka mówiła tylko krótko: „Język!”.

Pan Vance naprawdę miał najśliczniejsze niebieskie oczy. Wymuskany, elegancko ostrzyżony, czyściutki i lśniący jak nowa złota obrączka ślubna. Ale Willow wcale go nie podrywała. Lubiała go. Większość nauczycieli uważała, że dziewczyna jest „wyzywająca”, „roztargniona”, „bystra, ale

niezdyscyplinowana”, „opornie włącza się do pracy w klasie”. Określić było tyle, ile wywiadówek, prawie wszystkie negatywne.

Pan Vance był inny. Pozwalał jej mówić, nie ulegał frustracji z powodu jej pytań: Czy istnieją dowody na to, że Szekspir był kobietą? Czy tak naprawdę to nie jego siostra pisała, a na niego spływał cały splendor? Czy ktoś jeszcze uważał, że Hemingway jest płaski i nieprzystępny? Że *Moby Dick* to straszliwe nudziarstwo? Kiedy pan Vance spotkał się z jej matką podczas ostatniego dnia otwartego, powiedział, że jego zdaniem Willow jest „utalentowana”, ale często się nudzi i „potrzebuje wielu wyzwań i stymulacji, by osiągać dobre wyniki”. Był pierwszym nauczycielem, z którym Willow nawiązała autentyczny kontakt. A teraz wszystko spieprzyła. Spartoliła. Matka nie lubiła, kiedy Willow używała słów typu „pieprzyć”. Wysil wyobraźnię, Willow. Wulgaryzmy są dla ludzi o ograniczonym słownictwie.

– Zgadza się, Willow – powiedział pan Vance. Odwróciwszy się do niej plecami, przeszedł na przód klasy. – Zgadza się.

Nauczyciel powrócił do wykładu o literackich środkach wyrazu, ale Willow nie słyszała ani słowa i do końca lekcji nie opuszczał jej markotny nastrój. Zazwyczaj zostawała w klasie, by porozmawiać z nim po dzwonku, ale dziś wyszedł, nim zdążyła spakować rzeczy do plecaka. Willow ogarnęło znane uczucie: oto powiedziała nie to co trzeba i kogoś spłoszyła; zawód i bezsensowny żal, że nie ważyła słów.

Na jej szafce w kolorze khaki ktoś wyskrobał słowo „dziwadło”. To samo zrobili na początku roku szkolnego, ale Willow nie poskarżyła się, nie próbowała nawet zamazać obelgi. Spodobała się jej. The Hollows, społeczną i kulturową próżnię, zamieszkiwali ludzie małostkowi, pozbawieni wyobraźni, o wąskich horyzontach myślowych. Tutaj była dziwadłem i szczyciła się tym. Chciała, by wszyscy wiedzieli, że jest inna. Nie była dziwadłem w Nowym Jorku, gdzie spędziła całe swoje życie aż do wygnania do Hollows przed sześcioma miesiącami.

Willow poszperała w plecaku i odnalazła komórkę. Po wybraniu numeru umieściła telefon między uchem a ramieniem, potem schyliła się, by ponownie zasnurować martensy i poprawić siatkowe rajstopy.

– Jak się żyje na pasie szybkiego ruchu, mała? – spytała matka.

– Tragicznie. – Willow oparła się ciężko o szafkę, patrząc, jak potok matołów leje się korytarzem. Chichoty, okrzyki, bieg, pisk tenisówek.

– Co się stało? – westchnęła matka.

Willow opisała zajście z panem Vance'em.

– Ja tylko żartowałam.

– Co robimy, kiedy skrzywdzimy albo wprowadzimy w zakłopotanie osobę, na której nam zależy?

– Próbujemy naprawić szkodę – odparła Willow. Po co w ogóle zadzwoniła? Bez trudu mogła sobie dosłownie wyobrazić całą rozmowę.

– Wygląda na to, że wiesz, co masz robić.

– Dobra – powiedziała Willow. – Tak.

Willow wtuliła się w szafkę. Chciała poprosić mamę, żeby po nią przyjechała. W pierwszych tygodniach dzwoniła i błagała, by matka ją odebrała, ona zaś wyrażała zgodę. Teraz jednak mama powiedziała: dość. Willow musiała sobie radzić w szkole bez względu na to, jak żałośnie się czuła. Kiedy mama mówiła „dość”, nie żartowała.

– Kocham cię, mamo.

– Ja też cię kocham. Willow? Wiem, że chwilowo ciężko nam się żyje. Ale sprawy się poprawią. Obiecuję. Po prostu spróbuj znaleźć zadowolenie w drobiazgach.

– Postaram się.

– Po tej przerwie masz zajęcia artystyczne?

– Tak.

– Powinno być fajnie. – Willow nie cierpiała udawanej radości w głosie matki, bo przypominała jej o tym, że mama również cierpiała.

– Juhuu! – zawołała.

– Dobrze, mądralo – roześmiała się matka. – Trzymaj się tam.

Rozłączywszy się, Willow wypakowała podręczniki do szafki, schowała do plecaka przybory na zajęcia artystyczne i zamknęła drzwiczki.

– Niezły plecak. – Wredny głosik rozniósł się po korytarzu, odbijając się echem od ścian. Willow odwróciła się i ujrzała Beckę Crim w otoczeniu swoich ślicznych klonów jak z plastiku. Ich firmowe plecaki – Juicy Couture, Coach, Kate Spade – zdawały się lśnić złośliwie. Willow kupiła swój w sklepie z akcesoriami wojskowymi. Był ekstra. Zbyt fajny jak na szkołę. Willow pokazała dziewczynom palec i ruszyła przed siebie, słysząc, jak się śmieją.

– Jej miłość do niego była czerwoną różą.

Nie wiedziała, która powtórzyła te słowa, ale nie miało to większego znaczenia. Żadna z tych kretynek nie chodziła z nią na angielski, a jednak wiedziały już, co zaszło w klasie. „Super”.

Drzwi gabinetu pana Vance'a były zamknięte. Przez szybę z matowego szkła widziała jego cień za biurkiem. Mimo zdenerwowania uniosła dłoń i zapukała.

– Proszę.

Willow pchnęła drzwi, nauczyciel oderwał wzrok od teczki na biurku, po chwili znów spuścił oczy. Niepewnie stała w drzwiach, nie wiedząc, czy chce wejść.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Willow? – zapytał, gdy wciąż nie wchodziła. Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Przyszłam przeprosić – wykrztusiła w końcu. – Przepraszam. To było głupie.

Pan Vance wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. Siadając, usłyszała dzwonek, ktoś puścił się biegiem, trzasnęły drzwi. Spóźni się na zajęcia artystyczne.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię – powiedział pan Vance. – Jesteśmy przyjaciółmi. Mamy pewien układ: rozmawiamy o książkach, po lekcjach dyskutujemy na tematy poruszane w klasie.

– Tak. – Na biurku ujrzała fotografię pana Vance'a, tulącego policzek do policzka uśmiechniętej kobiety, jak się domyślała, jego żony. Oboje mieli niemądre miny osób pozujących do zdjęcia. Nie wiedzieć czemu Willow sądziła, że jego żona będzie ładniejsza; wyobrażała sobie wysoką blondynkę. Tymczasem kobieta była pospolitą okularnicą z włosami w kolorze mysiej sierści. Mimo to wyglądała na szczęśliwą. I miłą.

– To delikatna sprawa – powiedział pan Vance. – Wystarczy aluzja, że dzieje się coś niestosownego, i po mojej karierze. Rozumiesz? Mam żonę, spodziewamy się dziecka. Potrzebuję tej pracy, reputacja jest dla mnie ważna.

Willow poczuła pieczenie policzków, napływały łzy.

– Ja nie chciałam... – zaczęła. – Przepraszam.

– Wprawiaś mnie w zakłopotanie – powiedział.

Ponownie zaczęła przeproszać, ale ścisnęło ją w gardle. Nie zdoła mówić, nie wybuchając płaczem. W pokoju panował upał, nagle poczuła, że siedzi za blisko nauczyciela. Pragnąc się oddalić, wstała, odsunęła się od jego spojrzenia pełnego dezaprobaty, tak różnego od zwykłego uśmiechu, szelmowskiego wzroku. Pan Vance był blady, mocno zaciskał usta. Willow widziała, że nie będą się więcej przyjaźnić. Cofając się, trąciła krzesło, które głośno zaszurało po podłodze. Wtedy twarz nauczyciela złagodniała.

– Dobra – powiedział i odwrócił dłonie wnętrzem do góry. – Rozumiem.

Zapędziłem cię w kozi róg. Próbowiałaś wyjść z twarzą.

Fakt, że to rozumiał, jeszcze pogarszał sytuację.

– Naprawdę mi przykro – powtórzyła, z trudem powstrzymując się od płaczu. Nie rozpłacze się przed nim. Wyszła z gabinetu i pobiegła, a plecak bezwładnie uderzał o jej ciało.

– Posłuchaj, Willow... – dobiegł ją głos pana Vance'a. – Potrzebujesz usprawiedliwienia za spóźnienie na następną lekcję?

Ściany, wstyd, zapach stołówkowej pizzy osaczały ją. Nie mogła znieść tych jarzeniówek, tego miejsca, gdzie była dziwadłem, gdzie nikt jej nie rozumiał ani nie dostrzegał. Za rogiem zwolniła i ruszyła w stronę klasy. Już miała wejść, gdy w końcu korytarza zobaczyła drzwi wyjściowe. Przez wąskie prostokątne okna sączyło się światło. Bez zastanowienia poszła dalej i zanurzyła się w chłodne powietrze późnej jesieni. Chwilę stała, oglądając się na przysadzisty ceglany budynek, na oliwkowe drzwi. Potem szybkim krokiem przeszła podjazdem na tyłach szkoły do bocznej ulicy i ruszyła przed siebie.

Spodziewała się, że ktoś za nią pobiegnie i spyta, dokąd się wybiera. Nikt jednak tego nie zrobił. Szła więc poboczem cichej dwupasmówki obsadzonej szemrzącymi wiązami. W głowie jej szumiało od poczucia skradzionej wolności. W tak małym miasteczku było tylko kwestią czasu, kiedy ktoś przejedzie, zobaczy ją i zadzwoni, informując o nastolatce oddalającej się samotnie od szkoły w czasie lekcji. Wtedy będzie miała kłopoty. Matka się zmartwi. Nie dbała o to. Chciała tylko... odejść. Willow dobrze znała to uczucie.

Nie miała planu; żałowała, że nie wzięła kurtki. Od strony drzew wiał przenikliwy wiatr, niosąc złociste liście, które wirowały, tańczyły, w końcu osiadały na ziemi, gdzie deptała je grubymi czarnymi butami.

Od *dawnego życia* dzielił ją rok, dzień i sto tysięcy mil. Mogłaby zadzwonić do kilku osób, starych przyjaciół. Niektórzy jej wybaczyli; niektórzy, jak Amelia, wciąż pisali maile i telefonowali, nadal wpisywali się na facebookową stronę Willow. Ale po co miałyby sobie zawracać głowę? Ilekroć z nimi rozmawiała, czytała o nich, widziała ich głupie tweety, czuła się jak wygnaniec. Doskonale wiedziała, że droga powrotna do tamtego domu jest zamknięta, chociaż wszyscy, włącznie z nią samą, udawali, że jest inaczej.

Mama czytała jej książkę o chłopcu, który pogniewał się na rodziców i uciekł z domu, żeby dołączyć do cyrku. Wsuwał głowę w lwia paszczę, chodził po linie. Na trapezie szybował nad tłumem, tańczył z kłownami. Ale

na koniec dnia, kiedy gasły światła, a publiczność rozchodziła się do domów, chłopiec zostawał sam w ciemnym namiocie. Zamykał oczy i płakał za matką, która, jak się okazało, wcale nie była zła, chciała tylko, żeby zjadł brokoły. Gdy otworzył oczy, zrozumiał, że to był tylko sen; wciąż leżał bezpiecznie we własnym łóżku, gdy mama pochylała się, żeby pocałować go w czoło.

– Uciekłem i przyłączyłem się do cyrku – wyznał chłopiec i opowiedział mamie o lwach, kłownach, trapezie. – Nawet wtedy chciałem tylko wrócić do domu.

– Zawsze jesteś w domu, bo ja zawsze jestem przy tobie – powiedziała książkowa mama. – Możesz ruszyć w świat, zostać, kim tylko chcesz, robić, co tylko zapragniesz, ale zawsze możesz do mnie wrócić.

Willow przypomniawszy sobie, że uwielbiała tę książkę, na koniec zawsze tuliła się do mamy. Nawet teraz, kiedy historia o chłopcu wydawała się łożawa i wykoncypowana, podobał się jej pomysł, że można się znaleźć w domu, we własnym łóżku, gdzie człowiek będzie bezpieczny, kochany i gdzie wszystko się ułoży. Dawniej wierzyła, że na świecie nie ma żadnych zagrożeń, a mama wszystko potrafi naprawić.

Na odgłos samochodu zeszła między drzewa. Snopy świateł przesunęły się po rzednym lesie, odbijając się od wilgotnej szosy. Willow deptała po miękkiej warstwie liści i patyków. Powietrze pachniało rozkładającą się roślinnością. Ruszyła przez las. Lepiej zejść z ulicy; wiedziała, że jeśli przejdzie lasem kilometr czy dwa, dotrze do piaszczystej drogi koło domu. Już to robiła, chociaż obiecywała, że nie będzie. Raz przysłała tu i wypaliła skręta z Jolie Hayes, jedyną znośną dziewczyną z Hollows. Ale w zeszłym tygodniu Jolie zawieszono za wagarowanie, a mama Willow nie życzyła już sobie, by córka się z nią zadawała.

Jedną rzecz w Hollows była według Willow całkiem w porządku, mianowicie cisza. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy, jak głośnie jest miasto, jak hałas wdziera się we wszystkie zakamarki jej świadomości. „Tutaj mogę myśleć”, mawiała matka o Hollows, a na jej twarzy pojawiał się ten drażniący rozmarzony wyraz. „Mogę oddychać”. Willow wiedziała, co matka ma na myśli, choć nie chciała tego przyznać. Zazwyczaj dąsała się, gdy matka zaczynała pisać na temat The Hollows, o tym, jakie jest urocze, ciche, bliskie natury, jak czyste jest tu powietrze.

– Boże, mamo, daj spokój. To dziura.

– Postaraj się, Willow. Po prostu się postaraj.

Słońce skryło się za chmurami, złote palce się cofnęły. Willow została

w mlecznym, ukośnym świetle. Liście stały się nagle po prostu brązowe. Czują narastający żal. Ta głupia odzywka w klasie, kulawe przeprosiny, szalona ucieczka ze szkoły... Teraz musiała przejść w milczeniu parę kilometrów, a na koniec czekały ją tylko kłopoty.

Poczuła nagle ukłucie lęku. Jeśli zadzwonią ze szkoły do matki, zaniepokoi się, bardzo się zaniepokoi. Mama potrafiła wprowadzać się w ciężkie stany, jej szalona wyobraźnia pisarki wyświeślała najstraszniejsze scenariusze w jaskrawych błyskach, jak w technicolorze. To była ostatnia rzecz, jakiej mama teraz potrzebowała.

Willow wydobyla z plecaka komórkę, ale kiedy próbowała zadzwonić, spostrzegła, że nie ma zasięgu. W Hollows pełno było miejsc, gdzie komórki w tajemniczy sposób przestawały działać. Jolie powiedziała jej, że to z powodu długich tuneli pozostałych po kopalniach rudy żelaza pod miasteczkiem. Willow nie rozumiała, czemu to miałyby być powód, ale co właściwie wiedziała? Poważnie podejrzewała, że miasteczko próbuje utrzymać ją w izolacji i samotności, specjalnie powiększając jej udrękę. Nawet nie mieli Starbucksa.

Wiedząc, że sygnał w każdej chwili może wrócić, wepchnęła telefon do kieszeni i przyspieszyła. Spojrzawszy w niebo, zobaczyła trzy duże kołujące ptaki. Zatrzymała się, żeby im się przyjrzeć, patrzyła, jak unoszą się w powietrzu, prawie nie poruszając skrzydłami. Wcześniej nigdy nie widywała stworzeń, które teraz regularnie pokazywały się na ich rozległej posiadłości: zające, sójki, kardynały, wrony. To akurat też podobało się jej w Hollows. Oczywiście te rzeczy – spokój cisza i dzikie zwierzęta – nie rekompensowały całej reszty.

Patrząc w niebo, uzmysłowiła sobie coś, co od pewnego czasu słyszała w oddali. Rytmiczne łomotanie, tak ciche i miarowe, że dopiero po pewnym czasie do niej dotarło. Willow rozejrzała się, żeby ustalić źródło dźwięku, ale zdawał się dochodzić z ziemi, z powietrza. Wiedziała, że na skraju Hollows znajdują się posiadłości, gdzie dźwięk niesie się daleko.

Jolie powiedziała jej, że starzy mieszkańcy tych stron nazywali te rozległe zadrzewione tereny Czarnym Lasem, choć nie była to ich prawdziwa nazwa. Ale w legendach Niemców, którzy założyli miasteczko, tak właśnie nazywał się las, pełen chat czarownic, domków z piernika i wielkich groźnych wilków. Las w Hollows najwyraźniej im to przypominał i nazwa przyłgnęła.

Na prywatnej ziemi przylegającej do lasu stały teraz nowiutkie domy – jeden z nich kupiła matka Willow.

– Żeby mieszcuchy mogły czuć, że mieszkają na wsi – powiedziała Jolie, jakby to było coś, co zasłyszała, a teraz powtarzała, bo uważała, że fajnie brzmi. Willow nie była pewna, czy Jolie wie, że ona sama mieszka w jednym z tych domów, i czy Jolie robi przytyk, czy też jest po prostu ignorantką. Co więcej, Jolie nigdy nie była w dużym mieście i nie miała pojęcia o mieszcuchach. Ale Willow nic nie powiedziała, bo Jolie była jej jedyną przyjaciółką.

Cześć tej ziemi należała do starych rodów z Hollows – ot, zwykłe chałupy na odludziu. Po pierwszym śniegu drogi stawały się nieprzejezdne, a wielu ludzi, włącznie z dziećmi, znikało na zimę. Źródłem tych wszystkich wiadomości była jej pałaca trawę, zawieszona w prawach ucznia przyjaciółka, której rodzina mieszkała w Hollows od czterech pokoleń, a niemieccy przodkowie należeli do założycieli miasteczka.

Łubudu. Łubudu. Cisza. Łubudu.

Między drzewami przed sobą widziała polanę. Po jej przejściu wystarczyło pójść jeszcze kilometr czy dwa i dochodziło się do drogi do domu. Jednak zamiast ruszyć w tamtym kierunku Willow skierowała się do źródła dźwięku, głębiej w las. Poczowała ukłucie ciekawości, palącą potrzebę odkrywania. Uwielbiała to uczucie, bo pozwalało oderwać się od siebie, od własnych problemów i spraw. Podniecona, przyspieszyła kroku. Ponownie sprawdziła komórkę. Nadal nie było zasięgu.

Odgłos się nasilił, Willow zwolniła i ciszej szła między drzewami. Coś chwyciło ją za ramię. Przyciągnąwszy rękę do ciała, poczuła piekące uderzenie starej czarnej gałęzi. Willow spostrzegła, że konar rozdarł bawełnianą bluzkę Lucky Brand w kwiaty. Gdy przytknęła dłoń do rozdarcia, ujrzała smugę krwi. Jej ulubiona bluzka, kupiona w sklepie SoHo podczas ostatniej wizyty w domu. To tak jak mieć ze sobą kawałek miasta, coś, czego żadna z lalek Barbie w szkole nigdy mieć nie będzie. Znowu poczuła falę złości na samą siebie. „Willow, gdybyś nie stawiała się w takim położeniu, podobne rzeczy by ci się nie przytrafiały”. Tak powiedziałyby matka. I miałyby rację.

Łubudu. Łubudu.

Natychmiast zapomniała o piekającej ręce i znów ruszyła w stronę łoskotu. Na widok mężczyzny stanęła jak wryta. Nie była pewna, co spodziewała się ujrzeć, idąc za dźwiękiem – może zwierzę albo trzaskające drzwi u wlotu do jednego z kopalnianych tuneli. Z pewnością nie spodziewała się zobaczyć człowieka kopiącego dół w ziemi. Łubudu.

Mężczyzna był równie wysoki i potężny jak okoliczne pnie, długie ciemne

włosy spływały jak oliwa na szarą bluzę z kapturem. Stał w dole po kolana granatowych spodni roboczych i nie przestawał kopać. Willow stała jak wryta, bez tchu, obserwując. „Rejestruj szczegóły. Wszystko opowiada historię. Zrób zbliżenie”.

Obok mężczyzny leżała spora czarna torba, najwyraźniej pełna narzędzi. Po plecach spływały mu strużki potu. Willow usłyszała brzęczącą muzykę. Na uszach miał słuchawki, a muzyka, której słuchał, była na tyle donośna, że słyszała ją z dwudziestu metrów. Niebo pociemniało, temperatura spadała. Willow przeniknął nagły chłód. Zaczęła się wycofywać, świadoma odgłosu własnego oddechu.

Mężczyzna przerwał kopanie, spojrzał w niebo, zdjął słuchawki, odchylił się i przeciągnął. Willow wciąż się cofała. Nagle rozdzwoniła się jej komórka. Naturalną ciszę przecięła głośna melodia piosenki Lily Allen. Nie, ona eksplodowała, rozdzierając ciszę. Nieznajomy odwrócił się gwałtownie, ujrzała jasną cerę i bardzo ciemne oczy.

– Hej!

Willow nie odpowiedziała; odwróciła się na pięcie i pobiegła. Nieporadnie sięgnęła po wciąż dzwoniący telefon. Dzwonek świdrował w uszach. Po co ustawiła tak głośny sygnał? W chwili gdy wyciągała komórkę z kieszeni, wyślizgnęła się jej z palców. Odwróciła się i zobaczyła, że tamten stoi i patrzy, jak dziewczyna ucieka; nie gonił jej, tylko śledził ją wzrokiem, z osobliwym, niemal szyderczym uśmiechem.

Nie zatrzymała się, żeby podnieść telefon, nie odwróciła się, tylko biegła i biegła przez polanę, znów przez drzewa, aż wypadła na światło i znalazła się na drodze. Dopiero wtedy pozwoliła sobie stanąć, schyliła się, zgięta okropnym skurczem w boku, bez tchu. Nie była lekkoatletką. Nie miała siły biec dalej. Gdyby wypadł pomiędzy drzew i stanął przy niej, resztki sił wykorzystałaby na to, by krzyczeć i drapać go w nadziei, że ktoś ją usłyszy.

Ale znowu otoczyła ją cisza The Hollows – tylko śpiew ptaków i szmer chłodnego wiatru w listowiu. Willow spojrzała w głąb lasu, ale nikt nie nadchodził. Stała sama, w podartej bluzce, bez komórki, z bólem w piersiach po niecodziennym wysiłku. Strach ustąpił, czuła się słabo i głupio. Ruszyła do domu. Nikomu nie powie, co widziała. Zresztą i tak nikt by jej nie uwierzył. Bo Willow Graves była kłamczuchą, o czym wiedzieli wszyscy, nawet, a może w szczególności, jej matka.

Gdzie była? Boże, czemu to się ciągle działo?

Usłyszała telefon stacjonarny, ale zignorowała go, bo postanowiła, że nie da się oderwać od pracy całej chmarze rzeczy, które jakby uwzięły się, by ją rozpraszać. Potem rozdzwoniła się komórka, więc odsunęła się od biurka i znalazła ją tam, gdzie ją zostawiła po rozmowie z Willow. Na wyświetlaczu pojawił się napis Liceum Hollows, więc odebrała z sercem w gardle.

– Pani Graves, mówi Henry Ivy z liceum w Hollows.

Poznała go, gdy zapisywała Willow do szkoły. Nowo mianowany dyrektor był przystojniakiem w typie słodkiego głuptasa. Miły człowiek.

– Czy coś się stało? – Już czuła wzbierający niepokój.

– Cóż. – Odchrząknął. – Willow wyszła ze szkoły. Nie pojawiła się na zajęciach artystycznych, a około dwudziestu minut temu widziano, jak opuszcza nasz teren.

Lęk i gniew rywalizowały o miejsce w jej piersi.

– Widziano ją, ale nikt za nią nie poszedł i jej nie zatrzymał? – spytała.

Bethany nie spodobały się wysokie tony oburzenia we własnym głosie. Nie należała do rodziców obwiniających innych za błędy i niegrzeczne zachowanie swoich dzieci. Czy jednak ktoś nie odpowiadał za to, by nastolatki nie wychodziły sobie ze szkoły w środku dnia?

– Inny uczeń zauważył Willow i doniósł mi o tym – wyjaśnił dyrektor.

Bethany poczuła irracjonalny gniew na tego ucznia. „Skarżypyta”, pomyślała, pocierając tył głowy. Pragnąc opanować panikę, wzięła głęboki wdech i przywołała obraz maleńkiej Willow, uśmiechniętej od ucha do ucha, biegnącej po rysunku kredą w Parku Centralnym. Jakież wszystko było wtedy proste: nigdy nie oddalały się od siebie na więcej niż parę kroków, martwiła się tylko karmieniem i nabitymi guzami. Teraz Willow była niezależną osobą, która ruszyła w świat i siała zniszczenie.

Bethany opadła na łóżko, wyjrzała przez okno na drzewa wokół domu.

– Była sama?

Jolie Hayes, nowa przyjaciółka Willow, stanowiła tykającą bombę zegarową. Bethany wyobrażała sobie, jak we dwie wykradają się do lasu, żeby pić, palić czy co tam jeszcze wyrabiały nastolatki bez nadzoru.

– Tak, z tego co wiem, była sama – odparł pan Ivy.

Bethany zastanawiała się, co powiedzieć. Miała wrażenie, że nieustannie zastanawia się, co powiedzieć o Willow jakiemuś przedstawicielowi ciała pedagogicznego.

– Wyjadę jej na spotkanie. – „Znowu”, dodała w myślach, ale tego nie powiedziała. Nie po raz pierwszy miała uganiać się za Willow.

– Będzie pani musiała przyjść z nią i o tym pomówić, pani Graves. Będziemy też musieli wszcząć postępowanie dyscyplinarne. – Dyrektor mówił łagodnym, przeproszającym tonem. Nie prawił morałów, nie osądzał. Jednak równie dobrze mógł powiedzieć: „Jest pani okropną matką, pani Graves. Z tego powodu Willow jest kłopotem dla nas wszystkich”. Bo to właśnie słyszała i tak się czuła.

– Oczywiście – powiedziała. – Przyjdziemy do pana jutro rano.

Nim jeszcze się rozłączyła, chwyciła torebkę i ruszyła do drzwi. Za kierownicą nowego wozu poczuła większe opanowanie, na chwilę uwolniła się od szczególnego rodzaju paniki zarezerwowanego dla rodziców, którzy nie wiedzą, dokąd powędrowało ich dziecko. Bethany kupiła land cruisera, uznała bowiem, że będą potrzebowały samochodu z napędem na cztery koła, by jeździć w zimie do domu długą piaszczystą drogą. Poza tym chciała mieć wokół siebie jak najwięcej metalu, bo nie prowadziła od ponad trzynastu lat.

Oczywiście wybuchła na ten temat sprzeczka z córką, ponieważ Willow sprzeczała się o wszystko.

„Co ze środowiskiem, mamó? Co ze śladem węglowym, jaki pozostawisz? Halo”.

„Środowisko nie będzie miało dla nas wielkiego znaczenia, jeśli zginiemy zgniezione jak robaki w jednej z tych puszek typu smart”.

„Ależ ty dramatyzujesz. Przecież umiesz prowadzić”.

„Po prostu zamknij buzię, Willow”.

Jadąc z domu do szkoły, Bethany dwukrotnie zadzwoniła na komórkę córki, ale nikt nie odpowiedział. Po każdym z czterech kilometrów wąskiej, krętej drogi jej wzburzenie, groza i gniew rosły; potem wróciła tą samą trasą ze szkoły do domu.

Dokąd Willow mogła się udać? W tym miasteczku nie było dokąd iść, o czym Willow wiedziała najlepiej. Mimo to Bethany uznała, że tego właśnie potrzebowały: cichego, spokojnego miejsca do życia. A może to tylko ona tego potrzebowała. Albo wydawało się jej, że potrzebuje. Niewykluczone też, o czym Willow nie omieszkała wspomnieć oskarżycielskim tonem, że Bethany zupełnie nie zastanowiła się nad decyzją

o przewodźce z Manhattanu do The Hollows.

Po powrocie do domu była przekonana, że zastanie Willow na kanapie, z łapą w chipsach, przed huczącym telewizorem. Ale nie, duży dom świecił pustkami. Czując, jak otaczająca przestrzeń wypełnia się jej niepokojem niczym balon, wsłuchiwała się w ciszę – żadnych syren, klaksonów, szumu ruchu ulicznego, elektryczności, wind w szybach, metra pod stopami.

Wchodziła po skrzypiących schodach, skręciła, wychodząc na piętro.

– Willow! – zawołała bezsensownie.

Idąc przez długi hol, zerknęła na niezliczone puste pokoje, pełne pudeł, których nie tknęła od przewodźki. Dawniej snuła fantazje na temat tych pomieszczeń – tu urządzi salę do ćwiczeń, tam bibliotekę. Po wykończeniu piwnicy zrobią jeszcze pokój telewizyjny. Jednak te plany, tak ekscytujące, kiedy likwidowała nowojorskie mieszkanie, wydawały się teraz nieosiągalne, by nie powiedzieć niemądre i naiwne. Realizacja choćby najdrobniejszego projektu zajmie wiele miesięcy i pochłonie tysiące dolarów.

„Wszyscy uważają, że przewodźka na wieś jest taka romantyczna. Ta cisza, ta samotność. A potem...”. Nieproszony komentarz jej przyjaciela i agenta Philipa Maya.

„Co potem?”

„Potem jesteś na wsi. O Boże, co za cisza! Co za samotność!”

Bethany pchnęła drzwi do ogromnej sypialni córki, zdumiona ilością gratów i bałaganem powstałym w krótkim czasie, odkąd się wprowadziły. Szafa Willow była tak przepełniona ciuchami, że drzwi się nie domykały. Z szuflad wylewały się koszulki, legginsy, skarpetki i bielizna. Niekończące się sterty książek, wielki telewizor, płyty DVD. Biurko Willow, gdzie królował monitor komputera, znikło pod zwałami papieru, czasopism, zdjęć, notesów. Po prostu przeniosły jej stary majdan z mniejszego pokoju na Manhattanie, a rzeczy rozmnożyły się, by wypełnić większą przestrzeń.

Bethany osunęła się na łóżko córki, walcząc z pokusą szperania. W takiej chwili zaczynała się gra wyobraźni. Willow w pociągu do Nowego Jorku, paląca trawę w lesie z Jolie albo co gorsza, z obcym chłopakiem. Bethany widziała, jak córka tarza się w liściach z wytatuowanym smarkaczem z kolczykami na ciele. Potem obrazy stawały się jeszcze gorsze. Oto Willow, gniewna i bezbronna, wsiada do furgonetki obcego. Bethany widziała duże, muskularne dłonie mężczyzny na kierownicy. Spyta jej córeczkę: „Dokąd się wybierasz?”. Bethany nie miała pojęcia, co Willow mogła odpowiedzieć, ale to nie miało znaczenia. Kierowca wyobrażonej furgonetki nie dbał o to,

dokąd Willow chciała pojechać, tylko o to, dokąd on chciał ją zabrać. W następnej scenie Willow wpadała do jednego z kopalnianych szybów, o których Bethany nieustannie słyszała. Krnąbrna i nieszczęśliwa córeczka szła, słuchając głośnej muzyki na iPodzie, gdy nagle ziemia osuwała się pod jej stopami. Ranna Willow leżała sama w mroku, łkała. Bethany mogła napisać całą historię o poszukiwaniach, gorącej linii, konferencji prasowej z nią, tonącą we łzach. Czuła grozę i żal. Przemierzała siedem etapów utraty.

Bogata, bujna wyobraźnia, która oddawała jej nieocenione usługi na papierze, w życiu bywała udręką, jeśli Bethany pozwoliła myślom pociągnąć ją za sobą. Teraz jednak nie pozwoliła; była na to za mądra. Zawsze potrafiła stać mocno na ziemi, zwłaszcza dla Willow. Nie mogła sobie pozwolić na luksus hysterii. Dla uspokojenia zrobiła głęboki wydech.

Przemierzyła resztę domu, wdrapała się nawet na rozległy strych ze świetlikami. W końcu zamierzała go odnowić i urządzić tam sobie gabinet. Nie myślała jednak o tym, schodząc na parter, potem przez rozsuwane drzwi na taras, skąd ponad szczytami drzew roztaczał się widok na góry. To naprawdę był dom jej marzeń. Bethany kupiła go jednak w najgorszym okresie swego życia, niemal jak nagrodę pocieszenia. Myśl o tym faktycznie niosła pociechę. Tylko w rzeczywistości okazało się, że dom wymaga znacznie więcej pracy, niż przypuszczała. Trochę jak małżeństwo. Trochę jak życie.

Wracając do kuchni, usłyszała trzask drzwi wejściowych. W holu zadudniły ciężkie kroki Willow. Taka drobna dziewczyna – nóżki jak patyki, talia osy, ręce baletnicy – a mimo to łomotała w domu jak nosorożec, z hukiem wchodziła po schodach, rozbijała się po pokoju.

Bethany wiedziała, że powinna być zła, wściekła. Powinna wrzeszczeć i robić wymówki, ale ulga sprawiła, że nogi się pod nią ugięły. Telefon odstawiła na ładowarkę, skłoniła głowę na opartych o blat rękach, zbierając siły na czekającą ją przeprawę. Kiedy podniosła wzrok, w progu stała Willow, rozczochrana, z rumieńcami na twarzy.

– Co się stało? – spytała Bethany. – Gdzie byłaś?

Stłumiła pragnienie, by podbiec do córki, objąć ją, utulić. Przynajmniej musiała udawać gniew, a nie bać się, pograżać w smutku i czuć, że poniosła całkowitą klęskę jako matka. Willow ciężko upuściła plecak na podłogę, z głośnym szuraniem odsunęła stół od krzesła i klapnęła.

– To miejsce... – zaczęła.

– Nie rób tego, Willow. – Bethany podniosła rękę ku córce, czując

nadchodzącą falę gniewu. – Nie mów mi, dlaczego musiałaś opuścić to okropne miejsce. Nie chcę tego słuchać. Nie wolno ci wychodzić ze szkoły bez pozwolenia. Nigdy. Pod żadnym pozorem.

– Ale mammo...

– Nie ma na to usprawiedliwienia.

Słowa nie zabrzmiały dostatecznie mocno; sama słyszała, że są mizerne i słabe. Zakazałaby córce wychodzenia z domu, ale dziewczyna z trudem zawierała znajomości, zresztą i tak nie miała dokąd pójść. Bethany przytknęła dłoń do czoła, próbując wymyślić karę, która wywarłaby jakiś skutek.

– Zero internetu przez tydzień – powiedziała w końcu. – I oddaj mi telefon.

– Ale...

– Nie. Zapowiedziałam ci, że jeśli kiedykolwiek spróbuję zadzwonić do ciebie na tę komórkę, a ty nie odbierzesz, to ją zarekwiruję.

Willow osunęła się na krzesło i wypuściła powietrze kącikiem ust, odgarniając włosy z oczu.

– Zgubiłam telefon. Gdzieś mi wypadł.

Bethany spojrzała na córkę, która patrzyła na podarte kolana siatkowych rajstop. Matka widziała, że dziewczyna ma obtartą skórę na kolanach, podartą bluzkę. Gniew wyparł niepokój.

– Co się stało? – spytała Bethany. – Powiedz mi.

– Wróciłam do domu przez las – odparła Willow, przewracając oczami.

– Chryste, Willow!

– Przestraszyłam się i zaczęłam biec – mówiła dziewczyna. Nagle wyglądała bardzo młodo, jak w dzieciństwie, w chwili tuż po upadku, zanim naprawdę się rozpłakała. – Przewróciłam się i upuściłam komórkę. Bałam się po nią wrócić.

– Och, Willow. – Bethany nie wiedziała, czy ma wierzyć córce, czy nie. To było naprawdę smutne. Straciła instynkt, podpowiadający jej, kiedy córka kłamie. Och, czego Bethany nie dałaby za kieliszek wina. Spojrzała na zegar: było dopiero po piętnastej. Kiedyś słyszała, że jeżeli spoglądasz na zegar i czekasz, aż wybije siedemnastą, bo chcesz się napić, możesz mieć problem alkoholowy. Bethany nie była pewna, czy to kupuje. Najwyraźniej ktoś nieustannie chciał ci wmówić, że masz jakiś problem.

– Serio? – spytała Bethany. – Zgubiłaś komórkę? – Sięgnęła po swoją i wybrała numer Willow.

– Nie!

Patrząc na córkę, Bethany odsunęła komórkę od ucha, bo zamiast sygnału z telefonu dobiegła hucząca muzyka. Wbrew oczekiwaniom nie usłyszała dzwonka komórki Willow w jej plecaku lub gdzieś przy niej samej. Kiedy odezwał się męski głos, o mało co nie upuściła telefonu. W sercu zakolała nienazwany lęk.

– Kto mówi? – spytała.

– Kto mówi? – spytał głos, w którym było coś miłego, kojącego. – Znalazłem tę komórkę w lesie.

Poblądła Willow wpatrywała się w matkę oczami wielkości talerzy.

– Nie mów mu, kim jesteś – poprosiła. Teraz stała, uwieszona na ramieniu matki. – Mamo, rozłącz się!

Bethany spojrzała ostrzegawczo na Willow, która cofnęła się oszołomiona, a potem ukryła twarz w dłoniach.

– Mamo, proszę.

– Mówi Bethany Graves. Czy mogłabym przyjechać po ten telefon? Przepraszam za kłopot. Córka go zgubiła.

– Jasne, nie ma sprawy – powiedział głos takim tonem, jakby to wszystko go bawiło, co było odrobinę irytujące. – A może to ja przyjadę do pani?

– Cóż, możemy gdzieś się z panem spotkać. – Może miał miły głos, ale jako rodowita mieszkanka Nowego Jorku uznała, że lepiej nie podawać adresu obcemu mężczyźnie i pozwalać, by przyjechał do ich domu na odludziu, otoczonego dziesięcioma akrami lasu. Spokojne, odosobnione miejsce. Wprost wymarzone dla pisarki. „Tak, i nikt nie usłyszy, jak krzyczysz”, zauważył Philip, kiedy w miniony weekend przyjechał na kolację. To zdanie utkwilo Bethany w pamięci.

– Może w Hollow’s Brew za godzinę? – zaproponował nieznajomy.

– Doskonale. Wielkie dzięki. – Rozłączyła się. – Co się z tobą dzieje, mała? – zwróciła się do córki.

Na widok miny Willow poczuła, że żołądek zwija się jej w supeł. Zawsze tak było, nawet kiedy Willow była maleńka: kiedy jedna coś czuła, druga czuła to samo. Kiedy Willow była mała – wczoraj, sto lat temu – jak tylko Bethany otwierała oczy, rano czy w nocy, słyszała, że Willow zaczyna się wiercić. Jeśli Bethany była zdenerwowana, niespokojna, zmartwiona, Willow zaczynała marudzić. Nadal tak było. Nie było możliwości, by Willow czuła smutek, stres czy strach, a Bethany nie odczuwała szarpnięcia w trzewiach.

– Kto to był? – spytała Willow. Policzki miała blade, oczy szeroko rozwarte. – Człowiek z lasu?

– Widziałaś w lesie jakiegoś człowieka?

– Miałam ci nie mówić. Myślałam, że mi nie uwierzysz.

Bethany ogarnęła irytacja połączona z poczuciem winy. Willow pewnie miała rację: Bethany by jej nie uwierzyła.

– Daj mi szansę – poprosiła matka.

Willow zaczęła opowiadać o nauczycielu, o tym, jak bardzo poczuła się w jego gabinecie zraniona i zażenowana, o ucieczce ze szkoły i o tym, co zobaczyła w lesie. Chodziła po pokoju, gestykulowała. Bethany patrzyła z bojaźliwym podziwem, słuchała, jak córka rozwija opowieść, nie zapominając o szczegółach – wilgotnych liściach, niebie prześwitującym wśród drzew. Willow miała wrodzony dar narracji, co, przynajmniej w jej wieku, nie wróżyło nic dobrego. Kiedy córka skończyła, dramatycznie osunęła się z powrotem na krzesło, jakby wycieńczona wydarzeniami i samym opowiadaniem.

– Teraz on wie, kim jesteśmy – powiedziała Willow. – A jeśli on grzebał ciało albo coś w tym rodzaju?

Bethany przysunęła krzesło do córki, odgarnęła z jej twarzy włosy w kolorze rudoblond, ścisnęła drobne ramionko. Od milionów lat patrzyła w te piwne oczy. Dziewczyna dorosła i zmieniła się, ale oczy zdawały się wieczne jak księżyc.

– Doprawdy, Willow. Skąd ty masz taką bujną wyobraźnię? – spytała Bethany.

Willow spojrzała na matkę ostro, z niedowierzaniem, po czym obie wybuchły śmiechem. Śmiały się do łez, chwytając się pod boki. Bethany myślała o tym, jak bardzo kocha swoją dziką, zbuntowaną córkę, o tym, że prawie we wszystkim poniosła klęskę, straciła tak wiele, ale nic nie miało znaczenia, ponieważ ta jedna rzecz w jej życiu była w jak najlepszym porządku.

Więc jak się ostatnio czujesz, Jones?

„Bezużyteczny, jałowy, złamany, doktorze. Czuję się żałośnie”. Czy to była prawda? Niezupełnie, ale Jones czuł, że doktor Dahl byłby zadowolony, gdyby tak właśnie odpowiedział.

– W porządku – rzekł Jones. – Wie pan, znajduję sobie zajęcia.

– Jakiego rodzaju zajęcia? – Doktor Dahl miał w sobie coś z gorliwca. Zadawanym pytaniom zawsze towarzyszyło pełne nadziei, pytające uniesienie kruczoczarnych brwi.

Jones odpowiedział wzruszeniem ramion, łyknął kawy, którą przyniósł. Jedną przyniósł też dla lekarza, ale ten odmówił.

– Skończyłem z kawą – powiedział. – Dzięki.

Odmowa wydała się Jonesowi małosłowna, jak gdyby lekarz się wywyższał. Poczł trochę mniejszą sympatię do doktora Dahla, który zresztą już wcześniej średnio mu się podobał.

– Przede wszystkim zajmuję się domem – powiedział Jones. – Stary dom, taki jak nasz, wymaga sporo prac konserwacyjnych. – Urwał, ale lekarz nie skomentował, więc Jones poczuł, że musi ciągnąć dalej. – Ostatnio pomagam też sąsiadom: pilnuję ich domów pod ich nieobecność, sprawdzam pocztę, pomagam starszym osobom w obejściu. Wie pan. – Czemu to wszystko brzmiało tak mizernie?

Doktor Dahl miał zamyślony wyraz twarzy. Zdaniem Jonesa lekarz był nieco za śliczny, miał dziewczęce rzęsy, gładką skórę. Paznokcie mu błyszczały jak po manikiurze. Jones nie wiedział, czemu go irytuje, że facet o sobie dbał. A jednak go to irytowało.

– Przestałeś pracować rok temu – powiedział doktor Dahl tonem sugerującym pytanie, ale Jones wiedział, że nie pyta. Lekarz stwierdzał fakt.

– Mniej więcej tyle, tak. – Jones poczuł obronne napięcie w ramionach. Nic poza tym jednak nie powiedział. Lekarz najwyraźniej czekał, aż pacjent coś doda. Kiedy tak się nie stało, rzekł:

– Jesteś stosunkowo młody. Czy zastanawiałeś się nad przyszłością? Nad możliwością rozpoczęcia nowej kariery?

Jones rozejrzał się po gabinecie, aż jego wzrok spoczął na plemiennej masce zawieszanej na ścianie, jedynym przedmiocie, który cokolwiek mówił

mu o lekarzu. W tym pomieszczeniu złotych i kremowych powierzchni, ze ścianami ozdobionymi najbanalniejszymi artefaktami – żaglówka w zachodzącym słońcu, martwa natura z kwiatami, inna z owocami – maska była jedyną rzeczą, co do której Jones był pewien, że nie została wybrana z katalogu. W trakcie sesji wpatrywał się czasem w te puste oczy, w groźnie wykrzywione wargi.

– Nie myślałem o tym wiele – powiedział Jones. Prawdę mówiąc, nie chciał o tym myśleć. Nie mógł o tym myśleć. Był gliniarzem, zawsze nim był. Po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, że zajmuje się czym innym. Co niby miał robić? Pójść do biura, nalewać sobie wody z pojemnika, siedzieć w przegródce? Jakie miał kwalifikacje? Nic z tego nie powiedział lekarzowi.

– Czym się interesowałeś, zanim zostałeś policjantem? – spytał doktor Dahl.

– Zanim zostałem gliniarzem, byłem dzieciakiem. Prosto ze szkoły poszedłem do akademii. Przed dwudziestym trzecim rokiem życia chodziłem w patrolu.

– Czyli nie miałeś żadnych zainteresowań?

– Sport. – Jones zdawał sobie sprawę, że splótł ręce na piersi i był tak spięty, że rozboleły go ramiona. Spróbował się rozluźnić, ramiona swobodnie opuścił przy ciele. – Grałem w lacrosse’a.

Jones miał też inne zainteresowania; zawsze lubił prace ręczne, konstruował z drzewa różne rzeczy. Dobrze sobie radził na zajęciach technicznych i pewnie poszedłby do szkoły zawodowej, gdyby nie zainteresował się akademią policyjną i nie usłyszał, że w tej pracy lepiej jest mieć dyplom. Oczywiście na jego decyzję miało wpływ paralizujące poczucie winy, chora relacja z matką, problemy wynikające z porzucenia. W biurze roztrząsał to wszystko bez końca, co przyprawiało go o ból głowy.

Z psychoanalitykiem spotykał się już prawie od roku, po części (a raczej przede wszystkim) dlatego, że żona nalegała, po części ponieważ faktycznie borykał się z wydarzeniami, które zmusiły go do odejścia z jedynej pracy, jaką kiedykolwiek chciał wykonywać. Częściowo też dlatego, że wiedział, iż dzieją się w nim nie całkiem zdrowe rzeczy. Ale co tak naprawdę dawały mu te wizyty? Czuł się lepiej niż przed rokiem? Sam nie wiedział.

– Coś jeszcze? – spytał lekarz. Jones zastanawiał się, jak długo doktor Dahl będzie czekał, aż zacznie mówić.

– Lubiałem majsterkowanie w drewnie. Byłem w tym niezły.

Lekarz wyprostował się z zainteresowaniem, niemal z ulgą. Jonesowi po raz pierwszy przyszło na myśl, że może być trudnym przypadkiem.

„Ten człowiek nie zdoła ci pomóc, Jones, jeśli go nie polubisz, nie zaufasz i nie otworzysz się przed nim”, powiedziała Maggie nie dalej niż wczoraj.

„A jeśli nie potrzebuję pomocy?”.

Smutny uśmiech, dłoń na jego ramieniu.

„A jeśli potrzebujesz?”.

– Skoro dysponujesz wolnym czasem, może rozważyłbyś możliwość zapisania się na zajęcia? – powiedział doktor Dahl. – W ten sposób mógłbyś sobie otworzyć drzwi.

– Może – odparł Jones.

Na myśl o zajęciach poczuł się nieswojo. Postanowił rzucić lekarzowi ochłap i powiedział mu o tym.

– Jak myślisz, dlaczego tak się z tym czujesz? – Biedny doktor Dahl przysunął się niemal na skraj krzesła.

Nie potrafił jednak wyrazić tego słowami. Jones wiedział, że zabrzmiałyby gniewnie i arogancko, ale może to właśnie czuł. Uczucie bezbronności i słabości ogarniało go na myśl, że zapisuje się na zajęcia, siedzi w jednej sali z innymi smutnymi przegranymi w średnim wieku, którzy utracili kontrolę nad życiem. Bo takie właśnie osoby by spotkał: emerytów, rodziców dzieci, które wyfrunęły z gniazda, świeżych rozwodników.

– Wydaje się to stratą czasu – powiedział.

Jones ujrzał na twarzy lekarza błysk – rozczarowania, troski, czegoś w tym rodzaju. Potem psychoanalityk nieznacznie opuścił głowę, notes trzymany na kolanach odłożył na sąsiedni stolik, oparł się na krzesło, założył nogę na nogę. Z mowy ciała Jones odczytał rezygnację, kapitulację. Po chwili się zaczęło: ból u nasady czaszki wysuwał chciwe palce, które wkrótce obejmą całą głowę, zaczną niemiłosiernie uciskać mu oczy.

– Posłuchaj, Jones – powiedział doktor Dahl łagodnie, a Jones nie po raz pierwszy zauważył, jak młody jest ten facet. Pewnie niedawno skończył trzydziestkę. – Może przed kolejną sesją zastanowiłbyś się nad tym, po co tu przychodzisz.

– Nie rozumiem. – Ale Jones rozumiał i odczuł mroczną satysfakcję ze zwycięstwa w grze, choć dotychczas nawet nie zdawał sobie sprawy, że w nią gra.

Lekarz potarł oczy prawym kciukiem i palcem wskazującym.

– Uważam, że stawiasz opór, rozmyślnie nie pozwalasz sobie na odnalezienie drogi, sposobu radzenia sobie z traumami przeszłości, nawet uczenia się na ich przykładzie, jak wykuwać dla siebie lepszą przyszłość.

– Przecież tu jestem, prawda?

Lekarz zmusił się do uśmiechu, przechylił głowę.

– Fizycznie, owszem, regularnie pojawiaasz się w moim gabinecie. Całkiem elokwentnie opowiadasz o tym, co ci się przydarzyło: o relacji z matką, porzuceniu przez ojca, stracie pracy. Świetnie. To jest postęp. Teraz jednak, kiedy musisz odnaleźć drogę do następnego etapu swego życia, czuję, że się zamykasz.

Jones stwierdził, że ramiona rozluźniają mu się, gdy przesunął się na przód krzesła, gotów wstać i wyjść. Najwyraźniej dobry pan doktor szykował się do tego, by z nim skończyć, a Jones powitał tę myśl z ulgą.

– Nie wiem, co powiedzieć, doktorze. Robię co w mojej mocy. – Kłamstwo zawisło między nimi, odbiło się od ścian. – Jeśli nie uważa pan, że potrafi mi pomóc... – Specjalnie urwał, pozwalając doktorowi dokończyć i wręczyć Jonesowi kartę upoważniającą do wyjścia na wolność. Czekał na słowa: może większą korzyść odniósłby pan ze spotkań z kimś innym, może też na pewien czas powinien pan przerwać terapię.

Doktor Dahl nie powiedział jednak nic takiego. Przez chwilę przyglądał się Jonesowi, on zaś zobaczył to, co już wiedział. Doktor Dahl był dobrym, współczującym lekarzem, z pasją wykonującym swoją pracę, bardzo podobnie jak Maggie. Jones poczuł się jak śmieć, ale nie powiedział ani słowa.

– Przed naszą kolejną sesją chciałbym, żebyś coś zrozumiał – oznajmił doktor Dahl. – Nie jestem tu po to, by podsuwać ci odpowiedzi, mówić, którą drogą powinieneś pójść albo co powinieneś zrobić. Jestem tu, aby pomóc ci odnaleźć odpowiedzi w samym sobie. Wchodząc tu, nie powinieneś obdarzać mnie mocą. Chcę, żebyś znalazł ją tutaj. – Na moment przerwał i postukał się w pierś. – Chcę, byś użył tej mocy, by uczynić swoje życie takim, jakim pragniesz.

Jones odwrócił wzrok, zażenowany entuzjazmem tamtego. Policzki mu płonęły, czuł silną potrzebę, by wyjść i więcej nie wracać.

– Dobrze – powiedział Jones, wiedząc, że jego głos brzmi chłodno, profesjonalnie, niemal sarkastycznie, tak był beznamiętny. – Pomyślę o tym.

W chwili, jaka nastąpiła, Jones wpatrywał się z utęsknieniem w swój płaszcz na wieszaku przy drzwiach, ale nie był w stanie podnieść się z krzesła.

– To uczciwe postawienie sprawy – stwierdził doktor Dahl, nie mogąc jednak ukryć zawodu. Nie patrząc na lekarza, Jones wymamrotał słowa

pożegnania, chwycił płaszcz i wyszedł.

Kilka kilometrów od gabinetu wjechał do Burger Kinga, gdzie zamówił furę zarcia – whoppera z serem, duży wountain dew, krążki cebulowe, frytki, koktajl czekoladowy. Dzieciak, który wręczał mu torbę, miał paznokcie pomalowane na czarno i kolczyki w nosie, uszach, brwiach oraz języku. Jones wrzucił resztę do porysowanego plastikowego kubka na napiwki.

– Hej, wielkie dzięki – powiedział dzieciak. Jego przyjazny uśmiech i przesadna radość wytrąciły Jonesa z równowagi, bo poczuł się, jakby z niego szydzono. Kiedy wyjeżdżał na ulicę, samochód wypełnił znajomy słony zapach prefabrykowanej rozkoszy; z namacalną ulgą rozpakował burgera i ugryzł. Jadąc, pochłonał wszystko bezmyślnie, nie czuł smaku, potem osunął się w stupor, jaki nieodmiennie towarzyszy wchłanianiu tłuszczu po spożyciu dużego szybkiego posiłku. Po powrocie do domu czuł lekkie mdłości, ale w głowie miał zbawienną pustkę.

Kot zniknął, co było do niego niepodobne. Tłusty leń, zazwyczaj przemieszczał się w ślimaczym tempie od kanapy do miski z jedzeniem, od miski do łóżka, z łóżka na siedzisko przy oknie. Nawet kiedy zadał sobie trud, by przewlec się przez kocie drzwiczki, nie polował na dworze na ptaki i gryznie. Z wystudiowaną obojętnością obserwował wiewiórki i łuszczeniaki, myszy i rudziki. Eloise nigdy nie chciało się przywiązywać dzwoneczka do jego obroży, bo wiedziała, że na dwór wyciąga kota tylko słońce. Nie miał natury myśliwego. Kot oddawał się życiu w luksusie, do jakiego był stworzony. Wylegając się na kamiennej ławie przy zegarze słonecznym, pozwalał, by rude futerko chłonęło upał. Potem, osiągnąwszy pewien nieznaną poziom, włókł się z powrotem i sadowił w domu.

– Oliver! – zawołała, stając na werandzie na tyłach domu. Rozmaite gongi, zawieszane na okapach i drzewach, podzwaniały na wietrze. Eloise nie cierpiała jesiennych chłódów, bo zapowiadały śnieg, czarne gałęzie, śmierć wszystkiego, co zielone.

– Oliver!

Rozejrzawszy się po podwórzu i zatrzasnawszy drzwi, Eloise poczuła drgnienie niepokoju. Kot mógł siedzieć pod łóżkiem albo w piwnicy. Na pewno wróci, gdy zgłodnieje, mówiła sobie. Z całą pewnością nie poradzi sobie na swobodzie.

Po powrocie do domu usłyszała dzwoniącą komórkę. Podeszła do kuchennego stołu i wysupłała telefon z torebki, choć nie zamierzała odbierać. „Ray Muldune”, poinformował ją migający wyświetlacz. Znowu. Eloise położyła komórkę na stole i patrzyła, jak podryguje, podrzucana wibracjami.

Ray chciał, by powiedziała mu rzeczy, których nie mogła mu powiedzieć. Jeśli nie liczyć tego, jak ją widział Jones Cooper, była zimna, zimna jak gład. Czasami zapętała się myślowo, co wykluczało wszelkie inne sygnały. Spotkała się z Cooperem, choć doskonale wiedziała, jak na nią zareaguje. Eloise sądziła, że zdoła przekazać wiadomość. Może zresztą tylko to miała zrobić. Może. Nigdy nie miała pewności.

Właśnie zamierzała otworzyć puszkę z pokarmem dla Olivera. Wiedziała, że w ten sposób przywabi kota, niezależnie od tego, czy był blisko, czy daleko. Kiedy jednak otwierała szafkę, usłyszała chrzęst żwiru na

podjeździe. Podeszła do wykuszowego okna i ujrzała muzealnego cadillaca Raya Muldune'a.

Komórka zabręczczała. Eloise wyjęła telefon z kieszeni.

„Unikasz mnie”, brzmiał oskarżycielski SMS.

– Och, Ray – powiedziała, choć nikt nie mógł usłyszeć. – Nigdy nie umiałeś odczytać aluzji.

Po chwili stał na werandzie, władczo pukał w szybę, aż dzwoniła. Eloise podeszła i spojrzała na niego przez przeszklone drzwi.

– Nic dla ciebie nie mam, Ray – powiedziała, nie wpuszczając go do środka.

– Dobra – odparł, zaglądając w głąb domu. Często to robił: rozmawiał z nią, ale patrzył gdzie indziej. Właściwie postępował tak ze wszystkimi, jak gdyby nieustannie wypatrywał zagrożeń czy kłopotów. – Rozumiem. A co powiesz na kawę? Tyle dla mnie masz?

Eloise poczuła, jak na jej ustach pojawia się coś na kształt uśmiechu. Prawdziwy uśmiech, autentyczna sympatia dla drugiej osoby były u niej rzadkością. Ona i Ray pracowali razem od bardzo, bardzo dawna. Jeśli miała przyjaciela, to był nim właśnie on.

Eloise posłała mu groźne spojrzenie, choć wiedziała, że nie onieśmieli go ani nie zmyli, potem wpuściła go do środka. Ray emanował taką energią, że cofnęła się i pochyliła głowę. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt i twierdził, że waży blisko sto kilo, więc czuła się przy nim jak karzełek. Poza tym obezwładniał ją roztaczany przez Raya zatechły zapach cygar, choć obiecał rzucić palenie. Cygar i deszczu. Pod wonią dymu pachniał deszczem, czystością i świeżością kogoś, kto właśnie wszedł z dworu. Wyraźnie łysiał: na czubku głowy powiększał się lśniący placek, cofały się zakola. Mimo to wydawał się jej przystojniejszy, bardziej męski niż wtedy, gdy poznali się wiele lat temu. Głębokie zmarszczki wokół oczu i siwy zarost mu służyły. Za to Eloise zaszuszyła się i wyglądała o dziesięć lat starzej, niż sugerował jej wiek. Wiedziała o tym, ponieważ lustro nie kłamało, a zdjęcia nie siliły się na uprzejmości.

Ray chciał rozmawiać. Kiedy weszła do kuchni, już myszkował po szafkach, wyjmował puszkę z kawą i bibułki.

Przyciągnąwszy do stołu krzesło, usiadła i przesunęła palcem po słojach drewna. Wciąż nosiła pierścionek zaręczynowy i obrączkę, choć męża już dawno nie było. Cieszyła się, że wcześniej uprzątnęła leki z szafki nad zlewem. Gdyby je tam zostawiła, Ray by je zauważył, bo nie przegapił niczego. A na taką rozmowę nie miała ochoty, nie tego wieczoru.

Ray rozbijał się po kuchni, łomotał kubkami, odkręcał kran na pełen regulator, żeby napełnić ekspres, trzaskał drzwiami lodówki. Taki miał styl. Frustrację wyrażał poprzez ruch, był osobą cielesną. Często też obejmował ludzi w niedźwiedzim uścisku, ekspresyjnie gestykulował potężnymi dłońmi. W jego obecności czuła się drobna i dziwnie skrępowana, gdy tak stawiała czoło jego burzy.

– Mówiłam ci, że jakby co, zadzwonię – powiedziała. – Powinieneś już wiedzieć, jak to działa.

Ray na moment znieruchomiał i utkwiał w niej wzrok.

– Nie wiem, jak to działa, podobnie jak ty.

– Cóż. – Eloise uniosła ręce w geście kapitulacji. – Oboje wiemy, że podkradanie się i utyskiwanie nic nie da.

Ray stęknął, potem wcisnął guzik staroświeckiego ekspresu Mr. Coffee.

– Kup sobie nową maszynę, Eloise.

– Ta ciągle jest dobra – zaprotestowała. – Czemu miałabym ją zastępować? – Ekspres zabulgotał na znak, że się zgadza.

– Dlatego, że twoja kawa smakuje jak smar do osi.

– Skorzystam z okazji i przypomnę ci, że nie zostałeś zaproszony na kawę.

Ray usiadł przy stole naprzeciwko niej, krzesło jęknęło pod jego ciężarem. Z kieszeni wyjął pudełko miętówek, wrzucił sobie jedną do ust, po czym zagrzechotał pudełkiem w jej stronę. Eloise odmówiła, podnosząc dłoń.

– Wydaje się, że od 1987 roku minęło sto lat – stwierdziła.

– Nasz klient tak nie uważa. Dla niego to było wczoraj.

Ray oparł się na łokciach i marszcząc brwi, spojrzał na Eloise. Przyszło mu na myśl, że stała się zabiedzona, zimna. Nie, to nie to. Szybko wstał, znowu potłukł się po kuchni, wrócił do stołu z dwoma kubkami.

Kawa pachniała wstrętnie, gorzko i kwaśno. Odór przypomniawszy jej, że żaden zapach nie pobudzał jej apetytu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuła głód.

– Dawniej cię obchodziło – zauważył. Kubki postawił na stole, usiadł ciężko.

– Nadal mnie obchodzi – zapewniła.

Chciała mu wytłumaczyć różnicę między apatią i akceptacją. W przeciwieństwie do większości ludzi nie ulegała już złudzeniu, że sprawuje kontrolę. Odpuściła sobie większość spraw, do których czuła się przywiązana. Może nie odnalazła w ten sposób pokoju, ale przynajmniej

spokój. Inni, wciąż zmagający się z błędnymi wyobrazeniami o świecie, związkach, własnym życiu, mogli uznać jej postawę za wynaturzoną obojętność. Oni nadal cierpieli. Eloise już nie.

– Nic dla ciebie nie mam, Ray. – Spojrzała na drugi kubek kawy, jaki dziś dla niej nalano, którego nie zamierzała wypijać.

– Nawet nie próbujesz – powiedział. – Zaprzątasz sobie głowę tą sprawą Jonesa Coopera.

– Widziałam się z nim.

– Naprawdę? – Ray uniósł brwi. – Powiedziałaś mu?

Kiedy Eloise zrelacjonowała rozmowę z Jonesem, Ray pokręcił głową.

– Ten facet to zamknięta sprawa.

– I tak, i nie.

– Dobra. Może to właśnie powinnaś robić. Może to cię wyzwoli.

– Taką mam nadzieję. Nie jesteś jedynym człowiekiem, który czegoś ode mnie chce. – Eloise zdała sobie sprawę, że wpatruje się w kocie drzwiczki i w myślach nakazuje Oliverowi wcisnąć się do domu i miauczeniem domagać się kolacji. Słońce zachodziło. Gdzie się podziało to durne kocisko?

Kiedy znów spojrzała na Raya, miał skruszony wyraz twarzy.

– Przykro mi, Eloise.

– Wiem, Ray.

Wyciągnął rękę nad stołem i dotknął jej dłoni. Wtedy to zobaczyła: świetlny błysk, pęd bez tchu po suchych liściach, bezwładny upadek, wreszcie niebo ponad drzewami. Po chwili miała przed oczami tylko wyblakłą tapetę własnej kuchni. Ray wpatrywał się w nią z napięciem.

– Co to jest? Co zobaczyłaś? – pytał z zapałem, który ją wykańczał.

– Ktoś biegł... – Nie potrafiła powiedzieć nic więcej. To było niewyraźne.

– Gdzie?

Eloise potrząsnęła głową, serce wciąż łomotało.

– Nie wiem.

– Ale to dobrze, prawda? To znaczy, że twój umysł się przejaśnia.

– Chyba tak.

Ray był pierwszym człowiekiem, który zrobił z nią coś takiego, dotknął ją i sprawił, że przejrzała. Wcześniej panował chaos – sny, widzenia, przebitki świadomości. Nie przez całe życie. Eloise nie wywodziła się z długiej linii czarownic i jasnowidzów. Nie należała do klanu ciotek i siostr, matek i babek, które przygotowywały mikstury i rzucały zaklęcia miłosne.

Nie, przyczynę stanowił wypadek. Straszny wypadek samochodowy, w którym zginął jej mąż i jedno z dzieci, ona zapadła w śpiączkę na pięć

tygodni, a potem zostało jej... Co? W niedobre dni, a było ich bardzo, bardzo wiele, to było przekleństwo. W dobre dni był to dar. Przez pewien czas sądziła, że postradała zmysły. Potem poznała Raya.

– Przyszło ci na myśl, że jestem świruską? – zapytała. – Pomyślałeś, że tańczysz tak, jak ci zagra ta bredząca wariatka?

– To już tyle lat i ponad dwadzieścia rozwiązanych spraw, których nikt inny by nie rozwiązał – zaśmiał się Ray. – Nie jesteś szalona. Może udęczona.

Uśmiechnął się do niej ciepło i smutno. Przed laty taki uśmiech sprawiłby, że pognaliby na górę i zdarli z siebie nawzajem ubrania. Ale i ten głód zwietrzył. Gdyby nie musiała jeść, żeby przetrwać, nie jadłaby.

Ray wstał od stołu, zaniósł kubki do kuchni i umył.

– Zadzwoń, jeśli dziś w nocy ci się coś przyśni – poprosił.

– Zrobię to – obiecała, czując, jak ogarnia ją znużenie. – Wiesz, że to zrobię.

Eloise wstała, by wyrzeć przez okno i zobaczyła idącego przez podwórze Olivera. Dojmujące uczucie ulgi zdziwiło ją samą. Czyli nie zrezygnowała ze wszystkich przywiązań. Zwierzęta łatwo się kochało, łatwo się z nimi żyło. Tak niewiele chciały... Wystarczyła miska z jedzeniem, ciepłe ciało, przy którym dało się usiąść, zasnąć u boku, a ofiarowały wieczną lojalność. Mniej więcej tyle Eloise mogła dać.

Dlaczego tu tak wcześniej robi się ciemno? – spytała Willow. Dziewczyna doprowadziła do perfekcji rolę żalosnej ofiary. Angażowała całe ciało, wyginała szczupły tors, garbiła się, pochylała głowę. Bethany udawała, że tego nie widzi.

– Nie ściemnia się tu wcześniej niż w mieście – odparła matka.

– Owszem, ściemnia się.

– Nieprawda. – W rozmowie z córką Bethany usiłowała nie zdradzać irytacji, ale Willow nie ułatwiała jej zadania. Wszystko zamieniało się w scysję. – Tu jest mniej sztucznego oświetlenia – tłumaczyła. – Mniej latarni ulicznych, budynków, samochodów.

– Jakbym nie wiedziała. – Z wyrazem beznadziejności na twarzy córka wpatrywała się w okno niczym postać z powieści *Droga* patrząca na apokaliptyczne pustkowie.

Bethany obiecała sobie, że zacznie ignorować uwagi Willow na temat The Hollows. Teraz tu mieszkały. Koniec kropka. Z czasem Willow zaakceptuje miasteczko, nawet je pokocha. „Sam nie wiem. Ja z pewnością nie pogodziłem się z tym, że rodzice przenieśli się ze mną na przedmieścia w latach osiemdziesiątych”, powiedział Philip. „Nigdy tam nie pasowałem. Po maturze uciekłem z krzykiem”. Bethany musiała przestać pytać agenta o te sprawy. Philip nie miał dzieci, a Manhattan opuści tylko w urnie.

Jechały ulicą Główną. Tętniące życiem centrum przekonało ją do The Hollows, nim jeszcze zobaczyła dom. Bethany spodobał się pocztówkowy wygląd miasteczka – urocze małe bistro z piekarnią, akademie jogi, niewielka galeria. Przy placu znajdował się ładny kościół, przyzwoita biblioteka. Między ślicznymi butikami a The Hollows Brew mieściły się sklepy większych sieci, takie jak Crate and Barrel czy Gap. Wszystko to jednak pasowało do siebie; ujmująca mieszanka drobnych i dużych firm, które przycupnęły w odnowionych zabytkowych budynkach.

Przed wszystkim żyło się tu spokojnie i łatwo. Nawet teraz, gdy główna ulica roiła się od ludzi wracających do domu ze stacji, robiących ostatnie sprawunki i zakupy przed kolacją, odbierających dzieci z zajęć pozaszkolnych, panowała tu harmonijna atmosfera, nic z gorączkowego rozedrgania dużego miasta o tej porze dnia. Tego właśnie potrzebowała Bethany, kiedy podjęła decyzję o przeprowadzce – spokoju, harmonii,

przestawienia się na normalniejszy tryb życia. Po chaosie ostatnich osiemnastu miesięcy nabrała przekonania, że tego właśnie obie potrzebowały. Willow sprzeciwiała się temu z całą mocą.

Przed kawiarnią dostrzegła wolne miejsce i zgasiła silnik. Spojrzawszy na córkę, zobaczyła, że nie zamierzała wysiadać z wozu, ale nadal tkwiła na siedzeniu w pozycji udreżonej ofiary, z głową wspartą o szybę.

– No, ruszajmy – powiedziała Bethany, wykonując rękami ruch, jakby coś podnosiła.

– Mowy nie ma. – Willow się odwróciła. Bethany widziała, że córka patrzy w okno kawiarni. – Nie wejdę tam.

– Willow.

– Jeśli chcesz wypić kawę z przyjacielskim sąsiadem, który morduje ludzi siekierą, proszę bardzo. – W oczach Willow czaił się niepokój. To, co zobaczyła w lesie, przstraszyło ją, choć była zbyt twarda, żeby się przyznać.

Bethany sądziła, że sama ponosi winę za to, że córka bez żadnego skrepowania próbuje walczyć o swoją pozycję. W poprzednim pokoleniu matka Bethany powiedziałaby: „Nie pyskuj. Zabieraj tyłek z tego samochodu”. Bethany posłusznie spełniłaby polecenie, bo taką była osobą.

Ona i Willow były sobie bliskie, może zbyt bliskie. Tak to już jednak czasem bywało z jedynakami. Relacja Bethany i córki przypominała niemal siostrzaną; spędzały razem mnóstwo czasu, brakowało innych dzieci, które konkurowałyby o miłość i uwagę matki. Bethany bez wahania siadała na podłodze obok Willow, żeby kolorować czy lepić zwierzątka z ciastoliny. Wprowadzanie surowej dyscypliny nigdy nie było jej domeną. Swego czasu tak postępował jej mąż. Bethany wołała ich utarczki.

– Jak sobie chcesz – powiedziała. – Ale pod żadnym pozorem nie wysiadaj z tego samochodu. Rozumiesz? Wracam za dwie minuty. Idę po komórkę, którą zgubiłaś.

Willow ułożyła kciuki w literę „w”. Bethany była na tyle zorientowana, by wiedzieć, że to znaczy „wszystko jedno”. Słodki uśmiech ratował jednak córkę przed skrajną arogancją.

– Mówię serio. – Bethany wyjęła kluczyki i wysiadła z auta.

– Hej, tu jest zimno – zaprotestowała Willow. – Zostaw silnik włączony.

– Akurat – odparła Bethany. – Marzniesz? To chodź ze mną.

– Mamo!

Bethany zatrzasnęła drzwiczki, ucinając tyradę córki, potem ujrzała, jak Willow udaje, że dygocze z zimna. Pilotem zamknęła drzwiczki, choć

oczywiście córka mogła je otworzyć od środka. Wróci za parę minut. Przed wejściem do kawiarni obejrzała się na Willow, która patrzyła na nią, ale szybko odwróciła wzrok.

Kiedy weszła z wilgotnego chłodu do ciepłej kawiarni, zabrzączał dzwoneczek i Bethany otulił aromat kawy, bursztynowe światło, usłyszała syk maszyny gotującej mleko. Rozejrzawszy się po sali, uzmysłowiła sobie, że nie wie dokładnie, kogo szuka. Przy kominku chichotało parę dziewcząt, na stoliku między nimi leżały zamknięte książki i zeszyty. Młoda matka karmiła niemowlaka jogurtem. Willow opisała człowieka z lasu jako potężnie zbudowanego („wielki jak żołnierz”), z długimi ciemnymi włosami („jak Wład Palownik albo ktoś taki”). W głębi sali siedział w kącie mężczyzna z głową pochyloną nad książką. Faktycznie miał długie włosy, związane z tyłu. Jednak w okularach w drucianej oprawce i z ołówkiem w ręce nie wyglądał groźnie.

– Cześć, Beth – pozdrowił ją barman. Jak on miał na imię? Todd. Na pewno tak. – Jak idzie pisanie?

– Dobrze. Dzięki, że pytasz – odparła, podchodząc do baru.

– To, co zwykle? – spytał Todd. Akurat to ją w Hollows trochę denerwowało. Mieszkały tu z Willow zaledwie od sześciu miesięcy, a już wszyscy znali jej imię, zwyczajnie, szczegóły dotyczące życia i pracy. „Jasne”, skomentowała Willow. „Czytają twój blog, odwiedzają twoją stronę”. To dziwiło Bethany, choć, rzecz jasna, nie powinno. Przywykła do nowojorskiej anonimowości – w pobliskiej kawiarni nikt nie wiedział, kim jesteś, co więcej, nikogo to nie obchodziło. W małym miasteczku ludzie najwyraźniej byli na bieżąco, jeśli idzie o sprawy innych osób. Czy to było dziwaczne, czy normalne? Czy fakt, że ludzie wiedzieli, kim była, podobał się jej, czy też ją drażnił? Bethany jeszcze nie zdecydowała.

– Jasne. Bardzo dziękuję – odpowiedziała. Todd uważał, że Bethany zwykle zamawia podwójne espresso z odrobiną gorącej czekolady dla stępienia goryczki. W myślach przyznała, że to jest rzeczywiście jej napój.

– Bethany Graves?

Mężczyzna w drucianych okularach podszedł i stanął obok niej przy barze. Willow miała rację: był wysoki, mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Co więcej, sprawiał wrażenie potężnie zbudowanego, o szerokich barach i muskularnych ramionach. W dużej dłoni trzymał komórkę Willow. Bethany odebrała ją.

– Dziękuję – powiedziała. – Naprawdę to doceniam.

Telefon wrzuciła do torebki. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że twarz mężczyzny jaśnieje w uśmiechu. Bethany też się uśmiechnęła.

– Nie dosłyszałam twojego nazwiska przez telefon – powiedziała.

– Michael Holt. – Podał jej rękę, którą przyjęła. Uścisk miał ciepły i mocny. Nie za mocny, niczego nie starał się udowodnić. Bethany nie znosiła słabych uścisków dłoni, zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Uściski typu „śnięta ryba” oznaczały słabego ducha, a ludziom słabego ducha nie powinno się ufać. Niektórzy mężczyźni ściskali jednak za mocno, na pokaz, dawali ci do zrozumienia, jacy są silni. Patrząc wstecz, stwierdziła, że to właśnie była pierwsza niedobra oznaka w jej byłym mężu. Już po pierwszym spotkaniu bolała ją dłoń.

Michael wsunął rękę do kieszeni i zakołysał się na piętach. Z tego powodu cała jego postać nabrała chłopięcego wyglądu, choć w długich ciemnych włosach dostrzegła sporo siwizny, wokół oczu zmarszczki. Bethany oceniła, że zbliża się do czterdziestki.

– Chyba wystraszyłem twoją małą dziewczynkę – stwierdził. – Mam na myśli twoją córkę. Pewnie nie chciałyby być nazywana małą dziewczynką.

– Masz dzieci? – spytała.

Michael potrząsnął głową, spuszczać wzrok.

– Mam siostrzenice. Bliźniaczki mniej więcej w tym wieku. Trzynastolatki, które zachowują się, jakby miały trzydzieści lat.

W wieku piętnastu lat Willow wyglądała bardzo młodo; wściekała się, kiedy ludzie brali ją za młodszą, niż w istocie była. „Nie masz po co się spieszyć z dorastaniem, Willow”, często powtarzała Bethany. „Łatwo ci mówić; ty już jesteś dorosła. Nikt ci nigdy nie mówi, co masz robić”. Takie jest właśnie wyobrażenie dzieciaków na temat dorosłości: nikt nie mówi ci, co masz robić. Nie przyjmowały do wiadomości, że jest trochę inaczej; nie dało się im wytłumaczyć, jaką cenę ma wolność.

– Cóż, dzięki – powiedziała.

– Podwójne espresso z kropelką gorącej czekolady. Dwa dolary i dziewięć centów – zameldował Todd.

Bethany wyjęła z kieszeni dwadzieścia dolarów i podała barmanowi.

– Zapłacę też za niego.

– Nie trzeba – wtrącił pospiesznie Michael.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała. – Nalegam.

Michael wyglądał tak, jakby nadal chciał protestować, ale po chwili znów uśmiechnął się szeroko.

– Dziękuję – powiedział.

Kiedy Todd wręczył resztę Bethany, a ona zamierzała się pożegnać, Michael wskazał na swój stolik.

– Może się przysiądziesz?

Bethany wyczuła, że jest po prostu uprzejmy i spodziewa się, że odmówi. Zerknąwszy przez okno, zobaczyła zgarbioną na siedzeniu Willow. Do uszu wetknęła słuchawki. Głową poruszała w rytm muzyki z iPod'a, ale nie przestawała obserwować Michaela Holta. Bethany zdziwiła się, że córka została w samochodzie. Niemal się spodziewała, że Willow zakradnie się pod okno kawiarni i zechce ich podglądać.

– Córka czeka na mnie w samochodzie – powiedziała. Bethany nie chciała, by zabrzmiało to grubiańsko, ale nie rozmawiała już z mężczyznami; postanowiła, że na długi czas da sobie spokój. Z drugiej strony, w tym człowieku było coś zajmującego. Zupełnie nie chodziło o to, że ją pociągał. Ciekawił ją, choć nie potrafiła sprecyzować dlaczego. Bethany podobali się ludzie osobliwi.

Niezręcznie stali tak przez chwilę, on wpatrzony we własne stopy, ona rozglądająca się po kawiarni. Bethany uznała, że Todd podsłuchuje; bezczynnie kręcił się koło zlewu. Niemowlak przy jednym z dalszych stolików zakwilił z zachwytem.

– Cichutko – szepnęła matka.

– Więc co robiłeś w lesie? – spytała w końcu Bethany, która nie ruszyła się w kierunku stolika Michaela Holta. Łyknęła espresso, zerknęła na mężczyznę znad filiżanki. – Willow jest przekonana, że zakopywałeś zwłoki.

Michael Holt zaśmiał się nerwowo, uroczo. Potem zdjął okulary i wytarł szklą spodem swetra. Bethany stwierdziła, że sama lekko się uśmiecha.

– Córka autorki kryminałów – powiedział, a uśmiech zamarł na ustach Bethany.

– Skąd to wiesz? – spytała, wzięła kolejny łyk kawy, instynktownie zerknęła w stronę drzwi. Widziała, że Willow wciąż siedzi w samochodzie.

– Przepraszam – powiedział. Ze skruszonym wyrazem twarzy wskazał w stronę stolika na laptop, którego wcześniej nie zauważyła. – Sprawdziłem w Google'ach. Tak naprawdę już wcześniej o tobie słyszałem. W The Hollows nie ma tajemnic, a już na pewno nie wtedy, kiedy chodzi o pisarkę, która wprowadziła się do miasteczka. A ja już tu nawet nie mieszkam.

Bethany poczuła, że oblewa się rumieńcem. Czyli jednak o niej rozmawiali. Natychmiast uznała, że to dziwaczne i wcale jej się nie podoba. Cóż jednak mogła na to poradzić? Może taka była cena spokoju, który tak sobie chwaliła. Ostrożnie skinęła głową.

– Przepraszam – powtórzył, najwyraźniej szczerze. Bethany chciała mu ponownie podziękować i odejść. Mimo to stała jak wryta, bo ciekawość wzięła górę.

– Więc co takiego robiłeś?

– Na pewno nie zakopywałem ciała.

Bethany przyłapała się na tym, że przygląda się mu, kiedy spuścił wzrok na swoją opróżnioną filiżankę. Podobały się jej pasma siwizny w jego włosach, zmarszczki na czole. Podobały się jej nawet odciski na dłoniach i brud pod paznokciami. Michael Holt wyglądał jak ktoś prawdziwy, trwały, przyziemny jak samo The Hollows. Gdy znów podniósł na nią wzrok, coś w jego twarzy wstrząsnęło nią. Bethany nie potrafiła określić, co to było – ból, smutek, strach? Po chwili zniknęło. Znowu uśmiechał się szeroko, choć tym razem już nie tak szczerze i chłopięco.

– Wprost przeciwnie – powiedział. – Wykopywałem ciało.

Maggie nie powiedziała wiele. Niespiesznie, starannie wstawiała naczynia do zmywarki. Zawsze tak właśnie wszystko robiła: powoli, spokojnie. Jones wycierał stół, raz po raz przesuwając szmatką po tym samym miejscu tylko po to, by coś zrobić. Milczenie żony trochę go niepokoiło, ponieważ nie była kobietą, która trzyma język za zębami. Maggie mówiła, porozumiewała się. Pewnie, że tak. Porozumiewanie się stanowiło istotę jej zawodu. Jones mówił dość nieudolnie, rozwlekł opowiadał o psychoanalitku, o tym, jaki z niego strojniś, o wypielegnowanych paznokciach, czy Maggie mogła dać wiarę, że doktor Dahl powie coś podobnego? Przecież Jones tam chodził, od miesięcy sumiennie wykonywał swoją robotę. Zresztą może terapeuta miał rację, może nie był w stanie mu pomóc. Ale nie chodziło o Jonesa, prawda? Chodziło o lekarza.

Maggie stanęła w drzwiach między kuchnią a jadalnią. W ręce trzymała ściereczkę do naczyń. Nie odrywając od niej wzroku, złożyła ściereczkę na pół, potem znów na pół.

– Co ty próbujesz mi powiedzieć, Jones? – zapytała.

Światło halogenowych żarówek w kuchni padło na jej miedziane loki. Ostatnio obcinała włosy krócej; podrygiwały tuż nad ramionami. Kiedy ją poznał, opadały niemal do połowy pleców. Jones pamiętał, jak po raz pierwszy rozpuściła przed nim włosy; rozwiązała kok i pozwoliła splotom opaść. Z pożądania zabrakło mu tchu.

Odchrząknął.

– Może tylko tyle, że nie idzie mi z doktorem Dahlem.

Maggie ponownie złożyła ściereczkę, wciąż nie patrząc na męża.

– Sama mówiłaś, że jeśli nie będziemy dopasowani, powinienem znaleźć kogoś innego – powiedział do ciszy, jaka między nimi zawisła.

– Czyli to właśnie zamierzasz zrobić? – spytała. – Znaleźć kogoś innego?

Jones zamierzał pójść po miotłę, żeby zamieść podłogę, ale Maggie przygwoździła go wzrokiem.

– Kiedy? – zapytała.

– Nie wiem... za parę tygodni. Naprawdę uważam, że na pewien czas powinienem dać sobie spokój z terapią. Już nie potrzebuję tam chodzić dwa razy w tygodniu.

Kolejna wizyta wypadła za dwa dni. Dwie wizyty tygodniowo miały

charakter tymczasowy, by pomóc mu przebrnąć początkowy kryzys. Ale to była raczej gruba przesada. W końcu ile można gadać?

Maggie usiadła przy stole. Jones nadal stał, z butelką płynu do czyszczenia w ręce. Od cytrynowego aromatu kręciło go w nosie.

– Co? – spytał.

Maggie najwyraźniej zbierała się w sobie; zamknęła oczy, westchnęła. Może jednak lepiej zrobi, jeśli usiądzie. Jones przysunął sobie krzesło, choć wolałby odejść i włączyć telewizor w nadziei, że żona pójdzie do swego gabinetu. Rozmowę można by przełożyć na inny dzień, kiedy nie będzie się czuł tak wyczerpany.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie sypiam w naszym łóżku.

Jones się przygarbił.

– Zauważyłem. Chodzi o chrapanie, tak? O to, że się budzę.

– Częściowo tak.

Dawno temu, gdy Ricky był niemowlakiem, Maggie przestała sypiać w ich wspólnym łóżku. Jones budził się w nocy i znajdował żonę na dole na kanapie lub w pokoju gościnnym. Przez pewien czas przyglądał się, jak śpi, potem wracał do łóżka. Nigdy nie spytał Maggie o przyczynę, zapamiętał jednak, że widok żony śpiącej samotnie wzbudzał w nim lęk. Przypominało mu to, że Maggie jest odrębną osobą, posiadającą życie wewnętrzne, do którego nie miał dostępu, jeśli go nie zaprosi. Teraz odczuwał właśnie ten pełzający lęk. Żona siedząca naprzeciwko niego przy stole wydała mu się nagle bardzo daleka. Jones zapragnął wyciągnąć rękę nad stołem, ująć jej dłoń. Mógłby rzec: „Hej, co się dzieje? Kocham cię”. Mógłby powiedzieć to łagodnym głosem, który, wiedział o tym, uspokajał żonę. Jednak tego nie zrobił.

– To był trudny rok – powiedziała. – Dla ciebie. Dla mnie.

Jones widział, jak Maggie zaczyna obracać ślubną obrączkę; drobne mięśnie jej dłoni poruszały się, patrzył na różowe paznokcie, na mleczy odcień jej skóry. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się kochali. (Tydzień temu, dwa?) Kiedy ostatnio dobrze się razem bawili (jeszcze dawniej). Nie potrafił. W przesuwanych drzwiach prowadzących na basen zobaczył siebie, jak siedzi naprzeciwko żony, zgarbiony niczym ogr. Piękna i bestia.

– Wiem, że był trudny – odparł Jones. – Przepraszam.

Maggie wyciągnęła do niego rękę, a on ujął jej dłoń.

– Nie musisz przeproszać – zapewniła. – Wiem, że próbujesz walczyć. Ale ja też... walczę z tajemnicami, które ukrywałeś przede mną tyle lat, ze

sprawami dotyczącymi mojej przeszłości, o których się dowiedziałam, zmagam się z twoją... emeryturą. – Przed ostatnim słowem Maggie się zawahała, jakby nie była pewna, czy jest właściwe. Nie było, ale Jonesowi nie przychodziło do głowy lepsze.

Stwierdził, że nie potrafi spojrzeć jej w oczy, w najśliczniejszym odcieniu błękitu. Dawniej widywał, jak lśnią miłością, gniewem, strachem. Teraz nie chciał widzieć, jakie emocje w nich grały.

– Oddalamy się od siebie Jones. Jak tak dalej pójdzie, możliwe, że nie zdołamy się już zbliżyć.

Jones potrząsnął głową, nie potrafiąc wykrztusić ani słowa. Coś podobnego nigdy nie przyszło mu na myśl; nie przypuszczał, że sprawy między nimi mogą popsuć się bezpowrotnie. Nie wiedział nawet, kim jest bez Maggie.

– Popatrz na mnie – poprosiła.

Jones popatrzył na żonę. Doskonale widział, że go kocha. Widział też jednak, że była zasmucona, niemal zdesperowana. W kuchni zasyczała zmywarka. W lodówce kostki lodu posypały się z grzechotem do pojemnika.

– Co chcesz powiedzieć? – spytał.

– Żebyś posłuchał lekarza. On ma rację. Ugrzęźłeś w przeszłości, rozdrapujesz rany. Musisz znaleźć sposób, żeby zbudować przyszłość. Dla siebie, dla nas.

– Staram się.

– Łatwiej jest się ociągać, obwiniać ludzi, którzy sprawili ci ból, roztrząsać nasze błędy. To jest łatwiejsze niż zostawienie tego wszystkiego i odszukanie innej drogi, która zaprowadzi nas tam, gdzie będziemy musieli lepiej sobie radzić.

– Uważasz, że się ociągam.

Maggie przymknęła na chwilę oczy.

– Mówię, że to, czym i kim dawniej byliśmy, już nie istnieje. Musimy pójść dalej jako ludzie, którymi jesteśmy teraz, musimy odnaleźć siebie, nowe życie, bez Ricky’ego mieszkającego pod wspólnym dachem, bez ciebie w roli miejscowego gliniarza, dźwigającego swoje sekretne brzemię. Jeśli nie potrafisz mi w tym pomóc...

Smutno potrząsając głową, Maggie urwała zdanie w połowie. Potem spojrzała na ściereczkę w dłoni, znów ją złożyła, wygładziła.

Obcość nie zawsze włamywała się z głośnym trzaskiem. Nie wybijała szyb, nie wchodziła do środka z bronią i nie porywała twojej ukochanej. Pod osłoną nocy zabierała drobiazgi, za którymi początkowo nie tęskniłeś,

aż pewnego ranka budziłeś się, by stwierdzić, że wszystko, o czym sądziłeś, że jest twoje, zniknęło.

– Maggie.

Odsunęła się od stołu i twardo spojrzała na męża.

– Słyszysz mnie, Jones?

– Tak.

– Nie przerywaj spotkań z doktorem Dahlem. Pozwól, żeby ci pomógł. Pozwól, żeby pomógł nam.

– Zgoda.

Maggie wstała i odeszła od stołu. Przeszła przez kuchnię, potem usłyszała, jak powoli wchodzi na górę.

Wiedział, że powinien pójść za nią, chciał to zrobić. Wiedział, że mógłby ją pocieszyć, podnieść na duchu. Dziwny bezwład przygwoździł go jednak do miejsca, sprawiając, że kończyny i serce ciążyły mu nieznośnie. Z trudem oderwał się od stołu, przeszedł przez hol i stanął u stóp schodów. Drzwi sypialni były zamknięte. Po chwili usłyszał szum prysznica.

Słowa brzmiały tak nieporadnie w jego ustach. Nie umiał za ich pomocą wyrażać tego, co się w nim działo. Jones miał wrażenie, że słowa nie pasują, jakby język służył wszystkim oprócz niego. Nie mógł się zmusić do wejścia na te schody; nie miał pewności, co by powiedział, gdyby jednak poszedł za Maggie. Tyle już razy przeproszał, obiecywał. Co jeszcze zostało?

Nagle przyłapał się na tym, że myśli o narzędziowni w garażu. Kilka lat temu na Gwiazdkę, po tym, jak odkryli, że jego poziom cholesterolu i ciśnienie szybują pod niebo, Maggie kupiła i zainstalowała w garażu blat wyposażony we wszystkie możliwe narzędzia do pracy w drewnie, co kiedyś sprawiało mu wielką frajdę. Jones ani razu nie tknął blatu, który tylko zbierał kurz.

Teraz minął hol i wyszedł do garażu. Przyciskiem otworzył drzwi, zapalił światło. Do garażu wpłynęło chłodne wieczorne powietrze. Poruszone wiatrem liście tańczyły na podjeździe.

Jones podszedł do narzędziowni... W szufladkach leżały rozmaite gwoździe i śrubki, wisiały błyszczący młotek i śrubokręty. Tuż obok piła tarczowa, skrzynka z zestawem ostrzy, wiertarka z kompletem wiertel. Miał tam wszystko, czego potrzebował do budowy tego, co tylko zapragnie zbudować. Tyle że nie wiedział, co to miałyby być. Ale po raz pierwszy patrzył na narzędzia bez poczucia winy, a one nie odwzajemniały się oskarżycielskim spojrzeniem porzuconych przedmiotów.

Gdy Jones podniósł rękę, żeby dotknąć blatu, garaż zalało oślepiające

halogenowe światło, rozległ się warkot silnika. Przesłaniając oczy od światła, wyszedł na dwór. Obok samochodu Ricky'ego zaparkował wielki kasztanowy SUV. Drzwi otworzyły się i wysiadł Chuck Ferrigno. Od czasu, gdy Jones widział go ostatnio, niespełna rok temu, nieco przytył i jakby trochę się zaniedbał.

– Wiem, wyglądam jak śmieć – powiedział Chuck na widok Jonesa.

Jones się zaśmiał. Zawsze bardzo lubił Chucka i cieszył się, że to właśnie on zastąpił go na stanowisku szefa wydziału dochodzeniowego policji w The Hollows. Chuck na to zasługiwał. Niewykluczone, że należał do ginącego gatunku gliniarzy i nie wybrał tej pracy dlatego, że obejrzał serial kryminalny w telewizji.

– Praca daje się we znaki – stwierdził Jones. Mężczyźni podali sobie ręce, a Jones klepnął Chucka w ramię.

– Dobrze wyglądasz, Jones. Wypoczęty. Emerytura ci służy.

„Chodzę na terapię. Żona mnie nienawidzi. Nie mam pierdolonego pojęcia, co robić z czasem, który mi został. Aha, mam też obsesję na punkcie śmierci. Każdej nocy budzę się zlany potem na myśl o niej”.

– Nie mogę narzekać – powiedział Jones. – Życie jest dobre.

– Moja żona chce, żebym przeszedł na emeryturę – powiedział Chuck i prychnął pogardliwie. – Odparłem, żeby zaczęła wyciągać sześciocyfrową pensję, jak Maggie, to się zastanowię.

Chuck potarł czoło, a Jones zauważył, że stracił resztki włosów na czubku głowy. Łysina załśniła w świetle garażu jak mnisia tonsura. Jones był zdania, że Chuck powinien zgolić resztki włosów wokół głowy i zapuścić bródkę, z którą byłoby mu do twarzy. Ale prawdziwi faceci nie rozmawiają o fryzurach.

– Co cię sprowadza? – spytał Jones.

– A. – Chuck popatrzył w niebo, potem rozejrzał się po podwórzu, jakby coś zgubił. – Muszę z tobą pomówić. Masz trochę czasu?

„Stary, mam tylko czas”.

– Jasne. Wejdz. Zaparzę kawę.

Wpuszczając Chucka do domu, Jones z zażenowaniem uzmysłowił sobie, że z podniecenia kręci mu się w głowie.

Nie mógł oddychać, ale to mu nie przeszkadzało, wręcz przynosiło ulgę. Wprost nie dowierzał, jak blisko znajdował się skraj mroku. W jednej chwili stał na brzegu, słyszał w głowie potężny szum rzeki. Potem ją zobaczył, dziewczynę unoszącą się jak trzcina, poruszaną nurtem. Nie było miejsca na

myśli. Zamienił się w samo działanie. Był tylko wybuchem lodowatej wody wokół ciała. Później zapadła błogosławiona cisza, spokojna i wszechogarniająca. Niemal pozwolił, by go zabrała. Potem jednak ujrzał przed sobą unoszącą się dziewczynę. Jej włosy układały się w aureole. Ręce rozłożyła jak skrzydła.

Chodź, dziewczyno. Zabiorę cię do domu.

Szczupłe ciało znalazło się w jego rękach. Gdy ją unosił, wyczuwał jej zebra; odpychając się nogami, wynurzał się ku odległemu mlecznemu światłu na powierzchni. Jakim cudem znaleźli się tak głęboko? Jak to się stało, że zeszli tak blisko dna?

Nie poddawaj się.

Potem potężna siła wyrwała dziewczynę z jego objęć, poszybowała w górę jak marionetka. Odprowadzał ją wzrokiem, a w miarę jak się oddalała, czuł, jak słabnie w nim wola. Zimna woda ciągnęła tak mocno. Teraz, gdy nie miał już kogo ratować, pragnienie wypłynięcia na powierzchnię malało. Nogi mu ciążyły, ręce były zbyt znużone, by się poruszać. Dlatego po prostu znieruchomiał, przestał się odpychać i walczyć. To było takie proste.

– Jones.

Maggie, tak mi przykro.

Potem leżał na kanapie u siebie w domu. W ciemnym pokoju połyskiwało światło telewizora. Maggie siedziała przy nim, drobna i blada w białej koszuli nocnej.

– Ty wyłeś... – Urwała, z szeroko rozwartymi oczyma.

– Naprawdę? – Jones usiadł, otarł ślinę z policzka. Zażenowanie w obecności żony było nowym uczuciem. Nie podobało mu się skrępowanie, jakie czuli w swoim towarzystwie. Kiedy to się stało? Jak długo tego nie zauważał?

– Myślałam, że to jakieś ranne zwierzę – powiedziała. – Jakby coś strasznie je bolało.

„To niezbyt odległe od prawdy”.

Nie opowiedział Maggie o wizycie Eloise Montgomery ani o jej przecuciach. Najwyraźniej jednak wytrąciło go to z równowagi bardziej, niż gotów był przyznać.

Maggie podwinęła nogi. Wcześniej Jones postanowił spać na kanapie i zostawić żonie łóżko, zamiast budzić się w nocy, widzieć, że jej nie ma, leżeć i zastanawiać się, czemu nie chciała spać u jego boku.

Teraz przyglądała mu się w sposób, do którego Jones zaczął się już

przyzwyczajając: jakby mąż stanowił dla niej łąmigłówkę, ale nie była pewna, czy miała ochotę ją rozwiązywać.

– Czego chciał Chuck? – spytała. – Widziałam, jak wjeżdża na podjazd.

Jones usiadł, zapalił lampkę przy kanapie, chwycił pilota i wyłączył telewizor. Akta zostawione przez Chucka leżały na stole. Jones miał wrażenie, że przyjaciel odwiedził go tydzień temu, choć w istocie minęło zaledwie kilka godzin.

– Pamiętasz Marłę Holt? – zapytał.

Maggie przekrzywiła głowę i spojrzała w sufit.

– Nazwisko brzmi znajomo.

– W tym czasie chodziłaś jeszcze do liceum.

Tuż po ukończeniu szkoły średniej Maggie wyjechała do Nowego Jorku, gdzie uzyskała stypendium na New York University, potem przeniosła się na Columbię, gdzie obroniła doktorat z psychologii rodzinnej. Kiedy jej ojciec umierał na raka, wróciła do Hollows, żeby pomóc matce. Wtedy ona i Jones spotkali się po raz pierwszy od czasów liceum w Hollows, zakochali się. Maggie wróciła na dobre do rodzinnego miasta, pobrali się, otworzyła prywatną praktykę. Od tamtej pory nie ruszali się z Hollows.

– Może matka o niej wspominała – powiedziała Maggie. Niewiele było spraw, o których jej matka, Elizabeth, nie wspominała. Teściowa Jonesa, emerytowana dyrektorka liceum w Hollows, była niewyczerpanym źródłem informacji. O sprawie Marli Holt z pewnością wiedziała wszystko, co warto wiedzieć, podobnie jak o całej reszcie tego, co się działo w Hollows. – Ale nie pamiętam szczegółów.

– Marla Holt zbliżała się do czterdziestki, miała czternastoletniego syna i małą córeczkę, kiedy zaginęła w 1987 roku – powiedział Jones. – Jej mąż, Mack Holt, powiedział, że uciekła z innym mężczyzną. Podejrzewaliśmy, że coś śmierdzi, ale nigdy nie udało nam się niczego udowodnić. W końcu zaginięcie Holt uznano za sprawę nierozwiązaną.

– To było twoje śledztwo? – Maggie pochylała się ku niemu. Jones świetnie pamiętał, że zawsze uwielbiała rozmawiać o jego pracy, a on uwielbiał rozmawiać z nią o prowadzonych sprawach. Dzięki jej pomysłom, wglądowi psychologicznemu i wiedzy na temat ludzkiej natury pomoc Maggie była nieoceniona. Tak bardzo na niej we wszystkim polegał. Bez niej nawet w połowie nie byłby tak dobry w swojej pracy.

– To była jedna z moich pierwszych spraw jako śledczego – powiedział. Wstał i przeciągnął się, by rozprostować plecy. Rozległa się seria trzasków, ale przyniosły one niewielką ulgę w bólu, jaki się tam zagnieździł.

– Co się stało z jej dziećmi?

– Zabawne, że pytasz. Nie jestem pewien co do dziewczyny, ale chłopak ma teraz trzydzieści parę lat. Nadal szuka odpowiedzi.

– Chce ponownego wszczęcia dochodzenia?

– Wynajął dynamiczny duet – odparł Jones. – Emerytowanego detektywa Raya Muldune'a i jego pomagierkę-medium, Eloise Montgomery.

Maggie zrobiła długi, powolny wydech, rozmasowała nasadę nosa. Te nazwiska musiały przywołać mnóstwo niedobrych wspomnień.

– Tak się składa, że ona tu dziś przyjechała – dorzucił ot tak, żeby zabrzmiało zdawkowo. – Zresztą, może to nie był przypadek, ale część ich sztuczek, czymkolwiek są. Kto wie?

Zdziwiona Maggie wpatrywała się w niego, marszcząc czoło.

– Eloise Montgomery tu była? Czego chciała?

Jones prychnął pogardliwie.

– Miała widzenie, w którym wyciągałem z wody jakieś ciało. Uznała, że powinienem o tym wiedzieć.

Jones przewrócił oczami, by podkreślić swój sceptycyzm, ale widział, że żona tego nie kupuje. Maggie przygwoździła go pytającym spojrzeniem, pod którego ciężarem opadł na kanapę. Zegar na odtwarzaczu DVD wskazywał 12.03.

– Jak się z tym czujesz? – spytała.

Maggie też nie mogła go nabrać. Nie chciała zajmować się własnymi uczuciami w związku z wizytą Eloise, więc spytała o uczucia Jonesa.

– Przede wszystkim czuję irytację – powiedział. – Za kogo ona się uważa?

Maggie oplotła się rękoma. Całe wieki temu matka Maggie, Elizabeth, odwiedziła Eloise Montgomery i dowiedziała się od niej o sprawach, których długofalowy wpływ ujawnił się w pełni dopiero przed rokiem. Jones przysunął się do żony, położył rękę na jej ramieniu, a Maggie przytuliła się do niego.

– Czyli... co? – spytała. – Chuck pytał o sprawę Marli Holt?

Jones wzruszył ramionami.

– Spytał, czy mógłby przywieźć akta śledztwa. Prosił, żebym na nie zerknął i sprawdził, co pamiętam. Kto wie, może z perspektywy czasu coś mogłoby wyskoczyć.

– Zrobisz to?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Maggie spojrzała na męża z czymś w rodzaju ulgi na twarzy. Jones

poczuł, jak żona się rozluźnia.

– Płacą ci?

– Niewiele – odparł. – Holt robi szum: dzwoni do szefa policji, wypisuje listy do burmistrza. Muldune prosił o te akta. Chuck odmówił, wyjaśniając, że zlecił komuś tę sprawę nieoficjalnie. Jednak z powodu cięć budżetowych musieli w tym roku zwolnić dwóch facetów. Nie mają mocy przerobowych.

– Dlatego chcą cię w roli konsultanta.

Określenie przypadło Jonesowi do gustu; uśmiechnął się mimowolnie.

– Po kryjomu i za grosze – powiedział.

– Myślę, że to dobra rzecz. Może potrzebujesz czegoś takiego.

– Pod warunkiem że nie będzie to kolidowało z moimi kwitnącymi interesami, czyli faceta z sąsiedztwa, który nie ma do roboty nic innego, jak tylko odbierać twoją pocztę.

Maggie uniosła dłoń i dotknęła jego twarzy. Jones chwycił dłoń żony i przycisnął ją sobie do piersi. Uśmiechnęła się do niego ostrożnie, po czym odwróciła wzrok.

– To mi coś przypomniało – rzekła. – Dzisiaj dzwoniła do ciebie niejaka Paula Carr z Oaks. Dostała twój numer od Pedersenów.

The Oaks było zamożną dzielnicą, około dziesięciu minut drogi na północ od centrum, gdzie mieszkali Jones i Maggie. Po raz pierwszy telefonowano spoza ich ulicy, co znów przypomniało mu o wizycie Eloise i ostrzeżeniu o jego rosnącej sławie. Jak ona to powiedziała? „Wkrótce ludzie zaczną przybywać z daleka po więcej. Może to pana zaprowadzić w niespodziewane miejsca”.

Teraz podzielił się tym z Maggie, która skinęła głową, ale nie skomentowała. W ciszy Jones ponownie zdał sobie sprawę z tykania przeklętego zegara. Naprawdę nie cierpiał tego grata.

– To się może odnosić również do Chucka – zauważyła w zamyśleniu, jakby nieobecna.

– Jasne – zmusił się do nerwowego śmiechu. – Jeżeli przywiążemy wagę do bredzenia niezrównoważonej kobiety.

Jones poczuł, jak Maggie obejmuje go mocno w talii. Odwzajemnił uścisk, pochylił się i pocałował jej miękkie, rozchylone usta.

– Ale nie przywiążemy, prawda? – spytał i spojrzał w te głębokie cudne oczy.

Maggie wychyliła się ku niemu i go pocałowała. Czyżby wyczuł lekkie zniecierpliwienie? Przeszył go dreszcz. Żar między nimi nic a nic nie wygasł przez te wszystkie lata spędzone razem, nawet w trudnych czasach, nawet

kiedy spali w oddzielnych pokojach. Zawsze jej pragnął. Zawsze.

– Nie, oczywiście, że nie. – Maggie wstała i podała mu rękę. – Chodź do łóżka.

Michael Holt wjechał na podwórze dzieciństwa i zgasił silnik. Okna były ciemne, trawnik zarośnięty. Jedna z okiennic na parterze zwisała na gwoździu, listwa się oderwała. Siedząc w ciepłym aucie, zastanawiał się nad powrotem do miasta i wynajęciem pokoju w hotelu. Super Eight przy autostradzie oferował pokoje w cenie sześćdziesięciu dziewięciu dolarów za noc, z telewizją kablową i naleśnikami na śniadanie. Billboard wykrzykiwał takie superlatywy jak „czysty!” i „bezpieczny!”, co niektórym ludziom może by nie wystarczyło, ale Michaelowi w zupełności, zwłaszcza wobec jego obecnego miejsca zamieszkania.

Potem pomyślał o swoim chudnącym koncie bankowym oraz o tym, że ten dom – zniszczony, dramatycznie potrzebujący remontu – przy obecnej kulejącej gospodarce mógł czekać na chętnego wiele miesięcy, jeśli nie lat.

„Cóż”, powiedziała agentka, którą zatrudnił, by zajęła się sprzedażą domu. W jej ślicznych, błyszczących ustach słówko to zabrzmiało jak westchnienie. „Zobaczmy, co da się zrobić. Niektórzy szukają domów do rozbiórki albo takich, gdzie złota rączka może się wyżyć”. W biurze agentka rozpływała się w uśmiechach. Kiedy pokazywał jej dom, zeszywniała, uśmiech przeszedł w fałszywie dziarski grymas. Uprzejme monosylaby agentki zdradzały zniechęcenie.

– Hm – skomentowała łazienkę na piętrze. – Och – powiedziała na widok strychu. – Łał – brzmiała jej opinia na temat pokoju jego ojca. W kuchni agentka straciła panowanie nad sobą. – O mój Boże. Jak on mógł żyć w ten sposób?

– Nie wiem – przyznał Michael. – Nie byliśmy... blisko.

– Michael – powiedziała w końcu w holu. Patrzył, jak cofała się w stronę drzwi, przykładając do czoła pięknie wypielegnowaną dłoń. – Będiesz musiał uprzątnąć część tych gratów. Wcześniej nie mogę pokazywać domu ludziom.

Graty. Osobliwy dobór słów. Graty brzmiały tak niewinnie – sugerowały stertę papierzysek na biurku, szafę wypełnioną starymi ciuchami, może bałagan w garażu. Graty brzmiały niemal zabawnie, jak coś, co należy uprzątnąć z uśmiechem na ustach. Określenie to w najmniejszym stopniu nie opisywało jednak domu jego ojca – groźnej góry spiętrzonego brudu. W korytarzach walały się przepełnione skrzynie, w łazience sterty gazet

i czasopism; w dawnym pokoju Michaela zagnieździły się części komputerowe, stare telefony, niewy tłumaczalne cementarzysko zepsutych urządzeń elektronicznych. W jednej z szaf przed stu laty trzymali kuwetę dla kota. Kot zdechł dawno temu, ale odór moczu i odchodów pozostał. Otwarcie tej szafy wiązało się z atakiem na zmysł powonienia, zdolnym powalić człowieka na kolana.

We wszystkich pokojach piętrzyły się półki z książkami; wystarczyło wyjąć jedną, a wzbijały się kłęby kurzu. Jednak mrocznym sercem domu była kuchnia, gdzie panował tak intensywny smród rozkładu, rozbrzmiewało tak drażniące brzęczenie much, że nawet nie przestąpił progu. A to był tylko parter.

Uwagę Michaela zwrócił ruch na sąsiedniej działce. Na werandzie ujrzał panią Miller z rękami splecionymi na piersiach. Mimo ciemności widział, że sąsiadka patrzy w jego stronę, dziwiąc się, czemu siedzi w aucie. Poza tym zastanawiała się też pewnie nad tablicą, którą agencja nieruchomości umieściła dziś na podwórzu. Michael sądził, że widok tablicy przyniesie mu pewną ulgę. Zamiast tego poczuł jednak w głębi znajomy mrok, okropną pustkę, jaką nosił w sobie, odkąd matka odeszła. Uczucie rodziło się tuż pod pępkiem i rozprzestrzeniało się w nim jak plama czerwonego wina na obrusie.

„Gdzie jest mama?”. Pytanie to zadał po raz pierwszy sto lat temu i od tamtej pory nie przestał go zadawać w ten czy inny sposób.

Jego ojciec Mack smażył w kuchni jajecznicę na porysowanej żółtej patelni. Kiedy Michael wszedł do kuchni i przysunął sobie to samo krzesło co zwykle, ojciec jakby zamarł i wstrzymał oddech. Obraz kuchni tamtego ranka Michael zapamiętał w najdrobniejszych szczegółach. Słońce wpadające przez okno nad zlewem, przez które widział huśtawkę z opony, niedotykaną przez niego od lat. Pamiętał, że noga krzesła zawsze zawadzała o kwadrat laminatu odstający od podłogi. Czuł zapach przesmażonych jajek. Matce Michaela nie smakowałyby kawa zaparzona przez ojca; pachniała za słabo. Prawdopodobnie doszłoby między nimi do scysji na ten temat. „Jeśli nie smakuje ci moja kawa, sama sobie parz”.

– Jak to: „gdzie jest mama”?

W głosie ojca pobrzmiwały dziwne, obce tony, jakieś napięcie; ramiona drżały mu ledwo dostrzegalnie. Mack nadal nie spojrział na syna. Michael patrzył na tył ojcowskiej głowy, na ciemnobrązowe włosy przetykane siwizną, nieodłączną kraciastą koszulę, bawełniane spodnie i brązowe

skórzane buty. „Co ty nosisz, Mack?”. Wieczne pytanie matki nie było w istocie pytaniem, ale wyzwaniem.

Tamtego ranka Michaela potwornie bolała głowa. Ze wszystkich sił próbował przypomnieć sobie szczegóły minionej nocy, ale bez skutku. Miał spędzić noc u przyjaciela, ale kiedy tam się znalazł, zapragnął wrócić do domu. Pamiętał, jak jedzie na rowerze cichymi ulicami. Pamiętał, że zostawia rower na podjeździe, wchodzi na frontowe schody, kładzie dłoń na klamce. To była ostatnia chwila, jaką sobie przypominał. Choć wspomnienie tamtego ranka pozostawało wyraźne, poprzedzająca go noc nawet po wielu latach pozostawała czarną plamą.

– Gdzie ona jest? – powtórzył.

– Odeszła, synu. Wiesz dobrze.

Wówczas ojciec się odwrócił, a Michael pomyślał, że od poprzedniego dnia ten człowiek postarzał się o dziesięć lat.

– Dokąd odeszła?

Nienawidzę cię. Nienawidzę tego domu. Nienawidzę tego życia. Jej zrozpaczony krzyk odbijał się echem od sufitu i ścian, przebijając się do jego świadomości. Właśnie wtedy zaczęła się przed nim rozstępować otchłań rozpacz.

Silne pukanie w szybę bagażnika przywołało go do terażniejszości. Pani Miller. Wbrew woli opuścił szybę.

– Michaelu – powiedziała. – Co ty tu robisz w samotności?

– Przepraszam – odparł. – Po prostu łapię oddech. Długi dzień.

– Nie mówiłeś, że sprzedajesz dom. – Jej oddech cuchnął stęchlizną. Mimo ciemności wiedział, że włosy miała pofarbowane na niedorzeczny pomarańczowy odcień; twarz pani Miller, z głębokimi zmarszczkami, przypominała popękana maskę.

Zawsze jej nie cierpiał. Michael odnosił wrażenie, że pani Miller jest od stu lat wredną starą jędzą z sąsiedztwa, która zatrzymuje zgubione piłki, marszczy czoło, grozi palcem, dzwoni do rodziców. Czy kiedykolwiek zamierzała umrzeć? Czy też przez tysiąclecia będzie się tłuc po tym domu, dręcząc kolejne pokolenia dzieci sąsiadów?

– Tak, pani Miller – powiedział, bo zawsze starał się być uprzejmy. – Dom został wystawiony na sprzedaż.

Staruszka prychnęła nieprzyjemnie.

– Cóż, jeżeli nie doprowadzisz go do ładu, przyciągnie tylko szumowiny.

Szumowiny? To ludzie nadal używali takich określeń? Co to niby miało

znaczyć? Michael wyobraził sobie bosą, biedną rodzinę w łachmanach, z dobytkiem w workach na śmieci.

– Pracuję nad tym, pani Miller.

Sąsiadka obejrzała się na dom, a Michael podążył za jej wzrokiem.

– On dbał o ten dom, zanim zachorował – stwierdziła z oskarżycielskim podtekstem w głosie. Jednak Michael na tyle dobrze znał ludzi w rodzaju Glorii Miller, by udać, że nie zrozumiał aluzji. Nie miała o nim zielonego pojęcia. Poza tym nic nie wiedziała o jego ojcu. Nikt zresztą nie wiedział.

Gdy Michael otworzył drzwi samochodu, pani Miller się cofnęła, otworzyła szerzej oczy – domyślał się, że z powodu jego wzrostu. Potem oplotła ciało rękami. Widział, jak sfatygowany fartuch przylega do jej drobnego, wysuszonego ciała; odwrócił wzrok. Coś w tej kobiecie, nie tylko wygląd fizyczny, go odstręczało. Michael poczuł przypływ znajomego dyskomfortu, jaki często towarzyszył jego spotkaniom z ludźmi; zapragnął uciec do domu i zamknąć drzwi. Przez chwilę jednak ani pani Miller, ani on się nie poruszali.

– Pani Miller, czy pamięta pani moją matkę? – Wydusił z siebie te słowa.

Zaskoczona sąsiadka podniosła na niego wzrok. Na ulicy tańczyła brązowa papierowa torba, unosiła się, opadała, znów wzbijała się w górę, gnana wiatrem. Poza tym w dzielnicy panowała cisza i spokój. Zawsze tak było. Żadnej muzyki, żadnych szczekających psów. Ludzie wracali do domu, chodzili do pracy, w weekendy widywało się ich, jak krzatali się po obejściu. Jednak zapamiętane z dzieciństwa sąsiedzkie przyjęcia, watahy chłopaków i dziewczyn śmigających na rowerach i bawiących się na podwórkach zniknęły. Każdy dom stanowił odrębną komórkę; w dzisiejszych czasach ludzie pilnowali własnego nosa.

– Naturalnie, że ją pamiętam. – Co takiego wyczytał w jej głosie? Pogardę? Osąd? „Kobietę, która porzuciła rodzinę, tę wywłokę? Naturalnie, że ją pamiętam”.

– Czy przypomina pani sobie cokolwiek z nocy, kiedy zaginęła?

Gloria wbiła wzrok we własne stopy, zaczęła się cofać.

– To było tak dawno temu.

Ale Gloria pamiętała. Ponieważ wszyscy pamiętali Marłę Holt. Każdy chłopiec uważa, że jego matka jest piękna. Jednak Marla Holt była autentycznie, świetliście urocza. Z burzą kasztanowych włosów spływających na ramiona jak rzeka, ciemnymi oczami, talią osy wypełniała sobą każde pomieszczenie, do którego wchodziła. Mężczyźni wybałuszali oczy, kobiety spuszczały wzrok na paznokcie. Marla nie była wiotka jak

trzcina, nie miała urody modelki. Jej twarz nie była bez skazy. Uroda wzbierała w niej, promieniowała jak ciepło. Michael dostrzegał to nawet na fotografiach matki. Aparat celebrował kontrasty jej twarzy, czarne brwi i czerwone usta na bladej cerze. Nieustannie utyskiwała na temat rozmiaru swoich pośladków, ciągłej pielęgnacji, jakiej, według niej, wymagał jej wygląd – depilacji włosów, woskowania, nawilżania i ćwiczeń. Michael jeździł za matką na rowerze, podczas gdy ona biegała po okolicy.

– Jestem stworzona do luksusu, nie po to, żeby się pocić – dyszała.

– Dalej, mam. Jeszcze półtora kilometra. Dasz radę.

Jako mały chłopiec oczywiście kochał ojca. Ale to matka rozgwieździła niebo.

– Powiedziała pani policji, że widziała pani, jak moja matka odjeżdża – nalegał Michael. – Wspomniała pani o czarnym sedanie przed domem, o tym, że ktoś na nią czekał i odjechali razem. Mówiła pani, że matka miała walizkę.

Pani Miller zastygła, po czym szybko skinęła głową.

– Jeżeli to właśnie powiedziałam policji, to właśnie widziałam. – Dostrzegł lekkie drżenie jej prawej dłoni.

– Pamięta pani coś jeszcze?

– Nieustanne kłótnie – odparła. – Z tego domu dobiegały nieustanne wrzaski. Doprowadzały mnie do szału.

To była prawda. Michael chował się pod kołdrą i czekał, aż zapłakana matka wejdzie na górę i zamknie drzwi sypialni. To był dzwonek na zakończenie starcia; znowu przegrała. Ojciec nigdy nie szedł za nią. Michael nigdy nie słyszał, by godzili się przyciszonymi głosami. Jeśli kiedykolwiek się godzili, robili to na osobności.

– Widziała pani, kto prowadził tamten samochód?

– To było tak dawno temu, Michaelu – odparła i smutno potrząsnęła głową. – Jestem starą kobietą. Jak mogę pamiętać?

On jednak widział, że sąsiadka pamięta. Już nie chciała na niego patrzeć, wycofywała się w bezpieczne zacisze swego domu. W końcu odwróciła się i szybkim krokiem minęła żywopłot odgradzający ich podwórza. Zza krzewów rzuciła:

– Nie sprzedawaj domu mętom. Miej na uwadze dzielnicę.

Michael wiedział, że mógłby pójść za panią Miller, skłonić ją, by powiedziała coś więcej. Zostawi to jednak Rayowi Muldune'owi, prywatnemu detektywowi, który słono sobie liczył za usługi. Poza tym Michael miał dość kontaktów z ludźmi jak na jeden dzień: najpierw

dziewczyna w lesie, potem jej matka. Już ogarniało go uczucie wyczerpania, jakie pojawiało się zawsze, gdy na zbyt długo wychodził z ukrycia.

Michael czuł się szczęśliwszy pod powierzchnią świata. Tam, na górze, gdzie świeciło słońce i toczyło się normalne życie... było strasznie; właśnie tam czaiły się potwory i koszmary. Współczesny świat i większość zamieszkujących go ludzi wprawiały go w zakłopotanie. Ludzie, których znał – przyjaciele i znajomi, o ile mógł ich tak nazwać – kierowali się niepojętymi dla Michaela motywami. Mówili jedno, ale najwyraźniej myśleli co innego, ich uśmiechy nigdy nie docierały do oczu. Ludzie, których nie znał, ale ich obserwował, byli, jak to lubił określać, uzależnieni od krzątaniny, oddawali się jednej czynności, ale ich uwaga kierowała się ku czemuś innemu – robili zakupy, rozmawiając przez komórki, prowadzili samochody, wysyłając SMS-y. Sami nazywali to wielozadaniowością. Od kiedy to bycie zbyt zajęтым, to, że ma się zbyt wiele spraw na głowie, stało się punktem honoru?

Świat pędził przeraźliwie; Michael nigdy nie zdoła dotrzymać mu kroku. Często czuł się zagubiony, miał niejasne przeczucie, że coś jest z nim nie tak. Chciał przystanąć, popatrzeć w niebo, na drzewa; miał ochotę porozmawiać z ludźmi, których znał i spotykał. Jednak wszyscy najwyraźniej mijali go w biegu, kłębili się wokół niego. Michael był przeszkodą na autostradzie życia. Tak było w dobre dni. W złe czuł, że lada chwila obcy mogą zacząć wytykać go palcami i wrzeszczeć, wskazywać na niego jako na coś niepożądanego. Niekiedy ze zdenerwowania oblewał się potem, i to w najbardziej przyziemnych sytuacjach – przy bramkach, gdzie płaciło się za autostradę, w kolejce do kasy w sklepie.

Za to pod powierzchnią znajdował się inny świat. W bezkresnej ciemności kopalni panowały samotność i cisza. Tam zaczynał się rozluźniać, stawać się w pełni sobą. W tym osobliwym żywym mroku wszystkie zmysły Michaela ożywały.

Usłyszał, jak Gloria zamyka drzwi, po czym znów skierował uwagę na dom ojca. Przez chwilę raz jeszcze myślał o hotelu, potem jednak ruszył popękany, zarośnięty chodnikiem. Na schodach przystanął, spojrzął na zardzewiałą skrzynkę na listy, filujące światło na werandzie, wreszcie wszedł do środka.

Przekraczając próg, zawsze się pochylał, choć wcale nie był aż tak wysoki; miał niewiele ponad metr osiemdziesiąt. Ale tyle już razy zawadził głową o rzeczy, które inni mijali bez trudu, że nabrał nawyku chowania

głowy w ramiona.

Michael pozwolił, by drzwi się za nim zamknęły. Wciąż miał w uszach jej głos – entuzjastyczny, fałszujący śpiew; ton, kiedy siliła się na surowość; miódopłynny śmiech. Długo po tym, jak odeszła, słyszał jej głos po powrocie ze szkoły.

„To ty, najdroższy? Jesteś głodny?”.

Na dźwięk tego głosu zjawy czuł w środku ból. Po odejściu matki dom był nawiedzony, ale w jedyny sposób, w jaki domy bywają nawiedzane – przez echa i wspomnienia, energię uwięzioną w ścianach i podłodze. Ale to już wystarczało. Michael nie potrzebował innych powodów, by odejść i więcej nie wracać; pozwolić ojcu osunąć się w starość i osamotnienie, zostawić go, by zachorował i rozkładał się wraz z całą resztą rupieci na śmietniku, które zrobił z ich domu.

Pod obiema ścianami korytarza leżały sięgające sufitu sterty gazet, które zwęzły przejście o trzydzieści centymetrów z każdej strony. Michael musiał stawać w poprzek i skręcać się, by nie dotykać starych papierzysk, i tak zmierzał ku jedynej nadającej się do mieszkania części domu.

Salon, z jej telewizorem i półkami pełnymi książek, stolikiem do kawy, który odziedziczyła po swojej matce, namalowanymi przez matkę Michaela oprawionymi pejzażami na ścianach – wszystko było tak, jak zapamiętał. Powierzchnie i tkaniny lśniły czystością. Na sofie i kanapie nie widział plam; matoworóżowy dywan wciąż wyglądał świeżo. Nawet na książkach nie zebrał się kurz. Dochodząca pielęgniarka powiedziała Michaelowi, że jego ojciec wyciągał łóżko z kanapy i sypiał na nim w nocy, rano zaś wsuwał je z powrotem, aż zabrakło mu na to sił. Na stole, pod lampą, którą tak lubiła, z białymi i niebieskimi kwiatkami na porcelanie, stało ich zdjęcie ślubne (czy nawet wtedy nie sprawiali wrażenia sztywnych i nieszczęśliwych?). Kiedy wrócił od ojca ze szpitala, z zaskoczeniem ujrzał tę oazę w samym środku chaosu, to oko cyklonu. Michael sądziłby, że ojciec zapomniał o matce albo że próbował zapomnieć, on jednak utrzymywał jej pokój dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawiła.

Usiadłszy na perkalowej narzucie kanapy, starał się nie wdychać woni starego człowieka. Mimo to zapach unosił się w powietrzu, konkurując z innymi. Oto on – antyseptyczny zapach leków i kąpieli, i czegoś jeszcze, co gniło od środka. A może to była tylko jego wyobraźnia.

Michael przyłapał się na tym, że myśli o Bethany Graves. Według niego ta kobieta miała w sobie swoistą cichą energię, trochę podobną do jego własnej. Uważnie słuchała, wypowiedzi poprzedzała krótkim namysłem;

chłonęła wszystko, co mówił, może także i to, czego nie mówił.

– Co to znaczy? – spytała, kiedy powiedział, że wykopywał ciało. W jej oczach ujrzał błysk ciekawości i wyraźną ostrożność.

– Właśnie tym się zajmuję – wyjaśnił. – Odkopuję przeszłość. Jestem kopaczem. The Hollows było pierwotnie miasteczkiem górniczym. Wszędzie tu są tunele, niektóre służą tylko do celów badawczych.

– Czyli?

– Po wysadzeniu ziemi w powietrze wydrążono tunele, a potem, z różnych powodów, je porzucono. Kiedy natrafia się na któryś z nich, natrafia się na przeszłość. Człowiek podróżuje w przeszłość.

– Słyszałam o tym – przyznała Bethany. – O tutejszych kopalniach. Chodziło o żelazo, prawda?

Sprawiła wrażenie zaciekawionej. Michael nie był jednak zbytnim ekspertem w tych kwestiach.

– Magnetyt i trochę hematytu – odparł. – To miasto ma dość bogatą historię. Z żyłą, której szukam, wiąże się legenda o dwóch braciach. Obaj zamierzali się wzbogacić. Jednemu się udało. Drugi zniknął.

Michael mówił prawdę. Faktycznie poszukiwał porzuconego szybu, gdzie, jak sądzono, mogło spoczywać pogrzebane ciało. Historię opowiedział mu ojciec, który ponoć zetknął się z nią w trakcie wyczerpujących badań. Michael nigdy nie znalazł jej w nielicznych książkach historycznych poświęconych przemysłowi i tej okolicy. Jednak ojciec twierdził, że tunel przypuszczalnie znajduje się mniej więcej tam, gdzie Michael dzisiaj kopał. Wiedział, że ojciec napisał o legendzie w jednym z artykułów o okolicznych kopalniach, ale Michael nie był w stanie znaleźć go w stercie papierów w ojcowskim gabinecie.

Ojciec Michaela, profesor geologii, hobbystycznie interesował się okolicznymi kopalniami oraz ich historią. Pragnąc udokumentować ten fragment dziejów regionu, sporo pisał, przeprowadzał wywiady z dawnymi mieszkańcami The Hollows, robił zdjęcia, zbierał wszelkie stare dokumenty, jakie zdołał znaleźć. Publikował artykuły w dziennikach i periodykach historycznych, miał nadzieję, że pewnego dnia napisze książkę. Nie był to jednak gorący temat. Mackowi nie udało się znaleźć wydawcy, nawet zainteresowanie jego artykułami z czasem przygasło. Mimo to nie przestawał pisać.

Michael miał pewność, że gdyby zdołał się przekopać przez sterty korespondencji, okólników, katalogów i niekończących się rachunków, tworzących istny mur wokół ojcowskiego biurka, znalazłby te artykuły,

które zawsze uwielbiał czytać. One musiały tam być. Ojciec najwyraźniej nigdy niczego nie wyrzucał.

Na Michaelu spoczywał też obowiązek wyprostowania spraw finansowych po ojcu. W tym celu miał się spotkać z prawnikiem, Hankiem Barrowem, starym przyjacielem jego i ojca. Ich niedawna rozmowa telefoniczna nie napawała optymizmem.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem, Michaelu – powiedział Hank. – Ale jego sprawy to finansowa katastrofa. Zamierzam podjąć się tej pracy nieodpłatnie. Po uregulowaniu rachunków za usługi medyczne doprawdy nie wiem, co zostanie dla ciebie i twojej siostry.

Jednak żadna z tych kwestii nie trzymała go w Hollows. Od lat przelotnie interesował się tunelami, a sprawy ojca mógł uporządkować na odległość. Ale gdy siostra powiadomiła Michaela, że ojciec jest chory i wkrótce umrze, a ona nie może (nie chce) przyjechać z dwojgiem dzieci, by pomóc, jakaś przemożna siła przyciągnęła go z powrotem.

Z tysiąca powodów zarówno siostra, jak i on oddalili się od ojca. Jednak Michael nie wracał po to, by coś naprawiać albo szukać spokoju. Poszukiwał odpowiedzi na pytania o zniknięcie matki, których nigdy nie ośmielił się zadać.

– Co się z nią stało, tato? – pytał w szpitalnym pokoju, gdzie umierał ojciec.

Mack spojrział na syna jak przez gęstą mgłę. W pokoju panował półmrok, tylko z korytarza sączyło się słabe światło. Mężczyzna na sąsiednim łóżku chrapał. Ojciec Michaela znajdował się w stanie paliatywnym, pozostały jedynie środki przeciwbólowe. Dla ciała tak podziurawionego przez raka nie było lekarstwa.

– Sam wiesz – powiedział. – Sam wiesz.

– Nie wiem – odparł Michael. – Tamtej nocy odeszła i nigdy więcej się do nas nie odezwała. Żadnego telefonu. Żadnej kartki. Szukałem jej całymimi latami, tato. Ona nie uciekła. Nie rozwiodła się z tobą, nie zmieniła nazwiska. Nigdy więcej nie podjęła pracy. Cara też jej szukała. Wynajęliśmy ludzi, żeby ją znaleźć.

Michael spojrział ojcu w oczy, ale nie miał pewności, czy Mack go widzi. Spojrzenie starego człowieka było nieostre i wodniste.

– Może cię nie kochała – powiedział Michael. – Może chciała od ciebie odejść. Ale kochała nas, Carę i mnie. Naprawdę nas kochała.

– Kochała nas – powtórzył ojciec, ale zabrzmiało to jak bezmyślne echo słów Michaela.

Michael nie wiedział, jak długo siedział przy ojcu, zasuszonym i pustym niczym liście otulające kolbę kukurydzy. Jak długo siedział, wsłuchany w rżący oddech ojca? Michael drzemał na krześle, zobaczył, że pielęgniarka z nocnej zmiany zagląda na chwilę i posyła mu smutny uśmiech. Uznała go za sumiennego syna, siedzącego przy ojcowskim łożu śmierci.

Ale on nim nie był. Był hieną cmentarną, czekającą, aż nocny stróż zaśnie na zawsze. Wtedy i tylko wtedy będzie mógł zatopić palce w ziemi i wykopać prawdę.

Willow widziała, że matce podoba się dyrektor szkoły Henry Ivy. Ostatnio Bethany miała chyba słabość do cudaków.

Mam już dość *cool* facetów, Willow. Teraz imponuje mi dobroć, szczerść, stabilność. Czyli nudziarz, parska, kiedy się śmieje, skończona lebiega. Co nie znaczy, że matka umawiała się na randki. Wszystkie jej spotkania wiązały się z pracą. Nie miała już nawet przyjaciół oprócz agenta, tak denerwującego, że Willow dziwiła się, jak ktokolwiek może go znieść.

Pan Ivy nie był może skończonym cudakiem, ale ten sweterek powinien sobie darować. Romby. Doprawdy? Poza tym mógłby coś zrobić z włosami. Na przykład trochę je zmierzwić. To staranne uczesanie, z przedziałkiem po boku, zdecydowanie do niego nie pasowało.

– Wiem, że trudno ci się pogodzić z przeprowadzką i przyzwyczać do nowej szkoły. Dlatego okażę wyrozumiałość. Co prawda, twoja przyjaciółka Jolie została w zeszłym tygodniu zawieszona za wagarowanie, ale to było jej trzecie przewinienie. Chyba nie musimy iść w jej ślady, jak sądzisz?

Willow energicznie potrząsnęła głową, zrobiła wszystko, by przywołać na twarz wyraz skruchy. Nie miałyby nic przeciwko zostaniu przez tydzień w domu, oglądaniu telewizji, wysypianiu się do woli. Oczywiście matka już by się postarała, żeby pobyt w domu zamienić w piekło. Dlatego równie dobrze mogła przychodzić tutaj.

– Szczerze doceniamy pańską wyrozumiałość, panie Ivy – zapewniła Bethany, grając dobrą, konserwatywną matkę. Na spotkanie z dyrektorem założyła nawet spódnice.

– Proszę mi mówić Henry.

„Rany Julek!”. Dyrektor robił maślane oczy, co często zdarzało się mężczyznom w obecności jej matki.

Willow rozejrzała się po gabinecie dyrektora, odrywając się od banalnej konwersacji matki z panem Ivym. Na ścianie wisiały zdjęcia: pan Ivy z uczniami, odbierający nagrodę, w przebraniu szkolnej maskotki, z łbem od kostiumu pumy pod pachą. Na półce królowały puchary, ale nie za osiągnięcia sportowe, tylko za szachy, konkursy naukowe, kluby dyskusyjne i podobne nudziarstwa.

– Ona jest dobrą uczennicą, panie Ivy... chciałam powiedzieć: Henry – mówiła matka. Wprost wychodziła ze skóry. – Jest bardzo bystra. Ale jest

jej ciężko.

– Wiem o tym. Widziałem jej wyniki. Nasi nauczyciele również dostrzegają w niej duży potencjał. Pan Vance wyraża się o niej w samych superlatywach, chwali jej czytanie, zdolności pisarskie. Myślę, że wspólnymi siłami możemy sprawić, by Willow dobrze sobie radziła.

Najwyraźniej pan Vance nie doniósł o jej niestosownym zachowaniu w klasie. Z jakiegoś powodu to sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej.

– Cieszę się, że tak pan na to patrzy – powiedziała Bethany, chyba nieco rozluźniona. – Ja również tak uważam.

Siedząc tam i spoglądając przez okno, jak dzieciaki zmierzają na boisko na farsę zwaną wychowaniem fizycznym, o której wszyscy wiedzieli, że jest usankcjonowanymi torturami dla każdego, kto nie ma szczupłej, atletycznej budowy, Willow to poczuła. Słuchając, jak matka i pan Ivy rozmawiają o jej zachowaniu, jej nauce, o *ich* oczekiwaniach, Willow poczuła znajome, mroczne smagnięcie gniewu. Zanurzyła się w zimną czerń, jaka rozwarła się w jej sercu.

Po raz pierwszy poczuła to, gdy pojęła, że ojciec oszedł i nie zamierza wrócić. Zrozumiała, że dzwonił, kiedy należało, pojawiał się, przysyłał pieniądze i prezenty. Ale oddalił się w sposób, w jaki ojcowie nigdy nie powinni oddalać się od swoich dzieci. W końcu zrozumiała to, co jej mówili, że mianowicie nie był jej prawdziwym, biologicznym ojcem. Cierpliwie wyjaśniali jej przez lata, że był jej ojczymem, ale wychodziło na jedno: rozumiała, że nie mógłby jej dłużej kochać, nawet gdyby była jego prawdziwą córką. Ale to nie była prawda. Jego miłość do Willow wiązała się nierozzerwalnie z jego miłością do jej matki. Kiedy przestał kochać Bethany, przestał też kochać Willow. Już nie chciał być jej ojcem.

W dniu, kiedy wreszcie sobie to uzmysłowiła, poczuła, jak to coś się w niej zagnieżdża – choć właściwie nie była to rzecz, ale potworna, szkaradna pustka. Willow nie walczyła z nią, chociaż coś jej szeptało, że powinna ze wszystkich sił ją odegnąć. Nie zrobiła tego jednak. Nie umiała. Przypominało to picie czegoś, co przyprawia cię o mdłości, ale ty lubisz to uczucie.

Gdy wchodziły do szkoły, Willow zobaczyła Jolie. Oparta o szafkę, uśmiechała się do niej tym swoim chytrym uśmieszkiem, który pytał: „Chcesz się upalić, mała?”. O tak, Willow miała na to ochotę, chciała odlecieć daleko, żeby cały świat stał się maleńką czarną kropeczką, odległą o milion kilometrów. Willow uwielbiała ten uśmieszek Jolie, kryjący w sobie tyle obietnic.

– Słuchasz, Willow?

– Tak, słucham. – Z powodu zaskoczenia warknęła ponuro, czego matka nie cierpiała. W ułamku sekundy twarz Bethany zmieniła wyraz z otwartego i pełnego nadziei na znużony i zawiedziony. Pewnie nikt poza Willow by tego nie zauważył, ale ona często widywała tę minę. Willow podejrzewała, że matka nawet nie zdaje sobie sprawy, co wyraża jej twarz. Nie robiła tego rozmyślnie, jak w przypadku miny surowej czy pod tytułem „usiłuję zachować cierpliwość”. Taki wyraz przybierała jej twarz, kiedy wszystkie inne maski zakładane przed Willow zawodziły.

– Koniec z wagarowaniem, Willow – powiedział pan Ivy. – Jeśli masz kłopoty, ciężki dzień, problemy z uczniami, nauczycielami, cokolwiek, przyjdź do mnie. Zawsze znajdę czas, żeby o tym porozmawiać.

Dyrektor mówił serio, widziała to w jego oczach. Nie był kłamcą, jak jej ojczym Rick z drogimi prezentami i przeprosinami „z głębi serca”. Pan Ivy nie chciał niczego w zamian, nie miał wyrzutów sumienia, które próbował uciszyć, ani nienasyconego ego.

– Dobrze – odparła. – Obiecuję, że to zrobię, panie Ivy.

Willow obdarzyła dyrektora nieśmiałym uśmiechem. Starła się przywołać minę „zakłopotana, ale się staram”. Pan Ivy chyba ją kupił, bo uśmiechnął się ciepło i skinął głową z aprobatą. Potem oparł się na krzesło. Siedząca obok Willow Bethany zrobiła wydech.

– Dobrze. Znakomicie – pochwalił pan Ivy.

– Cóż. – Bethany lekko klepnęła dłońmi o uda. – Czuję, że coś osiągnęliśmy.

Kłamstwa, udane kłamstwa zależały od czegoś więcej niż od samych słów. Chodziło także o ton, wyraz twarzy, mowę ciała. Najlepsze kłamstwa zawierały ziarno prawdy. Nieco szczegółów, ale nie za dużo. Nade wszystko jednak musiałaś sama wierzyć we własne kłamstwo. Musiałaś się nim stać.

Pierwsze kłamstwo Willow dotyczyło koncertu Britney Spears. Ojciec Willow – oczywiście zawsze tak o nim myślała, bo nie wiedziała, że jest inaczej – miał ją zabrać na koncert z okazji trzynastych urodzin. „Miejsca w pierwszych rzędach”, zapewniał. Rick usiłował wycygnąć od jednego z klientów przepustkę za kulisy, ale tamten nic nie obiecywał.

Willow opowiedziała wszystkim, przyjaciółki usychały z zazdrości, błagały, by zabrała je ze sobą. Prawdę mówiąc, wołałaby pójść z jedną z nich niż z ojcem. On jednak miał tylko dwa bilety, więc zabieranie przyjaciółki nie wchodziło w grę. Matka poszła z Willow do Betsey Johnson, gdzie kupiła jej nową bluzkę, potem do sklepu Lucky po nowe džinsy.

Willow czuła się bardzo dorosła; rzadko spędzała czas sam na sam z ojcem. Może więc pójdzie z nim na koncert nie było takim obciachem?

W wieczór koncertu Willow i Bethany jadły pizzę, czekając, aż ojciec wróci do domu. Puściły nową płytę z muzyką rockową, tańczyły w kuchni, udając, że łyżki to mikrofony. Rick miał wrócić o dziewiętnastej, ale kwadrans po wciąż go nie było. Bethany zadzwoniła do niego do pracy, zostawiła mu wiadomość na komórce.

– Rick, jeśli coś zatrzymało cię w pracy, daj znać. Przyjadę po bilety i sama ją zabiorę – słyszała słowa matki. On jednak nie oddzwonił ani nie przyszedł. Lęk szybko ustąpił miejsca miażdżącemu rozczarowaniu.

Dwudziesta przeszła w dwudziestą trzydzieści, potem w dwudziestą pierwszą, a Willow płakała na kolanach matki. Nie po raz pierwszy nie przyszedł do domu na czas. Już dawniej nie dotrzymywał obietnic, nie stawiał się na spotkania. Ale pierwszy raz zrobił to Willow. Zazwyczaj to Bethany czekała wystrojona, zasypiała na kanapie, odsyłała opiekunkę. Willow pamiętała, że nie martwiły się o niego, nie obawiały się, że stało się coś strasznego.

W swoim pokoju zobaczyła w komórce mnóstwo SMS-ów od przyjaciółek. „I jak jest??? O, Boże, umieram z zazdrości!!! Przyślij zdjęcie, jak jesteś ubrana!!!”. Willow mogłaby zadzwonić do każdej z nich i zacząć się wypłakiwać na temat ojca. Nikt by jej nie osądził; żadna z przyjaciółek nie mieszkała z obojgiem biologicznych rodziców. Wszystkie zdążyły przywyknąć do bólu i rozczarowań związanych z rozwodem, z okropnymi utarczkami prawnymi o opiekę nad dzieckiem, z łączeniem rodzin. Mimo to nie zadzwoniła. Nie mogła w ten sposób stracić twarzy; to przecież ona miała idealną rodzinę – sławną mamę, odnoszącego sukcesy ojca, chirurga plastycznego. Willow napisała grupowego SMS-a: „Jest niewiarygodnie!!! Szkoda, że was tu nie ma! Jutro zdjęcia!”.

Właśnie wysłała wiadomość, gdy w drzwiach pokoju stanęła matka.

– Tak mi przykro, Willow.

– To nie twoja wina, mamo.

Jednak twarz matki powiedziała Willow, że Bethany jak zwykle potraktowała sprawę osobiście. To sprawiło, że Willow poczuła się jeszcze gorzej. Z tamtej nocy nie zapomniała niczego, ale przede wszystkim zapamiętała, że kiedy leżała w łóżku, ogarnął ją potworny, jątrzący smutek.

Okolo północy usłyszała, jak ojciec wraca do domu.

– Chryste, Beth. Zapomniałem. Zatrzymali mnie w pracy.

– Pieprzysz, Rick. W ogóle miałeś bilety?

Willow ukryła głowę pod poduszkami, by zagłuszyć narastające głosy rodziców. Potem na pewien czas zapadła cisza. Właśnie gdy Willow odpływała w sen, usłyszała trzask drzwi wejściowych i płacz matki.

Nazajutrz Willow opowiedziała przyjaciółkom o koncercie, wykorzystując szczegóły z blogów i filmów w internecie. Nie, tacie nie udało się zdobyć przepustek za kulisy. Za to opowiedziała, jak poznała pewnego supergościa, kiedy tata poszedł do toalety. Willow podała temu chłopakowi swój adres mailowy, bo nie chciała mu dawać numeru telefonu. Chłopak, imieniem Rainer, uwierzył, kiedy powiedziała, że ma szesnaście lat. Willow opowiadała przyjaciółkom, że po koncercie tata zabrał ją na burgera i koktajl, do domu wrócili dopiero po północy. W życiu tak super się nie bawiła.

Wszystko to było prawdą. *Powinna* tam być – wyobrażała sobie każdy szczegół, słyszała muzykę, czuła podniecenie. *Była* tam. Jej kłamstwo mówiło prawdę, opowiadało o tym, co powinno było się zdarzyć. Nikt nie miał nawet cienia wątpliwości. Bo niby czemu?

Zmyślenie pozwoliło Willow nieco ukoić rozpaczliwy smutek, jak gdyby odebrała coś, co jej zabrano. Prawda była po prostu zbyt żałosna. Kłamiąc tamtego dnia, doznała poczucia niezwyklej mocy. Oto nie potrafiła zapanować nad żadną sferą własnego życia: ani nad powtarzającą się, coraz częstszą nieobecnością ojca, ani nad rozpadem małżeństwa rodziców. Mogła za to panować nad opowiadaniem o tych sprawach.

Wcale nie czuła wyrzutów sumienia z powodu zawiści na twarzach przyjaciółek ani z powodu kolejnych kłamstw, którymi musiała podtrzymywać prawdę. A co ze zmyślonym chłopcem, poznanym na koncercie, na który nigdy nie poszła? Nazajutrz o niego wypytywały. Napisał do niej maila? Pewnie, że tak.

Willow nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, że tamto pierwsze kłamstwo zacznie się rozrastać. Nie potrafiła wyobrazić sobie konsekwencji.

– Willow? Czy ty słuchasz?

– Naturalnie – odparła. – Słucham.

Matka i dyrektor przyglądali się dziewczynie. Willow wyprostowała się, bo wcześniej bezwiednie oklapła na krześle.

– Obiecuję. Dam z siebie wszystko. Chcę się poprawić.

Willow naprawdę tego chciała. Przynajmniej w tej chwili pragnęła być kimś, z kogo matka i dyrektor mogliby być dumni. Z gabinetu pana Ivy'ego wyszła w dobrym, optymistycznym nastroju. Kiedy uścisnęła matkę na pożegnanie i ruszyła na lekcję matematyki dla zaawansowanych, święcie

wierzyła we wszystko, co powiedziała.

Ale pod koniec dnia znowu tonęła w znajomych czarnych myślach. Na lekcji wychowania fizycznego sponiewierano ją podczas meczu softballu, kiedy potknęła się i zawałała obiegnięcie trzech baz. Podczas lunchu usiadła sama, żeby poczytać, ale musiała znosić szydercze chichoty, szepty i spojrzenia suk w markowych ciuchach. Dawniej Willow i Jolie jadły lunch o tej samej porze, ale gdy Jolie wróciła do szkoły po zawieszeniu, najwyraźniej wyznaczono jej inną przerwę. Willow była niemal pewna, że maczał w tym palce pan Ivy, chcąc zminimalizować wpływ Jolie. W towarzystwie przyjaciółki Willow lepiej radziła sobie z harpiami, wydawały się niemal zabawne, gdy Jolie wytykała ich wady: Lola miała gruby tyłek; Stacey była płaska jak deska; Emma często wpadała w złość. Nie była to jednak do końca prawda. Po prostu Jolie siliła się na dowcip. Bez łagodzącej obecności przyjaciółki Willow przesadnie skupiała się na uprzykrzonych jędzach. Co w nich takiego było? Geny? Jakim cudem miały tak jedwabiste włosy, aksamitną skórę, nienaganne ciała? I co sprawiało, że były takie okropne? Takie wredne? Czy dlatego, że ich uroda pełniła funkcję zbroi? Mogły ranić innych, ale ich nie mógł nikt zranić? Jakiegokolwiek wady skrywały, nikt nie mógł głośno o nich mówić, co doprowadziłoby suki do płaczu.

Na marginesie zeszytu Willow nabazgrała: Kije i kamienie mogą mi połamać kości. Od słów może pęknąć mi serce.

W laboratorium zupełnie się wyłączyła, zresztą i tak nie przeczytała zadanego materiału. Nauczyciel postawił jej zero, więc teraz, jeśli Willow chciała, by zostało skreślone, musiała wykonać dodatkowe zadanie.

Kiedy znalazła się przy szafce i zaczęła wyjmować ubranie przed powrotem do domu, z trudem powstrzymywała łzy gniewu i frustracji.

– Ciężki dzień? – usłyszała za sobą kpiarski głos, w którym kryło się zaproszenie.

– Nie bardziej niż zwykle – skłamała, po czym z uśmiechem odwróciła się do Jolie.

– Widziałam, jak wchodzisz z mamą. Wyglądałaś załóżnie. Nadal tak wyglądasz. Nie pozwól im na to, dziewczyno. Nie daj się złamać.

Willow wzruszyła ramionami. Jolie obgryzała skórę przy paznokciu i przyglądała się jej migotliwymi zielonymi oczami spod rzęs pomalowanych ciemnym tuszem. Willow spostrzegła, że czarny lakier na paznokciach Jolie złuszczył się do maleńkich plamek.

– Podoba mi się twój płaszcz – powiedziała Willow. Czarny, wełniany,

miął ogromne guziki i rozchodził się skośnie ku dołowi w kształcie litery A.

– Z Armii Zbawienia – odparła Jolie i wykonała piruet. – Dwanaście dolców. Fajny, prawda?

Płaszcz byłby fajny, gdyby nie pokrywały go plamy i biała sierść. Podobnie rzecz się miała z samą Jolie. Nie brakowało jej urody, ale sprawiała wrażenie niedomytej. Z gładką białą cerą kontrastował trądzik na podbródku. Kruczoczarne włosy wiecznie prosiły się o umycie. Na widok Jolie Willow zawsze czuła lekkie świerzbienie.

– Przejdźmy się – zaproponowała przyjaciółka.

– Muszę wracać do domu. Obiecałam mamie i panu Ivy’emu, że bardziej przyłożę się do nauki.

– To zadzwoń do mamy i powiedz, że idziesz do biblioteki się uczyć. Wrócisz późnym autobusem.

Znowu ten uśmiech. Willow lubiła Jolie, w jej towarzystwie czuła się swobodnie, na luzie. Nie miała potrzeby zmyślenia, by poczuć się dobrze.

– No chodź – ponagliła Jolie, delikatnie trącając Willow ramieniem. – Później możesz się uczyć. Chcę ci kogoś przedstawić.

Willow zadzwoniła więc do mamy, która sceptycznie odniosła się do pomysłu, ale była akurat na tyle zmęczona, by odpuścić. Potem Willow i Jolie na pewien czas zacumowały w bibliotece. Otworzywszy podręczniki, udawały, że są zatopione w nauce, wymieniały się notatkami, czekając, aż Bethany zatelefonuje, by je sprawdzić, co istotnie zrobiła po kwadransie. Willow usłyszała, jak bibliotekarka, pani Teaford, mówi:

– Jest tutaj, pani Graves. Uczy się pilnie.

Jolie ukryła twarz w ramionach, żeby nikt nie zobaczył, jak zanosi się od śmiechu. Wykorzystując chwilę, gdy pani Teaford była zaabsorbowana falą uczniów, którzy wypożyczyli książki i zasypywali bibliotekarkę pytaniami („Co za matoly!”), Jolie i Willow się wymknęły. Roześmiane, pobiegły długim szarym korytarzem, bocznymi drzwiami wypadły na dwór, powitało ich chłodne powietrze, niosąc śmiech przyjaciółek ku niebu. Willow nie wiedziała nawet dokładnie, dlaczego się śmieje, ale po raz pierwszy tego dnia dobrze się czuła. Do odjazdu autobusu pozostało półtorej godziny; tyle miała czasu, aby być sobą. Potem wróci do domu i spróbuje stać się tym kimś, kogo chcieli w niej widzieć inni.

Na pierwszy rzut oka Jones nie powiedziałby, że Paula Carr jest piękna. Nie należała do kobiet, na które chce się spojrzeć ponownie. Nie skłaniała do trzypunktowej oceny: twarz, piersi, tyłek – niekoniecznie w tej kolejności. Paula była mamą, miała stylowe, krótko przycięte brązowe włosy, ale za cały makijaż służył jej błyszczący na wargach. Nosila wyblakłe dzinsy, sweter z golfem i obuwie sportowe, w czym nie było nic ekstra czy seksownego. Jednak po dwudziestu minutach siedzenia obok niej i słuchania nerwowych wypowiedzi Pauli, patrzenia, jak karmi łyżką córeczkę, wyciera blat, gotuje jajka na twardo, potem odkłada małą do łóżeczka i siada z herbatą dla nich obojga, stwierdził, że fascynują go jej duże różowe usta, wydatne kości policzkowe, głębia ciemnych oczu.

– Przepraszam – powiedziała, w końcu siadając. – Pewnie zastanawia się pan, czemu pana zaprosiłam.

Owszem, zastanawiał się. Kiedy oddzwonił do Pauli Carr, poprosiła, by wpadł do niej następnego dnia wczesnym popołudniem.

– Oczywiście zapłacę za pański czas – zapewniła. – Córeczka będzie spała, a dwaj starsi chłopcy nie wrócą jeszcze ze szkoły – mówiła przyciszonym głosem, jakby nie chciała, żeby ktoś podsłuchał, a może z powodu śpiącej małej. Jones nie miał pewności. Zadzwoił do Pauli, żeby powiedzieć, że właściwie nie zajmuje się domami poza obrębem swojego kwartału, ale miała w głosie coś takiego, że pod koniec rozmowy zapewnił, że oczywiście przyjdzie.

– Nigdy nie potrafisz odmówić damie w tarapatach – stwierdziła Maggie.

– Skąd wiesz, że jest w tarapatach? Może po prostu chce, żeby ktoś podlewał jej kwiatki, bo wybiera się odrzutowcem na Karaiby.

– O coś takiego poprosiłaby przez telefon.

Paula nie przystąpiła natychmiast do rzeczy, więc Jones zdjął marynarkę. W nasłonecznionej jadalni było mu za gorąco. Paula utkwiała wzrok w kubku, zaczęła wodzić po brzegu krótkim paznokciem. Na lewej ręce nosiła pierścionek ze sporym, ładnym diamentem. Mężatka, może niezbyt szczęśliwa w związku. Jones nie potrafiłby wyjaśnić, czemu pomyślał, że Paula Carr nie jest szczęśliwa w małżeństwie. W samym domu też było coś

dziwnego, ale i tego nie umiał dokładnie określić.

– Szesnastoletni syn mojego męża z pierwszego małżeństwa przyjechał do nas na lato. To miał być krótki pobyt.

– Rozumiem.

– Początkowo mocno się tym niepokoiłam. Chodzi o to, że Kevin cały dzień jest w pracy. Miałam przez całe lato siedzieć z tym chłopakiem? Mam dwoje małych dzieci, więc jestem już wystarczająco zarobiona. Ale co mogłam począć? Jego matka przeżywała trudny okres, Cole potrzebował ojca. No więc oczywiście przyjechał.

Paula spojrzała w sufit, Jones powiódł za nią wzrokiem, aż pojął, że w ten sposób powstrzymywała się od płaczu. Po chwili opuściła wzrok z uśmiechem zakłopotania, ale zdołała pohamować łzy.

– Przepraszam. – Chyba po raz czwarty odkąd przyszedł, przepraszała go za jakiś drobiazg. Przeprosiła za to, że otworzyła drzwi po minucie, że nie nadążała z obowiązkami związanymi z córeczką, że nie poczęstowała go od razu herbatą. Jonesowi wydało się dziwne, że ktoś, kto ma tak niewiele powodów do przeproszania, jest tak do tego skory.

– Wszystko gra – zapewnił. – Proszę się nie spieszyć.

Paula łyknęła herbaty.

– W każdym razie Cole przyjechał. I wie pan co? Jest aniołem. Przez całe lato pomaga mi w domu. Świetnie sobie radzi z dziećmi. Po kilku tygodniach zaczęłam go zostawiać z Cammym, moim starszym, podczas gdy ja wyskakiwałam do sklepu z małą. Matka Cole'a to katastrofa, ale coś musiała zrobić dobrze, bo ten chłopak to skarb.

– Świetnie – powiedział Jones. – To mogłaby być trudna sytuacja.

Nadal nie miał pojęcia, czego chciała ta kobieta. Jeśli jednak lata pracy w policji i małżeństwo czegokolwiek go nauczyły, to tego, że kobiety chcą się zbliżyć do sedna okrężną drogą. Jeśli masz głowę na karku, trzymaj gębę na kłódkę.

– Cole miał wrócić do New Jersey pod koniec lata. Matka, Robin, miała go odebrać piętnastego sierpnia. Ten dzień jednak nadszedł i minął, ale ona się nie pojawiła. Jej telefon stacjonarny odłączono. Poczta głosowa na jej komórce była przepełniona. W następny weekend Cole i Kevin pojechali do niej, ale dowiedzieli się, że została eksmitowana. Po rzeczach w mieszkaniu nie pozostało ani śladu. Parę tygodni wcześniej była żona Kevina przestała się pojawiać w pracy.

– Kiedy Cole po raz ostatni rozmawiał z matką?

– Mówił, że parę dni przed tym, jak miała po niego przyjechać,

zadzwoiła do niego na komórkę i wszystko wydawało się w porządku.

– Wierzy pani w to?

– Nie mam powodu nie wierzyć. – Paula wzruszyła ramionami.

– Czyli... co? Narkotyki?

– Szczerze mówiąc, nie wiemy. Kevin nie miał zbyt wiele kontaktów z Cole'em ani z jego matką. To trochę smutne, ale ona nie chciała widzieć Kevina.

– Dlaczego? – zainteresował się Jones.

– Naprawdę nie wiem. – Paula szybko odwróciła wzrok.

Ale Jones widział, że wiedziała, wiedziała doskonale.

Paula znów spojrzała pośpiesznie w sufit.

– Kevin mówił, że w ciągu ostatnich kilku lat przewinęło się sporo różnych facetów. Ostatni, z którym zadawała się Robin, nie życzył sobie obecności Cole'a. Właśnie dlatego przyjechał do nas na lato. Kevin uważa, że Robin uciekła z tym gościem, kimkolwiek był.

– Skąd niby to wie, skoro nie kontaktował się z byłą żoną? – spytał Jones.

– Nie jestem pewna. – Paula wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową.

– Co mówi Cole?

– Spytałam go, kiedy Kevin był w pracy. Powiedział, że matka umawiała się czasami na randki, ale to nie było nic poważnego. Jeżeli powiedziała Kevinowi o facecie, który nie chciał mieć Cole'a w pobliżu, to przecież Cole nikogo takiego nie spotkał. Bo Kevin tak to przedstawił, jakby Robin mu się zwierzyła. Co wydaje się dziwne. – Paula wypuściła powietrze i zaczęła obracać ślubną obrączkę.

Żadnych zdjęć. O to chodziło. Na ścianach, na obmurowaniu kominka, na półkach nie widział żadnych zdjęć... Ani śladu idealnych fotografii ślubnych czy słodkich fotek dzieci. Żadnych zdjęć z wakacji. Poza tym na żadnej z powierzchni nie dostrzegł nawet drobinki kurzu, na podłodze nawet okruszka. W domu z trojgiem dzieci? On i Maggie mieli jedno dziecko, a ich dom wyglądał jak świątynia Ricky'ego. Kiedy dorastał, w domu zawsze panował bałagan; nigdy nie było brudno, ale wszędzie walały się zabawki, sprzęt, kostiumy, namioty, trzykołowe rowerki, słowem wszystkie akcesoria dzieciństwa.

– Pani Carr – powiedział Jones. – Czego pani ode mnie oczekuje?

– Zastanawiałam się, czy mógłby pan nam pomóc w odszukaniu matki Cole'a.

Jones zaczął potrząsać głową, chciał powiedzieć, że nie zajmuje się

takimi sprawami. Ona jednak błędnie odczytała jego reakcję jako dezaprobatę. Uniosła ręce.

– Nie chodzi o to, że chcemy, żeby od nas wyjechał. Proszę tak nie myśleć. Rzecz w tym, że on jest taki smutny. Tak strasznie smutny. W zeszłym tygodniu miał urodziny: nie dostał kartki, nikt nie zadzwonił. – Tym razem Paula nie próbowała zatrzymać łez, pozwoliła im płynąć. Z kieszeni wyciągnęła chusteczkę higieniczną, otarła łzy i nos.

– Pani Carr, istnieje szansa, że ona wróci sama, pewnie przed świętami – powiedział Jones.

Paula utkwiała wzrok w stole, po czym spojrzała na Jonesa.

– Widzi pan, to dobry chłopak. Ona cudownie go wychowała, najwyraźniej go kochała. Nie poznałam jej, Kevin nigdy nie chciał, żebyśmy się spotkały. Więc sama nie wiem, może naprawdę jest taką kobietą, która może porzucić syna dla nowego faceta. Albo nadużywa narkotyków. Możliwe też, że coś jej się stało. Przecież to nie brzmi normalnie, prawda?

Kobieta wpatrywała się teraz w niego żarliwie, pochyliła się w przód na krześle. Po wyrazie jej twarzy, nawet po sposobie trzymania ramion Jones widział, że pani Carr jest z gruntu miłą osobą. Podczas pracy w policji spotykał najróżniejsze typy ludzkie. Niektórzy od razu zapowiadali się źle – próżni, pozbawieni sumienia, złośliwi, dosłownie kipieli złymi zamiarami. Uczciwych, przestrzegających prawa ludzi, którzy postępowali właściwie, spotykało się całkiem często. Ale autentycznie dobrzy i niewinni, którzy myśleli o innych, a siebie stawiali na szarym końcu, jak Paula Carr, stanowili rzadki gatunek.

Ten tok rozumowania przypomniał Jonesowi pytanie, jakie zadał mu pewien zagubiony chłopak. „Skąd wiesz, czy jesteś dobrym człowiekiem, czy złym?”. Ostatnio sporo o tym myślał, ale bynajmniej nie zbliżył się do odpowiedzi. Podejrzewał jednak, że w przypadku większości ludzi prawda wychodziła na jaw dopiero na sam koniec. Może zresztą nawet nie wtedy. Może odpowiedź była inna w każdej chwili, różniła się z dnia na dzień. Kto prowadził rejestr? Kto podsumowywał twoje wyniki na koniec rozgrywki? Jones nawet nie udawał, że wie.

– Czy mylę się, sądząc, że nie chciała pani, by ktokolwiek dowiedział się o naszej rozmowie? – spytał Jones.

– Nie – odparła i zobaczył, jak na jej szyi pojawia się rumieniec. – Nie myli się pan.

– Dlaczego?

– Cóż, po pierwsze nie chcę, żeby Cole pomyślał, że nie jest tu mile

widziany. Poza tym nie chcę rozbudzać jego nadziei. – To były dwa powody. Zazwyczaj taka lista składała się z trzech punktów. Pozycja numer trzy była prawdziwym powodem.

– A Kevin... – Paula potrząsnęła głową, nie kończąc zdania, jakby nie wiedziała, co miałyby dodać. Potem: – Jemu by się to nie spodobało. Jego obchodzi to, co go obchodzi, i na tym koniec. Chce, żeby Cole został z nami. Poza tym chyba nie bardzo dba o to, co się stało z Robin.

„Jego obchodzi to, co go obchodzi, i na tym koniec”. Jones obracał to zdanie w myślach, raz po raz wsłuchując się w sens słów. Nigdy nie spotkał Kevina Carra, ale nabrał pewności, że gdyby kiedyś do tego doszło, nie przypadliby sobie do gustu.

– Nie jestem prywatnym detektywem, pani Carr.

– Myślałam, że pan nim jest. – Przechyliła głowę i otworzyła szerzej oczy.

– Kto tak pani powiedział?

Paula ściągnęła usta w ciup, spuściła wzrok.

– Dostałam namiary na pana od Pedersenów. Powiedzieli, że jest pan emerytowanym gliniarzem, który teraz zajmuje się czasem prywatnymi dochodzeniami.

Z monitora w kuchni rozległo się gaworzenie niemowlęcia.

– Owszem, jestem emerytowanym detektywem. Jednak głównie opiekuję się domami ludzi, którzy wyjeżdżają na wakacje, karmię zwierzęta, wpuszczam monterów.

Paula najwyraźniej nie usłyszała drugiej części jego wypowiedzi albo nie chciała przyjąć jej do wiadomości.

– Czyli gdyby pan zechciał, mógłby pan zadzwonić w kilka miejsc? Ciągłe pan zna kogo trzeba, tak? Mógłby pan to zrobić?

Z jakiegoś powodu Jones przytaknął. Może dlatego, że była taka młoda i ładna, tak bardzo mu ufała. A może Maggie miała rację, twierdząc, że Jones nie potrafił odmówić damie w tarapatkach. Paula Carr z całą pewnością wpadła w tarapaty, choć nie wiedział, czy wiązały się one z przedstawioną mu sprawą, czy z czymś innym. Ale coś w niej wzbudzało jego niepokój. Nie powiedziałałby, że wyczuwa w niej pogardę dla samej siebie, jaka towarzyszy wykorzystywanym kobietom, ale było w niej jakieś napięcie, jakiś niepokój.

– Oczywiście zapłacę panu. Mam własne pieniądze. – Nieznacznie wysunęła podbródek. – Nie zawsze byłam tylko mamą.

Jones uśmiechnął się i w ostatniej chwili powstrzymał się przed poklepaniem jej po dłoni, na co miał ochotę.

– W byciu mamą nie ma nic niewłaściwego. To najważniejsza praca na świecie.

– Tak mówią. – W jej głosie zabrzmiała wyraźna gorycz. Potem Paula zmusiła się do uśmiechu. – Co nie znaczy, że nie uwielbiam być mamą.

Potem zamknęła się w sobie, zapatrzyła w dal. Jones poczuł, jak coś się w nim zapada. Po prostu nie mógł stąd odejść, przynajmniej nie próbując jej pomóc.

– Będę potrzebował od pani paru rzeczy – powiedział wbrew własnej woli. Z kieszeni wyjął notes, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Zrobi pan to? – rozpromieniła się nieco.

– Podzwonię. To naprawdę wszystko, co mogę zrobić.

Jones otworzył notes, przewertował: lista rzeczy z supermarketu Home Depot, numery rejestracyjne podejrzanego samochodu, który kilkakrotnie widywał w sąsiedztwie, produkty, o których kupienie prosiła Maggie.

– A pańskie honorarium? – spytała.

– Proszę się o to nie martwić – machnął ręką Jones. Nie lubił, gdy ludzie proponowali mu pieniądze, bo czuł się wtedy jak ktoś małostkowy. – Jeśli poniosę koszty, pani mi je zwróci. Zanim je poniosę, skonsultuję się z panią.

– Dziękuję, panie Cooper. Serdecznie panu dziękuję.

– Będę potrzebował pełnego imienia i nazwiska, ostatniego adresu zamieszkania, numeru telefonu i ubezpieczenia, jeśli go pani ma. Ostatni pracodawca, znani znajomi. Od tego powinniśmy zacząć.

– Zgoda. Zapiszę wszystko, co mam. – Paula Carr pospiesznie wstała od stołu i wyszła z pokoju.

– Niczego nie obiecuję, pani Carr! – zawołał za nią.

– Wiem! – odkrzyknęła. – Wiem!

Zakładając marynarkę w słonecznej jadalni, myślał o tym, jakie to naturalne. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy z niepokoju, jaki odczuwał w dni, kiedy nie miał nic do roboty, jak ciążyła mu pustka domu i przyziemne czynności. Po raz pierwszy od roku, może nawet od jeszcze dłuższego czasu, Jones czuł się szczęśliwy.

Półtora kilometra od szkoły, przy krętej piaszczystej drodze znajdował się stary cmentarz otoczony niskim, rozsypującym się kamiennym murem. Jolie kiedyś już zaprowadziła tam Willow i wypaliły połówkę skręta, którego Jolie zwędziła z kurtki brata. Zamroczone, spacerowały, chichocząc, wśród koślawych nagrobków, zerkały na wyblakłe nazwiska i smutne epitafia:

Annabelle Lenik, ukochana córka, urodzona w 1912 roku, zmarła w 1914.
Śpiewa z aniołami

Samuel Abrams, oddany mąż, ojciec i syn, urodzony w 1918 roku, zmarł
w 1948.

Z honorem i miłością wykonywał swoje obowiązki

Oraz wiele, wiele epitafiów zatartych tak, że nie dało się ich przeczytać, grobów ukrytych w plątaninie chwastów. Początkowo cmentarz wydał się Willow bardziej smutny niż niesamowity, ponieważ tamten pierwszy dzień był słoneczny i upalny. Na północnym krańcu stał stary oszalowany dom z zabitymi oknami i kłódką w drzwiach. Tabliczka na drzwiach przestrzegała, że dom grozi zawaleniem.

– Jest nawiedzony – powiedziała jej Jolie podczas ostatniej wizyty na cmentarzu.

– Pewnie – odparła Willow.

– Nie, serio. Nocny stróż zabił się tutaj.

– Rozumiem.

– Mniej więcej dwa lata temu – dodała Jolie i otworzyła szeroko oczy. Willow czekała na szelmowski uśmieszek, ale się nie pojawił. – Nie zdołali nikogo namówić, żeby tu pracował. Dlatego taki tu bałagan.

Jolie kopnęła puszkę po piwie, która zagrzecotała o jeden z pochylonych nagrobków. Willow przeszył dreszcz.

– Ten stróż się zastrzelił. A ludzie, którzy próbowali tu po nim pracować? Widywali go, jak chodzi po cmentarzu, szukając kawałków swojego mózgu.

– Tę informację Jolie przekazała z posępną powagą.

– Daruj sobie – powiedziała Willow. Jednak obraz poruszył jej

wyobraźnię, a Jolie uśmiechała się jak wariatka. Willow zaśmiała się niepewnie. – Daruj sobie – powtórzyła. Zaprzagnęła opuścić cmentarz, trawa już zupełnie przestała działać.

– Niezła afera, co?

Jak się okazało, Jolie nie chciała tylko nastraszyć przyjaciółki. Wieczorem, po powrocie do domu, Willow odszukała tę historię w Google'ach. Wszystko, co mówiła Jolie, okazało się prawdą, włącznie z faktem, że nikt nie chciał tam teraz pracować, a zabytkowe miejsce niszczyli nocni wandale. Od tej pory ilekroć Willow przejeżdżała z matką obok cmentarza, wstrzymywała oddech. Zmarli chcieli ci wykraść powietrze z płuc. Czy ktoś jej tego nie mówił?

Willow nie paliło się do ponownych odwiedzin na cmentarzu. Już za pierwszym razem nie czuła się dobrze, nawet przed ponurą opowieścią Jolie. Wszystkie te żywoty, zredukowane do zarośniętych trawą miejsc, o które potykały się upalone nastolatki, śmiały się z nich. W ten sposób okazywało się brak szacunku; jej matka zmarszczyłaby się na podobną arogancję. Przecież życie tych ludzi było więcej warte.

Jednak Jolie lubiła cmentarz. Tak więc tego dnia, kiedy przyjaciółka przycupnęła na schodach starego domu, Willow usiadła przy niej. Nie chciała, żeby Jolie pomyślała, że się boi, że jest tępą krową. Dziewczyna formułowała surowe sądy, od których potem nie odstępowała: Jayne to wywłoka, Chloe jest kretynką, Britney to suka. Na razie Jolie uważała chyba, że Willow jest dość fajna. Willow pragnęła, by tak pozostało.

Jolie wyjęła z kieszeni zapalniczkę oraz pęsetę z końcówką skręta. Chłodne powietrze szczypało Willow w policzki, w nos, w opuszki palców.

– To wszystko, co mogłam mu podwędzić. – Jolie przepaszająco wzruszyła ramionami. Miała na myśli brata.

Willow o to nie dbała. Odlatywała nawet po małej ilości trawy. Jolie zapaliła, zaciągnęła się głęboko, potem przekazała skręta przyjaciółce. Willow poczuła jedynie palącą się bibułkę, żar oparzył jej wargi. Mimo to zatrzymała dym w płucach – tylko skończona kretynka tego nie potrafiła. Gorąco rozlało się po jej gardle. Zamiast uczucia ciepła, jakiego pragnęła, zebrało się jej na mdłości i przypomniała sobie, że prawie nic nie jadła na lunch. Przyjaciółki oparły się o siebie i przez dym zobaczyły na ulicy ciemną postać.

– To on – powiedziała Jolie.

– Kto?

– Chłopak, którego chciałam ci pokazać. Cole. Kumpluje się z moim

bratem.

Willow patrzyła, jak chłopak nadchodzi wolnym, skradającym się krokiem, który przywodził jej na myśl stąpanie wilków, posuwiste, swobodne, ale przy tym rozmyślne. Nieznajomy nadchodził, a ona słuchała śpiewu sikory wśród drzew. Na tle rozświetlonych, niewyraźnych zawołań innych ptaków ten odgłos brzmiał niemal ludzko, jakby ktoś dopominał się o uwagę.

– On ci się podoba? – spytała Willow.

– Nie, nie w ten sposób. Za młody dla mnie.

Willow wiedziała, że Jolie spotyka się ze starszymi chłopakami, czasem z innych miasteczek. Tak przynajmniej mówiła. Wyglądała tak, jakby wiedziała już o sprawach, o których wiedzieć nie powinna. Jakby robiła rzeczy, których dziewczyna w jej wieku nie powinna robić. Willow pomyślała, że jest w tym coś smutnego, nawet jeśli Jolie zdawała się przez to obyta i równa. „*Ona ma stare oczy*”, stwierdziła matka Willow. Choć Willow nie wiedziała dokładnie, co to znaczy, miała ogólne pojęcie.

– Pomyślałam, że może on ci się spodoba – powiedziała Jolie smutno, jakby oddawała jej coś, czego może wcale nie chciała oddawać.

– Dlaczego?

Jolie nie odpowiedziała od razu, ale spojrzała na swoje szczupłe łydki, wycignęła je przed sobą. Z boku czarnych rajstop biegło długie oczko.

– Po prostu miałam takie przeczucie.

Willow spojrzała w oczy przyjaciółki, niesamowicie zielone w popołudniowym słońcu. Nie potrafiły wyjaśnić przyczyny, ale obie wybuchły śmiechem.

– On jest naprawdę miły – wykrztusiła Jolie między atakami śmiechu. – Taki miły jak ty. – Słowo „ty” zabrzmiało jak zduszone wycie.

Willow zgięła się wół i skrzyżowała nogi, żeby się nie zsikać.

„Czy to dobre być kimś miłym?”, zastanawiała się mimo histerycznego śmiechu. Czy to właściwe? Czy naprawdę była miła?

– Co was tak śmieszy?

Chłopak był ciemną smugą w słońcu, cieniem. Willow uniosła dłoń, by przesłonić światło za jego plecami. Wtedy poczuła, jak coś chwyta ją za trzewia. Gdyby stworzyła chłopca, gdyby wyobraziła sobie kogoś, kto najbardziej by jej się podobał – a robiła to już, więc raczej powinna wiedzieć – nie stworzyłaby nikogo piękniejszego niż Cole. Podnosząc na niego wzrok, zobaczyła, że odwzajemnił jej spojrzenie z nieśmiałym uśmiechem, i poczuła, jak śmiech zamiera jej w gardle.

– Upaliłyście się? – zapytał.

Jolie wzięła się w garść na tyle, by udać oburzenie.

– Skąd – odparła, po czym znowu zaniosła się śmiechem.

– Powiem twojemu bratu, że kradniesz mu trawę – oświadczył Cole, patrząc w niebo.

– Nie zrobiłbyś tego.

Po sposobie, w jaki Jolie szczyrzyła do niego zęby w uśmiechu, i po tym, jak odwzajemniał uśmiech, Willow widziała, że Cole już jest pod urokiem Jolie, oczarowany jej unikalną magią. Kiedy przeniósł piwne oczy na Willow, pożałowała, że nie jest ładniejszą, fajniejszą, ekstralaską jak Jolie. Ale nie była, była tylko Willow.

– Cześć – powiedział i wyciągnął rękę, co uznała za głupawy, a zarazem uroczy gest. Dobrze wychowany, jak by powiedziała jej matka. – Jestem Cole.

Willow ujęła jego dłoń i zdała sobie sprawę, że patrzy na srebrzyste niebo, na opadające złoto-pomarańczowe liście, widzi, że ziemia ma już twarde, martwy wygląd, choć zima jeszcze nie nadeszła; patrzyła wszędzie tylko nie na jego twarz.

– Jestem Willow.

– Ładne imię.

Już zaczęła wyjaśniać, że to imię rodzinne, po babci, która była sławną tancerką w latach czterdziestych. Ale to nie była prawda, więc Willow zamknęła usta przed kłamstwem. Doktor Cooper, psychoanalityczka, do której chodziła, odkąd przyjechały do Hollows, poradziła:

– Jeżeli czujesz potrzebę powiedzenia czegoś, co nie jest prawdą, po prostu spróbuj zachować milczenie i przyjrzyj się uczuciom, które cię do tego popychają. Pamiętaj też, że nie musisz być nikim innym, niż jesteś. To wszystko.

– Dzięki. – Zapadło niezręczne milczenie, które zapragnęła wypełnić. – Mama nadała mi to imię na cześć postaci z jej ukochanego filmu. – To akurat była prawda. Nudna jak flaki z olejem.

– Super. – Cole uważnie skinął głową, potem wsunął ręce do kieszeni i lekko się przygarbił. – Więc na co macie ochotę?

– Sama nie wiem – odparła Jolie. – Willow nie ma zbyt wiele czasu.

Gdyby Willow nie znała przyjaciółki, mogłaby pomyśleć, że Jolie chce, żeby sobie poszła. Willow wyjęła z kieszeni komórkę i sprawdziła. Została jeszcze godzina.

– Wczoraj zerwałam się ze szkoły i przeszłam przez las – powiedziała. –

Widziałam tam kogoś, kto kopał dół w ziemi.

– Poważnie? – zainteresowała się Jolie. Przymrużonymi oczyma przyjrzała się przyjaciółce i lekko ją szturchnęła. – Czemu mi nie powiedziałaś?

– Mówię ci teraz.

Podobało się jej, że oboje patrzą na nią z żywym zainteresowaniem, gdy snuła opowieść.

– Moja mama mówi, że jest kopaczem – powiedziała. – Ale jest na to też inne określenie.

– Speleolog? – spytał Cole.

– Właśnie – potwierdziła Willow. – On powiedział mojej mamie, że tam jest opuszczona kopalnia, w której może leżeć ciało. Właśnie tego szuka.

– Mówiłam ci o kopalniach – powiedziała Jolie, a w jej głosie pobrzmiwał zarówno triumf, jak i rozdrażnienie.

– Gdzie on kopał? – spytał Cole. – Pamiętasz?

Willow chciała ich tam zaprowadzić i pokazać coś fascynującego. Nie wiedziała jednak, czy zdążyłaby potem na autobus. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby za późno wróciła do domu albo musiała zadzwonić do mamy.

– Nie mogę się spóźnić na autobus – powiedziała, choć przeżywała męki. – Pójdźmy jutro.

– Odwiozę cię do domu, zanim twoja matka zacznie się niepokoić – zapewnił Cole. – Obiecuję.

– On ma samochód – wtrąciła Jolie i znacząco skinęła głową na Cole'a. Sygnał wysyłany przez przyjaciółkę był niejasny. Czy Jolie chciała, żeby Willow została, czy pojechała?

– To bmw – ciągnęła Jolie. – Jego tata jest bogaty.

– To stary wóz. – Błada skóra Cole'a pokryła się rumieńcem. – Ojciec pozwala mi go używać do powrotu mamy. Mieszkam tu z nim, dopóki ona nie wróci.

W słowach Cole'a pobrzmiwało napięcie; rumieniec rozlał się na podbródek. Willow natychmiast wyczuła, że kryje się w tym coś niedobrego.

– Gdzie ona jest? – spytała i natychmiast pożałowała. Powinna była trzymać buzię na kłódkę.

Cole odchrząknął, utkwiał wzrok w swoich butach.

– Moja mama jest w Iraku. Służy w wojsku.

Jolie przymrużyła oczy, nieco cofnęła głowę.

– Nie wiedziałam o tym. Czemu nikt mi o niczym nie mówi?

– Mówię ci teraz – powiedział Cole, imitując Willow. Potem posłał jej uśmiech, wiedziała, że był tylko dla niej. Jolie nadąsała się; Willow dostrzegła kątem oka, że przyjaciółka nieco się przygarbiła.

– Kurczę – powiedziała Willow. – Musi ci być ciężko. Okropne.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, by jej mama wyjechała w odległe, groźne miejsce, skąd mogłaby już nie wrócić. Na myśl o tym uznała, że powinna pójść do szkoły, złapać autobus i pojechać do domu.

– Moja mama to twardzielka – wzruszył ramionami Cole. – Służy w oddziałach specjalnych.

Właśnie wtedy, po sposobie, w jaki to powiedział, odwracając wzrok, poznała, że kłamie. Kłamczuch zawsze pozna kłamczucha. Willow ogarnął smutek, bo uznała, że niezależnie od tego, gdzie jest jego mama, to na pewno znacznie gorsze miejsce niż wojna.

– Ekstra – powiedziała. – Kiedy ona wraca?

– Nie wiem. – Potrząsnął głową.

Zerwał się wiatr, Willow znowu pomyślała o swojej matce, o własnych obietnicach. Wstała i zarzuciła plecak na ramię. Jolie i Cole patrzyli na nią. Ci dwoje różnili się od niej. Willow była dość duża, by to wiedzieć. Nikt by nie zauważył, gdyby Jolie czy Cole wrócili późno do domu; nikt ich nie pilnował, nie dzwonił do biblioteki, żeby sprawdzić, czy faktycznie są tam, gdzie mieli być. Willow chciała być taka jak oni.

– Chodźcie – powiedziała. – Jestem prawie pewna, że pamiętam, gdzie on kopał.

– Serio? – spytała Jolie i obejrzała się w kierunku szkoły. – Robi się późno.

– O nic się nie martw – uspokoił ją Cole. – Odwiozę ją do domu na czas.

Willow zobaczyła, jak Jolie rzuca Cole'owi dziwne spojrzenie, ale on wpatrywał się w Willow.

W tej właśnie chwili powinna była powiedzieć:

– Jutro was tam zaprowadzę. Teraz muszę wracać.

Mogła po prostu odejść, a tamci by jej nie zatrzymali. Jolie i Cole spędziliby razem popołudnie, ponieważ Willow widziała, że Cole podoba się przyjaciółce bardziej, niż chciała przyznać; już żałowała, że w ogóle zaprosiła Willow. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Willow powinna wrócić do domu. Jej miejsce było przy matce, która ją kochała. Miejsce Jolie było przy Cole'u i nawzajem, bez względu na to, jaki był tego powód.

Ale ta chwila minęła. Willow podniosła wzrok na ciemniejące niebo i uroczego chłopaka, który przyglądał się jej z uwagą. Zamiast powiedzieć

to, co powinna, rzekła:

– Pamiętam, gdzie to jest. Niedaleko. Mamy czas.

Willow ruszyła, a tamci podążyli za nią w stronę lasu.

Jones regularnie odbierał SMS-y od syna na komórkę, którą kupiła mu Maggie i kazała nosić. Telefon brzęczał, dygotał, po czym na ekranie wyświetlała się informacja: SMS od Ricka. Te wiadomości często były nieczytelne, ponieważ zawierały zdumiewające akronimy i skrót, o których Jones nie miał pojęcia. „JSM, T? Tęsknię za wmi. Ostr zakwam, LOL”. MM. Co to miało znaczyć?

Jeszcze bardziej frustrowało go, że początkowo nie umiał odpowiadać. Nie miał pojęcia, jak posługiwać się klawiszami, by napisać wiadomość albo ją wysłać. Dlatego najczęściej oddzwaniał do syna i rozmawiał z nim, co było kłopotliwe z przyczyn, których Jones nigdy w pełni nie pojmował. Bez względu na porę zawsze czuł, że go budzi, albo stwierdzał, że właściwie nie ma do powiedzenia nic fajnego czy zajmującego. Później, jeśli nie mógł się dodzwonić do Ricky’ego, pisał do niego maila. Mimo nieskładnych rozmów telefonicznych Jones czuł się bliższy synowi, niż kiedy mieszkali pod jednym dachem. Może dzięki różnym formom komunikacji, jakie teraz były dostępne. Bo w rozmowie z nim w cztery oczy nadal wypadał beznadziejnie. Stać go było za to na przyzwoity mail.

Dzisiejsza wiadomość brzmiała: „Bryka gotowa, T? NMSD!”.

Jones uznał, że to znaczy: „Czy samochód jest gotowy, tato?”. Ale NMSD? Może: nie mogę się doczekać. Jones nie miał pewności. Mimo to wstukał literę „t”, mającą oznaczać „tak”, po czym wysłał, jak go nauczyła Maggie. Kilka minut później przyszła odpowiedź: „Słodko!”. Jones się roześmiał. Ricky był szczęśliwy. Szczęśliwy w szkole, szczęśliwy, że przyjedzie na weekend do rodziców. Jones poczuł przypływ dumy. Według niego bycie osobą szczęśliwą stanowiło swoiste osiągnięcie, wybór. Sam nie mógłby stwierdzić, że osiągnął to we własnym życiu. Co nie znaczyło, że czuł się nieszczęśliwy. Zresztą co to właściwie znaczyło? Być szczęśliwym?

Jones podejrzewał, że to nowa koncepcja. Myślenie o tym, że miało się prawo do szczęścia, że mogło się do niego dążyć, stanowiło cechę młodości. Jego matka z pewnością nie była szczęśliwa, nigdy nie zrobiła nic, by to osiągnąć. Co się zaś tyczyło ojca, Jones nie miał pojęcia. Nic nie wiedział o człowieku, który odszedł, kiedy Jones miał dwanaście lat, a już wcześniej był jakby nieobecny.

Ostatnio on i dobry pan doktor sporo rozmawiali o Abigail, matce

Jonesa, która zmarła ponad dwadzieścia lat temu. Zapach papierosowego dymu potrafił ją wskrzesić; Jones nadal słyszał w głowie jej głos. *Właśnie to w tobie uwielbiam, Jones*, mówiła, kiedy zamierzała powiedzieć coś przykrego. Skarżyła się na ból głowy; martwiła się, że może mieć wylew. Poradził jej, żeby zażyła tylenol. *Właśnie to w tobie uwielbiam, Jones. Wprost przepełnia cię współczucie*. Niewykluczone, że były to ostatnie słowa, jakie do niego powiedziała. Nie pamiętał dokładnie. Na tym etapie był już tak zmęczony jej niekończącą się litanią problemów, listą objawów i bolączek, coraz częstszymi wizytami u lekarzy, że prawie nie zarejestrował matczynej skargi ani komentarza na jego nieodpowiednią reakcję.

– Czy czujesz się źle z tego powodu? – zapytał psychoanalityk w trakcie jednej z niedawnych sesji.

– Nie, właściwie nie – odparł Jones.

Doktor Dahl czekał na ciąg dalszy, ale Jones poruszył się na krześle i zaśmiał się nieszczercze.

– Przez całe moje życie każdego dnia na coś się skarżyła. Przecież kiedyś musiała czuć się dobrze, prawda?

Lekarz mrugnął powoli, po czym rzekł:

– Pytałem o to, czy czujesz się źle dlatego, że to były ostatnie słowa, jakie matka w ogóle do ciebie powiedziała?

Pytanie uderzyło go w twarz jak policzek. Jones poczuł, że gorąco oblewa mu szyję. Nie potrafił wykrztusić odpowiedzi.

– Przez znaczną część życia opiekowałeś się matką – ciągnął psychoanalityk. – Przyznałeś, że zrezygnowałeś z większości swoich ambicji i pragnień, ponieważ czułeś, że powinieneś być przy niej.

– Nie chodziło tylko o to.

– Wiem. Rozmawialiśmy o innych powodach. O śmierci Sary, o tym, jak cię prześladowała i wywoływała poczucie winy. Ale twoja matka ponosiła przynajmniej częściową odpowiedzialność za to, jak sobie radziłeś z tą sytuacją. Nie zapominajmy, że byłeś tylko dzieckiem. Gdyby ktoś należycie tobą pokierował, znacznie lepiej mógłbyś się uporać z tamtym zdarzeniem.

Jones wolno pokiwał głową, zachowując naturalny wyraz twarzy. „Tamto zdarzenie”. To brzmiało tak łagodnie jak drobna stłuczka, piłka baseballowa rzucona w okno sąsiada albo kłamstwo w żywe oczy. Przecież patrzył, jak dziewczyna umiera, zostawił ją samą w wiosenną noc. Śmierć Sary, jego tchórzostwo, wszystkie te rzeczy, które wyszły na jaw dopiero po kilkudziesięciu latach, niszcząc jego życie i karierę. „Tamto zdarzenie”.

Lekarz wciąż mówił o Abigail.

– Byłeś dobrym synem. Czy kiedykolwiek ci podziękowała? Czy choć raz powiedziała ci coś miłego?

Z najwyższym trudem Jones zachował spokój. W sercu kipiały wściekłość i strach. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale to budziło jego lęk. Bał się siebie. W młodości miały nim te emocje, prowadziły do bójk w barach (uderzył pięścią nieznajomego za komentarz, którego nie mógł sobie nawet przypomnieć), agresji na szosie (był gotów walnąć prosto w samochód, który zajechał mu drogę, wysiadł i zobaczył za kierownicą zapłakaną nastolatkę), a nawet problemów w pracy. Jako młody gliniarz dwukrotnie stawał przed komisją dyscyplinarną za niepotrzebne użycie siły. O dziwo, tylko mgliście przypominał sobie konkretne zdarzenia. Pamiętał jednak uczucie, jakie je poprzedzało. Czuł dokładnie to, co w tej chwili. To Maggie uspokoiła go, ocaliła od szkód, jakie mógł wyrządzić pod wpływem gniewu.

– Myślę, że nie miała tego w genach. Wdzięczności. – Mówił tak łagodnie, tak lekko. – Stale tylko skarżyła się na wszystkich. Nie brałem tego do siebie.

Psychoanalitik znowu milczał znacząco.

– A co z twoim ojcem? – ciągnął doktor Dahl. Jones przyłapał się na tym, że wpatruje się w jego buty. Bardzo drogie. Widział to. Pewnie z włoskiej skóry, ręcznie szyte. To kolejna rzecz, jaką zarzucał lekarzowi. Próżność. – Nie rozmawiamy o nim zbyt często. To temat, który powinniśmy nieco zgłębić.

Jones mówił trochę o starym. Wyświechtana śpiewka o gliniarzu, który za dużo pił, wracał do domu tylko po to, by się awanturować, a potem zniknął na dobre.

– Ale z tym człowiekiem wiąże się coś więcej. Nie możesz obsadzać go w banalnej roli w twoim życiu. Może chciałbyś dowiedzieć się o nim czegoś jeszcze. Lepiej go zrozumieć. W końcu byłeś detektywem. Pewnie mógłbyś dowiedzieć się o nim wszystkiego, co zechcesz.

Jones zapragnął przeskoczyć nad stolikiem do kawy i rzucić się na psychoanalitika z pięściami.

– Nasz czas minął. – Zadowolony lekarz zatrzasnął notes. – Pomyśl o tym. Za tydzień pociągniemy to dalej.

Ale nie wrócili już do tego tematu. Właśnie wtedy Jones uznał, że terapia chyba nie jest dla niego. Musiał przyznać, że właśnie w tym punkcie się „zamknął”, co zarzucał mu lekarz.

Nawet teraz, siedząc w samochodzie na jałowym biegu i patrząc na SMS-

a od syna, czuł, jak wzbiera w nim to niedobre uczucie. Jones uświadomił sobie, że na wspomnienie rozmowy z psychoanalitykiem ścisnął komórkę w ręce, aż zbieleły mu knykcie. Zmusił się do rozluźnienia uścisku. Wciąż nie podjął decyzji, czy uda się na kolejną wizytę do doktora Dahla. W końcu miał teraz na głowie sprawę, z którą zwrócił się do niego Chuck i bynajmniej nie dysponował nieograniczonym czasem. Może nie odwoła wizyty, ale przełoży ją na inny termin. Maggie nie musi się dowiedzieć.

Dom wyglądał tak, jak Jones się spodziewał: kruchy, samotny na niewielkim wzniesieniu. Na trawniku walały się suche liście, którymi nikt nie zawracał sobie głowy. Na werandzie wisiały gongi wiatrowe, ciche w nieruchomym powietrzu. Jones wysiadł z auta i zaczął iść podjazdem. Wbrew oczekiwaniom nie odczuwał przerażenia, tylko dreszczyk ciekawości, jaki zawsze uwielbiał w tej pracy.

Po wejściu na werandę zobaczył wielkiego kota, przyglądającego się mu z parapetu. Stworzenie mrugnęło z leniwą wzgardą, a ponieważ Jones nigdzie nie widział dzwonka, zastukał trzykrotnie pięścią. Odczekawszy chwilę, zapukał ponownie.

Jej samochód stał na podjeździe, beżowa toyota, którą widział wczoraj. Gdyby ktokolwiek mu powiedział, że w ciągu doby znajdzie powód, by zapukać do drzwi Eloise Montgomery, nie uwierzyłby. Już miał zapukać znowu, kiedy przypomniał sobie, w jakiej roli występuje. Przecież był gliniarzem. Jeśli nie chciała, miała prawo z nim nie rozmawiać. Mimo to otworzyła. Bez zimowego płaszcza wydawała się jeszcze drobniejsza.

- Hm – mruknęła. – Tego się nie spodziewałam.
- Nawet medium nie wie wszystkiego.
- Święta prawda.

Eloise cofnęła się i przytrzymała drzwi. Jones nie zdziwiłby się, gdyby kazała mu zostać na werandzie. Wczoraj nie był dla niej zbyt uprzejmy. Wcale nie był uprzejmy.

– Nie przyjechałem w sprawie pani przepowiedni dotyczącej mojej przyszłości – uprzedził, przestępując próg. W domu było chłodniej niż na dworze.

– Nie?

– Nie. Świadczę usługi konsultacyjne dla policji The Hollows. Mam kilka pytań dotyczących pani związku ze sprawą Marli Holt.

– Jedno sobie wyjaśnijmy – odparła Eloise, tłumiąc uśmiech. – Michael Holt wynajął Raya Muldune'a, który skonsultował się ze mną. Mój związek z tą sprawą jest minimalny. Aż do wczorajszego spotkania z panem nic

o niej nie wiedziałam.

Czyste drewniane podłogi, stare fotografie na ścianie, schludny, nasłoneczniony salon, koronkowe serwety na stolikach. Tak jak sobie wyobrażał, choć nie do końca: wewnątrz okazało się bardziej podniszczone, bardziej skromne, niż się spodziewał. Przecież musiała zarabiać niezłą forszę na tych kantach. Ludzie na pewno płacili majątek, żeby porozumieć się ze zmarłymi, usłyszeć odpowiedzi na pytania, na jakie nikt inny nie potrafił odpowiedzieć. Czyżby Jones spodziewał się większego przepychu?

– Nie wiem, co chce pani przez to powiedzieć – zauważył.

Mijając schody, Eloise ruszyła przez długi hol i dała znak ręką, żeby ruszył za nią. Jones szedł, zwracając uwagę na opłakany stan domu, łuszczące się listwy przypodłogowe, drobne pęknięcia na ścianach, oderwaną wykładzinę w kuchni, zaciek na suficie. Gdyby był jej przyjacielem, sąsiadem albo gdyby opiekował się domem pod jej nieobecność, zaproponowałby przeprowadzenie napraw lub też, gdyby sprawa wykraczała poza jego możliwości, kogoś by polecił. Jones zgromadził już sporo kontaktów – stolarzy, malarzy, hydraulików – ludzi, którym ufał, wielu znał od dzieciństwa. Przypomniał sobie jednak, że z Eloise nie łączyła go tego rodzaju znajomość, więc najlepiej zrobi, jeśli zamknie gębę na kłódkę.

W kuchni usiadł przy stole, bo gestem poprosiła, by to zrobił. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był rząd lekarstw na parapecie. Z tej odległości nie dostrzegał buteleczek wyraźnie, było ich jednak zbyt wiele, może dziesięć plastikowych pojemniczków różnych rozmiarów z zielonymi nakrętkami. Eloise usiadła naprzeciwko, zasłaniając mu widok.

– Po wizycie u pana zobaczyłam ją, jak biegnie.

– Poważnie? – Jones próbował ukryć uśmiešek. – Tak po prostu udała się na przebieżkę?

Eloise mrugnęła beznamiętnie, pokazując, że jego uwaga jej nie rozbawiła.

– Biegła przez las. Przestraszona. Ktoś ją gonił.

– Mhm – wydał z siebie lekceważące, protekcyjne mruknięcie, którego Maggie by nie pochwaliła. I słusznie. – Prowadziłem jej sprawę. Była jedną z moich pierwszych. W zasadzie można powiedzieć, że była to moja pierwsza duża sprawa.

– I nigdy jej pan nie rozwiązał. To musiało pana zboleć.

Tak się nie stało. Jones nie należał do ludzi, którzy zadreczali się prowadzonymi sprawami. Powiedział jej o tym.

– Niektórzy ludzie nie chcą, żeby ich znaleziono – stwierdził. – W 1987 roku o wiele łatwiej było zniknąć niż w 2010.

– Co pan pamięta? – spytała, co zdziwiło Jonesa. Ostatecznie to on przyjechał ją wypytywać. Ale nie miał nic przeciwko rozmowie o tej sprawie.

– Pamiętam, że była wystrzałowa. Naprawdę bombowa. Zbyt bombowa na The Hollows. Zbyt bombowa dla Macka Holta. On mówił, że uciekła, podejrzewał, że miała kochanka, który pewnej nocy przyjechał po nią czarnym mercedesem. Holt twierdził, że jego żona miała ambicje aktorskie, chciała zostać modelką.

Jones pamiętał mały dom, chłopca kryjącego się na schodach, zapach papierosowego dymu. Zaginięcia Marli nie zgłosił Holt, ale jej przyjaciółka z biblioteki, gdzie pracowała na pół etatu.

Teraz przypomniał sobie, że wydało się mu dziwne, że nie zabrała biżuterii. Nie miał pewności, dlaczego to go uderzyło. W skórzanym pudełku pełno było świecidełek, po części tanich i tandetnych, ale nie brakowało też wysmakowanych i kosztownych. Bez trudu mogła chwycić pudełko i schować je do walizki, jednak tego nie uczyniła. Większość ubrań Marli Holt nadal wisiała w szafach, ułożona według kolorów. Kilka wieszaków świeciło pustkami. Buty stały w schludnym rzędzie, kilku par wyraźnie brakowało. Holt twierdził, że żona spakowała małą torbę i oznajmiła, że odchodzi, ale wróci po dzieci, kiedy gdzieś osiadzie. Było jej przykro, ale nie mogła dłużej żyć jak kura domowa, a tego właśnie od niej oczekiwał. Już go nie kochała. Holt odesłał córeczkę do swojej siostry, która mieszkała niedaleko. Z powodu pracy nie mógł zajmować się małą w tygodniu. Michael był już na tyle duży, że mógł o siebie zadbać po szkole. To częściowo Jones pamiętał, inne rzeczy przypomniał sobie po lekturze swoich notatek. Wszystko opowiedział Eloise.

Ona jednak potrząsnęła głową.

– Nie, to nie było tak. Możliwe, że w grę wchodził kochanek, ale nie przyjechał po nią tamtej nocy.

– Co się zatem stało? – Jones postanowił grać w jej grę. Czemu nie?

– Nie wiem, ale cokolwiek to było, kazało jej uciekać przez las w ciemną noc. Coś takiego rzadko się dobrze kończy.

– Czyli ona nie żyje.

– Może – odparła Eloise. – Może nie.

– Ale skoro pani ją widzi, czy to nie znaczy, że Marla Holt odeszła, przeszła na drugą stronę, jak zwał, tak zwał?

– Mówi pan jak człowiek wierzący – uśmiechnęła się do niego słabo. – Myśli pan, że rozmawiam ze zmarłymi.

– A nie rozmawia pani?

– Już panu mówiłam, że jestem jak radioodbiornik. Wychwytyuję energię, różne częstotliwości. Niekiedy są to obrazy, czasem dźwięki, zdarza się, że widuję ludzi. Zawsze kobiety lub dziewczęta. Zawsze zagubione, zazwyczaj skrzywdzone lub zranione. Nie zawsze martwe. Jedną dziewczynę znaleziono żywą w studni. Słyszałam tylko jej oddech i kapanie wody. Była w stanie szoku. Inną przetrzymywano w szopie. Słyszałam tylko, jak raz po raz wzywa pomocy. W końcu ktoś inny też ją usłyszał.

– Co się zaś tyczy Marli Holt, zeszej nocy widziała pani, jak biegła przez las. Przestraszona.

– I smutna, przeraźliwie smutna. Słyszałam też głosy, męskie wołania.

– Więcej niż jeden?

– Tak. Ale proszę mnie nie pytać, co wołały, bo nie dosłyszałam.

– Jasne – odparł. Niby czemu miałyby usłyszeć coś, co mogłoby pomóc?

– Czy znała pani Marłę Holt w tamtych czasach? – Jones wiedział już, co odpowie, ale w ten sposób chciał łagodnie urobić Eloise.

– Czasami opiekowałam się Michaelem i Carą – powiedziała powoli, niechętnie. – Czasem sprzątałam u ludzi, żeby spłacić hipotekę. Działo się to parę lat przed jej zniknięciem.

– Jak pani ją zapamiętała?

– Pamiętam, że Marla była uroczą, kochającą matką. Wie pan, nie każda kobieta jest dobrą matką. Nie każda to lubi. Rozpieszczała te dzieci, ubóstwiała każdą spędzoną z nimi chwilę. Dzwoniła po mnie, żeby się wyrwać i pobiegać. Zawsze martwiła się swoją nadwagą. Ale była urocza. Miał pan rację. Zbyt urocza na tę miejscinę.

Eloise powiedziała to z żarliwością, jakiej Jones w sobie nie czuł. Miał jedynie na myśli, że Marla Holt pasowałaby do Hollywoodu czy Nowego Jorku. Eloise nadała swoim słowom inny sens.

– Kochała męża – ciągnęła Eloise. – W każdym razie w czasach, kiedy ją znałam. Stale o nim paplała. Chyba był jakimś naukowcem, profesorem, dostawał nagrody.

– Geologiem – uściślił Jones. – Wykładał na uczelni.

– Zgadza się – potwierdziła Eloise. W jej zegarku zabręczał budzik. Sprawdziwszy godzinę, wstała i podeszła do parapetu. Z jednej z buteleczek wysypała dwie pigułki, nalała wody do szklanki, połknęła.

– Wszystko w porządku? – spytał Jones.

– Po prostu się starzeję.

Jones tego nie kupił, ale to nie była jego sprawa. Patrzył, jak Eloise odstawia buteleczkę na parapet i chwilę się w nią wpatruje.

– Czyli policja z Hollows ponownie otwiera tę sprawę? – spytała.

– Nie jestem pewien, jakie mają plany – wzruszył ramionami Jones. – Chuck Ferrigno poprosił mnie, żebym przejrzał stare akta, pomówił z panią i Rayem Muldune'em, sprawdził, czy przypominam sobie coś, co wymagałoby ponownego rozpatrzenia.

– I przypomina pan sobie?

– Pamiętam, jak myślałem, że sąsiadka coś ukrywa. Wydało mi się dziwne, że Marla Holt nie zabrała biżuterii, bo wyglądało na to, że włożyła sporo wysiłku w zgromadzenie tej kolekcji. Bez trudu mogła ją wziąć ze sobą.

– Dziwniejsze jest to, że nie zabrała dzieci, nie uważa pan? – Eloise uniosła brwi. – Kobiety zazwyczaj nie odchodzą bez dzieci.

– Chyba że pojawi się kochanek, który nie nadaje się na ojczyma.

Jones oparł się na krzesło. Podczas pracy w policji często spotykał się z przypadkami porzucania dzieci przez kobiety. Niemowlęta zostawiane na posterunku, matki wymykające się z oddziału położniczego, raz zostawiono niemowlę w otwartej skrytce bagażowej na dworcu autobusowym. Abigail pewnie by go porzuciła, gdyby tak bardzo nie bała się samotności, gdyby miała dokąd pójść. Nie każda kobieta była urodzoną matką; dziwił się, że tak mało ludzi to pojmuje.

– Po co pan tu przyszedł, panie Cooper?

– Już pani mówiłem.

– Ale to tylko jeden z powodów. – W myślach pochwalił jej intuicję.

– Szczerze? Zastanawiam się, w jaki sposób wkręca pani ludzi.

Eloise nie odpowiedziała, tylko spokojnie odwzajemniła jego spojrzenie.

„Co tak naprawdę by ją wkurzyło?“, myślał Jones. Maggie zawsze zarzucała mu, że próbuje prowokować ludzi. Ogólnie rzecz biorąc, była to prawda. Jones nie znosił sztuczności. Gniew był autentyczny. Czasem lubił patrzeć, jak jakiejś osobie puszczają nerwy, bo wtedy wychodziło na jaw, kim naprawdę jest.

– Wczoraj pojawiła się pani znikąd, przynosząc złowieszcze przestrogi co do mojej przyszłości. Powiedziała mi też pani, że moja sława rośnie, że ludzie zaczną zwracać się do mnie w innych sprawach. Później tego samego dnia policja z Hollows prosi mnie o konsultację w zamkniętym śledztwie, z którym, jak się okazuje, mają związek pani i Ray Muldune. Chyba nie

bardzo wierzę w przypadek.

Eloise obdarzyła go ciepłym uśmiechem. Wprost rozświetlił jej twarz. Jones zdał sobie sprawę, że kiedyś mogła być ładna, drobna, ciemnooka, w typie skrzata. W innym życiu mogła się śmiać i być szczęśliwa. Jednak coś wyciągnęło z niej wszystkie soki, wydrążyło ją.

– Nie spodziewałam się, że pana polubię, panie Cooper – stwierdziła Eloise.

Jones mimowolnie odwzajemnił uśmiech. On też się nie spodziewał, że ją polubi. Zresztą może ją polubił, może nie. Z pewnością wydała mu się interesującym kuriozum. Fragmenty, z których się składała, nie pasowały do siebie. Nic z tego nie powiedział.

Eloise znowu usiadła naprzeciwko niego.

– Nikogo nie wręcam. Mówię po prostu, co widzę. Ludzie mogą z tym robić, co zechcą. Wiem, że niełatwo jest zaakceptować rzeczy, których się nie rozumie. Zaakceptowanie tego, co mi się przydarza, zajęło mi dziesięć lat.

Gestem ręki wskazała na zniszczoną kuchnię, stare sprzęty, obłazącą tapetę.

– Poza tym, jak pan widzi, raczej nie pławię się w luksusie.

– Pieniądze to nie wszystko.

Eloise westchnęła, potarła głowę cienkim kciukiem i palcem wskazującym.

– Chyba już czas, żeby pan sobie poszedł. Chce pan, żebym udowodniła panu, że jestem tym, za kogo się podaję. Albo chce pan dowieść, że jestem oszustką, żeby nie musiał pan się niepokoić moimi przepowiedniami. Jednak nic podobnego dzisiaj się nie wydarzy. Uprzedzę Raya, że pan się z nim skontaktuje. On pewnie więcej wniesie do rozmowy niż ja.

Eloise wstała i ruszyła przez hol do drzwi. Po chwili Jones poszedł za nią. Zerknął na wiszące na ścianie oprawione w ramki zdjęcia dwóch dziewczynek, niemowląt w kąpielu, na występach tanecznych, na koniu, na balu. Blondynka i brunetka. Jedna podobna do Eloise, druga nie. Były też zdjęcia znacznie młodszej Eloise. James przyłapał się na tym, że nie może oderwać wzroku. Kobieta na zdjęciach – uśmiechnięta, pełna życia, z błyszczącymi oczami – tak bardzo różniła się od kobiety przed nim, że w innych okolicznościach mógłby jej nie poznać. Na fotografii ślubnej Eloise miała na sobie obcisłą koronkową suknię. Szeroko się uśmiechała, jej oczy błyszczały. Jedną dłonią ścisnęła za rękę szczęśliwego męża, w drugiej trzymała bukiet róż. Cokolwiek się wydarzyło między tym zdjęciem a chwilą

obecną, wyssało z Eloise Montgomery życie. Nie chodziło tylko o jej wiek. Kobieta cierpliwie czekająca na niego przy drzwiach w porównaniu z tamtą była zjawą, duchem. Jones odepchnął od siebie napierający smutek.

W końcu stanął przy niej na progu. Wyglądała na dwór, nie chciała na niego spojrzeć.

– Jeśli przypomni sobie pani cokolwiek o Marli Holt... – Wychodząc na werandę, urwał i powiódł wzrokiem po zaniedbanym podwórzu. Chciał zaproponować, że zagrabi jej liście, bo zaduszą trawę. Eloise najwyraźniej nie miała zdolności do prac ogrodowych.

– Mam przeczucie, że będziemy się kontaktować, panie Cooper.

– Proszę mi mówić Jones.

– Do widzenia, Jones.

Już miał się odwrócić i powiedzieć coś o liściach, ale Eloise zdążyła cicho zamknąć drzwi.

Córeczka spała, a Cammy'ego miała odebrać ze świetlicy dokładnie za półtorej godziny. Paula Carr robiła sobie herbatę w mikrofalówce, czekała, żeby ją wyłączyć, zanim rozlegnie się brzęczyk. Potem zabrała kubek na kanapę, przestępując niebieską ciężarówkę, zabawkę, którą przez cały dzień zamierzała uprzątnąć, usiadła i głęboko odetchnęła.

To była jedyna pora, kiedy miała czas spokojnie zastanowić się, co począć. Reszta dnia galopowała w szaleńczym tempie: śniadanie, karmienie, odwożenie, zakupy, karmienie, zabawa w a-kuku, sprzątanie, karmienie, szykowanie kolacji, odbieranie Camerona, przekąska, kąpiel, bajki, bez końca. Od szóstej do dziewiętnastej trzydzieści panowało istne szaleństwo. Paula zawsze pilnowała, by dzieci kładły się spać wpół do ósmej wieczorem. W przeciwnym razie przestawała być osobą. Wątpiła, czy bez tej ustalonej pory snu choć trochę byłaby Paulą, a nie mamą Claire i Camerona, żoną Kevina, macochą Cole'a.

Kevin nie wiedział nawet, że czasami zostawiała Camerona w świetlicy. Paula płaciła za to z własnego konta, o którego istnieniu również nie wiedział. Wyglądając przez okno na podwórze za domem, poczuła ukłucie winy i niepokój. „A jeśli się dowie?”. Liście opadały z drzew, niebo miało jednolity kolor szarości.

Gdy się pobrali, z jakiegoś powodu nie zamknęła swojego rachunku oszczędnościowego. Wtedy miała tam niecałe tysiąc dolarów. Kiedyś zamierzała zamknąć to konto, ale jakoś o tym zapomniała. Naprawdę zapomniała? Czy może częśćka Pauli uważała, że dobrze jest mieć miejsce, choćby małe, o którym on by nie wiedział?

Po mniej więcej osiemnastu miesiącach małżeństwa Paula zaczęła odkładać na konto pieniądze, które dostawała od matki na Gwiazdkę i urodziny, kwoty zaoszczędzone z budżetu rodzinnego. Kilka miesięcy temu zmarła ciotka Janie. Janie wiedziała. Bardziej niż ktokolwiek inny wiedziała, że z Paulą jest coś nie tak.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – pytała na koniec ich cotygodniowych rozmów. – Wszystko w porządku?

– Oczywiście, Janie. Nie bądź niemądra – odpowiadała Paula. Ponieważ naprawdę chciała, żeby wszystko było w porządku. Co więcej, chciała, by wszyscy myśleli, że wszystko jest w porządku. Nie tylko w porządku, ale

doskonałe. Doskonałe małżeństwo. Doskonałe dzieci. Doskonała Paula. Nie zniosłaby, gdyby było inaczej. Nie zniosłaby myśli, że ludzie jej współczują, uważają, że poniosła klęskę. Bo czyż na pewnym poziomie ludzie nie byli szczęśliwsi, kiedy innym się nie wiodło, czy nie czuli się przez to trochę lepsi?

O dziwo, Kevin pozwolił jej zabrać Claire i Cammy'ego na pogrzeb. Paula sądziła, że sam zechce pojechać albo zażąda, by pojechała sama i natychmiast wróciła. Najwyraźniej jednak zależało mu na tym, żeby pojechała z dziećmi, została na weekend, jeśli przyjdzie jej ochota. Dopiero później zrozumiała dlaczego. Kevin stał na podjeździe, uśmiechnięty machał im na pożegnanie, a Paula patrzyła, jak zmniejsza się w lusterku. Mała zaczęła płakać.

– Dlaczego ona stale płacze? – spytał Cammy i spojrzał na siostrzyczkę z zainteresowaniem.

– Claire jest tylko małym dzieckiem – odparła Paula. – Nie umie jeszcze mówić. Wkrótce zaśnie.

– Czemu tata nie jedzie? – spytał Cammy drżącym, rozkapryszonym głosem, jaki zapowiadał płacz. Cameron zawsze domagał się ojca, chociaż Kevin zachowywał się przy dzieciach jak nieobecny, zwłaszcza wobec małej. Paula zastanawiała się, dlaczego rodzic, który daje najmniej, jest najbardziej pożądany.

– Tata jest zajęty w ten weekend – wyjaśniła z wymuszoną swobodą. – Ale Pop Pop będzie się z tobą bawić.

– Dlaczego tata jest stale zajęty? – Cameron wyglądał przez okno. Kiedy tak marszczył czoło, zanim się wypłacze, wyglądał zupełnie jak jego ojciec.

Paula odbyła dwugodzinną podróż do rodzinnego miasteczka i po raz pierwszy od lat zatrzymała się u rodziców. Kevin nie lubił teściów, toteż wizyty rodzinne były zawsze pospieszne i powierzchowne. Spotykali się w połowie drogi i jedli razem lunch. Kevin nie lubił, gdy Paula spędzała za dużo czasu z rodzicami, złościł się nawet, gdy uważał, że zbyt długo rozmawia z matką przez telefon.

Kiedy trochę pobyła u rodziców bez Kevina, zrozumiała przyczynę. W obecności rodziców przypomniawszy sobie, jakie to uczucie być kochaną i szanowaną. Przypomniawszy sobie, jak to jest, kiedy każdy twój ruch nie jest obserwowany, osądzany, krytykowany. Przypomniawszy sobie czułość i bliskość. Przypomniawszy sobie, jak to jest być Paulą. Rozprostowała się po długim pobycie w zamknięciu. Mogła oddychać.

Na pogrzebie Janie płakała; nie mogła ukryć smutku, chociaż Cameron

trzymał głowę na jej kolanach, a Claire spała na jej ramieniu. Dzieciom najwyraźniej nie przeszkadzał matczyzny smutek, jakby rozumiały, że opłakiwanie czyjegoś odejścia jest rzeczą naturalną i właściwą. Nie jęczały, nie marudziły. Cameron pocierał jej nogę, Claire gaworzyła; po bokach siedzieli rodzice Pauli. Kiedy tak opłakiwała ciotkę, zmarłą po bolesnej chorobie, płakała też nad tym, co pozwoliła zrobić z własnym życiem, Paula czuła, że jest szczerą. Czuła się bezpieczna.

Kiedy dzieci poszły spać, a ojciec zakotwiczył przed telewizorem, matka Pauli powiedziała jej o pieniądzach.

– Janie chciała, żebyście ty i dzieci dostali to, co mogła dać. Jest tego całkiem sporo, trochę ponad sto tysięcy dolarów. Nie życzyła sobie jednak, żeby te pieniądze poszły do Kevina. Ona martwiła się o ciebie, Paulo. Ja też się martwię.

Paula chciała wytłumaczyć matce, że wszystko jest w porządku, że martwi się niepotrzebnie, że Kevina trudno zrozumieć, ale jest dla nich dobry i wszystko gra. Jednak słowa nie przyszły. Dość kłamstw. Nie mogła jednak wyznać matce prawdy, całej prawdy. Nie chciała jej straszyć. Zwierzyła się tylko, że czuje się bardzo nieszczęśliwa, nie wie, co robić, ale te pieniądze pomogą jej podjąć decyzję. Powiedziała matce o swoim rachunku bankowym na panięńskie nazwisko. Obiecała, że Kevin go nie znajdzie.

– Nikt już nie musi być nieszczęśliwy, Paulo – wyszeptała matka, wpatrzona w stół między nimi. Wyglądała bardzo smutno; Paula nigdy nie widziała jej tak zmęczonej i postarzałej.

– Co masz na myśli, mamó?

– Tylko to, że masz prawo do szczęścia. Jeśli ktoś cię unieszczęśliwia, masz prawo odejść. Ta koncepcja kurczowego trzymania się załosnych małżeństw, które niszczą nasze życie? To stara szkoła. Życie jest za krótkie.

Takie podejście zdziwiło Paulę. Spodziewała się raczej, że matka zasugeruje terapię małżeńską, zacznie ją namawiać, by postarała się dla dobra dzieci, coś w tym rodzaju.

– Jesteś z tatą szczęśliwa, mamó? – zapytała. Zawsze uważała rodziców za dobraną parę. Nagle stało się dla niej ważne, by i to nie okazało się złudzeniem, które podtrzymywała. – Jesteś szczęśliwa, tak?

– Wystarczająco szczęśliwa, moja droga. – Matka poklepała Paulę po dłoni.

Wystarczająco szczęśliwa.

Z monitora dobiegło gaworzenie Claire. Paula wstrzymała oddech,

czekała na płacz oznajmiający wczesny koniec drzemki. Potem jednak usłyszała, jak mała wzdycha i znowu zaczyna oddychać głęboko przez sen. Paula poczuła, jak jej ramiona się rozluźniają. Cóż to za niemożliwa pułapka natury: macierzyństwo. Zaćmiewało ci umysł hormonami i niedoborem snu, kazało nieustannie krzątać się wokół miliona potrzeb, zmuszało do nieprzerwanego troszczenia się o innych. Mogłaś zniknąć w otchłani macierzyństwa i całkowicie zapomnieć, że kiedyś uprawiałaś lekkoatletykę, studiowałaś, miałaś ambicje polityczne, pragnęłaś zmieniać świat. Że kiedyś chciałaś pisać. I chociaż macierzyństwo wycierało to wszystko z tablicy twojego życia niczym kosmiczna gąbka, dawało ci coś w zamian – tę szaloną, radosną, pełną uwielbienia miłość, która rozszczepiała cię na pół i określała na nowo. Najczęściej twój mamusiny mózg uważa, że to uczciwa transakcja. Może zresztą w normalnych warunkach, kiedy masz szczęśliwe małżeństwo i czujesz się w domu bezpiecznie, tak właśnie jest. Dzieci nie są małe wiecznie. Później, kiedy idą do szkoły, znajdujesz czas na pracę. Zresztą czy może być coś ważniejszego i dającego większą satysfakcję niż dobre wychowanie dzieci?

Ale oczywiście nie to stanowiło problem. Paula nie chciała już zmieniać świata. Tytuł MBA wydał się jej stratą czasu i pieniędzy, czymś, co zdobyła, by nasycić swój głód osiągnięć. Kevin popchnął ją do tego, gdy zaczęli się umawiać na randki. Ponieważ był także jej szefem, rada zdawała się rozsądna. Kevin przekonywał, że tytuł może pomóc, kiedy on zacznie promować ją na stanowisko współpracownicy w firmie konsultacyjnej, którą założył z kolegami z uczelni. W tamtych czasach gospodarka kwitła. Teraz niektórzy ze współników stanęli w obliczu bankructwa. Najważniejsi klienci korzystali z usług firm w Indiach. Firma Kevina walczyła o przetrwanie. Po urodzeniu Claire Paula już nawet nie udawała, że dla nich pracuje, chociaż mówiło się, że gdyby tylko zechciała, czeka na nią praca w zarządzaniu zasobami ludzkimi lub w dziale zatrudnienia. Od czasu do czasu wykonywała dla Kevina papierkową robotę albo dzwoniła w sprawie zaległych faktur, kiedy córeczka spała. Wszystkich pracowników zwolniono, zostali tylko wspólnicy. Paula miała w nosie firmę i zastój własnej kariery. To były luksusowe problemy. Martwiła się tylko, że coś jest nie w porządku z Kevinem. Bardzo, bardzo nie w porządku.

Kiedy to się stało? Często przyłapywała się na takich rozmyślaniach. Pragnęła wskazać konkretny moment, podać powód. W chwilach szczerości musiała jednak przyznać, że oznaki były obecne jeszcze przed ślubem. Subtelne, łatwo wytłumaczalne w okresie świeżego zakochania. Kevin

zawsze musiał wszystko planować, najpierw ich randki i wakacje. Romantyczne, prawda? W końcu jednak pojęła, że w żadnej kwestii nie miała nic do powiedzenia, nawet w sprawie wyboru filmu. Potem zaczął kupować jej ubrania, wspaniałe, kosztowne stroje. Co było urocze, dopóki nie zorientowała się, że Kevin nie życzył już sobie, żeby chodziła w dawnych ciuchach. Potem zasugerował, by przestała jeść chleb, bo dzięki temu zmieści się w rozmiar numer sześć zamiast osiem. „Jesteś piękna. Kocham cię. Chcę tylko pomóc ci w osiągnięciu doskonałości”. Nawet kiedy przyjaciółki Pauli wyrażały zaskoczenie i oburzenie z powodu takiego traktowania, ona to lekceważyła. Przecież miło byłoby założyć szóstkę w dniu ślubu. Poza tym komu potrzebny jest chleb?

Później okazało się, że jej przyjaciółki nie są wystarczająco dobre. Jeśli namawiała Kevina, żeby razem spotykali się z jej znajomymi, upijał się i mówił im okropne rzeczy. „Byłabyś ładna, Emily, gdyby nie ta straszna nadwaga. Zastanawiałaś się nad siłownią? Powinnaś być dumna ze swoich osiągnięć, Beth. Szkoda tylko, że kto inny wychował twoje dzieci”. Kiedy Paula próbowała umawiać się z nimi sama, po powrocie do domu wybuchały straszliwe awantury. Przyjaźnie Pauli powoli zaczęły się rozluźniać. Potem okazało się nagle, że jej rodzina to prymitywne białasy; powinna ograniczyć kontakty z nimi. „Twój kuzyn siedzi w więzieniu, na miłość boską. Chcesz, żeby twoje dzieci wyrosły na kogoś takiego?”.

Dopiero po kilku latach małżeństwa, kiedy Paula urodziła dwoje dzieci, jak tego żądał (dwoje to liczba idealna), kiedy stała się niewolnicą domu i dzieci, które kochała nad życie, sprawy naprawdę się popsuły. Dopiero gdy na dobre znalazła się w pułapce, zrobiło się strasznie.

Od pięciu lat nie pracowała poza domem. Gdy zaszła w ciążę, Kevin nie chciał jej zlecić klienta, ale w zamian za to przydzielił jej pracę biurową. *Musisz odpoczywać.* Firma nadal wypłacała jej pensję, przelewana bezpośrednio na konto Pauli, do którego nie miała karty bankomatowej ani książeczki czekowej. Kevin wydzielał jej pieniądze na dom i dzieci.

Dopiero po śmierci Janie w zeszłym roku Paula zmusiła się, aby przyjrzeć się sytuacji, do której dopuściła. Zobaczyła, jak z wykształconej, spełnionej kobiety, zarabiającej przed rozpoczęciem pracy dla Kevina sześciocyfrową pensję, stała się gospodynią domową, która nie ma dostępu do własnego konta bankowego, a mąż monitoruje jej rozmowy telefoniczne z matką. Oto była kobieta, którą ogarniał strach na dźwięk otwieranych w nocy drzwi garażu. Paula żyła w lęku przed jego słowami i karami. Zabawne, że Kevin rzadko podnosił głos i prawie nigdy jej nie tykał. Prawie.

Raz mu się postawiła. Wtedy gdy oświadczył, że nie życzy sobie, by rozmawiała z matką częściej niż raz w tygodniu. Paula udała, że jest posłuszna, by uniknąć scysji na oczach dzieci. Potem jednak zignorowała zalecenie męża. W istocie rozmawiała z matką jeszcze częściej. Tego wieczoru, kiedy dostał rachunek za telefon, wrócił do domu, gdy dzieci spały. Cicho wszedł i położył rachunek na blacie kuchennym. Przypomniał Pauli, że na studiach miewała problemy z depresją, chodziła na terapię, brała leki. Zaraz, gdy zaczęli się spotykać, wyznała mu, że czuła silne napięcie psychiczne, a nawet miewała myśli samobójcze.

– Takie zaburzenia nie znikają, Paulo. Mogą wrócić. Możesz się stać zagrożeniem dla siebie samej, nawet dla dzieci.

Co on właściwie mówił? Że posłuży się jej przeszłością, aby odebrać jej dzieci? Czy może było jeszcze gorzej? Groził, że ją skrzywdzi? Że skrzywdzi Claire i Camerona? Groza i gonitwa myśli odebrały Pauli mowę. Tamtą noc Kevin spędził w gabinecie, a nazajutrz bez słowa wcześniej wyjechał do pracy. Dlaczego wtedy od niego nie odeszła? Nie potrafiła odpowiedzieć – lęk, wyparcie, inercja. To była jakaś zdradziecka mieszanka wszystkich tych czynników.

Zamiast odejść, poprosiła matkę, by codziennie do niej dzwoniła. Matka spełniła prośbę, nie pytając o powód.

Czy nie istniała powiastka o tym, że jeśli wrzucisz żabę do wrzątku, to natychmiast wyskoczy? Jeśli jednak umieścisz żabę w zimnej wodzie i stopniowo podgrzejesz, da się powoli ugotować? Ale Paula jeszcze nie zginęła. Jakoś wydobędzie ich wszystkich z garnka.

Przed pojawieniem się Cole'a Paula wszystko obmyśliła. Raz do roku Kevin wyjeżdżał na spotkanie ze współnikami do ośrodka golfowego na Florydzie. Po czterech dniach wracał albo w stanie euforii, albo ciężkiego przygnębienia, w zależności od tego, jak przebiegło spotkanie, jakie były prognozy na nadchodzący rok, czy mieli otrzymać premie, czy też nie. Paula postanowiła, że natychmiast po wyjeździe Kevina zabierze dzieci do rodziców. Wszystko im powie, całą prawdę o człowieku, za którego wyszła. Zamierzała zacząć od początku, modląc się, by nigdy ich nie odnalazł. Nie mogła tak po prostu pojechać do rodziców i u nich zamieszkać. To by nic nie dało: Kevin by po nią przyjechał. W najlepszym razie rozegrałyby się okropna walka na oczach dzieci. Co gorsza, Paula nie była pewna, do czego mógł się posunąć, co mógł zrobić jej, dzieciom, nawet jej rodzicom. Po prostu już tego nie wiedziała.

Do wyjazdu Kevina zostały trzy tygodnie. Jeśli nie odnajdzie matki

Cole'a i nie wyprawi go z domu, nie wiedziała, co pocnie. Nie mogła zostawić Cole'a z Kevinem, by na chłopaku skrupiła się cała wściekłość męża z powodu jej wyjazdu. Z drugiej strony, nie mogła go zabrać. Przede wszystkim Cole nie był jej synem. Kevina wielbił jak boga.

Właśnie dlatego Paula skontaktowała się z Jonesem Cooperem. Może uda mu się odnaleźć matkę Cole'a, Paula zadzwoni do niej i ubłaga, żeby przyjechała po syna. Jeśli ktokolwiek wiedział, kim jest Kevin, to z pewnością była to ona.

Z najwyższym trudem powstrzymywała się, żeby nie rozsypać się przed Jonesem Cooperem, nie wyznać wszystkiego i nie poprosić o pomoc. Ten człowiek wydawał się taki silny i dobry, czuła się przy nim tak bezpiecznie. Jednak Paula nie mogła tego zrobić. Ludzie gadali; nie mogła pozwolić, by sprawa się rozniosła, dotarła do Kevina. W małej mieścinie, takiej jak The Hollows, kiedy człowiek otwierał usta, nie było tajemnic. Plotki zarażały jak wirusy. Taka informacja z pewnością by się rozeszła.

Paula doskonale wiedziała, że czas się kończy. Firma Kevina szła pod wodę. Nastrój męża stawał się coraz mroczniejszy. Paula domyśliła się hasła, zalogowała się do jego domowego komputera i doznała szoku na widok tego, co tam znalazła. Kevin bynajmniej nie był człowiekiem, za którego go brała. Może nigdy nim nie był. Odwiedzał paskudne, ostre strony pornograficzne, strony z militariami. Wchodził też na strony o psychozie poporodowej. Tonęli w długach. W końcu Paula natrafiła na korespondencję męża z inną kobietą. Kevin miał romans. Jego maile roily się od kłamstw na temat Pauli; pisał, że nie zajmuje się dziećmi, że romansuje, że jest niezrównoważoną alkoholiczką. Paula nabrała wątpliwości co do wszystkiego, co mówił jej o matce Cole'a i innych kobietach, z którymi był przed ślubem.

W zeszłym tygodniu zabrała samochód Kevina do myjni. Czekając w kolejce, zaczęła zbierać śmieci, które mąż po prostu zostawiał na podłodze. Nie chciała, żeby pracownicy myjni pomyśleli sobie, że to ona jest flejtuchą, która je w barach szybkiej obsługi i zaśmieca wóz opakowaniami i pustymi kubkami. Namacawszy coś pod siedzeniem pasażera, wyciągnęła czarną płócienną torbę. Rozpięła suwak i ujrzała plastikowe pudełko. Jeszcze zanim je otworzyła, wiedziała, co to jest. Podniosła wieczko i zobaczyła broń. Poczowała się, jakby ktoś wyssał z samochodu całe powietrze.

Kiedy pracownik myjni zastukał w okno, Paula zatrzasnęła pudełko i podskoczyła. Z uśmiechem poprosiła o supermencie i spytała, ile czasu

zajmie. Potem wysiadła z auta z torbą w ręce. Nie przestając się uśmiechać, weszła do biura i zapłaciła. Przez okno patrzyła, jak samochód zostaje namydlony, opłukany, spryskany woskiem i wypolerowany. Żałowała, że nie ma myjni, dokąd mogłaby oddać własne życie; wjechałaby na pasie transmisyjnym i wymyliby z jej życia cały brud i szkaradzieństwo. Skąd on miał ten pistolet? Dlaczego leżał w samochodzie? Czy powinna odłożyć broń na miejsce? Może powinna się jej pozbyć? Co by zrobił, dowiedziawszy się, że znalazła pistolet i go wyrzuciła? Paula znalazła się w pułapce, nie mogła wygrać. Odłożywszy broń pod siedzenie, wróciła do domu. Dlaczego nie odeszła od niego w poniedziałek, kiedy pojechał do pracy? Na to pytanie również nie potrafiła odpowiedzieć.

Najdziwniejsze w całej sytuacji wydawało się jej to, że na pozór prowadzili całkiem normalne życie. Podrzucając Camerona do szkoły i odbierając go, Paula gawędziła z ludźmi. Regularnie wchodziła na Facebooka, zamieszczała zdjęcia członków rodziny, ich rozmaitych czynności. Cammy na rowerku; Claire robiąca paćkę ze słodkich kartofli. Fakebook¹, gdzie ludzie mogą wyświetlać wizerunek, jakiego pragną, pokazywać jedynie te rzeczy, które chcą zademonstrować innym, ukrywając wszelkie mroczne i smutne sekrety swoich serc i życia. A może tylko Paula tak postępowała.

Sąsiedzi musieli widzieć, jak przystojny Kevin każdego ranka wyjeżdża do pracy, wraca wieczorem z zakupami czy jedzeniem na wynos, wyjmując listy ze skrzynki. Sobotnie wieczory mieli dla siebie. Elegancko ubrani, chodzili do najlepszych restauracji, na przyjęcia w okolicy, jeździli nawet do miasta. W takie noce zdarzało się jednak, że Kevin, ze wzrokiem wlepionym w Blackberry, nie odzywał się ani słowem, podczas gdy ona paplała przy kolacji jak idiotka. Albo umizgiwał się do niej na przyjęciach, ale po powrocie do domu robił karczemną awanturę o to, że za dużo jadła, za głośno się śmiała, miała zbyt obcisłą sukienkę i kiedy wreszcie zrzuci to sadło po ciąży.

Przerażające, jak niewiele ludzie wiedzieli o sobie nawzajem. Na przykład nikt nawet nie podejrzewał, że Paula i dzieci stali się dla Kevina ciężarem, przeszkadzali mu snuć fantazje na temat nowej dziewczyny. Paula powinna jak najszybciej oddalić się od niego wraz z dziećmi. W przeciwnym razie, cóż, nie wiedziała, do czego był zdolny jej mąż. Po prostu nie wiedziała.

Paula usłyszała z monitora, że Claire marudzi. Spojrzawszy na zegar, stwierdziła, że minęła godzina. Czas nakarmić małą, spakować się i pojechać po Cammy'ego. Jakim cudem godziny i dni mijały tak szybko?

Zakrawało to na jakąś sztuczkę. Paula zawsze snuła ambitne plany na czas dziecięcej drzemki, ale często po prostu odpływała, osuwała się w ciszę.

Odwróciwszy się, żeby pójść na górę, zobaczyła męża. Od jak dawna tam stał?

– Kevin – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Wystraszyłeś mnie.

– Gdzie są dzieci?

Dłonie nagle zaczęły jej drżeć, więc wsunęła je do kieszeni. Zabawne, jak ciało odbiera sygnały, które umysł chciał zignorować. Paula nienawidziła się za to, jak bardzo się teraz bała.

– Cole jest z przyjaciółmi. – Nie cierpiała fałszywie beztroskiego brzmienia własnego głosu, uśmiechu boleśnie przyklejonego do twarzy. – Claire jest na górze, właśnie budzi się z drzemki. Cammy jest jeszcze w szkole.

– Jest prawie czwarta – zauważył Kevin, patrząc na zegar.

– Chciał dziś zostać w świetlicy – odpowiedziała zbyt szybko, bo zabrzmiało to jak kłamstwo, którym istotnie było. – Zależało mu na tym, żeby pobawić się z Nickiem. Właśnie się po niego wybierałam.

– Serio? Bo odniosłem wrażenie, że po prostu siedziałas na dupie. Sądziłem, że mogłabyś wykorzystywać wolny czas na ćwiczenia.

Paula nie odpowiedziała, tylko zdusiła w sobie czystą nienawiść, która zdawała się podchodzić z wnętrzości i zalewać gardło kwasem. Dawno temu, przed ślubem, patrzyła na niego i myślała, że jest szczęściarą. Kevin był człowiekiem sukcesu, przystojnym i uroczym. Dawniej wydawało się jej, że go kocha, ale może nigdy tak nie było. Nie wiedziała, kim on jest; dała się uwieść fałszywemu obrazowi, jaki jej zaprezentował. Przez myśl jej nie przeszło, jak zimne mógł mieć serce.

Próbowała go wyminąć, ale Kevin zagroził jej ręką drogę na schody. Paula usłyszała, że Claire zaczyna płakać. Z monitora, nastawionego na pełen regulator, dobiegało zawodzenie przerywane trzaskami i szumami.

– Ona płacze – powiedziała Paula.

– Myślisz, że nie słyszę? Wyłącz to.

Serce waliło jej jak młotem, adrenalina buzowała. Mimo to spełniła polecenie. Wciąż słyszała odległy płacz Claire na piętrze. Poczowała swędzenie, jak zwykle, gdy jedno z jej dzieci płakało; piersi nabrzmiwały, mleko zaczynało wyciekać. Czas karmienia. Powinna wsunąć do biustonosza miseczki, bo dzięki temu nie przemoczy bluzki na oczach Kevina.

– Co robisz w domu? – spytała Paula.

Mimo że chciała pójść do Claire, została na dole. Na barze oddzielającym duży salon od kuchni leżał młotek. Wcześniej Paula próbowała powiesić kilka oprawionych zdjęć dzieci, bo ściany świeciły pustkami. Jakoś nigdy wcześniej się do tego nie zabrała. Nie, nie to było powodem. Kiedy wprowadzili się do tego dużego domu, na który nie mogli sobie pozwolić, wiedziała już, że nie są prawdziwą rodziną. Nie mogła znieść myśli o wieszaniu zdjęć tak sztucznych, że aż śmiesznych. Jedna z zaprzyjaźnionych mam skomentowała:

– Jakie to rozsądne z twojej strony, że nie zaśmiecasz ścian zdjęciami! Wszędzie, gdzie się ruszę u siebie w domu, widzę ich twarze!

W ten zawołowany sposób dała do zrozumienia, że brak zdjęć wydaje się jej dziwny.

– Odbyłem dziś ciekawą rozmowę telefoniczną – powiedział Kevin.

– Z kim?

Paula wiedziała, że od wejścia do salonu, gdzie stał, nie widział baru. Oparła dłoń na jego krawędzi.

– Dzwonili z banku. Twojego starego banku.

– Naprawdę? – Uniosła brwi, czując, jak ziemia się pod nią zapada.

– Wygląda na to, że masz tam pieniądze, o których mi nie wspomniałaś.

Pauli przyszło na myśl, żeby skłamać, wymyślić jakąś historyjkę. Postanowiła jednak tego nie robić. Nie otwierając ust, szybko wzruszyła ramionami. Na górze Claire wyła. Nie przywykła do czekania na mamę.

Twarz Kevina złagodniała.

– Wiem, że między nami nie jest ostatnio różowo, Paulo. Ale jak mogłaś to przede mną ukryć? – Modułował głos, by brzmiał słodko, prosząco. Niemal widać było, jak serce mu się kraje. Ale oczy miał martwe. Doskonale wiedziała, że karty leżą na stole.

Paula trochę czytała. Socjopata nie ma prawdziwych uczuć. Nie doświadcza poczucia winy, żalu, miłości, empatii. Zna tylko własne potrzeby i cele. Przy tym jest zdolnym mimem, błyskotliwym aktorem. Socjopaci bez trudu potrafią się ukryć w świetle dziennym, ale łączy ich jedno: grają na litości. Podczas konfrontacji, kiedy taki człowiek zostanie zdemaskowany, będzie próbował wzbudzić w tobie litość, by w ten sposób cię kontrolować. Paula czytała o tym. Miała właściwie pewność, że taki właśnie był jej mąż, ale dopiero teraz ośmieliła się do tego przyznać.

– Dałem ci wszystko – mówił Kevin. Zrobił krok w przód, ona się cofnęła.

– Tak ciężko dla nas pracowałem. Ale to nie wystarczyło, zawiodłem. Interesy się sypią. Grozi nam bankructwo.

Paula wiedziała o tym wszystkim. Nie odezwała się ani słowem.

– Prawda jest taka, maleńka, że potrzebujemy tych pieniędzy. Mogłyby nas uratować.

Kevin nie mógł ich podjąć bez niej, co do tego miała pewność. Może był jej mężem, ale jego nazwisko nie figurowało na jej rachunku i nie miał dostępu do tych oszczędności. W przeciwnym razie całe to przedstawienie nie miałyby sensu. Kevin po prostu wyjąłby pieniądze. Jeśli nie przepisze ich na niego, pozostawał mu tylko jeden sposób, by je zdobyć. Paula przesunęła dłoń tak, że spoczęła na młotku.

– Przepraszam, Kevin – powiedziała. – To były pieniądze Janie, która chciała je dać mnie i dzieciom. To pieniądze mojej rodziny.

– Przecież to ja jestem twoją rodziną – zaśmiał się smutno Kevin.

Jeszcze parę miesięcy wcześniej mógłby zmanipulować ją w ten sposób. Ale nie dziś.

– Wiem o długu – powiedziała. – Wiem też o twoim romansie. Wiem o kłamstwach, które opowiadałeś jej na mój temat.

Paula ujrzała, jak coś rozbłyska na twarzy męża. Wściekłość. To kolejna prawda o socjopatach. Nie powinno się wydobywać prawdy o nich na jaw, ponieważ socjopata zrobi wszystko, byle tylko chronić własną wersję. Wszyscy specjaliści są zgodni: musisz usunąć się jak najdalej, zerwać wszelkie kontakty, chronić siebie za wszelką cenę. Na górze Claire ucichła. Paula słyszała tylko żalosne pojękiwanie. Córka zmoczyła się i była głodna. Paula musiała odebrać Camerona ze szkoły. Jeszcze chwila, a spóźni się po syna. Na myśl o tym, że czeka tam na nią, zebrało się jej na mdłości.

– Nie wiem, o czym mówisz – wyszeptał słodko Kevin. – Wszystko w porządku, kochanie? Co się stało?

Zbliżał się do niej. Paula zacisnęła dłoń na młotku. Wtedy zobaczyła, że wyjął zza paska pistolet. Chwila się rozszerzyła. Paula zdawała sobie sprawę z własnego oddechu, bicia serca. W wariackim ułamku sekundy pomyślała o grze „kamień, papier, nożyce”. Oni grali w inną odmianę: „pistolet, młotek, zabawkowa ciężarówka”.

Przez cały dzień przestępowała przez małą niebieską ciężarówkę, umieszczając ją w swoim mentalnym obrazie domu. Przekraczała ją, gdy niosła kosz z praniem, kubek z herbatą. Za każdym razem myślała: Naprawdę powinnam ją podnieść. Ktoś na nią nadepnie i wywinie kozła. Ale jakoś tego nie zrobiła.

Jak się miewa Willow?

„Jak w ogóle śmiesz o to pytać?”, chciała odpowiedzieć Bethany, ale się powstrzymała. Tego popołudnia z najwyższym trudem znosiła cotygodniową rozmowę telefoniczną z byłym mężem, który dzwonił z poczucia winy. Wciąż wytrącona z równowagi po rozmowie z Henrym Ivym żałowała, że pozwoliła Willow zostać po lekcjach w bibliotece. Raz po raz zerknęła na zegar. Kusilo ją, żeby ponownie zadzwonić do biblioteki, ale nie chciała być taką nadgorliwą mamą. Jeden telefon to ostrożność. Dwa to paranoja. Autobus przyjeżdżał o 16.35. Bethany nie widziała go przez okno, ale przy wyłączonym telewizorze mogła usłyszeć, pod warunkiem że nasłuchiwała. A dzisiaj nasłuchiwała.

– Przystosowuje się.

– Nie pakuje się w kłopoty?

– Nawet jeśli tak, to już naprawdę nie jest twój problem, Rick. – Bethany nie potrafiła ukryć ostrego tonu. Wbrew jej woli przenikał do głosu, jak bandzior uzbrojony w nóż, niewahający się go użyć. Zazwyczaj Rick odwarkiwał i rozmowa przeradzała się w paskudną i zaciętą bójkę w ciemnym zaułku, która raptownie się kończyła. Tydzień później, dla dobra Willow, podejmowali kolejną. Tym razem jednak Rick zdziwił Bethany, bo zawahał się przed odpowiedzią.

– Nadal się troszczę, Bethany. O ciebie. O Willow. Może na to nie wygląda, ale tak jest.

Bethany poczuła, jak nieco łagodnieje. Po chwili do niej dotarło. Ta cizia – panna rozmiar 34 DD – podziękowała za współpracę. Najwyraźniej załapała, że całe pieniądze świata i zabójczy wygląd nie zrekompensują braków Ricka. Rick Coben wyglądał świetnie, nawet przed sześćdziesiątką był w lepszej formie niż większość o połowę młodszych facetów. Przedwcześnie posiwiałe włosy nadawały mu egzotyczny, wyrafinowany wygląd. Jasnoniebieskie oczy wwierały się w ciebie i widziały wszystkie romantyczne marzenia, jakie kiedykolwiek snułaś. Pierwszy akt zapierał dech: róże i świece, niespodziewane wycieczki do Paryża. Dziewczyny mdlały, z Bethany włącznie. Jednak nie zostawały na długo.

– Brenda odeszła? – spytała. Zbyt długo się znali, by owijać w bawełnę.

– Tak – westchnął. – Nie ułożyło się.

Rick nie był złym człowiekiem. Nie był nawet draniem. Płytki, niewierny egoista z obsesją na punkcie pracy. Jednak jego najgorszą wadą było niedotrzymywanie obietnic. W dużych sprawach zawodził. To było rozczarowujące dla dziewczyn, bolesne dla żony, miażdżące dla dziecka.

„Popatrz na to mieszkanie, na pierścionek na twoim palcu, naszą ostatnią podróż na St. Lucię. Czy to nie wystarczy?”

„Nie, Rick, to z całą pewnością nie wystarczy. To w ogóle nic nie znaczy. Nie chcemy tych rzeczy. Chcemy tylko ciebie”.

Dawniej nigdy tego nie pojmował. Najwyraźniej nic się nie zmieniło.

– Wiesz, jak ona mnie nazwała? – spytał. – Powiedziała, że jestem kastratem emocjonalnym.

– Kurczę – powiedziała Bethany, ucieszona, że nie musi ukrywać uśmiechu. – Jak na osobę w rodzaju Brendy całkiem ambitne określenie. Poznałeś ją w Vegas, prawda? Była kelnerką?

– Cholernie zabawne, Beth. Była tancerką. Nie striptizerką. Występowała w rewii.

– Ups, pomyliłam się. – Bethany podeszła do dużego okna i spojrzała nad drzewa. Teraz, gdy liście zaczęły opadać, droga prześwitywała wśród gałęzi. Ani śladu autobusu.

– Trzeba być bardzo wysportowanym, żeby tańczyć. Ona ma wielki talent – mówił Rick. Bethany dobrze znała ten nadąsany, obronny ton. Dawniej doprowadzał ją do szału. Teraz tylko zasmucał.

– Na pewno. I jest elastyczna.

Bethany lubiła Ricka o wiele bardziej teraz, po rozwodzie, gdy nie mógł już jej zranić. Czasami, jak w tej chwili, nawet ją bawił. Nie nazwałaby go kastratem emocjonalnym. To brzmiało nieco zbyt surowo, choć bardzo śmiesznie. Pod względem emocjonalnym Rick przypominał raczej małe dziecko, niezdarne, nieświadome siebie, pragnące wsunąć sobie do buzi każdą śliczną błyskotkę, nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Kiedy człowiek poznawał jego rodziców, przestawał się dziwić. Joan była nadmiernie chwalcą syna, przesadnie oddaną matką i żoną w typie wycieraczki do butów. Ojciec, Richard Senior, szanowany kardiochirurg, był wymagający, zbyt krytyczny i odległy. Przy każdej okazji powtarzał, że przywykł do wsuwania rąk do klatki piersiowej i ożywiania serca masażem. I mów tu o kompleksie Boga. Prawdę powiedziawszy, Richard mógł skończyć znacznie gorzej. Gdyby był socjopatą, zostałby na przykład seryjnym mordercą, a nie chirurgiem plastycznym.

– To nie jest śmieszne, Beth.

- Nie, wiem. Przepraszam.
- Dlaczego wszyscy ode mnie odchodzą?
- Och, Rick.

To była prawda. Faktycznie od niego odeszła, ale tylko dlatego, że nie dał jej wyboru. Niewierność doprowadza do zerwania umowy, szczególnie gdy jesteś matką. Bethany nie mogła dopuścić, by Willow nabrała przekonania, że niewierność jest w porządku. Poza tym był beznadziejnym ojczymem, nieobecnym, stale niedotrzymującym dużych i małych obietnic. Czemu tego nie wiedział?

Bethany życzyłaby sobie – jeśli tak można określić płonące w jej sercu pragnienie – by Willow poznała prawdziwego ojca. Jak ci dwoje by się pokochali. Jakże inaczej potoczyłyby się sprawy dla Willow. Bethany poczuła, jak dziesięciolecie żalu i rozczarowań chwyta ją za gardło. Nie mogła otworzyć ust, nie ufała własnemu głosowi. W milczeniu, jakie zapadło, Bethany wyobrażała sobie, że Rick przypomina sobie wszystkie szorstkie słowa i oskarżenia, które kiedykolwiek w niego cisnęła.

- W porządku, Beth?
- Tak – szepnęła. – Nic mi nie jest.
- Czy mogę w ten weekend przyjechać i zobaczyć się z Willow? Tęsknię za wami.
- Tak, może. – Zapyta Willow. To ją może rozweseli. – Zadzwonię jutro.

Bethany usłyszała warkot i syk, wśród drzew zamajaczył jasnożółty autobus. Rick mówił dalej, że przyjedzie i przywiezie rzeczy od Zabara, które tak lubiły. Pójdą na spacer do lasu, zjedzą kolację w domu. Oczywiście nie zostanie na noc. Rick nie znosił samotności. Teraz, dopóki nie znajdzie nowej dziewczyny, będą go często widywały. Bethany znosiła jego obecność tylko ze względu na Willow, bo był jedynym ojcem, jakiego miała znać. Bethany słuchała jednym uchem, skupiona na odgłosie autobusu zatrzymującego się przed podjazdem. Po chwili potoczył się dalej.

- Posłuchaj, Rick. Willow właśnie przyjechała autobusem. Wyjdę po nią, żeby nie musiała iść sama. Zadzwonię jutro.

Bethany zbiegła po frontowych schodach na żwir. Podjazd był długi i kręty. Gdyby nie rozmawiała przez telefon, kilka minut wcześniej podjechałaby land cruiserem i poczekała na przystanku na autobus. Ale spacer dobrze jej robi. Przypuszczała, że spotka córkę mniej więcej w połowie drogi, tak się jednak nie stało. Bethany szła więc dalej, słysząc w oddali dziewczęcy śmiech. Willow zatrzymała się pewnie, by poplotkować z bliźniaczkami

z sąsiedztwa. Wieloakrowe posesje oddzielały domy, ale wyloty podjazdów i skrzyżki na listy znajdowały się tuż przy sobie. Kilkoro dzieciaków sąsiadów wysiadało na tym samym przystanku: Willow, bliźniaczki Madison i Skylar, syn malarza Carlos i jeszcze jedna dziewczyna, Amy czy Emily, jakoś tak.

Kiedy Bethany dotarła do ulicy, Madison (a może Skylar – kto potrafił je rozróżnić?) plotkowała i chichotała właśnie z tą ostatnią dziewczyną.

– Ale z niego matoł. Nie do wiary – mówiła jedna z nich, ale stały odwrócone plecami do Bethany, więc nie widziała która.

– Cześć, dziewczyny.

– Dzień dobry, pani Graves – odpowiedziały niemal chórem. Madison uśmiechnęła się słodko. Druga dziewczyna nieśmiało wbiła wzrok w ziemię. Ani śladu Willow.

Bethany rozglądała się po podjeździe, choć przecież nie mogła przegapić córki.

– Czy Willow jechała z wami? – spytała. Starła się, by zabrzmiało to swobodnie, ale krew już zaczynała huczeć jej w uszach.

– Nie – odparła Madison. Miała jasne kręcone loki, rumiane policzki i piwne oczy. – Kiedy wsiadałyśmy, też jej nie widziałam.

Madison powiedziała może coś jeszcze, ale Bethany nie usłyszała. Już pędziła z powrotem podjazdem. Jak poruszana autopilotem, wróciła do domu, chwyciła torebkę i komórkę. Siedząc za kierownicą, zadzwoniła do córki, ale włączyła się poczta głosowa. W znajomym transie gniewu podszytego niepokojem wyjechała z podjazdu i ruszyła do szkoły.

Po raz pierwszy Bethany wyruszyła w ten sposób na poszukiwanie córki w Nowym Jorku. W zimowy wieczór o dwudziestej. Już od blisko miesiąca mieszkały same, bo Bethany poprosiła Ricka, żeby się wyniósł. Wszystko zaczęło się od tego cholernego koncertu Britney Spears. Kłamstwa i zrodzony z nich chaos – wszystko zaczęło się wtedy.

Dzisiaj, gdy wjeżdżała na niemal pusty parking szkolny, za wszelką cenę próbowała nie panikować. W szkole nadal paliły się światła. Zaparkowawszy przed podwójnymi drzwiami wejściowymi, wysiadła z komórką w ręce. Liceum w Hollows było typową szkołą ze Wschodniego Wybrzeża: niskim, długim betonowym budynkiem o płaskim dachu. Kiedy weszła do środka, zalał ją natłok wspomnień. Bethany nienawidziła szkoły równie mocno jak Willow, podobnie jak córka czuła się tam jak ryba wyjęta z wody.

„Willow kłamie, ponieważ czuje, że to, kim naprawdę jest, nie zadowoli rówieśników”, powiedziała jej doktor Cooper podczas ostatniej rozmowy o córce. Bethany rozumiała to; w dzieciństwie czuła się tak samo. Ale udało jej się skierować tę energię na pisanie.

„Ale ja tak ją kocham. Zawsze wystarczy mi to, kim jest. Ona to wie”.

„Kiedy nasze dzieci cierpią, instynktownie czujemy, że ponieśliśmy klęskę. Ale to nie zawsze jest nasza wina. Willow przeżywała rzeczy, na które nie miałaś żadnego wpływu. Wybrała własną metodę radzenia sobie z nimi”.

Czy to nie był jednak postmodernistyczny psychobelkot? Przecież rodzice odpowiadali za dzieci, koniec kropka. Kiedy dzieci się miotały, istniało prawdopodobieństwo, że miało to związek z tobą. To prawda, Bethany nie ponosiła winy za śmierć ojca Willow. Jednak wybierając Ricka, popełniła błąd. Przez znaczną część życia córki Bethany nie była naprawdę szczęśliwa, co musiało wywrzeć jakiś wpływ.

O tym myślała, idąc do gabinetu dyrektora po cętkowanym laminacie, mijając rzędy zielonych szafek. Światła się paliły, ale ławki świeciły pustkami; monitory komputerów były zgaszone.

– Halo! – zawołała.

– Tak? – w końcu korytarza rozległ się męski głos i po chwili ukazał się Henry Ivy. Bethany poczuła, że się rumieni. Dyrektor sprawiał wrażenie takiego gorliwca. Nie chciała, by dowiedział się, jak szybko Willow złamała obietnicę. Nic nie mogła jednak poradzić.

– Willow nie wróciła do domu ostatnim autobusem.

Bethany nie chciała, żeby zabrzmiało to tak, jakby umierała ze strachu, ale właśnie tak było. Żołądek wywijał harce, z trudem powstrzymywała łzy.

Przypomniała sobie, jak się czuła, kiedy zatelefonowała do Evelyn Coates – czy minął już ponad rok? – bo szukała Willow, która miała oglądać filmy w eleganckim mieszkaniu Coatesów na poddaszu w Tribeca i spędzić tam noc.

– Beth – powiedziała wtedy Evelyn. Bethany wciąż pamiętała niepokój, jaki natychmiast wkradł się w słowa tamtej kobiety. – Willow tu nie ma. Zoë jest tu przy mnie, ogląda telewizję.

Bethany poczuła lęk i smutek, ale także, musiała przyznać, nienawiść do Evelyn za jej idealne małżeństwo, idealne życie, idealne dziecko, które znajdowało się dokładnie tam gdzie powinno.

Złapała taksówkę i niespełna pół godziny później stała w lofcie wartym wiele milionów, słuchając wyznania Zoë, że Willow ma starszego od siebie

chłopaka, którego poznała na koncercie Britney Spears. Zoë nie chciała kłamać, nie chciała też jednak pakować przyjaciółki w kłopoty. Dlatego wcześniej obiecała Willow, że będzie ją kryła.

– Ale Willow nie poszła na ten koncert – wyjąkała Bethany, nie myśląc, co mówi. – Nie rozumiem.

– Nie poszła?

– Nie – odparła Bethany, wciąż nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. – Jej ojca zatrzymały obowiązki w pracy i nie mógł z nią pójść.

Najsilniej utkwiał jej w pamięci wyraz twarzy Evelyn: maska udawanego współczucia i troski skrywała złośliwą radość, wyższość, wdzięczność za to, że w tej chwili nie była Bethany Graves.

– Dokąd ona miała pójść dziś wieczorem, Zoë? Jest teraz z nim?

– Nie wiem – wzruszyła ramionami Zoë. – Jeżeli skłamała w sprawie koncertu, to może skłamała też w kwestii chłopaka. Nie wiem, gdzie ona jest.

Wtedy Bethany pojęła, że to ona zdradziła sekret Willow i wydobyła na światło dzienne kłamstwa, jakie córka opowiadała przyjaciółkom. Natychmiast po wyjściu Bethany Zoë zacznie rozsyłać SMS-y i maile, pisać na Facebooku o oszustwie Willow.

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Że po prostu z nim. Nie powiedziała dokąd.

– A potem miała przyjść tutaj?

Zoë wbiła wzrok w podłogę i potrząsnęła głową.

– Co? Miała spędzić noc z jakimś chłopakiem i wrócić rano do domu? – Bethany nie podobał się jej własny piskliwy głos, ale panika brała górę. Gdzie jej trzynastoletnia córka zamierzała spędzić noc, jeśli nie u przyjaciółki? Jak mogła przeoczyć, że Willow kłamała jej w żywe oczy?

– Przykro mi, pani Graves. – Zoë znów wzruszyła ramionami.

Bethany poczuła, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

Tak mniej więcej czuła się teraz, stojąc przed uroczym Henrym Ivym, który przecież usiłował pomóc Willow, wyciągnął pomocną dłoń.

– Powiedziała, że chce zostać w szkole i się uczyć – wyjaśniła Bethany. – Dzwoniłam do bibliotekarki, która potwierdziła, że Willow tu była.

– Cóż, chodźmy spytać panią Teaford – rzekł pan Ivy. Już samo brzmienie jego głosu działało kojąco. – Biblioteka jest czynna do siedemnastej. Może Willow tam jest, może straciła poczucie czasu.

– Może – powtórzyła Bethany, czując przyływ nadziei, która

wyparowała, gdy tylko przestąpiła próg biblioteki. Przy stołach do nauki z przodu sali nikt nie siedział. Światła nad półkami pogaszono. Pani Teaford, już w płaszczu, odwróciła wzrok od ekranu komputera, torby leżały obok. Bibliotekarka szykowała się do powrotu do domu.

– Owszem, Willow tu była. Nie jestem pewna, kiedy wyszła. Towarzyszyła jej Jolie Marsh. Te dwie razem zazwyczaj wróżą kłopoty, trzeba je rozdzielać. Ale dzisiaj zachowywały się cicho, miały otwarte podręczniki. Nie zauważyłam, jak wyszły.

– Czy nie potrzebują pozwolenia, żeby opuścić bibliotekę? – spytała Bethany.

– Nie po godzinach. – Pani Teaford spojrzała na Bethany z uprzejmym politowaniem. Bethany widywała już ten wyraz twarzy przedstawicieli grona pedagogicznego, zarezerwowany dla rodziców, którzy najwyraźniej nie panowali nad dziećmi, maskę empatii ledwo skrywającą wzgardę.

Po wyjściu z biblioteki Bethany raz jeszcze zadzwoniła na komórkę Willow. Znowu poczta głosowa. To zaniepokoiło ją bardziej niż cokolwiek, ponieważ Willow wiedziała, że jeśli chodziło o komórkę, stąpała po grząskim gruncie. Po incydencie w lesie Bethany zagroziła, że odbierze córce telefon, potem zwróciła go, głównie dlatego, że chciała mieć z nią kontakt. Zasada była jednak taka, że jeśli kiedykolwiek Bethany nie zdoła się z nią połączyć, komórka zostanie skonfiskowana na czas nieokreślony. Czemu nie odpowiadała? Dlaczego nie zadzwoniła? Bethany wiedziała, że w Hollows istniały obszary bez zasięgu. Ale dochodziła siedemnasta. Willow musiała zdawać sobie sprawę, że Bethany odchodzi od zmysłów ze zdenerwowania; zadzwoniłaby już z jakąś mizerną wymówką.

– Dobrze – powiedział Henry. – Zastanówmy się chwilę. Dokąd Willow mogła pójść? Wiem, że niektóre dzieciaki lubią chodzić na stary cmentarz przy drodze.

Bethany przypomniała sobie, że Willow wspomniała o cmentarzu, przyznając, że napędził jej strachu. Bethany nie sądziła, by córka znowu tam poszła. Powiedziała do dyrektora.

– Cóż, pojedźmy tam i sprawdźmy.

Bethany właśnie ponownie wciskała na komórce klawisz „połącz”, gdy ujrzała nadchodzącego mężczyznę. Potężnie zbudowana postać zbliżała się wolnym, swobodnym krokiem. Kiedy stanął przed nimi, wydał się jej znajomy, choć nie potrafiła go dokładnie umiejscowić.

– Witaj, Henry – powiedział, wyciągając rękę.

– Dobrze cię widzieć, Jones – odparł dyrektor, uściśnął dłoń mężczyzny

i poklepał go familiarnie po plecach. – Mamy tu pewną sprawę. Wiem, że musisz porozmawiać, ale czy to może poczekać?

– Jasne. Mogę coś zrobić?

Jones Cooper, zdała sobie sprawę Bethany, mąż doktor Cooper. Bethany widywała, jak pracował na podwórzu, kiedy przywoziła Willow na wizytę.

Henry przedstawił ich sobie. Bethany spodobał się uścisk dłoni Jonesa, jego flanelowa kurtka i potężna klatka piersiowa. Miał miłą twarz. Toporna, takie słowo przyszło jej na myśl. Godna zaufania.

– Szukamy pary dzieciaków – wyjaśnił Henry. – Willow Graves nie wróciła do domu popołudniowym autobusem.

Na widok cienia, jaki przemknął po twarzy Jonesa Coopera, Bethany poczuła, jak jej serce przyspiesza.

– Zastanawialiśmy się nad sprawdzeniem cmentarza – dodał dyrektor. – Właśnie tam jedziemy.

– Moja furgonetka stoi przed szkołą – powiedział Jones, wskazując na drzwi. – Mogę tam z wami podjechać.

Cmentarz był zaniedbanym, rozsypującym się miejscem, a Bethany natychmiast zrozumiała, dlaczego nie spodobał się Willow; zresztą chyba nikogo przy zdrowych zmysłach nie ciągnie do cmentarza. Samotne i opuszczone miejsce spoczynku zapomnianych zmarłych. Kiedy wysiedli z samochodów – Bethany i Henry Ivy pojechali jej wozem za Jonesem Cooperem – zobaczyła, że ziemia jest zasłana butelkami po piwie i niedopałkami.

– Nie znaleźli nikogo na posadę stróża – powiedział Henry Ivy, zatrzymał się i spojrzął na tablicę w kamiennym murze. Erozja sprawiła, że napis stał się nieczytelny. – Ten cmentarz ma wartość historyczną. Szkoda, że popadł w ruinę.

„Popadł w ruinę”. Jak gdyby wszystko czekał ten właśnie los, jeśli się nie przeciwstawimy. Kiedy wypuścimy sprawy z rąk, ulegną rozpadowi. Jones pchnął cmentarną bramę, która zaprotestowała ze skrzypieniem. Wtedy, gdy słońce chowało się za horyzont, Bethany, stojąc w tym okropnym miejscu, poczuła, jakby gniew, niepokój i żal miały ją rozsadzić. Dlaczego się tu przeprowadziła? Musiała być szalona, jeśli sądziła, że Willow kiedykolwiek przystosuje się do Hollows. Owszem, Bethany się bała. Po tamtej nocy, gdy dotarło do niej, w jakie kłopoty może się wpakować w Nowym Jorku dziewczyna taka jak Willow, zapragnęła zabrać stamtąd córkę możliwie jak najdalej. Ale teraz szukali jej na cmentarzu. Powinna

była wiedzieć, że jeśli dobrze poszukasz, kłopoty możesz znaleźć wszędzie. One czekają – nie tylko na rogach ulic, w metrze, nocnych klubach, ale także na cichych wiejskich drogach, w zwartych kępach drzew.

Właśnie miała znowu zadzwonić do Willow, gdy ujrzała córkę wychodzącą z lasu. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom, ale sądziła, że siłą wyobraźni wywołała obraz Willow, Jolie i osobliwie pięknego chłopca, którego wcześniej nie spotkała. Wszyscy troje mieli jasną cerę, ciemne ubrania i wyglądali nierealnie jak ulotne zjawy.

– Mamo? – W tych dwóch sylabach Willow zdołała wyrazić zakłopotanie i niepokój. Trójka nastolatków wymieniła spojrzenia – ten chłodny, buntowniczy uśmieszek, mówiący, że wszelkie uczucia rodzicielskie są komiczne i godne pogardy. Nie, tylko Jolie tak spojrzała. Willow wyglądała na przestraszoną i potulną. Co do chłopaka, to Bethany nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

– Wsiadaj do wozu, Willow. – Tylko tyle zdołała wykrztusić. Wściekłość i ulga były tak przemożne, że czuła, jakby miała zwymiotować.

– Mamo.

– Wsiadaj. Do. Wozu.

– Gdzie wyście byli? – zwrócił się Henry Ivy do Jolie, gdy Willow ruszyła do samochodu Bethany.

– Poszliśmy tylko na spacer – odparła Jolie. – To chyba nie jest przestępstwo, prawda?

Jones Cooper nie odezwał się do tej pory ani słowem, po prostu stał i patrzył. Teraz postąpił krok naprzód. Z rękami w kieszeniach, jak gdyby nigdy nic, spojrzał w niebo.

– Tam nie jest bezpiecznie – stwierdził, po czym zerknął na nich, mrużąc oczy. – Wy, dzieciaki, powinniście to wiedzieć. Tam są opuszczone kopalnie. Część tych terenów to prywatne działki, a miejscowi nie patrzą przychylnym okiem na intruzów. – Jones kopnął ziemię, a Bethany usłyszała metaliczny brzęk. Łuski po nabojach. Dopiero teraz spostrzegła, że pełno ich leży na ziemi.

– Tylko spacerowaliśmy – powiedział chłopak, ale nie wyzywająco. Swobodny, pewny siebie, ale nie ulicznik. Bethany zauważyła, że Jones spojrzał ostro na chłopaka, rejestrując szczegóły – płócienną kurtkę, koszulkę z nadrukiem, kosztujące pewnie ze sto dolarów brudne dżinsy z fabrycznymi dziurami na kolanach, grube skórzane buciory. Kruczoczarne nażelowane włosy w artystycznym nieładzie. Rzęsy miał tak długie i ciemne, że wyglądały jak pociągnięte tuszem, ale tak nie było. Ciacho, jak

mówią nastolatki.

– Jak się nazywasz, synu? – spytał Jones Cooper.

– Cole Carr – odparł chłopak i wyciągnął rękę, którą Jones uściskał.

– Cole dołączył do nas dopiero we wrześniu – dodał Henry. – A to jest Jolie Marsh.

– Znam twojego ojca – powiedział Jones, patrząc na Jolie.

– Szczęściarz z pana.

Rozbawiony Jones uniósł brwi i oszacował ją wzrokiem. Bethany z zadowoleniem patrzyła, jak dziewczyna się wije i po chwili kieruje wyzywający wzrok na ziemię. Jolie sprawiała wrażenie brudnej – brud pod paznokciami, niemyte włosy, plamy na płaszczu. Kto się zajmował tą małą?

– Chciałam im tylko pokazać, co widziałam wczoraj – odezwała się Willow z samochodu przez opuszczoną szybę.

– A co takiego widziałaś? – zainteresował się Jones Cooper. Nikt nie kwestionował jego prawa do zadawania pytań. Nawet Bethany stwierdziła, że podda się jego autorytetowi. W drodze na cmentarz Henry wyjaśnił jej, że Jones Cooper, emerytowany śledczy z policji w Hollows, obecnie pracuje dorywczo jako prywatny detektyw. Bethany przypomniała sobie, że doktor Cooper mówiła coś w tym rodzaju. Z pewnością pasował do swojej roli, szczególnie teraz, gdy zadawał pytania.

Bethany opowiedziała Jonesowi o przygodzie Willow w lesie, o tym, jak Michael Holt oddał jej telefon, o jego poszukiwaniach szybu. Jones Cooper przyglądał się jej z uwagą. Bethany nie zdawała sobie nawet sprawy, jakie znaczenie miały dla niego jej słowa.

– Oczywiście teraz żałuję, że powtórzyłam córce, co opowiedział mi Michael Holt. Powinnam była wykazać się większym rozumem.

– Dzieciaki – zachichotał cicho Jones i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Możemy już jechać? – spytała Jolie. – Nie zrobiliśmy przecież nic złego. Mieliśmy odprowadzić Willow na autobus. Po prostu trwało to dłużej, niż myśleliśmy. Zresztą tam w lesie nic nie ma. Czysta strata czasu.

Usłyszawszy, jak Willow podnosi szybę, Bethany odwróciła się i zobaczyła, że córka siedzi na tylnym siedzeniu gniewna i nadąsana. Kiedy Bethany spojrzała za siebie, spostrzegła, że Cole przygląda się Willow, natomiast Jolie uważnie obserwuje chłopaka. „Oho”, pomyślała Bethany, czując w brzuchu uderzenie niepokoju: tutejsze kłopoty właśnie się zaczęły.

Tamten dzień, w poprzednim wcieleniu, zaczął się jak każdy. Właśnie temu Eloise nie mogła się nadziwić. W poprzednim życiu nic nie zapowiadało tego, co miało nastąpić. Eloise, zwyczajna dziewczyna z robotniczej rodziny, wyszła za mąż za ukochanego ze szkoły średniej, Alfreda Montgomery'ego. Pracowała jako recepcjonistka w firmie przewozowej, Alfred kończył studia. Kiedy przyszła na świat ich pierwsza córka, Eloise z radością zostawiła pracę.

Jako nauczyciel matematyki w szkole średniej Alfred nigdy dużo nie zarabiał, ale wystarczyło im na życie. Wtedy było inaczej niż teraz, kiedy każdy, kto chce być szczęśliwy, musi żyć jak gwiazdor. Eloise i Alfred byli szczęśliwi; nie znali innego życia. Spędzanie czasu z dziećmi w domu nie było dla niej źródłem udręki. Tak postępowała jej matka, tego samego pragnęła Eloise. Czemu miałyby chcieć sprzedawać swój czas jakiejś firmie, żeby kto inny zajmował się jej córkami? Co gorszego było w szykowaniu posiłków, sprzątaniu, kolorowaniu obrazków i śpiewaniu dzieciom piosenek? Co takiego wspaniałego było w karierze? Eloise nigdy tego nie pojmowała. Bunt matek? Jakież to smutne.

– Alfie, pamiętałeś o lunchu?

– Tak, tak. Mam go. – Po zmarszczonym czole męża poznała, że myślami był już przy nadchodzącym dniu. Dziewczynki siedziały w aucie. Emily nałożyła słuchawki. Amanda utkwiała nos w książce.

Właśnie to Eloise zapamiętała z tamtego ranka. Te słowa, zawieszane w powietrzu, chłodnym, ale niosącym ciepłą obietnicę wiosny. Poza tym zapamiętała, jak spojrzał na nią z uśmiechem, zakłopotany tym, że jego słowa mogły się wydać zdawkowe każdemu oprócz niej, która znała go tak dobrze.

– Dziękuję, kochanie – powiedział. – Tak, mam go.

– To brzmi już lepiej.

Alfie. Wszyscy prócz Eloise i jej teściowej Ruth mówili na niego Al. Tylko one wciąż nazywały go Alfie, pamiętając nieśmiałego, kujonowatego, zawsze miłego chłopca, któremu szkolne mięśniaki nigdy nie dokuczały, bo przecież jednak coś w nim było. Coś twardego za tymi okularami w drucianych oprawkach. Zamiast mu dokuczać, prosili, żeby pomagał im w algebrze.

Tak właśnie miało być: jej mąż i dwie córki mieli pojechać do szkoły. Tylko że...

– A, nie! Potrzebuję samochodu – zawołała Eloise.

– Dlaczego? – spytał Alfie. – Dlaczego?

– Przed południem mam spotkanie. Szlag by to trafił. Daj mi minutę.

Mieli tylko jeden samochód. Alfie pracował o kwadrans od domu. Kiedy Eloise potrzebowała wozu, odwoziła męża do pracy, dzieci do szkoły i odbierała ich pod koniec dnia. Brała samochód parę razy w tygodniu, by móc zrobić zakupy, załatwić sprawunki, pojechać do lekarza.

– Pospiesz się, Eloise. Przed zajęciami muszę wystawić oceny.

Te dziesięć minut zmieniło jej życie. Kusiło ją, by powiedzieć, że zniszczyło, skończyło, zrujnowało... Coś w tym guście. Ale to nie było prawda. Życie Alfiego się skończyło. Życie Emily się skończyło. Jej ubóstwiany i ubóstwiający ją mąż. Jej śliczna, bystra, zabawna, ekscentryczna, miła córeczka, która śmiała się zawsze, nawet gdy była smutna. Eloise została z Amandą, poważną, kochającą, introwertyczną, uzdolnioną artystycznie młodszą córką. Tak mało prawdopodobne, by zdołały się podnieść i znów żyć, ale to właśnie było im pisane. Właśnie one, które najchętniej umarłyby z bólu po utracie tamtych, musiały żyć dalej.

Eloise się martwiła, natomiast Alfie zbywał wszystko śmiechem. Emily robiła sceny i spała jak kłoda, za to Amanda trapiła się w milczeniu, nie mogła spać po nocach, szła na palcach do sypialni rodziców i zasypiała u boku ojca. Nie powinno stać się tak, że one dwie przeżyły, by podtrzymywać się nawzajem na duchu. Ale stało się. Po wypadku świat cicho zszarzał. Eloise nie potrafiła na powrót uszczęśliwić, ani siebie, ani nawet Amandy.

Przez sześć tygodni Eloise leżała w śpiączce, podczas gdy jej mąż i córeczka odeszli i zostali pochowani bez niej. Amandą, która doznała najłżejszych obrażeń, zaopiekowała się jej babcia Ruth. Na myśl o tych sześciu tygodniach Eloise nienawidziła siebie. Jak mogła po prostu leżeć i pozwolić, by Emily i Alfie odeszli? Jak mogła zostawić Amandę samą z tym potwornym lękiem i miażdżącym żalem? Jak mogła? To było niewybaczalne zaniedbanie obowiązków.

Kilka miesięcy później przyszły wizje. Amanda wróciła do szkoły, gdzie zgodnie z oczekiwaniami radziła sobie dobrze. Eloise pracowała jako sprzątaczką i opiekunką do dzieci u sąsiadów. Początkowo, o czym wiedziała, dawali jej pracę z litości. Z czasem jednak jej reputacja zaczęła rosnąć; miała dobrą rękę do dzieci, wspaniale zajmowała się domem.

Ubezpieczenie Alfiego i oszczędności pozwalały im nieźle wiązać koniec z końcem. Eloise pilnowała, by wracać do domu przed Amandą; obiad czekał gotowy, światła były zapalone. Przynajmniej tyle mogła zrobić. Doskonale wiedziała, że to nie wystarczy.

Właśnie w takie popołudnie, kiedy czekała na szkolny autobus, została uderzona po raz pierwszy. Bo to przypominało uderzenie w głowę. Cios, który sprawił, że przestała odbierać sygnały z otoczenia i przełączyła się na odbiór z innego miejsca, innego czasu, od innej osoby.

Oddychała z trudem, w panice. Ciemność. Odgłos kapania wody, odbijający się echem od kamieni. Potem upiorny, przeszywający krzyk. *Na pomoc, na pomoc, pomóżcie mi!* Zapętłone nagranie, odtwarzane bez końca. Nie wiedziała, jak długo to trwało.

Gdy Eloise odzyskała przytomność, leżała na podłodze, a nad nią stała blada, przerażona Amanda.

– Mamo – wyszeptała. – Mamo.

Eloise podniosła się z trudem, usiłując odzyskać orientację. To była ostatnia rzecz, jakiej Amanda teraz potrzebowała.

– Wszystko w porządku, kochanie. Nie jadłam lunchu. Musiałam stracić przytomność. – Eloise próbowała się uśmiechnąć przepraszająco, ale nie potrafiła otrząsnąć się z wizji ani z lęku. Co się z nią, do diabła, stało?

Amanda, wykapaną Eloise, jak zawsze mówił Alfie, wpatrywała się w matkę szeroko otwartymi oczami. Ale nieprawda, nie była wykapaną matką. Eloise nawet nie mogła marzyć, że stanie się tak piękną, inteligentną i dobrą osobą jak Amanda. Na pociągłej, bladej twarzy córki, w jej wzburzonych oczach, Eloise widziała cały ich żal i smutek, całą straszliwą stratę, jaką poniosły. I coś jeszcze: gniew dochodzący do wrzenia, coraz silniejszą wściekłość. Amanda była za młoda, żeby dowiedzieć się, jak trudny i niesprawiedliwy potrafił być świat; wycierpiała zbyt wiele jak na swoje piętnaście lat. Coś w niej, to dziecko, któremu kazano za szybko dorosnąć, było wściekłe.

– Wszystko w porządku. Słoneczko. Spójrz na mnie. Nic mi nie jest.

Wietrzne dzwonki na dworze oszalały. Eloise słyszała gruchanie gołębi karolińskich, które zagnieździły się pod okapem. Przytuliwszy Amandę, poczuła, jak córka obejmuje ją w pasie i mocno do niej przywiera.

Co się z nią stało? Niemal wszyscy zakwestionowali jej zdrowie psychiczne, natychmiast wyobrazili sobie zespół stresu pourazowego lub inne załamanie. Oczywiście sama Eloise też o tym wcześniej pomyślała. (Ponure diagnozy, pigułki we wszystkich kolorach tęczy miały przyjść

później). Ale już wtedy wiedziała, że nie postradała zmysłów. Po prostu była Alicją, wpadła do króliczej nory i przeleciała do innego świata, o którego istnieniu nawet jej się nie śniło.

Dzisiaj dysponowała internetem, wszechobecną siecią informacji, łączącą cały świat. Teraz, kiedy miała wizję, siadała do komputera i wstukiwała kluczowe słowa, takie jak „zaginione kobiety” lub „zaginiona dziewczyna”. Jeśli w swojej wizji słyszała świergot konkretnego ptaka, widziała dany gatunek rośliny, liść, słyszała jakiś akcent albo obcy język, mogła to wykorzystać. Jednak dopiero wieloletnia praktyka nauczyła ją uważności w trakcie widzeń. Początkowo była przerażona, przejmowała emocje widzianych scen. Nie potrafiła jasno myśleć; równowagę odzyskiwała dopiero po wielu godzinach. W tamtych czasach musiała czekać na wiadomości o osiemnastej i dwudziestej trzeciej, z nadzieją, że to, co widziała, zostanie podane w krajowej telewizji. Wtedy nie było jeszcze nawet kablówki, żadnych całodobowych kanałów informacyjnych włączanych jednym kliknięciem pilota.

Tamtej pierwszej nocy nie mogła się otrząsnąć z tego, co zobaczyła. Gdy Amanda poszła spać, Eloise włączyła wiadomości. Nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu to zrobiła. I faktycznie, pojawiła się informacja o zaginionej dziewczynce z Pensylwanii. Poszukiwania na wielką skalę, zapłakana matka błagała każdego, kto coś wiedział, o ujawnienie się. Ona jest w studni. Jeśli teraz nie zadzwonisz, będzie za późno. Dziewczynka jest odwodniona, marznie. Nie przeżyje nocy. To był i nie był głos. To była wiedza, sącząca się z powietrza do jej świadomości. Zarazem miała konkretne brzmienie i nie miała.

Eloise podniosła słuchawkę i połączyła się z gorącą linią.

– Czy ma pani informację o Katie? – spytała młoda kobieta.

– Chyba tak.

– Czy zechciałaby się pani przedstawić?

– Nie – odparła zbyt szybko Eloise. Wiedziała, że brzmi jak świruska lub osoba, która ma coś do ukrycia. Możliwe, że była jednym i drugim.

– Dobrze.

– Miałam wizję. – Eloise drżała do szpiku kości. Głos ją zdradzał, nie potrafiła temu zaradzić. Dygotała, jakby zamarzała od środka. Adrenalina buzowała w jej żyłach.

– Wizję. – Po raz pierwszy usłyszała ten konkretny ton: połączenie niedowierzenia, irytacji i nadziei. W następnych latach miała to słyszeć wiele, wiele razy.

– Katie jest w studni. Wpadła. Zmarzła i odwodniła się. Nie przeżyje nocy. Jest niedaleko domu. Nie proszę, żeby pani mi uwierzyła. Proszę tylko o sprawdzenie.

– Dobrze.

– Katie ma na sobie dżinsy i tenisówki. – Podczas widzenia Eloise nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie była nawet pewna, czemu teraz to mówi. – I biało-zieloną koszulkę z długimi rękawami. Z napisem „Daddy’s Girl”. – Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale wypowiadając te słowa, była przekonana, że mówi prawdę.

W słuchawce zapadła cisza. Eloise usłyszała przyciszone głosy, ktoś mówił, zasłaniając dłonią telefon.

– Halo? – odezwał się męski głos. – Mówi detektyw Richard Jameson. Czy może pani powtórzyć mi to, co powiedziała pani operatorce z gorącej linii?

Eloise powtórzyła.

– Musicie się pospieszyć. Proszę – powiedziała na koniec. Odkładając słuchawkę, jeszcze słyszała głos detektywa. Nic więcej nie miała do powiedzenia, nie chciała się przedstawić. Eloise była zbyt naiwna, by wiedzieć, że już zdołali namierzyć, skąd dzwoniła, że po to właśnie otworzono gorącą linię.

Po rozłączeniu się Eloise poczuła dojmującą ulgę. Dopiero wtedy dotarł do niej okropny brzęczący niepokój, który gnębił ją wcześniej. Podniosła wzrok i w drzwiach salonu zobaczyła Amandę.

– Czy to prawda? – spytała. – Czy to właśnie dzisiaj się stało?

Amanda usiadła na kanapie obok mamy. Dziewczynka miała na sobie jedną z koszul nocnych siostry. Od śmierci Emily sypiała w jej piżamach. Eloise nie miała nic przeciwko temu. Lubiła patrzeć na ożywione ubrania nieżyjącej córki, jakby Emily wciąż je nosiła. Eloise nie tknęła żadnej rzeczy Alfiego – brzytwy, szczoteczki do zębów, kapci pod stolikiem nocnym. Zupełnie jakby Emily i Alfie wciąż byli z nimi, tak długo, jak długo ich rzeczy pozostawały na swoich miejscach. Ich energia pulsowała w tych zwykłych przedmiotach. Chociaż przez większość czasu Eloise grzęła w trzęsawisku żalu, na sam widok przedmiotu dotykanego przez Alfiego czy Emily uśmiechała się.

– Tak myślę. Musiałam zadzwonić. Po prostu to wiem.

– A jeśli się mylisz? – spytała Amanda i spojrzała na matkę tym swoim surowym wzrokiem.

– A jeśli mam rację? – Obie zgodziły się bez słów, że odpowiedź na to pytanie jest jeszcze bardziej przerażająca.

Matka i córka siedziały w ciemności. Włączony telewizor ze ściszym głosem rzucał światło na pokój. Gdyby Alfie i Emily siedzieli razem z nimi, oboje by paplali i wypytywali Eloise o szczegóły. Nie panowałyby cisza, nie byłoby mowy o akceptacji niezwykłości. Alfie i Emily zachowywaliby się sceptycznie, graliby rolę adwokata diabła. Ale nie siedzieli z nimi w pokoju. Eloise podejrzewała, że gdyby tam byli, wszystko to by się nie wydarzyło.

– To nie jest uczciwe. To jest takie nieuczciwe. To wszystko – powiedziała Amanda.

Eloise nie wiedziała, czy córka mówi o ojcu i Emily, czy o wizji matki, czy może o tym, że jakaś dziewczynka wpadła do studni i nikt nie mógł jej znaleźć. Eloise przypuszczała, że Amanda ma na myśli wszystkie te rzeczy naraz. Córka miała stuprocentową rację.

– Nie. Życie nie jest uczciwe. Po prostu robimy, co w naszej mocy. Dobrze? Mamy siebie.

– Do czasu.

Amanda była zbyt bystra, by zadowolić się łatwymi pocieszeniami. Mimo to Eloise odparła:

– Na zawsze. Będziemy razem zawsze. Wszyscy.

Choć Eloise nie wiedziała, czy to prawda, tak właśnie powiedziała. Doskonale wiedziała, że nikt im niczego nie obiecywał. Teraz pojawił się jedyny dar, na jaki każdy człowiek mógł liczyć. Eloise zazdrościła ludziom, którzy wierzyli w opowieści religijne, w niebo, gdzie wszystkie dobre dusze ponownie spotykały się z ukochanymi. Życie stałoby się nieporównanie prostsze, gdyby potrafiła w to wszystko uwierzyć; o ileż łatwiej mogłaby wytłumaczyć to córce. Jednak Eloise nie miała takiej wiary.

Spały razem w łóżku Eloise, tak jak to robiły od jej powrotu ze szpitala. Po raz pierwszy dobrze spała. Nie obudził jej ból pleców, biodra ani szyi, jak często się działo. Nie potrzebowała leków, by dotrzeć do rana. Amanda też spała. Bez koszmarów, w których raz po raz przeżywała wypadek, chociaż ani ona, ani Eloise nie pamiętały, co się stało po tym, jak Alfie wyjechał z podjazdu. Żadna z nich nie zauważyła ciężarówki, która uderzyła w nich, gdy kierowca zasnął za kierownicą. Żadna nie pamiętała, jak samochód przekoziółkował pięć razy i zatrzymał się na dużym dębie. Na szczęście żadna z nich nic nie pamiętała. Oprócz biednej Amandy, w snach.

W kuchni włączyły telewizor, żeby obejrzeć *The Today Show*, przy czym obie udawały, że nie czekają na informację o zaginionej dziewczynie. Natychmiast po włączeniu zobaczyły, jak małą Katie wyciągają ze studni na linach ratunkowych, jak rodzice podbiegają do niej. Eloise zalała falą

radości. Autentycznej radości. Po wypadku nabrała pewności, że już nigdy nie zazna tego uczucia. Trwało dopóty, dopóki Amanda nie zwróciła się do niej:

– Czy to dlatego On ich zabrał?

– Kto? Kto zabrał kogo?

– Czy dlatego Bóg zabrał tatę i Emily?

– Amando... – Odebrało jej mowę.

– Myślisz, że to dlatego? Może oni mówią, ci, co widzą, no wiesz... z tamtej strony. – W oczach Amandy lśniły łzy. – Myślisz, że tak jest, mamó? Może?

– Nie wiem, kochanie. Jeszcze nie rozumiem, co nam się przydarzyło.

– Ale to możliwe, prawda? Emily zawsze chciała wszystkim pomagać, prawda? Była taka dobra.

– To prawda.

– To byłoby coś dobrego.

Po tych słowach Amanda załamała się i rozpłakała. Eloise podeszła do córki, zapłakane przytuliły się jak nigdy wcześniej. Płacz opłukiwał je, oczyszczał. Kiedy tak stały, rozdzwonił się telefon. Później właściwie nie przestawał już dzwonić.

Wszystko to jednak działo się sto lat temu, przynajmniej tak teraz czuła. Jones Cooper odszedł, Eloise zaś szukała w sieci wiadomości o niedawno zaginionych kobietach. Zadowolony Oliver siedział jej na kolanach. Chociaż trzymanie kota nie ułatwiała pracy – aby dosięgnąć klawiatury, musiała unosić łokcie nad jego okazałym cielskiem – nie miała serca go przeganiać. Eloise surfowała po stronach informacyjnych, sprawdzała dane w Narodowym Centrum Zaginionych i Wykorzystywanych Dzieci. W ostatnich latach strona Amber Alert okazała się niezwykle pomocna. Jednak dzisiaj Eloise nie odbierała żadnych sygnałów, pozostawała uparcie nastawiona na chwilę obecną.

Po silnym widzeniu, takim jak wczorajsze, często wchodziła do internetu i znajdowała twarz, którą rozpoznawała. Wtedy zdarzało się, że przychodziła kolejna wizja. Eloise miała nadzieję, że teraz tak właśnie się stanie. Może biegnąca kobieta, którą widziała, była Marlą Holt. Zakładała, że tak, podobnie zresztą jak Ray. Z drugiej strony może nie. Z niewiadomego powodu Eloise pragnęła, by tak nie było. Nie chciała przyjmować tej sprawy, usiłowała namówić Michaela, by pozwolił matce odejść. On jednak nie słuchał. Jakaś przemożna siła popychała go do

działania. Eloise miała złe przeczucia, ale przeglądając twarze zaginionych osób, nikogo nie rozpoznawała.

Codziennie odwiedzała strony internetowe poświęcone zaginionym. Zdarzało się, że później miała wizję albo coś słyszała, jakby internet potrafił łączyć ją z energią, która obdarzyła Eloise niezwykłymi zdolnościami. Wtedy zawiadamiała władze, bardziej skłonne do współpracy niż na początku. Eloise zyskała już pewną reputację. Poza tym zdolności parapsychiczne nie były już taką osobliwością, weszły do świadomości publicznej. Ludzie uważali, że takie zjawiska są możliwe, stali się bardziej otwarci. Czasami odnosili się wobec niej bardzo grubiańsko, ale Eloise się tym nie przejmowała. Po prostu robiła to, co do niej należało.

Nieraz dzwoniли do niej ludzie z polecenia albo tacy, którzy znaleźli ją w sieci. Zdarzało się, że wizje przychodziły do niej jakby w odpowiedzi na potrzebę. Równie często wizje się nie pojawiały. Ludzie niejednokrotnie byli rozczarowani Eloise, wpadali w gniew, ale ona ich rozumiała.

Kiedy odebrano jej Alfie'ego i Emily, ona też czuła gniew. Chciała kogoś obwinić, szukać zadośćuczynienia. Gniew zagnieździł się w niej jak robak, wgrzyzał się w gardło, wił się we wnętrznościach. Eloise chciała, by kierowca ciężarówki zapłacił. Zażywał amfetaminę, żeby nie spać, potem łykał środki uspokajające, żeby zasnąć. Tamtego ranka uzależnienie wzięło górę. Zasnął za kierownicą, najechał na nadjeżdżające pojazdy, staranował ich samochód. Z wypadku wyszedł bez szwanku.

Eloise życzyła mu śmierci; miała nadzieję, że straci wszystko, co kocha – rodzinę, pieniądze, cały świat. Chciała, by doświadczył dziesięć razy większego bólu niż ona. To pragnienie nie pozwalało jej zasnąć. Raz, zanim rozpoczął się proces, pomyślała o tym, żeby kupić broń, przyjść do sądu i go zastrzelić. Powstrzymała ją tylko Amanda, jej bladolicy anioł. Matka była wszystkim, co jej zostało. Eloise myślała o stoickim spokoju, z jakim córka przyjmowała to, co się wydarzyło. Gdyby Eloise zastrzeliła tego kierowcę, Amanda również zniosłaby to dzielnie. Dopiero potem zwróciłaby się przeciwko samej sobie i nie byłoby nikogo, kto by ją uratował.

Później Eloise poznała Barneya Crofta, człowieka, który zabił jej rodzinę. Gdy go zobaczyła, zrozumiała, że był złamanym, zrozpaczonym człowiekiem, zniszczonym przez nałóg, wyrzuty sumienia, marną egzystencję. Eloise ujrzała go, jak stał przed gmachem sądu obok swego adwokata, który opierał dłoń na jego ramieniu. Kierowca palił papierosa. Zapłakana Eloise przyjechała do sądu, by wysłuchać reszty zeznań. Mimowolnie podeszła do kierowcy. Chciała, żeby ją zobaczył. Chciała, by

zobaczył, co jej wyrządził.

Adwokat ujrzał ją pierwszy, podniósł rękę, jakby próbował się przed nią osłonić. Potem odwrócił się Croft. Eloise zobaczyła, że kierowca blednie, jej serce zaczęło łomotać, pojawiła gęsia skórka w gardle.

– O Boże – wykrztusił kierowca. Eloise poczuła od niego woń papierosów i żalości. – Niech mi pani przebaczy. W imię Boga, proszę, niech mi pani wybaczy. – Ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać, dygotał na całym ciele, wciąż ściskając papierosa w grubych palcach.

Może właśnie wtedy to się zaczęło. Patrząc na kierowcę, Eloise zobaczyła, jak zmiażdżyło go życie. Widziała to w jego zaczerwienionej skórze, w bruzdach wokół oczu, w szczelinie wąskich warg. Zobaczyła, że ten człowiek jeździł ciężarówką, żeby utrzymać rodzinę, łykał proszki, by móc jechać dłużej, więcej zarobić. Potem potrzebował jeszcze więcej proszków, aby zasnąć. Eloise pojęła, że ludzkie ciało nie jest stworzone do tego, by karmić się narkotykami, złym jedzeniem i kilometrami ciemnych autostrad. Wyraźnie zrozumiała, że ludzie dokonują złych wyborów z właściwych powodów i wszystkich dokoła rozgniatają na miazgę.

– Wybaczam panu – powiedziała.

Eloise mówiła prawdę. Robak w jej trzewiach się skurczył. Podczas rozprawy sądowej mówiła o wyrozumiałości i na oczach sędziego, przed kamerami telewizyjnymi, wybaczyła kierowcy. Robak zmniejszył się jeszcze bardziej. Ale właśnie wtedy zaczęła tracić Amandę.

Na biurku Eloise stała fotografia dorosłej córki z dwojgiem dzieci. Mimo że protestowała, bo nie podobał jej się zwyczaj nadawania imion po zmarłych, wnuki nazywały się Alfie i Emily. Amanda, szczęśliwa mężatka, była wziętą księgową, cudowną matką i mieszkała możliwie najdalej od Eloise, w Seattle.

Z dołu dobiegł odgłos otwieranych drzwi, usłyszała ciężkie kroki na schodach. Kiedy zapominała zamknąć zasuwę, Ray bezceremonialnie wparowywał do jej domu, jakby pukanie mu uwłączało.

– Eloise?

Oliver, rozdrażniony wtargnięciem intruza, zeskoczył z jej kolan. Kot i Ray minęli się w drzwiach.

– Nie cierpię tego kota – stwierdził Ray.

– Coś mi się zdaje, że i on za tobą nie przepada.

Ray usiadł przy biurku naprzeciwko niej, położył papierową torbę, z którą przyszedł, po czym zrobił mostek z palców.

– A więc.

– Doprawdy, Ray. Co z tobą? Myślisz, że bym nie zadzwoniła?

– W takim razie zrobmy to.

Eloise wypuściła powietrze. Doskonale wiedziała, że Ray ją poprosi. Nie znosiła tego. Proces był bolesny, wyczerpujący. Szczerze mówiąc, nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła to robić. Ray nie przyjmował tego do wiadomości, ale Eloise wiedziała, że jej czas się kończy.

– Co przyniosłeś?

– Buty.

Buty były dobre, bardzo dobre. Stopy stanowiły miejsce, gdzie ciało najczęściej stykało się z ziemią, cała energia przenikała buty.

– Szkoda, że nie widziałeś tego domu – powiedział Ray. – Ojciec Holta był zbieraczem. To wręcz niepokojące.

– Właśnie tam znalazłeś jej buty?

– Tak, stary przechowywał wszystko.

– Wiesz, że policja z Hollows zwróciła się do Jonesa Coopera z prośbą o ponowne zajęcie się tą sprawą?

– Nie słyszałem – zmarszczył brwi Ray.

– Dzisiaj mi o tym powiedział. Sądziłam, że potem przyjdzie do ciebie.

– Po co cię odwiedził?

– Pamiętał, że sprzątałam u Marli Holt, czasem zajmowałam się jej dziećmi. Pytał mnie o wrażenia. – To nie była do końca prawda, ale Eloise nie chciała relacjonować całej rozmowy z Cooperem. Nie chciała też informować Raya o tym, że opowiedziała Jonesowi o swojej wizji.

Ray nie odpowiedział, utkwiał wzrok w suficie. Eloise spojrzała na torbę, którą postawił na biurku.

– Nie wiemy, czy moja wczorajsza wizja miała związek z Marlą Holt – powiedziała. – To mógł być każdy. Właśnie szperałam w internecie. To mógł być ktoś inny.

– Znalazłaś coś?

– Nie – przyznała.

Wczorajsza żarliwość Raya przygasła, wyglądał na równie zmęczonego jak ona. Ostatnio nie wyglądał najlepiej. Żona odeszła od niego prawie dwa lata temu. Dwoje dzieci pracowało na Manhattanie i najwyraźniej nie miało dla ojca wiele czasu. Tak to już było, kiedy człowiek nie potrafił dołączyć do żywych. Ray spóźniał się na kolację, wiecznie roztargniony. Za dużo pił, wpadał w przygnębienie z powodu wszystkich szkaradnych rzeczy, jakie widział i których nie mógł zmienić. Jego żona chciała grać w golfa i spędzać

wakacje na Bahamach. Ray chciał rozkopywać groby. Kto mógł winić biedaczkę za to, że odeszła?

– Karen się odezwała – powiedział Ray. Nawzajem czytali w swoich myślach. Tak to z nimi było, nawet po zakończeniu romansu.

– Tak? – spytała Eloise.

– Znowu wychodzi za mąż.

– Musiała zwariować – zaśmiała się cicho Eloise.

– Poznała emerytowanego lekarza. – Ray też się uśmiechnął. – Teraz słuchaj: poznała go na kursie tańca.

Karen stale prosiła Raya, by zapisał się z nią na kurs tańca, ale on nigdy nie miał czasu ani też, jak wyznał Eloise, ochoty.

– Przykro mi, Ray – powiedziała Eloise.

– Cieszę się z jej szczęścia. – Mężczyzna uniósł dłoń na znak, że nie czuje żalu. – Zasługuje na to.

Karen faktycznie zasługiwała na szczęście. Była dobrą żoną dla Raya, kochającą matką ich dzieci. Piękną, pełną życia i dobrą osobą. Ray traktował ją źle, zresztą Eloise mogła o sobie powiedzieć to samo. W niedzielę jadła u Muldune'ów kolację, w następną środę spała z Rayem. Ich seks nie był brudny i tani, ale rozpaczliwy i smutny. Jednak wszystko działo się przed wiekami. Teraz byli innymi ludźmi.

Eloise widziała, że Ray cierpi, oczywiście, że tak. Dokonał złych wyborów, a wszystkie możliwe do przewidzenia konsekwencje zaczęły pukać do jego drzwi. Nic nie dało się z tym teraz zrobić. Człowiek uchyla drzwi i wpuszcza do środka osamotnienie, żal, miazdzące znużenie.

– Dobrze, zróbmy to – powiedziała Eloise, może kierując się litością. Przynajmniej tyle mogła mu dać.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Tak, jestem pewna.

Eloise wstała od biurka, minęła Raya i przeszła do sypialni, gdzie usiadła na jęczącym starym materacu. Zsunawszy buty, położyła się na plecach. Ray stał chwilę w drzwiach, a ona przypomniała sobie, jak to z nimi bywało. Jak przychodził do niej w nocy, jak kochali się w pełnym świetle, nie kryjąc swoich niedoskonałości. Oglądali siebie nawzajem, rozumieli się. Kiedy byli razem, znikali wszyscy ludzie, za którymi się uganiali, cała groza i potworność nękająca ich myśli na moment ustępowała, zostawiając im krótką chwilę przyjemności i dobrego samopoczucia w poszarzałym świetle.

Ray podszedł i stanął nad Eloise. Przez chwilę sądziła, że wyciągnie ku niej ręce, i pomyślała, że mu pozwoli, że weźmie go i zgodzi się, by ją wziął.

Widziała, że o tym myślał, zastanawiał się, jak by to było po tak długim czasie. Potem przeniósł wzrok z twarzy Eloise na jej stopy. Z brązowej papierowej torby wyjął stare tenisówki. Delikatnie nałożył je na stopy Eloise, potem usiadł na krześle w kącie. Czekali.

Bethany Graves szykowała kolację, bo tak właśnie zawsze robiła. Najwyraźniej świat sprzysiągł się przeciwko przelewaniu słów na papier, czyli drugiej czynności, która przynosiła jej największą ulgę. Niekiedy czuła, jakby każdą z trudem zapisaną stroną potajemnie wykradała mimo przeciwności losu. Najdrobniejsze zakłócenie mogło sprawić, że ulotne, kruche natchnienie pierzchało w niebo. Ale głód, potrzeba i pragnienie przygotowywania posiłku były stabilne i pewne; stanowiły rytuał, który musiał się odbywać codziennie.

Teraz nie mogła nawet rozmawiać z Willow. Córka dąsała się w dużym pokoju, gdzie siedząc na podłodze, odrabiała lekcje na stoliku do kawy, chociaż miała do dyspozycji wygodne biurko wbudowane w półki z książkami. Ale taka już była Willow, zawsze wybierała trudne rozwiązanie.

Bethany szybko posiekała czosnek na desce. Potem wrzuciła go do garnka z rozgrzaną oliwą z oliwek, słuchała radosnego skwierczenia, wdychała miłą woń. Czosnek podsmażony na oliwie, czy mogło być coś lepszego? Zanim się przybrązowił, dodała rozgniecione pomidory. Następnie posiekała świeżą bazylię i wrzuciła do garnka. Mieszała na małym ogniu. Później rozmroziła klopsiki, które zrobiła w weekend. Po kilku minutach dodała je do sosu, przykryła garnek, nieznacznie zwiększyła ogień. Teraz zabierze się do makaronu, wymiesza sałatę. Spaghetti z klopsikami, ulubione danie Willow. Bethany powinna podać tilapię na parze z brokułami, bo Willow tego nie cierpiała. Ale może im obu przyda się odrobina przyjemności.

„Ona nie potrzebuje przyjemności. Trzeba ją porządnie kopnąć w tyłek”. Tak powiedziała by jej matka. Bethany nie dogadywała się z matką aż do jej ostatnich chwil.

Willow nawet nie odwróciła się do Bethany, gdy ta klapnęła na kanapę. Dokładnie tak wyobrażała sobie ten pokój, kiedy kupiła dom... Wysoki sufit, cała ściana książek, pluszowa kanapa w kolorze kremowym, telewizor z płaskim ekranem. Za oknem widziała tylko drzewa.

– Twój ojciec chce przyjechać w ten weekend – powiedziała Bethany, tym samym wyciągając do córki gałązkę oliwną. Od awantury w samochodzie nie odzywały się do siebie. Willow nienawidziła The Hollows, nienawidziła

swojego życia, nienawidziła matki, co wyraziła wściekłym wrzaskiem, który wciąż rozbrzmiewał w uszach Bethany.

– Masz na myśli Ricka? – prychnęła Willow.

Bethany wzięła głębszy wdech i odparła:

– Tak, Ricka.

– A co, dziewczyna z nim zerwała?

Bethany wyciągnęła rękę i dotknęła niewiarygodnie jedwabistych włosów córki. Rudawe i złote pobłyski były olśniewające. Willow obcięła się na asymetrycznego pazia. Bethany zawsze uwielbiała dotyk włosów córki.

– Przykro mi, mamó. – Willow się odwróciła.

– Nie chcę, żeby było ci przykro. Chcę tylko, żebyś dotrzymywała obietnic, które mi składasz.

– Wiem. Ja tylko... – Willow oparła głowę na dłoni.

– Wiem. Chcesz mieć przyjaciół. Chcesz, żeby ludzie cię lubili. Dlatego okłamujesz ich i mnie. Dlatego nie dotrzymujesz obietnic. Rozmawialiśmy o tym wszystkim z lekarzami, między sobą. Wiem. Ale czas dorosnąć, Willow. Jesteś dokładnie taka, jak powinnaś. To wystarczy. Każdy, kto tego nie widzi, kto nie lubi cię za to, kim jesteś, nie zasługuje na twoją przyjaźń.

Willow szarpała nitkę w rękawie. Bethany wiedziała, że córka jej nie słucha. W tym wieku wykłady matki puszcza się mimo uszu, ale Bethany wierzyła, że jeśli raz po raz będzie to powtarzać, pewnego dnia słowa dotrą do Willow.

– Zabieram ci komórkę, tym razem naprawdę, a także dostęp do internetu w twoim pokoju. Będę cię odwoziła do szkoły i odbierała. Po szkole nie wolno ci spotykać się z Jolie.

– To moja jedyna przyjaciółka. – Willow spojrzała na matkę szeroko otwartymi oczami.

– Takich przyjaciółek nie potrzebujesz.

Bethany spodziewała się, że Willow znów wybuchnie, ale tak się nie stało.

– Jak długo bez internetu i komórki? – spytała.

– Na czas nieokreślony – odparła Bethany spokojnie, ale zdecydowanie. Zależało jej na tym, by Willow wiedziała, że tym razem nie zamierza się wycofywać. – Kiedy tu jestem, możesz korzystać z komputera do nauki. I oczywiście z domowego telefonu.

– To znaczy, jeśli ktokolwiek zadzwoni. – Willow oparła głowę o matczyne biodro. – Przykro mi, mamó – powtórzyła.

Bethany nie chciała dopuszczać do siebie tej myśli, ale zbyt wiele już razy

słyszała to od córki. Słowa brzmiały pusto, nieszczerze. W milczeniu gładziła Willow po włosach, miękkich jak w dniu, kiedy przyszła na świat. Anielskie włosy, mówił ojciec Willow. Dziewczynka była ich pulchnym i ślicznym cherubinkiem. O ileż prostsze było wszystko, kiedy była mała, mimo że wtedy Bethany nie zdawała sobie z tego sprawy.

– Chcę, żebyś jutro porozmawiała o tym wszystkim z doktor Cooper. Zgoda?

– Zgoda – odparła córka.

– Willow?

– Tak?

– Kim był ten chłopiec?

Kiedy Willow odwróciła się do Bethany, uśmiechała się szeroko i promiennie. Bethany poczuła, jak serce jej rośnie. Od bardzo dawna nie widziała takiego uśmiechu na twarzy córki. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Ma na imię Cole. Czy nie jest boski?

Bethany mimowolnie odwzajemniła uśmiech i dotknęła policzka córki. W dzieciństwie Willow wpełzała w nocy do łóżka matki i kładła się na niej, przytulając policzek do jej piersi. *Słyszę twoje serce, mamo. Śpij, Willow.*

– Rzeczywiście jest słodki – przyznała Bethany. – Ile ma lat?

– Nie wiem. Chodzi do pierwszej klasy.

– Więc co tam naprawdę robiliście?

– Naprawdę szukaliśmy tej kopalni, o której mi opowiadałaś – powiedziała Willow, szeroko otwierając oczy.

Bethany była gotowa się uszczypnąć. Gdzie miała rozum, wspominając jej o czymś takim?

– Wiesz, jak niebezpieczne są te stare kopalnie, Willow? Ludzie wpadają tam i giną, pogrzebani żywcem. Sądziłam, że spotkanie w lesie tak cię wystraszy, że już nigdy tam nie wrócisz.

Bethany naprawdę uważała, że dobrą stroną całego zdarzenia okaże się to, że Willow już nigdy nie wejdzie do lasu.

– Niczego nie znaleźliśmy – powiedziała. – Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie widziałam tego człowieka. Jolie uważała, że kłamię. Wściekła się. Ale ja nie kłamałam.

– Nie przejmuj się Jolie. Nieważne, co ona sobie myśli. Nieważne, co ktokolwiek myśli.

Willow przewróciła oczami. To była jedna z rzeczy, w które dzieciaki nigdy nie wierzyły. Dla nastolatków ważne jest tylko to, co myślą inni. Nawet większość dorosłych nigdy nie przyjmuje tego do wiadomości.

– Posłuchaj – powiedziała Bethany. – Jeśli chcemy pójść dalej, tak właśnie musimy postąpić. Musisz się skoncentrować na szkole. Z czasem nawiążemy przyjaźnię, zapuścimy korzenie.

– A co z Cole'em? Co będzie, jeśli do mnie zadzwoni?

– Cóż, wtedy sobie z tym poradzimy, zgoda? Bądź ze mną szczerą, a coś wymyślimy.

Bethany wiedziała, że Cole zadzwoni. Kiedy chłopakom podobają się dziewczyny, robią maślane oczy; tak właśnie Cole patrzył na Willow. Bethany zamierzała przez pewien czas trzymać córkę pod kluczem, ale nie chciała się z tym zdradzać, żeby nie dawać jej powodu do wykradania się z domu.

– Obiecujesz? – spytała Willow.

– Jeśli ty dotrzymasz obietnicy i dobrze będzie ci szło w szkole, ja dotrzymam swojej.

Willow znów się uśmiechnęła, a Bethany zrobiła to samo. Nic nie poprawiało humoru nastolatce lepiej niż słodki chłopak. Może jednak okaże się, że The Hollows to dla nich dobre miejsce. Mimo trudnych, wyboistych początków Willow się przystosuje, a Bethany dokończy powieść. Nawet po wydarzeniach minionego dnia taka ewentualność wchodziła w grę, wręcz niosła nadzieję.

– Mamo, ty wiesz, że ja ciebie nie nienawidzę, prawda? – spytała córka.

– Wiem, Willow.

O zmierzchu Jones i Henry Ivy ruszyli w las. Wcześniej, kiedy pozostali się rozeszli, Jones spytał Henry'ego, czy zechciałby się przejść. Henry się zgodził.

– Zawsze dobrze wiedzieć, co się dzieje w lesie za szkołą – powiedział dyrektor.

Gdy szli w kierunku wskazanym przez Willow Graves, Jones zaczął odczuwać narastający niepokój. Jak już wcześniej wspomniał Eloise, raczej nie wierzył w przypadki. Nie lubił, kiedy się zdarzały. Z tego względu po spotkaniu na cmentarzu czuł się poirytowany, wytrącony z równowagi. Najpierw ten chłopak, Cole Carr. Zaledwie kilka godzin wcześniej Jones rozmawiał z jego macochą, miał prywatnie odszukać matkę Cole'a. Potem Michael Holt, którego Willow Graves widziała, jak wykopywał coś w lesie. Teczka z zamkniętą sprawą matki Holta leżała na siedzeniu pasażera w samochodzie Jonesa. Willow Graves była jedną z pacjentek jego żony; kilkakrotnie widział, jak przyjeżdżała na wizyty w towarzystwie matki lub odjeżdżała. A przecież The Hollows było małą miejsciną. To miasteczko miało swoje sposoby. Jones Cooper nie należał do ludzi przesądnych, ale czasem odnosiło się wrażenie, jakby The Hollows pomagało, by rozmaite ścieżki się spotkały.

Henry i Jones setki razy spacerowali po tych lasach mimo nieustannych rodzicielskich i nauczycielskich przestróg przed opuszczonymi kopalniami i zakazanymi obiektami rozrzuconymi po tym terenie. Dzieciaki chodziły tam pić, palić i się całować. Do lasu chodziło się na poszukiwania, uciekało przed czujnym okiem władz, dla zabawy. W tej okolicy coś było, urzekała cisza starych drzew, chłód, światło słońca sączące się przez liście. Niespodziewanie mogłeś się natknąć na zrujnowaną stodołę czy chałupę. Oprócz tego, rzecz jasna, były kopalnie.

W The Hollows nie było chłopaka, który nie wpadłby do jednej z tych pułapek. Jones przypuszczał, że najczęściej wychodzili z tego bez szwanku. Teraz, jako ojciec i policjant, który osobiście wyciągnął z kopalni dwóch chłopców, truchlał na myśl o myszkujących dzieciakach. Na tym polega hipokryzja dorosłości: nie chcesz, by dzieci, o które się troszczysz, robiły rzeczy, które sam robiłeś, kiedy nie miałeś pojęcia, jak kruche jest życie. Jones postępował surowo wobec Ricky'ego, zbyt surowo, tylko dlatego, że

sam popełnił w młodości wiele błędów, za które słono zapłacił, a inni zapłacili nawet życiem.

– Tak dawno tu nie wchodziłem – powiedział Henry. – Człowiek chyba wyrasta z łażenia bez celu, z potrzeby wałęsania się. – Jones czuł lekką zadyszkę po spacerze, ale Henry szedł dziarskim, sprężystym krokiem. Cooper nie odpowiedział, bo nie chciał, by dyrektor usłyszał, jak trudno mu się oddycha.

– O czym chciałeś porozmawiać, Jones?

Jones stanął, udając, że wodzi wzrokiem po drzewach, patrzy w ciemniejące niebo. Chłodne, wilgotne powietrze pachniało deszczem.

– Tak się składa, że chciałem pomówić o Marli Holt – zaczął, gdy poczuł, że zadyszka nieco ustąpiła.

– Aha. – Henry zmarszczył czoło. – Co w związku z nią?

– Pamiętasz, kiedy zaginęła?

– Owszem. – Henry potarł czubek głowy. – To było dawno temu. Marla Holt uciekła. Zostawiła dzieci i z kimś odjechała.

Jones usłyszał w górze kardynały. Ptaki wydawały okrzyki, ostrzegając inne, żeby się nie ruszały albo pozostały w ukryciu. Jones wypatrywał czerwonych piór, ale kardynały dobrze się kryły. W górze kołowały dwa jastrzębie.

– Pamiętam, że rozmawialiśmy – powiedział Jones. – Mieszkałeś zaledwie kilka domów od Holtów.

– Owszem, rozmawialiśmy – potwierdził Henry i splótł ręce na piersiach.

– Z tego, co sobie przypominam, całkiem sporo. To była twoja pierwsza sprawa.

– Krążyły różne plotki.

– Tak, wiem – rzekł Henry, wbił wzrok w ziemię, roztrącił liście czubkiem brązowego skózanego buta. – Ale Marla i ja tylko się przyjaźniliśmy, o ile w ogóle można to tak nazwać.

– Odśwież mi pamięć.

Henry posłał Cooperowi uprzejmy uśmiech, ale oczy pozostały chłodne.

– Czasami biegaliśmy razem. Pewnego wieczoru spotkałem Marłę na ulicy. Biegła przede mną, skręciła kostkę i upadła. Pomogłem jej wrócić do domu, potem się zaprzyjaźniliśmy. Wieczorami, gdy jej mąż wracał z pracy, a dzieci zasypiały, biegaliśmy.

– Mack Holt nie miał nic przeciwko temu? – spytał Jones.

W pierwszych latach małżeństwa z Maggie Jones nie był zachwycony znajomością żony z Henrym Ivym. Maggie i Henry przyjaźnili się od liceum.

Jones nie przyjaźnił się z kobietami, nie rozumiał też, do czego Maggie potrzebny jest Henry. Ona jednak nie chciała ustąpić. Mężczyzna, który prosi cię o to, żebyś zrezygnowała z przyjaciół, z czasem poprosi cię o zrezygnowanie z ważniejszych części twojego świata. Po latach Jones zaakceptował przyjaźń żony z Henrym.

– Jeżeli Michael Holt miał z tym problem, to Marla nigdy o tym nie wspomniała. – Dyrektor wzruszył ramionami.

– Czułeś coś do niej?

Henry wywrócił oczami i posłał mu słaby uśmiech.

– Daj spokój, Jones. To była wystrzałowa laska. Wszyscy coś czuli do Marli Holt. Ale ja miałem wtedy... ile? Dwadzieścia pięć lat. Dopiero zaczynałem pracować jako nauczyciel w Hollows High. Miałem mało pewności siebie i jeszcze mniej pieniędzy. Marla była poza zasięgiem. Nie wierzyłem, że w ogóle zechce się do mnie odezwać.

Henry ruszył przed siebie, Jones za nim.

– Zwierzała ci się?

– Z czego? Z romansu, z planów ucieczki? Nie. W czwartek wieczorem zapukałem do niej, żeby się wybrać na przebieżkę. Marla powiedziała, że jej męża nie ma w domu i musi się zająć dzieckiem. Trochę gawędziliśmy. Potem odszedłem.

– Przypominam sobie coś o rozmowach telefonicznych. Ty lub ktoś inny dzwonił ze szkoły.

Jones ujrzał, jak Henry się rumieni, choć nie potrafił stwierdzić, czy z wysiłku, czy z zakłopotania.

– Owszem, próbowałem się do niej dodzwonić.

– Po tym, jak mąż Marli wyjechał do pracy?

Henry westchnął i potrząsnął głową.

– Podczas krótkiej rozmowy w drzwiach odniosłem wrażenie, że Marla dziwnie się zachowywała. Czymś się trapiła. Szczerze mówiąc, martwiłem się o nią. Kilka dni później dowiedziałem się, że zaginęła.

– Nigdy nie byłeś podejrzanym, Henry. Ja cię nie przesłuchuję.

– Serio? Wtedy patrzyłeś na mnie wilkiem. Teraz nie czuję się o wiele lepiej.

– Trochę na nią leciałeś, tak?

– Trochę. Ale nie zrobiłbym tego. Marla miała męża i dzieci. Nie jestem tego rodzaju facetem. Nawet w młodości taki nie byłem.

Jones wiedział, że dyrektor mówi prawdę. Henry Ivy był dobrym człowiekiem. Kiedyś przyszedł do nich na kolację, dopingował Ricky'ego,

gdy ten grał w lidze młodzików, napisał dla niego list polecający na wyższą uczelnię. Kiedy Henry'emu nie udało się pojechać do rodziców na Florydę, odwiedzał Cooperów w Święto Dziękczynienia. Jednocześnie Jones wiedział, że Henry zawsze troszeczkę podkochiwał się w Maggie. Wedle wiedzy Jonesa, dyrektor ani razu nie żył w poważnym związku z kobietą. Cooper zastanawiał się, czemu Henry zawsze pragnął kobiet, których nie mógł mieć. Może po prostu miał pecha, a może przyczyna leżała gdzie indziej.

– Co jeszcze przypominasz sobie w związku z Marlą Holt? – spytał Jones.

Henry zatrzymał się, wsunął ręce do kieszeni.

– Uważałem, że w życiu nie spotkałem smutniejszej kobiety. Osamotnionej do samego rdzenia swojej istoty, jakby żadna doza miłości i uwagi nie mogła usunąć tego osamotnienia. Czy to ma sens?

Słowa dyrektora przywiodły Jonesowi na myśl Abigail. Abigail Cooper była czarną dziurą potrzeb, niemożliwą do wypełnienia przestrzenią. Przez całe życie próbował bez skutku to uczynić, aż umarła.

– Owszem, to ma sens.

– Nie wiem, co się stało z Marlą Holt, Jones.

Mężczyźni zatrzymali się przed polaną. Na skraju stała ogromna zniszczona stodoła, miejsce spotkań. Lokalna ludność nazywała ją Kaplicą z powodu słonecznych smug wpadających przez dziury w dachu i graffiti, które pokrywały sklepienie niczym freski. Ludzie przychodzili tu od lat, choć teraz stodoła wyglądała tak, jakby lada chwila miała się zawalić. W Kaplicy odbywały się balangi, randki, kilka lat wcześniej policjanci z Hollows rozbili tu szaloną imprezę. Nawet z miejsca, gdzie stał, Jones widział, że ziemia jest zasłana butelkami i puszkami.

Złote rozbłyski w trawie pochodziły od łusek po nabojach. Ludzie z Hollows lubili broń palną; przychodzili tu, żeby postrzelać, uczyli dzieciaki trafiać w butelkę na murze. Między innymi z tego powodu dochodziło do silnych napięć między zamożnymi mieszkańcami, którzy osiedlili się w minionym dziesięcioleciu, a ludźmi mieszkającymi tu od pokoleń.

– Czego tu szukasz, Jones?

Henry wyszedł na polanę, kucnął i podniósł łuskę tak, że padło na nią światło latarki Jonesa. Ten z dezaprobatą pokiwał głową.

– Ciekawi mnie, co robił Michael Holt – powiedział Jones.

– Jest speleologiem, oprowadza ludzi tutaj i po innych miasteczkach górniczych. Chyba pisze książkę.

– Naprawdę? – Jones nigdy wcześniej o tym nie słyszał. – Znasz historię

o kopalni, gdzie pogrzebano ciało?

– Nie. – Henry pokręcił głową.

– Ja też nie – powiedział Jones. Mało kto tak wiele wiedział o przeszłości i teraźniejszości The Hollows. – Ty i ja mieszkamy tu od dawna. Chyba usłyszeliśmy tę historię wcześniej.

– Mogę trochę poszperać – zaproponował Henry.

– Byłoby świetnie, o ile masz czas. – Jones znowu zerknął na dyrektora.

– Z przyjemnością. Mam lekkiego bzika na punkcie historii, zwłaszcza tego regionu.

„Biedny Henry”, pomyślał Jones. Nie wyglądał nieatrakcyjnie, ale zostało w nim coś z kujona, jakim był w szkole podstawowej.

– Ktoś musi podjąć inicjatywę i wysprzątać do miejsce – powiedział dyrektor ni z tego, ni z owego i kopnął pustą butelkę po wódce. Etykieta prawie się zdarła, ale Jones zauważył, że butelka pochodzi z gorzelnii Old Mill Bar, gdzie pędzili własny bimber. Jeśli się nie przywykło do tej upiornej gorzały, natychmiast dostawało się bólu głowy i rozstroju żołądka, ale w młodości i tak wszyscy ją pili. Old Mill Bar był jedynym miejscem, gdzie podawali alkohol dzieciakom. Powszechnie wiadano, że kiedyś przymykali tam oko nawet na najmniej przekonujący sfalszowany dowód osobisty.

– To jest prywatny teren – powiedział Jones. – Należy do rodziny Grove, która wciąż płaci podatki od tej ziemi, podobnie jest z opuszczonym gospodarstwem O'Donnellów półtora kilometra na północ stąd. Ono też jest jedną wielką ruiną.

Henry i Jones oddalili się od polany na zachód. Willow nie miała pewności, gdzie widziała Holta kopiącego w ziemi, nie mogła ponownie znaleźć tego miejsca. Mimo to Jonesowi wydawało się, że pięć minut drogi od nich znajduje się druga polana.

– Jeśli omówiliśmy już wszystko, Jones, wracam.

Jones żałował, że nie potrafi się otrząsnąć z dziwnego przeczucia. Doświadczył go przed laty, kiedy rozmawiali o Marli Holt. Henry Ivy nie był całkiem szczerzy. W ciągu trzech dni z liceum w Hollows telefonowano trzykrotnie. Przeciętny człowiek, nie ktoś zatroskany o zbiegłą partnerkę, chyba nie dzwoniłby aż tyle razy.

– Po prostu zastanów się nad tym, Henry, dobrze? Podejrzewam, że lokalna policja zamierza wrócić do tej sprawy. Nawet jeśli tego nie zrobią, młody Holt wynajął Eloise Montgomery i Raya Muldune'a.

Teraz to zobaczył. Twarz Henry'ego na moment rozbłysła.

– Zgoda – odparł, mocno zacisnął usta, jakby już zabrał się do dzieła,

pospiesznie skinął głową. – Pomyślę.

Po niebie przetoczył się odległy grzmot, osobliwość o tej porze roku.

– Słyszałem, że ma padać – powiedział Henry.

– Tak? – Obaj mężczyźni patrzyli w niebo. Światło dzienne prawie całkiem się ulotniło.

– Tak, zapowiadają ulewę.

– Cóż, nie zmoknij – powiedział Jones.

Henry odwrócił się i oddalił się szybkim krokiem. Jones bynajmniej nie marzył o tym, by zostać tu sam w ciemności. Co prawda miał latarkę, ale broni już nie nosił. Co nie znaczy, że się bał. Jednak każdy, kto wychował się w Hollows, słuchał przestroóg i strasznych opowieści, traktował te lasy z należytym respektem. W młodości człowiek nie brał sobie tych rzeczy do serca, ale głosy nie cichły, a kiedy człowiek mądrzał z wiekiem, wracały.

Dopiero po powrocie na szosę Henry zrozumiał, że musi wracać do szkoły piechotą. Na cmentarz przyjechał z Bethany Graves, a zamierzał wrócić z Jonesem Cooperem. To nie był długi spacer, najwyżej kilometr albo nawet mniej. Henry zauważył, że zawsze wraca sam. Nie użalał się nad sobą, tak po prostu już było.

Nastała szara godzina. Henry trzymał się pobocza, słyszał tylko chrzęst własnych kroków na piachu i żwirze. Pomyślał, żeby podbiec, ale wciąż miał na sobie biurowe ubranie. Gdyby ktoś go zobaczył, pewnie by się zdziwił, a Henry'emu nie było to potrzebne. Jako ponad 45-letni kawaler w małym miasteczku uchodził za dziwaka. Ludzie uważali go za godnego pożałowania. Albo za geja. Ale nim nie był.

Marłę Holt poznał pewnej nocy, kiedy wiosna przechodziła w lato. W powietrzu unosiły się pyłki, było cieplej niż zwykle o tej porze roku. Z powodu wilgoci Henry oblewał się potem już po pierwszych czterystu metrach. Gałęzie pokryły się liśćmi w kolorze świeżej, soczystej zieleni, obiecującej długie leniwe lato. W pracy nauczyciela uwielbiał między innymi to, że pory roku nadal go podniecały. Lato kusiło upalnymi dniami, basenem, wyprawami na plażę, obiecywało, że posunie się dalej z powieścią, którą pragnął napisać. Jesień wiązała się z dreszczykiem zaczynania wielu spraw od nowa: świeże podręczniki i zeszyty, nowe torby, plecaki i ubrania szkolne. Pierwszy śnieg przynosił zapowiedź Świąt, sztuki wystawianej na Boże Narodzenie i uroczystego szkolnego balu. Henry uwielbiał to wszystko, przełom roku nigdy nie przestał go ekscytować. Mimo to kolejne lata nie przyniosły mu tego, na co miał nadzieję i czego się

spodziewał. Nigdy nie napisał powieści. Nie ożenił się, nie miał dzieci. Nie zrobił właściwie nic z tego, co zamierzał.

Zobaczył ją przed sobą, poruszała się powoli. Natychmiast zauważył, że nie biega się jej lekko. Szczupli, drobni ludzie o pojemnych płucach wyglądali jak stworzeni do dużych prędkości. Inni, jak Henry czy biegnąca przed nim kobieta, musieli zapracować na każdy kilometr, każdy krok. Henry zwolnił, bo nie chciał jej wyprzedzać. To było takie deprymujące, kiedy ludzie cię wyprzedzali, bez wysiłku sunęli w dal. Nie chciał robić przykrości nikomu, nawet nieznajomej, choć inni uczyniliby to bez wahania. Po chwili ujrzał, jak kobieta osuwa się na ziemię z okrzykiem bólu i cierpienia. Henry przyspieszył i podbiegł do nieznajomej.

– Wszystko w porządku?

Kobieta podniosła na niego wzrok, spojrzała na swoją kostkę.

– Nic mi nie jest. Jestem po prostu niezdarą. Ciągłe się przewracam.

Henry podał jej rękę, ale kobieta potrząsnęła głową i z wysiłkiem sama podniosła się z ziemi. Kuśtykając, zatoczyła małe kółko.

– Rozchodzę to – powiedziała, ale Henry widział, że wciąż doskwiera jej ból.

– Powinniśmy przyłożyć lód, żeby kostka nie spuchła.

– O, to miłe z pana strony, ale chyba nic mi nie będzie.

– Mieszkam niedaleko. – Henry wskazał dłonią. – Pobiegnę i przyniosę woreczek z lodem.

Kobieta uśmiechnęła się do niego z zakłopotaniem, a Henry po raz pierwszy zobaczył, jaka jest piękna. To było coś więcej niż rysy twarzy, bujne kształty, kremowa cera. Podała mu rękę.

– Wiem. Jesteśmy sąsiadami. Jestem Marla Holt. Henry Ivy, prawda?

Ujął jej dłoń, czując, jak przenika go dreszcz.

– Mój syn Michael przyszedł niedawno do pana – ciągnęła. – Kupił pan od niego słodycze. Michael zbiera pieniądze dla swojej drużyny baseballowej. Pomachałam do pana z krawężnika.

– Ależ tak – powiedział Henry. Przypomniawszy sobie jej przystojnego, ciemnokolorowego syna, wyjątkowo wysokiego jak na swój wiek. – Naturalnie.

– Wtedy nie byłam spoconą kupką nieszczęścia, leżącą na ziemi. – Uroczym śmiechem zarazem umniejszała własną wartość i uwodziła. Tamtej nocy odprowadził Marłę Holt do domu. Potem, zupełnie się nie umawiając, zaczęli się spotykać na ulicy i biegać razem. To było miłe, wygodne. Zaprzyjaźnili się. Henry żałował, że tak nie zostało.

Wszystko to działo się dawno temu. Henry czasami myślał o Marli,

zastanawiał się, dokąd i z kim wyjechała. Nie sprawiła na nim wrażenia kobiety, która zostawiłaby dzieci. Skądinąd niezbyt się znał na kobietach.

Henry wrócił podjazdem do szkoły, poszedł do swego gabinetu, gdzie spakował papiery, w tym teczkę Willow Graves. Potem wyszedł, zamknął drzwi na klucz i ruszył korytarzem. Miał wrażenie, że chodzi tymi korytarzami przez całe życie. Jak niemal każdego wieczoru zamierzał wpaść do siłowni, a potem wrócić do domu.

Od pewnego czasu nie umawiał się na randki. Po ostatniej kobiecie, którą poznał za pośrednictwem strony Match.com, pozostał mu lekki niesmak. Problem nie tkwił w tej ani żadnej innej kobiecie poznanej przez strony kojarzące pary. Chodziło o fałszywe przedstawianie przez nie swojej istoty. Henry zawsze opisywał siebie drobiazgowo, wymieniał zainteresowania, pisał, czego poszukuje u partnerki. Po co kłamać. Co z tego, że dobrze będzie się prezentował na stronie, ale nie sprosta temu w życiu?

Po drodze do siłowni Henry myślał o Jolie Marsh, Cole'u Carrze i Willow Graves. Jako nauczyciel, przyzwyczajony do rozdzielania dzieciaków w klasie i stołówce, aby uspokajać konflikty i dzikie harce, Henry bez trudu rozpoznawał niedobre kombinacje osobowości. Tak to już było z ludźmi, zwłaszcza z dziećmi puszczonej samopas, bez nadzoru. Kwestia chemii. Pewni ludzie dobrze reagowali ze sobą, inni źle. Jolie była dziewczyną, która cierpiała, i to stanowiło źródło, przyczynę jej zachowań; powodowała problemy, pakowała się w kłopoty. Willow lubiła się przypodobać, idealnie nadawała się do roli tej drugiej, zawsze w cieniu. A Cole Carr? Henry jeszcze nie miał pewności. Ten cichy chłopak nieźle się uczył. Zadawał się z podejrzanymi typami, takimi jak Jeb Marsh, starszy brat Jolie. Jeb był jednym z dzieciaków, które Henry Ivy stracił: rzucił szkołę, pracował na stacji benzynowej, a jeśli wierzyć plotkom, handlował trawą, LSD, ekstazy.

Jednak Cole Carr nigdy nie miał żadnych kłopotów w liceum w Hollows. Wszyscy jego nauczyciele twierdzili zgodnie, że chłopak jest bystry, przykłada się. Niejeden nauczyciel mówił, że gdyby tylko dał z siebie więcej, mógłby osiągnąć wspaniałe wyniki. Ale najwyraźniej nie miał takiego zamiaru; szedł po linii najmniejszego oporu. Henry podejrzewał problemy rodzinne. Cole Carr miał ten wyraz smutku i zagubienia, jaki dyrektor widywał już u dzieciaków.

Henry zastanawiał się, czy okazując wyrozumiałość Willow, popełnił błąd. Czyżby uległ wpływowi Bethany Graves? Owszem, olśniła go. Człowiek nieczęsto spotykał autorkę bestsellerów. Ale było coś jeszcze.

Bethany wydała mu się chodzącym urokiem, urzekało w niej wszystko, głos, zapach. Najwyraźniej była dla Willow dobrą, chociaż nie uległa matką, nie rozpieszczała córki. Cóż, gdzie mu do Bethany? Henry nie chciał już rozbudzać w sobie nadziei. Co się zaś tyczyło kobiet, przekonał się, że znane powiedzenie nie kłamało. Mili faceci kończą ostatni.

W siłowni zaliczył pięć kilometrów w niecałe dwadzieścia pięć minut, po czym przeszedł do wyciskania ciężarów. Otaczały go półnagie ciała dwudziestolatków. Henry wiedział, że jest w dobrej formie, zdejmując koszulę, niczego nie musiał się wstydzić. Mimo to nadal czuł się jak chudy kujon, jakim był w podstawówce, gdzie jak magnes przyciągał chłopaków tłukących słabszych. Ciekawe, czy człowiek kiedykolwiek przestanie słyszeć te drwiny. Gdyby ktoś powiedział Henry'emu, że tamte obelgi będą mu brzmiały w uszach jeszcze po czterdziestce, nie uwierzyłby. Może gdyby wyjechał z Hollows. Może gdyby opuścił tutejsze liceum, rozpoczął inne życie, przeszłość nie cisnęłaby się tak natarczywie. Może.

W drodze do domu Henry zadzwonił do Maggie Cooper, przyjaciółki z lat dzieciennych i chociaż o tym nie wiedziała, miłości jego życia.

– Dzisiaj miałem małą przeprawę z Willow Graves – oznajmił. Wcześniej Bethany Graves poprosiła Henry'ego, żeby powiadomił doktor Cooper o najnowszych wydarzeniach przed jutrzejszą wizytą Willow.

– Ach tak? – powiedziała Maggie. – Na spotkaniach dobrze nam idzie. Czuję, że robimy postępy.

Henry opowiedział Maggie o wydarzeniach ostatnich dni, o zajściu z panem Vance'em, wagarach, samowolnej wyprawie do lasu.

– Pomówimy o tym jutro – powiedziała terapeutka.

– Wygląda na to, że Jones wraca do gry, jeśli tak można rzec – rzucił Henry.

– To znaczy?

Dyrektor zamilkł. Przecież musiała wiedzieć. Czyżby źle się wyraził?

– Ach, masz na myśli dawne śledztwo – domyśliła się Maggie. – Marla Holt. Jest podekscytowany. Myślę, że to mu dobrze robi.

Henry wjechał na podjazd przed swoim domem. Nad garażem wisiał ten sam kosz do koszykówki co w jego czasach licealnych. Niedawno Henry go odmalował, wymienił siatkę, ale nikt od lat z niego nie korzystał. Mimo to z przyczyn sentymentalnych nie mógł się zdobyć na to, by go zdjąć.

– Jones wstąpił do mnie, żeby zadać kilka pytań, potem pojechał z nami do lasu poszukać dzieciaków. Było jak za dawnych lat.

– Hm – mruknęła Maggie, co zabrzmiało tak, jakby pociągnęła łyk

napoju. – Kiedy to się działo?

– Dziś po południu, około siedemnastej.

– Hm. – Tym razem zabrzmiało to inaczej.

– Co takiego? – spytał Henry.

– Och, nic, tylko wydawało mi się, że dziś po południu był umówiony na spotkanie.

– Aha. Czyżbym wpakował biedaka w kłopoty? – spytał Henry, spodziewając się, że Maggie się roześmieje, ale tak się nie stało.

– Nie – powiedziała. – Wszystko w porządku.

W trakcie ponaddwudziestoletniego małżeństwa Jones i Maggie przeżywali trudne chwile. Mimo to byli jedną z par połączonych taką miłością, wiernością i bliskością, że Henry z trudem wyobrażał sobie, by jedno z nich mogło żyć bez drugiego, choć dawniej tego sobie właśnie życzył.

– Znałeś Marłę Holt? – zmieniła temat Maggie.

– Trochę – odparł. – Mieszkaliśmy nieopodal. Czasami biegaliśmy razem.

Właśnie wtedy Henry uzmysłowił sobie, że w grę wchodziło coś więcej, że zadzwonił do przyjaciółki, żeby o tym porozmawiać. Chciał jej wszystko opowiedzieć i usłyszeć, co miała do powiedzenia. Jednak słowa nie przyszły. Rozmowa skończyła się na zwykłych uprzejmościach, umówili się na kawę pod koniec tygodnia, postanowili się spotkać tam, gdzie zwykle. Potem Henry zakończył rozmowę, przez pewien czas siedział na podjeździe i bił się z myślami.

Jones dotarł do drugiej polany. Ponieważ nie znalazł tam nic godnego obejrzenia, zawrócił i ruszył z powrotem. Drogę przed sobą oświetlał latarką. Niebo pociemniało, cały świat wstrzymał oddech. Jones nie słyszał ptaków ani szelestu drobnych stworzeń pierzchających mu z drogi. Latem nocne powietrze rozbrzmiewałoby odgłosami życia.

Jedno z tutejszych zagrożeń stanowiły opuszczone kopalnie. Z mrocznych wejść dobiegał syreni śpiew, któremu młodzi chłopcy z trudem się opierali. Drugim zagrożeniem byli miejscowi, stare rodziny w rodzaju Grove'ów, McCallów, Marshów. Nie lubili, gdy inni łazili po ich terenie.

Ludzie, którzy niedawno osiedlili się w Hollows, nazywali ich „góralami”. Termin ten kojarzył się z zarośniętymi oprychami we flanelowych koszulkach, ze strzelbami na plecach, rozbijających się quadami, z butelką bimbru pod ręką. Nie była to cała prawda, ale częściowo tak. Stare rodziny posiadały ogromne połacie ziemi i nie chciały jej sprzedawać deweloperom,

którzy stopniowo wkraczali na te tereny. „Górale” uważali, że Amerykanom przysługuje prawo do noszenia broni palnej; w przeszłości pędzili bimber i nie lubili intruzów. Obecnie największy problem stanowiły laboratoria do produkcji amfetaminy, które zastąpiły gorzelnie. Kiedy Jones służył w policji w Hollows, przy pomocy FBI i DEA, agencji do walki z narkotykami, rozbili trzy takie laboratoria. Wydzielały tak silną toksyczną woń, że ludzie pragnący produkować amfetaminę w tajemnicy, potrzebowali wielu akrów ziemi. Tej akurat w Hollows nie brakowało.

Ponieważ rodzina Jonesa od dawna mieszkała w miasteczku, nieźle sobie radził ze starymi mieszkańcami. Chuck Ferrigno, przyjezdny z Nowego Jorku, przyznawał, że jemu nie szło tak świetnie. Ludzie z Hollows nie lubili miastowych, nie lubili też policji, toteż przed każdym spotkaniem z autochtonami Chuck miał już dwa minusy.

Jones słyszał szum rzeki. Black River płynęła około kilometra od niego, ale czasem, jak dziś, odgłosy dziwnie się rozchodziły w nocnej ciszy. Wychodząc z lasu, ponownie stanął przed polaną, na której znajdowała się Kaplica; zamierzał ją po prostu minąć i wrócić do samochodu. Po chwili zmienił zdanie i wkroczył na polanę. Poświecił latarką wokół siebie, znowu pożałował, że nie wziął broni. Przez kilka minut chodził bez celu, wodząc wzrokiem za światłem latarki w trawie. Już miał się odwrócić i odejść, gdy wydało mu się, że coś błysnęło.

Dobrze znał tę polanę. Gdyby przeszedł przez wysoką trawę, znalazłby fundamenty drugiej starej stodoły, która dawno temu rozpadła się albo została rozebrana. Gdzieś po prawej leżał też stary zardzewiały samochód. Jones nie przypominał sobie szybu górniczego, ale nie stał daleko od skał i wysadzonego w powietrze wejścia do kopalni, co znaczyło, że pod jego stopami mogły się ciągnąć tunele.

Wchodząc dalej na polanę, zauważył, że ktoś wyciął trawę, więc ruszył tą ścieżką. Po chwili dostrzegł wykop, ale wyglądało na to, że przedsięwzięcie zarzucono.

Co tu robił Michael Holt? Czego szukał, jeśli nie tej kopalni? Historia opowiedziana przez Bethany Graves brzmiała mało przekonująco. Jones nigdy wcześniej o tym nie słyszał. W Hollows krążyło mnóstwo opowieści i legend o duchach i mordercach, prawdziwych i nie. Jednak Jones był prawie pewien, że zna już je wszystkie.

Wtedy zadzwoniła komórka. Wyjął telefon z kieszeni kurtki i odebrał. Nawet nie musiał patrzeć kto to, bo nikt oprócz Maggie do niego nie dzwonił.

– Hej – powiedział.

– Gdzie jesteś? – Jej głos się rwał, w słuchawce rozlegały się trzaski. W tej okolicy sygnał komórkowy szwankował, czasem całkiem zanikał.

– Wracam do domu – skłamał Jones, bo dopiero miał taki zamiar. Tu, w lesie nie miał nic do roboty. Brakowało mu narzędzi do kopania. Uznał jednak, że Chuck Ferrigno chciałby się dowiedzieć o wykopie. Jones podszedł do krawędzi dołu i poświecił latarką. Sama ziemia. Bez sprzętu i siły roboczej nie dowie się, co tam zakopano.

– Rozumiem, że nie pojechałeś dziś na terapię – mówiła Maggie. Głos w słuchawce się rwał, ale Jones nie musiał słyszeć słów. Wystarczył mu jej ton. Maggie była zła.

– Nie. Przełożyłem wizytę na przyszły tydzień – powiedział, co również było nieprawdą. Jeszcze nie przełożył spotkania z doktorem Dahlem, ale zrobi to. Prawdopodobnie. Maggie milczała.

– Tu jest słaby zasięg – powiedział. – Porozmawiamy, jak wrócę.

Cisza.

– Maggie. Jesteś tam?

W telefonie zapadła cisza. Jones nie wiedział, czy połączenie zostało przerwane, czy Maggie się rozłączyła. Na komórce nie miał ani jednej kreski, nie mógł do niej zadzwonić. Wtedy poczuł gniew, złość na Maggie za to, że była na niego zła. To przecież chyba nie jej sprawa, czy chodzi na terapię, czy nie. Nie może kontrolować wszystkich sfer jego życia. W końcu jest mężczyzną, nie dzieckiem, nie Rickym. Sam zdecyduje, czy potrzebne mu są wizyty u psychoterapeuty.

Zrobiło się już całkiem ciemno. Jones schował komórkę z powrotem do kieszeni. Nie przepadał za łażeniem w lesie po zmroku. A kto przepadał? Wszystkie koszmary z bajek rozgrywały się w takim miejscu i czasie. Jones szybkim krokiem szedł do samochodu, nie oglądając się za siebie.

To nie polegało na tym, że ona w nich była. Nie czuła dokładnie tego samego, co oni. Ale współodczuwała z nimi do tego stopnia, że przejmowała część ich przerażenia, smutku. Adrenalina zaczynała krążyć jej w żyłach. Nie czytała w ich myślach, nie widziała ich oczami. Była obserwatorką, jednak ani nie wszechwiedzącą, ani wszechobecną. Eloise zawsze czuła, że przed jej oczyma otwiera się szczególna perspektywa, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego ani kto to sprawia. Czasem widziała tylko wybrany fragment; niekiedy stała na pierwszym planie. Och, wszystko to było frustrująco niekonsekwentne. Nie miała kontroli. Była widzem jakiejś pokrętej gry. Musiała patrzeć, nie mogła wybierać punktu widzenia.

W wypadku Marli Holt, a przynajmniej domniemanej Marli (ponieważ czasami to, co Eloise brała za określoną osobę, okazywało się kimś innym), dawał się słyszeć odgłos, coś majaczyło w oddali. Eloise słyszała urywany oddech kobiety biegnącej przez las. W górze, wśród gałęzi uschniętych drzew, rozpościerało się rozgwieżdżone niebo. W oddali rozlegały się głosy, męskie głosy, ale Eloise nie rozróżniała słów. Odbierała tylko gniew i lęk.

Potem kobieta wypadła z lasu na polanę. Przed nią wznosiła się spora budowla. Kobieta potknęła się i zwolniła, jakby nie mogła dalej iść; chwycił ją skurcz, złapała się za bok. Zerkając za siebie z przerażeniem, dokuśtykała do szerokiego wejścia. Co to było? Stara stodoła, zrujnowany kościół, może szkoła? Eloise nie miała pewności.

Później na polanie pojawili się dwaj mężczyźni. Wywiązała się między nimi bójka, jeden został na ziemi, nieruchomy i ciemny. Drugi wszedł do wnętrza budowli. Zapadła cisza, potem rozległ się dziki krzyk. Znowu zapadła cisza. Kiedy widzenie dobiegło końca, poczuła, jakby budziła się ze snu.

Eloise musiała mówić szybko, zapisywać, bo szczegóły błyskawicznie ulatywały. Krawędzie zaczęły się zawijać, wizja odfruwiała jak kawałki płonącego papieru. Został tylko strach, smutek, ból, osamotnienie – za każdym razem trochę. Za każdym razem trochę więcej, aż, po latach, wypełniły ją i stały się wszystkim, czym była. Niczym górnik zstępowała w głąb ziemi, a ilekroć wracała na słońce, wynosiła w sobie odrobinę mroku. Wyścielał jej płuca, narządy, serce, dusił ją od środka. Wszystkie lekarstwa świata tylko odsuwały nieuniknione.

– Dom Holtów przylega do Lasu The Hollows – stwierdził Ray, kiedy Eloise wszystko mu opowiedziała.

– Tak – potwierdziła. To samo zapamiętała z czasów, kiedy zajmowała się Michaelem i Corą. Dzisiaj ogłoszenia o nieruchomościach zachwalały to, że posiadłości przylegają do ziemi stanowej, ale mieszkańcy The Hollows byli w odniesieniu do lasów pełni przesądów. Wszyscy wiedzieli, że działy się tam niedobre rzeczy. Oczywiście Eloise wiedziała lepiej niż ktokolwiek inny, że niedobre rzeczy mogą wydarzyć się wszędzie – na słonecznej ulicy pełnej drzew, w galerii handlowej, biurze, na przyjęciu gwiazdkowym, we własnym domu. Jednak ludzie woleli ograniczać zasięg zła do straszego lasu i ciemnej nocy. Niedobre rzeczy zdarzały się jedynie w pewnych miejscach, a jeśli tylko będziesz słuchał przestróg, nie przydarzą się tobie.

– Przeszukali wtedy las – powiedział Ray.

– Tak – przyznała Eloise. – Kilka dni po jej zaginięciu.

Kobieta pamiętała, że zorganizowano ekipę poszukiwawczą, która zagłębiła się w las. Wszystko to działo się jednak za późno. W tamtym okresie Eloise nie nawiązała jeszcze pełnego kontaktu ze swoimi widzeniami, wciąż odpychała od siebie myśli o niezwykłych mocach. Nawet nie próbowała odbierać sygnałów od Marli; nie wiedziała, że mogłaby chociaż spróbować. W tamtych czasach sądziła, że jeśli wizje nie przychodziły, ona nie powinna ich szukać. Wizje były przy tym tak bolesne, wprawiały ją w taki zamęt, że nawet gdyby uważała, że może ich szukać, nie zrobiłaby tego.

– To był ktoś, kogo ona znała – powiedział Ray.

– Zazwyczaj tak jest.

Eloise zzuła buty, które dwukrotnie łupnęły o podłogę. Nawet jeśli coś jeszcze mogła zobaczyć, w tej chwili czuła zbyt silne zmęczenie.

– Był z nią ktoś jeszcze? – spytał Ray. – Dwaj mężczyźni?

– To właśnie widziałam.

Ray oparł się na krzesło, utkwiał wzrok w przyjaciółce.

– Myślisz, że ona nie żyje.

– Myślę, że to prawdopodobne – odparła pragmatycznym tonem. Nigdy nie wyczuwała tego rodzaju rzeczy. – Ty tak nie myślisz?

– Sam nie wiem – odparł Ray. – Nigdy nic nie wiadomo.

Robiło się późno. Eloise ogarnęła senność, ale nie chciała, żeby Ray wychodził. Przyszło jej na myśl, jakie to by było miłe, gdyby czuwał przy niej na krzesle, kiedy będzie zasypiała. Zdziwiło ją to pragnienie, ponieważ przywykła do samotności. Jakby czytając w myślach pani i wyczuwając jej

potrzebę towarzystwa, Oliver wtoczył się do pokoju i ciężko wskoczył na łóżko. Zwinąwszy się w mrużący kłębuszek, przytulił się do nogi Eloise.

– Sam nie wiem, czy kiedykolwiek ją kochałem. – Znowu wrócili do Karen. Ich spotkania zawsze stanowiły taką mieszaninę: rozmawiali o grozie, ucieczce od życia, morderstwie, potem nagle przechodzili na pogodę, kochali się, pili kawę.

– Czy to nie smutne? – ciągnął Ray. – Spójrz, dwadzieścia lat żyliśmy razem, mamy dwoje dzieci. Lubię Karen, szanuję ją. Ale nie jestem pewien, czy ją kochałem. Na pewno nie tak, jak ty kochałaś Alfie’ego.

Ray siedział przygarbiony, ze zmarszczonym czołem, z podbródkiem wspartym na pięści, *Myśliciel* Rodina.

– Kiedyś musiałeś ją kochać – powiedziała.

– Sam nie wiem. Pamiętam, jak myślałem, że Karen jest tą właściwą. Była śliczna i urocza, ale gdy przyszło co do czego, okazało się, że chyba nie rozumiem w pełni, o co chodzi w małżeństwie.

Eloise uśmiechnęła się, mruknęła na znak, że się z nim zgadza.

– Sprzedają ci białą suknię, marzenie o wiecznej miłości. Ale to dzień powszedni naprawdę cię zaskakuje. Ten nawał pracy.

– Otóż to – potwierdził Ray. – Ale ty nie pieprzyłabyś się z innymi, nie zdradzałabyś Alfie’ego, prawda?

– Nie. Nigdy. – Eloise pokręciła głową.

– A co z Marlą Holt? Przyprawiała rogi Mackowi?

– Możliwe – odparła Eloise. – Jeśli szukała romansu, podnień. Obietnicy, że życie to nie tylko dwoje dzieci, mąż i praca na etacie, gotowanie. Uroda stopniowo się ulatnia. Ona chciała czegoś więcej.

– Przecież znałaś Marłę. Pilnowałaś jej dzieci – powiedział Ray. – Miała romans?

Eloise przypomniała sobie rozmowę z Jonesem Cooperem.

– Wtedy nie przyszło mi to na myśl. Marla wielbiła swoje dzieci, o mężu mówiła z miłością. Ale nikt nigdy nie pozna do końca drugiego człowieka. Nie jestem pewna, dokąd i z kim chodziła, kiedy zajmowałam się jej dziećmi. Nigdy o to nie pytałam.

Ray przygryzł policzek od wewnętrznej strony, jak to miał w zwyczaju, kiedy intensywnie rozmyślał.

– Jeśli więc tamtej nocy baraszkowała z kimś w domu, może Holt ją zaskoczył. Marla z kochankiem uciekli do lasu, mąż pobiegł za nimi. Tamten stanął w obronie Marli, Holt powalił go na ziemię, potem zabił żonę.

– To jedna z interpretacji tego, co widziałam. Jedna z ewentualności. Ale

co się stało z drugim mężczyzną? Czy Holt jego też zabił? Jeśli tak, to gdzie są ciała? Nie jest łatwo dobrze ukryć dwa ciała, szczególnie po zbrodni z namietności.

– Albo uciekł – podsunął Ray. – Nikt nie wiedział, kto to był.

– Sąsiadka twierdzi, że widziała, jak Marla wsiada do czarnego sedana z walizką.

– To się nie zgadza z tym, co ty widziałaś.

– Moja wizja to tylko chwila, chwila, której nawet nie rozumiem. Nie wiemy, co się działo przedtem albo potem.

Ray ukrył twarz w dłoniach, potarł, stęknął sfrustrowany.

– Późno już – powiedziała Eloise. – Spróbujmy przetrwać to, czego się dowiedzieliśmy. Rano skontaktuj się z Jonesem Cooperem. Czuję, że on ma z tym związek. Może właśnie Cooper jest brakującym elementem układanki.

– Jeżeli policja z Hollows do tego wróci, wypadamy – stwierdził Ray.

– Dwadzieścia osób czeka w kolejce – odparła Eloise. – Ludzi gnębią pytania bez odpowiedzi, inni szukają sprawiedliwości, rozwiązania spraw. Zabierzemy się po prostu za następną.

– Nie jestem taki jak ty – zauważył Ray. Czyżby wychwyciła w jego głosie gorycz? – Nie potrafię ot tak pójść dalej.

– Czasem nie mamy innego wyjścia – powiedziała. – Sam wiesz. Nie rozwiążemy wszystkich spraw.

Co mu dolegało? Takie przywiązywanie się było niepodobne do Raya. Owszem, bywał zawzięty, zdeterminowany. Ale nie przywiązywał się. To była nowość. Przywiązanie powodowało ból, stanowiło źródło wszelkiego bólu.

Eloise usiadła na łóżku, Oliver spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Co się z tobą dzieje? – spytała.

Ray wstał, podszedł do łóżka, usiadł obok niej. Materac jęknął pod jego ciężarem, kot zeskoczył z łóżka i czmychnął z pokoju z gniewnym miauknięciem.

– Rozmawiałem z tym chłopakiem, który próbuje odnaleźć matkę, przekopuje się przez zagracony dom, czyta stare wywiady, artykuły prasowe, rozmawia z ludźmi, którzy znali Marłę Holt. Nic nie pasuje. Coś w tym wszystkim nie gra.

Eloise nie odpowiedziała, tylko położyła dłoń na ramieniu Raya. Jak przyjemnie było go dotknąć. Pod bawełnianą koszulą czuła krągłe, silne ramię.

– Po prostu myślę, że już się do tego nie nadaję. A jeśli nie jestem w tym

dobry, to co dalej? Byłem złym mężem, przeciętnym ojcem. – Odwrócił się do Eloise. – Nie jestem nawet zbyt dobrym przyjacielem. Spójrz na siebie. Wyszłaś na wiór, a ja proszę o więcej.

Przesunęła dłoń na jego kark.

– Oddaliśmy wszystko tej pracy, prawda? – spytał. – Wszystko.

– Zgadza się – przyznała.

Eloise nie powiedziała, że zanim zaczęła to robić, straciła wszystko. Ta praca została jej narzucona. Eloise nie wybrała jej, jak to zrobił Ray. To, że odstraszyła Amandę, że córka trzymała jej wnuki z dala od niej, należało uznać za efekt uboczny. To był wybór Amandy; Eloise nic nie mogła na to poradzić. Jeśli tylko by potrafiła, gdyby tylko dano jej taki wybór, odrzuciłaby swój dar jasnowidzenia, pracę i całą resztę dla miłości rodziny. O żadnej z tych rzeczy jednak nie wspomniała.

– Wszystko w porządku, Ray. Zrobiłeś w życiu wiele dobrego. Pomogłeś wielu ludziom.

Niepewnie kiwnął głową. Eloise spojrzała na jego grubo ciosane czoło, złamany nos. Kiedy Ray pochylił się, żeby ją pocałować, nie odepchnęła go. Pozwoliła, by jego delikatne wargi dotknęły jej ust, najpierw ostrożnie, potem mocniej. Zawsze wielbiła sposób, w jaki ją tulił. Całkowicie zamknął ją w swoich objęciach. Eloise położyła mu dłonie na karku i przyjęła go całego, przyłgnęła do szerokiej piersi, poczuła zarost na brodzie, słabą woń cygara, choć zapewniał, że nie palił.

– Och, Eloise – szepnął. – Minęło już tyle czasu.

Dawniej ich seks opierał się na pięknie ich ciał, na mięśniach Raya i jego gęstych włosach. Chodziło o żar, jaki czuła między nogami. Pożądała Raya z poczuciem winy, bez tchu. Zdzierali z siebie ubrania. Wchodził w nią w rozpaczliwym pośpiechu, ona krzyczała z rozkoszy. Tej nocy było inaczej. Kochali się powoli, cicho, jak gdyby seks był czymś, na co zapracowali, nie czymś kradzionym. Eloise sięgnęła do lampy, żeby zgasić, ale on ją powstrzymał.

– Chcę na ciebie patrzeć – powiedział, słusznie odgadując jej pragnienia. Chciała, żeby ją oglądał, choć jej uroda zbladła, życie dało się jej we znaki. Chciała oglądać Raya, patrzeć na posiwiałe włosy na jego piersi, zmarszczki na twarzy jak głębokie doliny. Wszystko to było tak niedoskonałe – oni byli tacy niedoskonali – że Eloise wiedziała, że było to prawdziwe. Nie zwiewne i niewyraźne jak jej wizje; nie snuła marzeń, jak czasami, gdy myślała o dawnym życiu. Kiedy skończyli i leżeli przytuleni, Eloise po raz pierwszy od lat stwierdziła, że jest głodna.

Wypełniony złocistym światłem pokój pachniał czymś ciepłym, ziemskim i słodkim. Na pluszowej sofie leżały duże, miękkie poduszki, które Willow mogła trzymać na kolanach i tulić w ramionach. Kiedy przekraczała próg, wszystkie te rzeczy – oraz ciepły uśmiech doktor Cooper proponującej coś ciepłego do picia – sprawiały, że napięcie ustępowało z ramion Willow. Dziewczyna czuła, że w tym pokoju oddycha się jej łatwiej niż gdziekolwiek.

Willow opowiedziała o tym matce. Chociaż Bethany odparła wtedy, że się cieszy, w jej głosie dało się słyszeć napięcie. Dziewczyna rozumiała, że zraniła matkę słowami, choć nie pojmowała dlaczego. Przecież to nie miało z nią związku. Bethany zastanawiała się, dlaczego Willow nigdy nie chciała rozmawiać.

Dziewczyna zapadła się w kanapę, walcząc z pragnieniem, żeby zwinąć się w kłębek i zasnąć. Tutaj czuła, że wszystko, co jest z nią nie tak, poczeka za drzwiami i nie wejdzie, póki ona nie wypocznie. Przez godzinę mogła po prostu być; mogła po prostu być szczerą.

– Słyszałam, że przeżyłaś kilka ciężkich dni – powiedziała terapeutka.

Wcześniej doktor Cooper zrobiła Willow gorącą czekoladę i usiadła na krześle naprzeciw niej. Mówiła łagodnie, jakby wiedziała o wszystkim, ale nie osądzała. Coś nowego, ponieważ Willow czuła, że osądzali ją wszyscy – przyjaciółki, nauczyciele, nawet matka. Przez wszystkich była osądzana i nie wypadało to dla niej korzystnie. Tutaj tego nie czuła. Co nie znaczy, że doktor Cooper puszczała jej płazem złe zachowanie. Przeciwnie, drażyła, chciała wiedzieć, dlaczego i co Willow odczuwała, i czy następnym razem mogłaby sobie lepiej poradzić. Przyglądanie się z bliska rzeczom, które zrobiła, wyczerpywało ją, czasem doprowadzało do łez. Ale nigdy nie czuła się osądzana.

– Tak – przyznała. – Chyba tak.

– Chciałabyś o tym porozmawiać?

Willow zrelacjonowała wydarzenia minionych kilku dni. Doktor Cooper jak zwykle słuchała uważnie, potakiwała, cicho pomrukiwała na znak, że rozumie. Nie przerywała, jak matka, bezsensownymi pytaniami, które dezorientowały Willow: Dlaczego myślałaś, że to będzie w porządku? Albo zawstydzającymi dziewczynę wykrzyknikami: O mój Boże, Willow! Z czasem dziewczyna zaczęła się otwierać. Jeśli płakała, doktor Cooper nie

zagłaskiwała jej, tylko podawała chusteczki i mówiła, że wyrażanie uczuć jest dobre.

– No więc co się w tobie dzieje, Willow? Sporo uciekałaś, wagarowałaś, wyszłaś z biblioteki, żeby pójść z przyjaciółmi na cmentarz. Od czego uciekasz? Albo dokąd?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Wcześniej nie widziała tego w ten sposób.

– Chyba próbowałam zdobyć dla siebie trochę przestrzeni.

– Co to dla ciebie znaczy?

– No, na przykład wie pani, kiedy niesie się za ciężki plecak albo majtki za bardzo cisną. To uczucie, kiedy odstawia się torbę, rozpina dzinsy, ta ulga. Coś w tym rodzaju. Chciałam to poczuć.

– Wiem dokładnie, co masz na myśli.

W oknie wisiał kryształowy pryzmat. Popołudniowe słońce rzucało tęczę na ścianę w głębi gabinetu. Willow chciała podejść i zakręcić pryzmatem, żeby tęcze zatańczyły jak wróżki.

– Coś podobnego mówiłaś, kiedy rozmawialiśmy o wydarzeniach w Nowym Jorku – ciągnęła doktor Cooper. – Powiedziałaś, że chciałaś wyjść ze swojej skóry, stać się kimś innym.

Tylko doktor Cooper usłyszała od Willow całą prawdę o tym, co się wydarzyło w Nowym Jorku. Tylko psychoanalityczce opowiedziała o mrocznej, gniewnej martwocie, jaką czasem w sobie czuła. O tym, że pragnęła oddalić się od siebie.

– To niezupełnie to samo, ale sens jest podobny – stwierdziła terapeutka.

– Nie, nie było aż tak źle – powiedziała Willow.

W Nowym Jorku chodziło o nieustannie narastające kłamstwo, które zaczęło żyć własnym życiem, komplikowało się, wymykało się spod kontroli. Historia o koncercie i poznanym tam chłopaku początkowo dawała Willow poczucie mocy i komfortu. Potem zaczęło ją mdlić. Mimo to musiała brnąć dalej, kłamstwo brało nad nią górę, rosło, aż stało się potworem, który pożarł jej życie. Kiedy uciekła w Nowym Jorku, nie zamierzała wracać.

– Chodzi po prostu o szkołę, o to miasteczko, oczekiwania wszystkich ludzi – wyjaśniła Willow. – Chciałam, żeby choć przez chwilę mnie nie obserwowano.

Znajomi chcieli go poznać, codziennie o niego pytali. O chłopaka, jej wymyślonego chłopaka. Willow sfabrykowała całą historię na jego temat:

uczył się w Regis, jego matka zmarła, kiedy był mały (jakież to smutne), jego tata był pracoholikiem (wszyscy o tym wiedzieli). Młodsza kuzynkę zabrał na koncert Britney Spears (jakież to słodkie). Na imię miał Rainer, na cześć poety (super). Willow kupowała sobie prezenty, które jakoby jej podarował: śliczny pierścionek, pluszowego misia. Założyła lipne konto do poczty elektronicznej, wysyłała z niego do siebie maile, które pokazywała znajomym. Raz nawet się z Rainerem pokłóciła.

Później cała sprawa zaczęła ją przerastać. Willow rozważała zainscenizowanie zerwania, najlepiej dramatycznego. Inna dziewczyna. Albo odkrycie, że Rainer bierze narkotyki. „Nie mogłam sobie z tym poradzić”, powiedziałyby, a wszyscy by jej przyklasnęli. Potem znowu mogłaby zostać Willow. Tyle tylko że nie mogła. Nie chciała. Kim była bez fikcji związanej z Rainerem? Już nie mogła sobie przypomnieć. Willow była wystarczająco inteligentna, by rozumieć, jakie to wszystko żałosne. Wymyśliła go; on nie istniał. Bez niego była zgubiona.

W normalnej sytuacji mogłaby porozmawiać o tym z matką. Gdyby jej ojciec, a raczej Rick, się nie wyprowadził. Ale jej mama była strzępem człowieka. Myśląc, że Willow śpi, Bethany płakała co noc. Willow podsłuchiwała, jak matka mówi przez telefon: „Spieprzyłam cały nasz świat”. Co miała na myśli? Willow nie wiedziała.

Pewnego dnia w jej sercu zaległ się mrok i zaczęły do niej przychodzić nieznane dotąd myśli. Willow myślała, że może matce byłoby lepiej bez niej. Gdyby nie kłótnia o koncert, Bethany i Rick pewnie nadal byłiby razem. Kiedy przyjaciółki Willow dowiedzą się, że Rainer nie jest prawdziwy, przestaną się z nią przyjaźnić. Znienawidzą ją.

Tamtej nocy, gdy powiedziała matce, że nocuje u Zoë, tej zaś powiedziała, że spotyka się z Rainerem, nie wiedziała, co właściwie robi. Po prostu, jak wyjaśniła terapeutce, chciała się wyrwać. Chciała wyjść ze skóry, stać się kimś innym, kimkolwiek.

I stała się. Kiedy wyszła z domu i ruszyła ulicą, po raz pierwszy w życiu nikt nie wiedział, gdzie Willow jest ani co robi. Nie była z rodzicami, w szkole, z przyjaciółkami ani z opiekunką. Oto była zupełnie, całkowicie wolna. Mogła wsiąść do pociągu lub autobusu. Mogła udać się tam, dokąd tylko zechce, a jednak nie było to aż tak ekscytujące, jak sądziła. Po przejściu dziesięciu przecznic ogarnęło ją przerażenie, była sama jak palec.

Miasto, wcześniej tak znajome, nagle wydało się głośnie i straszne. Obcy ludzie szczyrzyli zęby w uśmiechu, trąbiły samochody. Sto dolarów w kieszeni wydało się jej nagle drobnymi. Domy były wyższe

i masywniejsze, Willow czuła się maleńka. Od zadrzewionej, wietrznej północno-zachodniej części Manhattanu szła Broadwayem przez zgiełk w centrum, aż dotarła do odlotowej, cichej Greenwich Village. W końcu znalazła się w gwarnej dzielnicy Chinatown, gdzie na łodzi chłodzono martwe ryby, na rożnach obracały się kaczkę, na stolikach siedzieli buddowie, migotały kryształowe kwiaty lotosu. W SoHo sto dolarów w portfelu nie wystarczyłoby nawet na okulary przeciwsłoneczne.

Od domu oddaliła się pewnie najwyżej osiem kilometrów, ale czuła, jakby miała za sobą sto kilkadziesiąt. Nagle pojęła, że gdyby nie zawróciła, nikt w mieście by jej nie znalazł. Na tym polegał Nowy Jork: człowiek nigdy nie był tu sam, a jednocześnie zawsze był sam. Wtapiał się w tłum.

Mimo strachu i smutku Willow nie mogła wrócić do domu. Nie mogła zadzwonić do mamy czy znajomych i przyznać się do kłamstwa. To nie byłby koniec świata, ale w ten sposób przyznałaby się, jak bardzo się czuła żałosna, osamotniona i nieszczęśliwa. Mroczny gniew w sercu rozrastał się, aż przestał być tylko częścią Willow, stał się nią całą. Pomyślała, że łatwiej będzie odejść.

Po wielogodzinnej wędrówce wylądowała w parku przy placu Waszyngtona. Park zamknięto już na noc; mogła tylko przejść przez plac. Willow zatrzymała się przy placu zabaw, dokąd przychodziła z Bethany, wsunęła palce między czarne pręty zamkniętej bramy. Nie pamiętała, jak bujała się na huśtawkach czy podskakiwała na koniku na sprężynie, ale widziała to na zdjęciach. Willow znów zapragnęła być małą jak wtedy. Dziwne, bo zazwyczaj marzyła o tym, by dorosnąć, osiągnąć niezależność, panować nad własnym życiem. Oto miała to wszystko, a pragnęła znowu być małą dziewczynką i bawić się z mamą na placu.

– Willow.

Początkowo wydawało się jej, że to omamy słuchowe, że w końcu postradała zmysły. Tuż przy niej stała zapłakana mama. Po chwili Willow zalewała się łzami w objęciach Bethany.

– Jak mnie tu znalazłaś? – spytała, tuląc się kurczowo do czerwonego wełnianego płaszcza. Bethany nie odpowiedziała od razu; płakała. W końcu zaprowadziła córkę do ławki i usiadły. Bethany ujęła twarz Willow w dłoń. Dziewczynka widziała, jak smutna i przestraszona jest matka.

– Kiedy byłaś mała – powiedziała Bethany, ocierając oczy – zawsze powtarzałam, że jeśli zgubimy się w parku, powinnaś przyjść do tej bramy, czekać na mnie i zatrzymać pierwszego policjanta, jakiego zobaczysz. Całą noc cię szukałam. Obeszłam wszystkie miejsca, dokąd chodzyliśmy razem.

To przyszło mi do głowy na koniec.

Doktor Cooper chciała wiedzieć, czy Willow przypomniła sobie matczyne wskazówki, czy to wspomnienie zaprowadziło ją na placyk zabaw podświadomie.

– Co ty robiłaś, Willow? – spytała wtedy matka. – Co zamierzałaś zrobić?

– Chciałam tylko stąd odejść – zawyła dziewczynka, w końcu dopuszczając do głosu przepełniający ją smutek i gniew.

– Skąd chciałaś odejść? – pytała Bethany. – Co próbujesz powiedzieć, maleńka?

Potem wszystko stanęło na głowie. W szkole traktowano Willow jak trędowatą. Posyłano ją do kolejnych psychiatrów, a każdy następny był gorszy od poprzedniego. Wszyscy uważali, że Willow ma myśli samobójcze. Na koniec matka oznajmiła, że przenoszą się z Nowego Jorku do The Hollows. Bethany miała rację, mówiąc, że ich świat się spieprzył. Ale to nie była jej wina, tylko Willow.

– Gdyby nie to, co zrobiłam, wcale byśmy się tu nie przeniosły – skarżyła się dziewczyna w gabinecie doktor Cooper.

– Co tak bardzo nie podoba ci się w tym miasteczku?

– To nie jest Nowy Jork. Dzieciaki to kretyni. Podmiejskie łamagi.

– Owszem, to nie Nowy Jork – uśmiechnęła się terapeutka. – Wiesz, wychowałam się tu. Pamiętam, że Hollows wydawało mi się senną miejsciną. Ja też niezbyt pasowałam do „kretynów”.

Na te słowa Willow zastrzygła uszami. Trudno było sobie wyobrazić doktor Cooper jako nieprzystosowaną dziewczynę.

– Co robiłaś?

– Wyrażałam siebie tak, jak umiałam. Dużo się uczyłam, dostawałam dobre oceny. Kiedy dorosłam, przeniosłam się do Nowego Jorku, gdzie mieszkałam wiele lat.

– A potem wróciłaś tutaj? Dlaczego?

– Zakochałam się w przyszłym mężu. Miał tu pracę, moja matka wciąż tu mieszka. Chcieliśmy założyć rodzinę, chciałam też, żeby moja rodzina była bezpieczna. Dlatego zamieszkaliśmy w Hollows. Twoja matka postanowiła tu przyjechać, żebyś była bezpieczna. Chciała cię lepiej chronić.

– Chciała mnie lepiej kontrolować – prychnęła Willow. – Tutaj wszędzie musi mnie wozić.

– Rodzice i dzieci zawsze sprzecząją się co do różnicy między ochroną a kontrolowaniem. – Doktor Cooper wzruszyła ramionami.

Willow zagłębiła się w kanapę, myśląc o Jolie i Cole’u, o tym, że mogli

robić, co chcieli; myślała o wolności. Świat wydawał się nieznośnie skomplikowany. Jak ludzie w ogóle dochodzili z nim do ładu? Skąd wiedzieli, co jest właściwe? Skąd człowiek miał wiedzieć, co by go uszczęśliwiło?

– Nie cierpię tego miasta – powiedziała Willow. – The Hollows to wstrętne dziura.

Takie stwierdzenia zazwyczaj doprowadzały Bethany do szału, ale terapeutka uśmiechnęła się do dziewczyny cierpliwie.

– Dokądkolwiek pójdziesz, zawsze będziesz sobą – powiedziała.

– Nie rozumiem – przyznała Willow po chwili namysłu.

– Mogłabyś mieszkać w Nowym Jorku. Mogłabyś mieszkać w The Hollows. Mogłabyś mieszkać na księżycu. Ale zawsze będziesz Willow. Jeśli potrafisz być szczęśliwa tutaj, będziesz szczęśliwa wszędzie.

Doktor Cooper uśmiechała się, jakby się dobrze bawiła. Willow uzmysłowiła sobie, że też się uśmiecha, choć wcale nie miała pewności, czy zgadza się z terapeutką. Przecież Nowy Jork był super, czego nie dało się powiedzieć o The Hollows. Co to wszystko miało wspólnego z nią?

Willow opowiedziała doktor Cooper o Jolie i Cole'u, o cmentarzu i o tym, że nie znaleźli tego, czego tam szukała, więc Jolie uznała, że Willow kłamie. Opowiedziała też, że matka na zawsze zamknęła ją w areszcie domowym.

Terapeutka wiedziała, że kłamstwa zaczęły się na długo przed kłamstwem o Rainerze. Willow całymi latami zasypywała znajomych i rodziców bezsensownymi kłamstewkami. Śliczny chłopiec mrugnął do niej w metrze; śniły się jej powracające koszmary. Raz zmyśliła historyjkę o tym, że o mały włos jej nie napadli, w metrze uciekła przed trzema bandziorami, którzy próbowali wyrwać jej plecak. Sama nie wiedziała, czemu to robi. Podobał się jej dreszczyk emocji, zmyślanie zdarzeń, dodawanie szczegółów, by uwiarygodnić historię. Poza tym podobały się jej reakcje słuchaczy. Przecież to niezbyt różniło się od tego, co robiła jej matka. *Jasne, Willow, powiedziała na to Bethany. Różnica polega na tym, że ja nie przedstawiam swojej fikcji jako prawdy. Jeśli chcesz opowiadać historie, to je zapisuj.*

Podczas jednej z pierwszych sesji doktor Cooper powiedziała:

– Jest prawie tak, jakbyś tworzyła fikcyjną Willow. Willow, która podoba się chłopcom. Willow uciekającą przed bandytami. Wyrazistą postać. Ale według mnie prawdziwa Willow jest super: bystra, twórcza, urocza. Może powinnaś bliżej ją poznać.

– No tak – przyznała wtedy Willow. – Chyba tak.

Ale czy nie to właśnie zawsze słyszała? Bądź sobą. Daj z siebie wszystko.

Czy te prawdy mogły się stosować do każdego? Przecież nie każdy człowiek był miły, utalentowany, przystojny, inteligentny. Niekiedy dawałaś z siebie wszystko, ale to nie wystarczyło do osiągnięcia tego, co chciałaś. Co wtedy? Czy człowiek zostawał sam ze sobą i swoim życiem – smutnym produktem „dawania z siebie wszystkiego”?

Doktor Cooper rozmawiała z Willow o jej planach, by lepiej się uczyć, skoncentrować się, nie uciekać.

– Kiedy przyjdzie ci ochota uciec, zadzwoń do mnie – powiedziała terapeutka. – Wtedy będziemy mogły o tym porozmawiać.

Willow przystała na tę propozycję.

– Ale co mam począć z Jolie? To moja jedyna przyjaciółka, a nawet jeśli teraz nie czuje do mnie nienawiści za to, że skłamałam, to i tak nie wolno mi już się z nią zadawać.

Prawdę mówiąc, Willow wcale tak bardzo się tym nie martwiła. W towarzystwie Jolie wszystko stawało na głowie; czuła się, jakby lada chwila miały zbłądzić na manowce.

– Bądź wobec niej szczerą. Wyjaśnij, że zostałam ukarana i obiecałam bardziej przykładać się do nauki. Jeśli jest prawdziwą przyjaciółką, zrozumie.

Willow z trudem powstrzymała śmiech. Jolie z całą pewnością by tego nie zrozumiała. Tutaj, w bezpiecznym zaciszu ciepłego gabinetu, wszystko wydawało się takie proste. Człowiek miał wrażenie, że wszystko można przegadać i znaleźć rozwiązanie. W tym pokoju nie było żadnych zmian ani problemów. Żadnych emocji przyprawiających o zawrót głowy, ataków niepokoju, potrzeby bycia kim innym. Ale tam, na zewnątrz, było inaczej. Tam każda chwila mogła wciągnąć Willow w swój nurt, porywając wszystkie dobre intencje i szczerze obietnice, tak jak rwąca rzeka unosi połamane gałęzie.

Jones nie lubił, kiedy Maggie się na niego wściekała, ale nie zamierzał pozwolić, żeby pokrzyżowało mu to plany. Zawsze nienawidził tego w Hollows. Ktoś nieustannie podglądał, ludzi świerbiło, żeby złapać za słuchawkę i zacząć plotkować. Z rozmowy z Henrym Maggie dowiedziała się, że mąż nie poszedł na zaplanowane spotkanie z doktorem Dahlem. Kłótnia na ten temat wciąż dzwoniła Jonesowi w uszach.

– Najbardziej martwi mnie, że wiesz, jak bardzo zależy mi na tym, abys kontynuował terapię. Przecież siedziałam tu i powiedziałam ci o tym. – Dla podkreślenia słów Maggie postukała dłonią w krzesło w jadalni. – A ty masz to w nosie.

– Nie przerwałem terapii, Maggie – zaprotestował Jones. – Ja tylko przenieśliśmy spotkanie na inny termin. Przesadzasz. – To było kłamstwo. Nie przełożył spotkania.

Maggie wzięła się pod boki i spojrzała na męża beznamiętnie.

– Kiedy? Kiedy masz spotkanie?

– Jutro.

– O której?

– O szesnastej.

Maggie sceptycznie zmarszczyła czoło.

– Mam pacjenta – rzuciła, wzięła filiżankę kawy i ruszyła do drzwi łączących dom z jej gabinetem i poczekalnią.

– Dla mnie terapia też jest ważna! – zawołał za nią.

Maggie odwróciła się i spojrzała na męża. Jonesowi nie spodobał się wyraz smutku i zawodu na jej twarzy. Z gniewem czy irytacją umiał sobie radzić. Do tego się przyzwyczaił; przecież żony stale wkurzały się na mężów, prawda? Gniewnie zmarszczoną twarz Maggie mógł łatwo rozjaśnić uśmiech, mogła się cichutko zaśmiać. Ale smutek? To było niebezpieczne.

– Wiesz co? – powiedziała. – Nie jestem pewna, czy ci wierzę. Myślę, że jeśli zaczniesz przyjmować zlecenia od policji, ta praca znów cię pochłonie. Zapomnisz, że masz pracować nad sobą.

Maggie oczywiście miała rację. Już teraz Jones odczuwał błogosławioną ulgę, jaką niosła praca. Bezczyenne siedzenie w domu odchodziło w przeszłość.

– Sądziłem, że chcesz, bym przyjął to zlecenie. Mówiłaś, że jest to dla

mnie dobre.

Żona przewróciła oczami, jakby Jones był niedorozwinięty.

– Ale nie wtedy, gdy pod tym pretekstem będziesz unikał całej reszty. I jeszcze jedno: dzwonił z gabinetu doktora Dahla z pytaniem, na kiedy chcesz przełożyć wizytę, którą *odwołałeś*.

Jones nie odpowiedział, spróbował nieśmiało się uśmiechnąć, ale Maggie nie złagodniała.

– Czy teraz okłamujemy się nawzajem? – spytała.

Nie czekając na odpowiedź, wyszła, zamykając za sobą drzwi. I to ona mówiła o zostawianiu wszystkiego dla pracy.

Jones wspominał rozmowę z żoną, podjeżdżając pod dom Holtów. Na podjeździe zauważył ciężarówkę Michaela. Dom wyglądał na opuszczony. Nawet tablica „Na sprzedaż” na zarośniętym podwórzu prezentowała się beznadziejnie.

Wcześniej Jones powiedział Chuckowi o dole wykopanym w lesie. Chuck potrzebował nakazu, żeby przyjechać tam z ekipą, ale nie mieli zbyt wielu tropów. To oznaczało oficjalne ponowne otwarcie sprawy Marli Holt, ale Chuck nie był na to gotowy.

Jones zasugerował, że dół znajduje się na terenie prywatnym, więc jeśli rodzina Grove’ów zezwoliłaby im na kopanie, mogliby się zabrać do pracy. Chuck posłałby tam po cichu paru facetów z łopatami. Gdy niczego nie znajdą, nie stanie się nic złego. Przecież będą mieli wymówkę, dlaczego zrobili raban. Jeżeli natomiast coś by znaleźli, nie będzie wyglądać to tak, jakby wygoda była dla nich ważniejsza niż rozwiązanie sprawy. Chuck okazał sceptycyzm; nie wyobrażał sobie, żeby Grove’owie zechcieli współpracować z lokalną policją.

Przed rokiem Jones wyciągnął z kopalni kuzyna Grove’ów, ci zaś o tym nie zapomnieli.

– Czy powinienem do nich zadzwonić i poprosić, żeby odwzajemnili przysługę? – spytał Chucka. Ferrigno wolał, by Jones najpierw porozmawiał z Holtem i go wybadał. Czy miał obsesję na punkcie zaginionej matki? Czy, zdaniem Jonesa, Michael zrezygnuje z poszukiwań, a po załatwieniu spraw majątkowych wyjedzie z miasta? Innymi słowy, czy ta sprawa rozejdzie się po kościach?

W wydziale chronicznie cierpiącym na nawał pracy i brak ludzi Chuck nie chciał ponownie otwierać starej sprawy. Gdyby Jones kierował posterunkiem policji, zrobiłby podobnie, przede wszystkim dlatego, że na

czele wydziału stała Marion Butler. Szefowa lubiła, kiedy wszystko było ładnie pozamiatane, sprawy rozwiązane, a przynajmniej zamknięte. Nie przepadała za ich ponownym otwieraniem, chyba że dało się w ten sposób naprawić jakoś krzywdę czy niesprawiedliwość.

Jednak Jones, jako wolny strzelec, nie musiał zaprzętać tym sobie głowy. I choć sprawa Marli Holt nie spędzała mu snu z powiek, to teraz, gdy zaczęto zadawać pytania, chciał uzyskać odpowiedzi. Stopniowo przypominał sobie uczucie osobliwego dyskomfortu, towarzyszące mu podczas pracy przy tym śledztwie. Jak smród zgnilizny nieznanego pochodzenia, coś, czego nie dało się wyczyścić ani przewietrzyć. Ale w młodości Jones Cooper nie zawsze podążał za swoimi instynktami.

Jones wysiadł z samochodu i ruszył po podjeździe. Komórka w kieszeni zaczęła wibrować. Wyjął telefon i zobaczył na ekranie numer Pauli Carr. Odrzucił połączenie. Wcześniej rozpuścił wici w poszukiwaniu matki Cole'a Carra, ale jeszcze nie otrzymał żadnych informacji. Nie mógł rozmawiać z Paulą Carr i jednocześnie koncentrować się na tym, co teraz robił. Nie umiał wykonywać kilku czynności naraz, nie wiedział, jak ludzie potrafili skupić się na czymkolwiek, gdy w ich kieszeniach wciąż coś dzwoniło i brzęczało... E-maile, SMS-y, idiotyczny Spacebook czy MyFace, czy co tam Ricky tak uwielbiał. „Tato, ty i mama musicie założyć sobie stronę. To bardzo ułatwia kontakt”. „A może po prostu porozmawiajmy przez telefon, synu?”

Ludzie z pokolenia jego syna najwyraźniej uważali, że każdy musi stale wiedzieć, co robisz, myślisz, czujesz. Jones nie potrafił dociec, czy jest to przejaw narcyzmu, czy też lęku – to, że wszyscy chcieli wiedzieć, że właśnie idziesz do galerii handlowej. Zauważył, że panowało przekonanie, że jeśli człowiek był sam w swojej głowie, zatopiony w myślach i planach, w pewnym sensie stawał się niewidzialny, zbędny. Jeśli nie płynąłeś z rwącym, szalonym prądem informacji, porywał cię i zniknąłeś. Kiedy Jones był mały, o niczym takim nie było mowy. W domu nie mieli nawet telefonu bezprzewodowego. Jeśli pragnął prywatności, rozwijał długi sznur telefoniczny i chował się w spiżarni. Nawet wtedy słyszał, jak matka cicho podnosi słuchawkę u siebie w sypialni. Abigail nigdy nie dawała mu ani krztyny życiowej przestrzeni.

Zbliżając się do domu, pomyślał, że przed wyjściem mógł zadzwonić do terapeuty i przełożyć wizytę. Nie zrobił tego, powstrzymywany przez jakiś krnąbrny upór. Cholera, umówi się na wizytę, kiedy będzie gotowy.

Jones uniósł rękę, żeby zapukać do drzwi wejściowych, ale stwierdził, że

są uchylone. Pchnął i otworzyły się ze skrzypieniem.

– Halo? Szukam Michaela Holta.

Przytrzymując drzwi jedną ręką, zapukał drugą. Kiedy je puścił, drzwi ustąpiły i oczom Jonesa ukazał się korytarz zastawiony stertami gazet. Odruchowo położył dłoń na broni. Lata pracy w policji nauczyły go, by tak właśnie wchodzić do domu, gdzie mogło się czaić nieznane zagrożenie. Teraz nie zawsze miał przy sobie broń jak w latach służby.

Ricky byłby dumny ze starego. Zeszłej nocy Jones, zaintrygowany słowami Henry'ego, sprawdził w Google'ach Michaela Holta. Znalazł rozbudowaną stronę, zaprojektowaną przez samego Holta, zawierającą opis najróżniejszych kopalni, zdjęcia tuneli i opuszczonych wejść do nich. Michael oferował swoje usługi jako przewodnik, gotów był wygłaszać wykłady i pełnić funkcję „konsultanta ekip filmowych, powieściopisarzy oraz producentów telewizyjnych”. Dzisiaj każdy chciał zostać gwiazdą, nie wystarczyło być po prostu dobrym w swoim fachu. Zresztą, może przez Jonesa przemawiał cynizm, chociaż akurat w tym punkcie Maggie się z nim zgadzała. Zainteresowanie kopalniami, wykonywanie ulubionej pracy, próba zarobienia na życie to za mało. Trzeba poprowadzić jeszcze swój telewizyjny show na żywo. Masz rozbrykane dzieci? Chcesz mieć nowy dom, zostać gwiazdą rocka, supermodelką, walczyć o ochronę wielorybów? Zrobią o tobie program, a ludzie będą go oglądać.

Swoją stronę internetową Michael Holt zadedykował matce. „Mamo, ciągle czekamy, aż wrócisz do domu”.

– Jest tam kto?

Z głębi domu dobiegło łomotanie, a chociaż Jones nie miał żadnego konkretnego powodu, by wchodzić, to właśnie zrobił. Ruszył w stronę odgłosów korytarzem, który zwęził się do wąskiego tunelu; Jones dotykał ramionami obu ścian. Mniej więcej w połowie drogi uderzył go zapach, duszące połączenie gnijącego jedzenia i moczu. Smród zablokował mu drogę jak betonowy mur. Korytarz kończył się zamkniętymi drzwiami; przez szpary przy podłodze i po bokach sączyło się światło.

– Halo?

Łomotanie ustało. Jones poczuł nagle, że znalazł się w innej czasoprzestrzeni. Jakby światło z dworu nie wpłynęło za nim do domu. W środku panował mrok, zajeżdżało stęchlizną, powietrze wydawało się tu rzadsze. Potem drzwi się otworzyły i w progu zamajaczyła wysoka, barczysta postać. Jones cofnął się o krok.

– Kto tam? – spytała postać.

Jonesowi odebrało mowę. Może kurz zatkał mu gardło. Rozkaszłał się i nie mógł przestać, a postać podchodziła coraz bliżej. Odwrócił się, przeszedł przez sień i wydostał się na chłodne powietrze. Kiedy Michael Holt wyszedł za nim, Jones ujrzał na jego twarzy szczerą skruchę.

– Przepraszam. Właśnie remontuję kuchnię. Pewnie z tego powodu pełno tu pyłu. Czy mogę zaproponować panu szklanekę wody?

Jones uniósł rękę. Mimo kaszlu zdołał wykrztusić:

– Nie, dziękuję.

– Jest pan zainteresowany domem?

Jones obejrzał się na tablicę na trawniku, kołysząc się na wietrze, jakby ktoś smutno machał na pożegnanie.

– Nie. – W końcu odzyskał głos. – Nazywam się Jones Cooper. W 1987 roku to ja prowadziłem śledztwo w sprawie zaginięcia pańskiej matki. Teraz pomagam policji, czytam stare akta.

– Zamierzają wrócić do tej sprawy? – spytał młody Michael Holt z taką nadzieją, że Jones poczuł się zawstydzony, choć nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego.

– Jeszcze nie wiem.

– Chyba sobie pana przypominam – stwierdził Holt. Dziś jego oczy były nie mniej zagadkowe niż dawniej. Jones pamiętał, że chłopak był wysoki jak na swój wiek, ale wyrósł na prawdziwego olbrzyma. Długie zmierzwiłone włosy zwisały mu do ramion. Twarz miał umazaną brudem, co pewnie wiązało się z robotą w kuchni. Pomimo barczystej budowy miał w sobie coś chłopięcego, ale nie była to dziecięca słodycz.

– Chciałem panu zadać kilka pytań. – Jones zakaszał mocno, żeby raz, a dobrze oczyścić gardło. – Ma pan czas?

Jones Cooper odnosił wrażenie, że Michael Holt ma tylko czas.

Michael poprowadził gościa przez istną stajnię Augiasza do salonu – prawdziwej wyspy na morzu śmieci. Raz jeszcze zaproponował Jonesowi coś do picia, a gdy ten odmówił, Holt wcisnął się w jedno z lichych krzeseł i gestem dłoni zaprosił Jonesa, by usiadł na kanapie.

– Przepraszam za wygląd tego domu. Mój ojciec był chyba zbieraczem.

O tym też pewnie można było obejrzeć program telewizyjny. O ludziach, którzy zbierali najrozmaitsze przedmioty, za życia grzebali się w śmieciach. To było coś w rodzaju skrzywienia psychicznego. Jones widział zdjęcia Holta przeciskającego się przez podziemne tunele i wąskie chodniki. Teraz wyobraził go sobie przekopującego się przez góry śmieci i gratów w domu

ojca. Na głowie kask z czołówką, na nogach wodery.

– Przeglądałem swoje notatki. Pamiętam, że tej nocy, kiedy pańska matka odjechała, miał pan nocować u kolegi z sąsiedztwa.

– Zgadza się – potwierdził Michael. Jones zauważył na jego czole pot. Holt otarł go rękawem.

– Ale wrócił pan do domu o dwudziestej drugiej. Przyjechał pan na rowerze. Czy tak właśnie pan to pamięta?

Michael wyjrzał przez okno, popatrzył w sufit. Najwyraźniej spoglądał wszędzie, tylko nie na gościa. Kiedy Jones przyszedł, Michael, pomimo dość zaskakującego wyglądu, sprawiał wrażenie człowieka otwartego, zaangażowanego. W salonie, na krześle, otoczony przez rzeczy należące do jego matki, młody człowiek jakby odpływał, zamykał się w sobie.

– Czy zobaczył pan wtedy matkę?

– Nie. Poszedłem do swojego pokoju i zasnąłem.

– Dlaczego pan wrócił do domu?

Michael wpatrywał się w gościa. Niektórzy ludzie uznaliby wzrok mężczyzny za groźny, ale Jones dostrzegał tylko pustkę w jego oczach. Michael patrzył w siebie, nie na zewnątrz.

– Czasem tak robiłem. – Przeczesał palcami włosy. – Chciałem się znaleźć we własnym łóżku, rozumie pan?

– Naturalnie.

Jones nie miał pojęcia, o co tamtemu chodzi. W dzieciństwie sypiał poza domem tak często, jak tylko mógł. Wykorzystywał każdą okazję, żeby spędzić trochę czasu z dala od matki, od jej potrzeb i krytyki, niekończącej się litanii skarg i żali. Nie przypominał też sobie, aby Ricky wrócił wcześniej od kolegi, u którego miał nocować; nie dzwonił też z płaczem z obozu jak inne dzieciaki.

– Czy przypomina pan sobie cokolwiek z tamtej nocy? Może jakieś sprawy, o których wtedy nie chciał pan wspominać?

Michael wziął do ręki szklaną kulę z miniaturową makietą Nowego Jorku, na który sypały się płatki śniegu; obrócił ją. Po dłuższej chwili stało się jasne, że Michael nie zamierza odpowiedzieć. Jones odchrząknął, na co gospodarz drgnął i spojrzał na niego zaskoczony, jakby zapomniał o obecności gościa.

– Zauważyłem, że pańska chęć ponownego otwarcia sprawy matki zbiegła się w czasie ze śmiercią pana ojca – powiedział, gdy Michael się nie odezwał. – To mnie po prostu zastanowiło.

Holt wciąż milczał, obracając w ręce szklaną kulę.

– Czy coś pan tu znalazł? – spytał Jones.

Michael w końcu wrócił do chwili obecnej.

– Tamtej nocy słyszałem głosy – powiedział. – Rodzice chyba się kłócili.

– Wyszedł pan z pokoju, żeby to sprawdzić? – zapytał Jones.

– Nie. Nigdy tego nie robiłem. Oni nie byli ze sobą szczęśliwi. To było okropne małżeństwo, nieustanne scysje.

– O co się sprzeczali?

Holt gwałtownie wypuścił powietrze.

– Nie wiem. O co sprzeczają się małżonkowie? O pieniądze: ona wydawała za dużo, on za mało zarabiał. Ciągłe nie było go w domu, zostawiał ją samą z nami. Jak już mówiłem, według mnie nie byli ze sobą szczęśliwi. Ona go nie kochała. Niezależnie od przedmiotu kłótni, wszystkie obracały się właśnie wokół tego.

Holt wystukiwał szybki rytm prawą nogą. Jones milczał.

– Wróciłem tu – powiedział wreszcie Michael. – Zobaczyłem ten dom, jej rzeczy. Ja po prostu chcę się dowiedzieć, co się stało z moją matką. Przez lata zatrudnialiśmy różnych ludzi. Nikt nie znalazł nawet śladu. Czuję, że jeśli istnieją odpowiedzi, należy ich szukać tu, w The Hollows.

– To dlatego wynajął pan Raya Muldune’a i Eloise Montgomery?

Michael pochylił się do przodu na za małym krześle, a jego twarz znów przybrała normalny, otwarty wyraz.

– Tutejsza policja mnie zbyła. Eloise знаła moją matkę, zajmowała się mną i moją siostrą, kiedy byliśmy mali. Podobno posiada dar jasnowidzenia. – Wyprostował się, znów wyjrzał przez okno. – Eloise próbowała wyperswadować mi ten pomysł. Powiedzieli to panu? Ostrzegła mnie, że czasem ludziom nie podoba się to, co znajdują, kiedy zaczynają zadawać pytania o przeszłość. Poradziła mi, że może lepiej odpuścić, pozwolić matce odejść. Ponieważ nalegałem, zgodzili się przyjąć tę sprawę, w każdym razie Muldune się zgodził. Ale najwyraźniej i oni nic nie potrafią znaleźć.

– Czy dlatego kopał pan w lesie?

Michael Holt skierował swoje dziwne oczy na Jonesa. Ten nie potrafiłby określić, co w nich widzi, ale nie przypadło mu to do gustu.

– Gdzie pan to słyszał? – spytał Michael beznamiętnie.

– W Hollows nie ma zbyt wielu tajemnic – odparł Jones, celowo wymijająco, aby nie pakować dziewczyny w kłopoty. – Poza tym kopał pan na prywatnym terenie.

– Moja praca polega na badaniu i rejestrowaniu tutejszych kopalni –

wyjaśnił Holt, po czym opowiedział miejscową legendę. Jones słyszał ją już wcześniej od Bethany Graves, ale nie znalazł nic na ten temat w internecie. W wersji Holta legenda też nie brzmiała wiarygodnie.

Kiedy mężczyzna skończył, Jones zapytał:

– Czy w miejscu, gdzie pan kopał, była kopalnia? Nie widziałem wylotu szybu ani żadnych innych dowodów na to, by tam był jakiś tunel.

Niespieszne, spokojne mrugnięcie. Jones widział, jak Holt przetwarza wiadomość o tym, że emerytowany policjant obejrzał wykop.

– Nic nie znalazłem – powiedział Michael.

– Ale dlaczego właśnie tam? Jestem ciekaw.

– Sam nie wiem. – Holt poruszył się na krześle. – Po prostu miałem przecucie.

– Też je miewam – przyznał Jones. – Wracając do pańskiej pracy, jest pan historykiem, przewodnikiem wycieczek?

Michael Holt zdjął ze spodni jakiś okruch.

– Przypuszczam, że jestem po trosze jednym i drugim – powiedział. – Próbuję spisywać historię, która odchodzi w niepamięć. Ziemia jest jak wolno poruszający się płyn. Opada i płynie jak woda, przykrywa rzeczy, unosi w dal, zasypuje głęboko. Staram się fotografować, co mogę, spisywać podania ludowe i legendy, prowadzę kronikę. Mam swoją stronę internetową. Pracuję nad książką.

Jones powoli, rozważnie kiwnął głową. Facet, na oko dobiegający czterdziestki, nie miał żony, czołgał się po kopalniach i najwyraźniej nadal szukał zaginionej matki.

– Da się z tego żyć? – Maggie zmarszczyła by brwi, słysząc podobne pytanie. Uznałaby je za wścibskie, agresywne. Już nie jesteś gliniarzem, przypomniaby Jonesowi.

– Jakoś wiązę koniec z końcem – odparł wymijająco Holt.

„Widzę”, pomyślał Jones, ale tego nie powiedział. Gotów był się założyć, że gdyby wziął pod lupę jego finanse, historię zatrudnienia, wyciągi z karty kredytowej, przekonałby się, że Michael Holt nie ma grosza przy duszy. Ten dom, wraz z tym, co odziedziczył po ojcu, prawdopodobnie był wszystkim, co posiadał.

– Ojciec i ja nie byliśmy sobie bliscy – mówił Michael. – Zawsze uważałem, że wie coś o zniknięciu naszej matki, ale ukrywa to przede mną i siostrą. Teraz, gdy odszedł, chcę się dowiedzieć, co to było.

Jones postanowił milczeć. Ludzie nie lubili milczenia. Pospiesznie je zagadywali.

– Nie sędę, żeby matka od nas uciekła. Może od niego tak, ale nie od nas. Stale powtarzała mi, że jestem jej oczkiem w głowie, że nie może beze mnie żyć. Żeby przez tyle lat ani razu się z nami nie skontaktowała? To nie jest w porządku. Nie zrobiłaby tego. Nie mogła mnie opuścić.

Jones usłyszał w głosie Michaela rozkapryszenie i gniew małego chłopca porzuconego przez matkę. Te emocje wzbierały w nim, zjadały go żywcem. Wróciwszy pamięcią do 1987 roku, Jones przywołał obraz Michaela przyczajonego na schodach. Już wtedy był potężnie zbudowany i silny.

Nie spytał, nie zamierzał o to pytać, ale Holt sam powiedział:

– Myślę, że ona nie żyje.

– Sądzi pan, że zabił ją pański ojciec? Dlatego pan wrócił? Teraz, po jego śmierci, chce pan zdobyć odpowiedź?

Holt zakrył dłonią oczy i potrząsnął głową. Nie odpowiedział, a Jones pożałował pytania. Słowa zabrzmiały szorstko. Nawet jeśli Holt igrał w myślach z taką teorią, nie oznaczało to, że jest gotów wyrazić ją na głos. Jones czuł, że rozmowa wkrótce raptownie się zakończy. Nie będąc już policjantem na służbie, nie miał prawa dalej naciskać. Kiedy Michael Holt ponownie podniósł wzrok, Jones ujrzał przed sobą rozpaczliwie smutnego młodego człowieka.

– Nie czuję się najlepiej, panie Cooper. Jeśli nie ma pan więcej pytań, proszę już iść.

Holt wstał i wyszedł z pokoju. Po minucie Jones usłyszał, jak w kuchni znowu rozlega się łomotanie. Wyszedł.

Z samochodu zatelefonował do Chucka.

– Radzę, żebyś posłał do lasu ekipę. Niech złączą kopać. Zadzwoń do Billa Grove'a i bez problemu zdobędę dla ciebie pozwolenie.

W słuchawce rozległ się szelest papierów.

– Serio? Co tam jest według ciebie?

– Nie mam pojęcia – skłamał Jones.

Chuck zaczął coś jeść, bez skrupowania przeżuwał tuż przy słuchawce.

– Co ty kombinujesz, Jones?

Biorąc pod uwagę to, co ukrywał Michael Holt (bo coś ukrywał), obsesje Raya Muldune'a (Jones znał go od dawna) oraz wizje Eloise Montgomery, ta sprawa nie rozejdzie się po kościach. Tyle Jones powiedział Chuckowi. Nie powiedział natomiast, że nie chce, by się rozeszła. Chciał się dowiedzieć, co się stało z Marlą Holt. Chciał się dowiedzieć, co się kryło w Lesie The Hollows.

Jako młody ambitny gliniarz chętnie porzucał sprawy, których nie dało się rozwiązać. Nie zawsze szedł za instynktem, co nie znaczy, że odpuszczał. Po prostu bardziej polegał na tym, co widział, niż na własnych odczuciach. W tamtych czasach, analizując sprawę Holtów, widział piękną, nieszczęśliwą kobietę, która porzuciła rodzinę. Owszem, kilka szczegółów nie dawało mu spokoju, ale Jones polegał na faktach, może także trochę na własnych z góry wyrobionych sądach na temat kobiet, na temat ludzi.

Kolejne lata sporo mu zabrały, ale nauczył się też niemało. Na przykład cierpliwości. Maggie pewnie nie wystawiłaby mu wysokiej oceny z tego przedmiotu, ale na pewno był cierpliwszy niż dawniej. Nauczył się, że ludzie mają wiele twarzy, a wszystkie są prawdziwe. Fakt, że przez większość czasu miał przed oczami jedną, nie oznaczał, że tuż za nią nie kryje się inna. Przede wszystkim jednak nauczył się szanować własne uczucie dręczącego dyskomfortu (towarzyszyło mu teraz, gdy wrócił do sprawy Marli Holt). Coś było na rzeczy, ale Jones już nie był tak arogancki, by uważać, że wie, co to jest.

Nie rozmawialiśmy o remoncie, Michaelu. Była mowa tylko o porządnym sprzątnięciu.

– Jasne, ale czy po wstawieniu nowych szafek nie sprzedalibyśmy domu łatwiej?

W słuchawce rozległo się westchnienie Kate. Michael widział niemal, jak agentka nieruchomości rozchyła doskonale pomalowane błyszczącym wargi i załamuje wypielęgnowane dłonie. Depilacja woskiem, manikiur, pedikiur, farbowane włosy, siłownia – Kate należała do tego typu kobiet. Michael nie był pewien, czy widział choć kawałek jej ciała w stanie naturalnym. Od brwi do paznokci stóp wszystko miała pod kontrolą.

– Nie rozumiesz, Michaelu – powiedziała szorstko. – Problem nie polega na szafkach kuchennych. Ten dom nadaje się do rozbiórki. Ktoś go zburzy i postawi nowy. Montowanie szafek to strata twojego czasu i pieniędzy. Zadzwoń do firmy zajmującej się sprzątnięciem, o której ci mówiłam? Pytałeś o cenę? Musimy wywieźć te śmieci.

Michael nie powiedział Kate, że już zawlókł do kuchni młot dwuręczny. W programach telewizyjnych o remontach domów wszystko wyglądało bardzo prosto. Ale rzeczywistość nie ustępowała tak łatwo; miejscami rozpadała się w drobny mak, w innych trzymała mocno.

– Skupmy się na konkretach, Michaelu. – Agentka miała irytujący zwyczaj nieustannego zwracania się do niego po imieniu, jakby stale

usiłowała nawiązać kontakt z nadpobudliwym dzieckiem. – Zadzwon do tych ludzi. Zaczynaj uprzątać graty i każ je wywieźć. Nie zrobisz tego sam. Zapomnij o szafkach kuchennych.

Michael nie odpowiedział. Sam nie wiedział czemu, ale rada Kate przypomniała mu o Eloise Montgomery.

– Po prostu sobie odpuść – mówiła agentka. – Ona odeszła dawno temu. Życie przeszłości nikomu dobrze nie robi. Słyszysz mnie, Michaelu?

Bardzo chciał odpowiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Coś takiego przytrafiało się, kiedy za dużo sprzecznych myśli, odgłosów, żądań domagało się jego uwagi. Coś w nim zamarło. W na wpół zdemolowanej kuchni stał z telefonem w jednej, młotem w drugiej ręce i nie był w stanie wydusić ani słowa.

– Michaelu? – Zaraz potem usłyszał: – Och, na miłość boską. – Agentka się rozłączyła. Michael schował komórkę do kieszeni.

Wtedy wezbrał w nim straszny gniew, krew zaszumiała w uszach. Uniósł w górę młot i rycząc z całej siły, uderzył nim w gipsową ścianę. W powietrzu już wcześniej unosił się kurz, a teraz wzbił się białoszary pył. Teraz kolej na blat. Roztrzaskał się, ale nie runął. Potem podłoga. Michael czuł, jak wstrząs uderzeń przenika mu ręce i plecy. Ból go otrzeźwił. Beton. Pod linoleum musiał być beton. Osunął się na ziemię, pozwalając, by pył opadał mu na włosy i ciało. Zapragnął, żeby go pogrzebał, przykrył jak śnieg. Po chwili poczuł się lepiej, straszliwy gniew zaczął ustępować, wreszcie znikł.

Cóż to niby za radę miała dla niego Eloise Montgomery? Większość ludzi zrozumiałaby, że dziecko pragnie się dowiedzieć, co się stało z jego matką, choćby to dziecko zbliżało się do czterdziestki, a matka zaginęła ponad ćwierć wieku temu. Człowiek nie zostawia takiej sprawy za sobą, ona określa go na całe życie.

Najwyraźniej Cara lepiej pogodziła się z zaginięciem matki. W życiu siostry Michaela były długie okresy, kiedy poświęcała się szkole, karierze, potem mężowi i dzieciom. Ale Cara była bardzo mała, gdy matka zniknęła. Sama przyznawała, że prawie jej nie pamięta. Owszem, przeżyła depresję związaną z zaginięciem matki, wynajęła prywatnego detektywa. Kiedy to nic nie dało, Cara zaczęła chodzić na psychoterapię. Już dawno nie rozmawiali o mamie. Michael wyczuwał, że siostra zrezygnowała i zaczęła żyć własnym życiem, czego on nie potrafił. W roku, w którym Marla zniknęła, Cara zamieszkała u ich ciotki Sally i pod wieloma względami uważała ją za matkę. Michael został z ojcem. Chciał być na miejscu, kiedy

matka wróci.

Cara zmartwiła się na wieść, że Michael zatrudnił Raya Muldune'a i Eloise Montgomery. Siostra nie przyjechała, by pożegnać się z ojcem czy pomóc bratu uporządkować sprawy finansowe.

– Pani jasnowidz, Michaelu? Naprawdę? – spytała tonem często dziś używanym. Naprawdę? W ten sposób wyrażało się niedowierzenie, wzgardę oraz wyższość. – Bardzo chciałam, żeby śmierć ojca zamknęła drzwi – powiedziała wtedy do brata. – Dlaczego ty nieustannie je otwierasz?

– Te drzwi nigdy się nie zamkną, dopóki nie dowiem się, co się z nią stało. Czuję, że to moja ostatnia szansa. Ojciec odszedł. Czegokolwiek strzegł, cokolwiek tu ukrywał, teraz należy do mnie.

Michael usłyszał w słuchawce, jak siostra oddycha. Kiedy była mała, lubił patrzeć na śpiącą Carę. Spała spokojnie jak suseł, jakby żadna siła nie mogła jej zbudzić. Odgłos jej oddechu uszczęśliwiał go, relaksował.

– Weź sobie to wszystko, zgoda? – powiedziała Cara. – Weź pieniądze, które zostawił, dom, co tylko znajdziesz. Jest twoje. – Nie mówiła tego gniewnie. – Czy jednak znajdziesz to, czego szukasz, czy nie znajdziesz, obiecaj mi, że przestaniesz się skupiać na mamie, a całe pieniądze, jakie ci zostaną, wykorzystasz do tego, by zacząć się skupiać na sobie.

– Obiecuję – powiedział, ale w milczeniu, jakie zapadło, dało się słyszeć niepewność.

– Widzisz, jestem teraz matką – mówiła Cara. – Wiem, jakie to trudne: niekończące się żądania, frustrująca przyziemność. Matką jest się stale, nie ma się weekendów ani świąt. Człowiek pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Kiedy nie jesteś z dziećmi, to o nich myślisz.

Michael nigdy wcześniej nie słyszał od siostry nic podobnego. Zawsze uważał, że Cara jest idealną matką, która piecze ciasteczka, szyje kostiumy na Halloween, kiedy trzeba, podwozi innych samochodem.

– Co właściwie chcesz powiedzieć? – spytał.

– Próbuję powiedzieć, że nigdy nie chciałam innego życia. W przeciwieństwie do moich przyjaciół nigdy nie snułam wielkich marzeń. Chciałam tylko założyć rodzinę, mieć dom, no wiesz, być mamą. To jest dla mnie dobre, kocham takie życie. Ale gdybym nie kochała? Gdybym pragnęła czegoś innego, a w zamian dostała dom i rodzinę? Gdybym nie kochała męża? Może po prostu bym odeszła i nigdy nie wróciła.

– Ona tego nie zrobiła – powiedział Michael.

– Ja tylko gdybam. Potem taka kobieta nie chciałaby, nie mogłaby

wrócić. Nawet gdyby się nienawidziła, załowała, tęskniłaby do dzieci. Jak mogłaby stanąć twarzą w twarz ze wstydem, z cierpieniem, które spowodowała? Jak miałaby odpowiedzieć na pytania w rodzaju: „Mamo, dlaczego od nas odeszłaś?”. – Głos Cary się załamał, zaczęła płakać.

– Przepraszam – powiedział Michael, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Słyszał, jak siostra łka rozdzierająco. Chciał ją przytulić, pocieszyć, ale nawet kiedy byli razem, nie potrafił. Nie znosił bliskości fizycznej, nie z siostrą. Zwłaszcza że tak bardzo przypominała matkę. Chociaż rozmawiali przynajmniej raz w miesiącu, nie widział siostry od trzech lat.

– Muszę iść – powiedziała Cara. – Kocham cię. Dbaj o siebie.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, siostra się rozłączyła i od tamtej pory nie rozmawiali. Przesłała kwiaty na grób Macka i kartkę z napisem: „Mamy nadzieję, że odnalazłeś pokój”. Michael zastanawiał się, czy siostra faktycznie miała taką nadzieję, czy może był to tylko wyświechtany banał. Jak przykre były te wygłaszane przez ludzi uprzejmości, skrywające pokłady gniewu, irytacji lub apatii.

Michael spojrzał na pobożowisko. Kuchnia już wcześniej prezentowała się marnie. Po uprzątnięciu gnijących resztek pachniało lepiej. Z maską na twarzy przynajmniej takie miał wrażenie. Jednak niszcząc próchniejące szafki, obrócił kuchnię w perzynę. Teraz zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak zamontować nowe szafki czy położyć podłogę. Zresztą nawet nie był pewien, czy taki pierwotnie miał zamiar. Czy postanowił wyremontować kuchnię, a następnie zabrał się do jej demolowania? Czy też decyzja o remoncie zapadła po tym, jak wziął w ręce młot i zaczął burzyć? Musiał przyznać, że nie pamięta. W życiu nawet nie pomalował ściany. Kate miała rację. Powinien wezwać ekipę sprzątającą.

Ale myśl o nieznanym rozbijającym się po domu, wynoszącym pamiątki po matce na śmietnik, napełniała go grozą. O wiele prościej było trzymać się kurczowo tych resztek. Może jednak był nieodrodnym synem swego ojca.

Na odgłos pukania do frontowych drzwi szybko wyszedł z kuchni. Michael obawiał się, że Kate wsiadła do samochodu i przyjechała, żeby zobaczyć, co zrobił. Albo że Jones Cooper wrócił z kolejnymi pytaniami, na które Michael nie potrafił i nie chciał odpowiadać. Wizyta Coopera wytrąciła go z równowagi, przede wszystkim dlatego, że tak niewiele pamiętał z tamtej nocy, sam miał tak dużo pytań. Jones Cooper, z tym swoim nieustępliwym, analitycznym wzrokiem. Cokolwiek by powiedzieć,

ten facet widział różne rzeczy. Widział w tobie sprawy, o których sam nie miałeś pojęcia.

– Michaelu, jesteś tam?

Zasłaniając ręką usta, Ray Muldune zatrzymał się w sieni. W drugiej ręce trzymał brązową papierową torbę, a w niej, jak Michael się domyślał, przyniósł buty, których Marla używała do biegania.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić – powiedział Ray z osobliwą miną. Michael lubił Muldune'a za szczerość; Ray nie wzbraniał się mówić obcesowych czy przykrych rzeczy.

– Udało się? – spytał Michael.

Ray niezobowiązująco wzruszył ramionami i przytaknął.

– Coś zobaczyła. Nie wiem, co to znaczy.

– Opowiedz mi.

Michael nie chciał się z nią rozstawać choćby na chwilę. Nawet kiedy był już za duży na to, by nieustannie z nią przebywać, tak właśnie robił. Nocując u kolegi, często wykradał się i jechał na rowerze do domu, przez co rano wybuchała wrzawa, gdy zauważano jego nieobecność. Nie lubił sypiać z dala od matki. Ona go potrzebowała. Tak mówiła. Potrzebowała Michaela bardziej niż jego ojca, bardziej niż Carę. Zresztą może wcale tego nie mówiła; nie mógł sobie przypomnieć takich słów. Ale czuł to przez skórę. Dlatego nigdy nie przyjął do wiadomości, że mogła go porzucić.

Tamtej nocy chciała, żeby wyszedł. Tyle akurat pamiętał.

– Jesteś na to za duży, kochany. Większość dzieci uwielbia nocować u znajomych: oglądają straszne filmy, jedzą pizzę, opychają się słodyczami. Przecież nie chcesz siedzieć w domu, w swoim pokoju, kiedy wszyscy twoi kumple się bawią.

Ale czy to naprawdę byli jego kumple? Owszem, w podstawówce przyjaźnił się z Kevinem. Razem bawili się w lesie za domem Michaela, buszowali po opuszczonych budowach, wczołgiwali się do zakazanych kopalni, pełzali mrocznymi tunelami. Kiedy podrośli, sprawy uległy zmianie. Michael nadal chciał robić te rzeczy, ale Kevin wolał baseball i rozmowy z dziewczynami. Już nie chciał się bawić jak dawniej, chociaż ich matki nadal się przyjaźniły. Pewnego dnia na szkolnym korytarzu Michael usłyszał, jak ktoś nazywa go dziwadłem. Odwróciwszy się, zobaczył Kevina z grupą osiłków. Przyjaciel nie patrzył na Michaela, ale tamci się śmiali.

W sypianiu u kolegów chodziło w zasadzie o to, żeby ktoś nim się zajął. W sobotę wezmę Kevina, a ty przenocujesz Michaela w przyszłym tygodniu.

Ponieważ matka chciała, żeby tak było, sypiał u znajomych. Wiedział, że ojciec wróci do domu dopiero późno. Cara będzie miała mamę dla siebie. Czasem Michael żałował, że nie jest mały jak siostra; wtedy mógłby nadal zwijać się w kłębek na maminych kolanach, ona gładziłaby go po włosach, zapinałaby mu kurtkę. Kiedy odjeżdżał na rowerze, Cara zawodziła:

– Dlaczego ja nie mogę spać u koleżanki?

Co za ironia.

Owszem, zjedli pizzę, słodycze, obejrzeni straszny film. Ale Michael i Kevin przez cały wieczór czaili się, w milczeniu znosząc to, czego od nich wymagano. Kiedy wszyscy spali, Michael wykradł się z domu, wsiadł na rower stojący na podjeździe i popedałował do domu. Tamta jazda: jasny księżyc wysoko na niebie, strzępki chmur, zapach skunksów i skoszonej trawy, chłodne powietrze. Właściwie tylko tyle sobie przypominał. Nie pamiętał, jak wraca do domu, zakrada się do sypialni, zasypia. Ale przecież musiał to zrobić, skoro nazajutrz obudził się we własnym łóżku.

Dopiero dziś po południu, w trakcie rozmowy z Jonesem Cooperem, przypomniał sobie podniesione głosy, sprzeczkę. Teraz to sobie przypominał; wspomnienia wracały od czasu rozmowy z panią Miller. Ale już pamiętał. Może sprzątanie domu odświeżyło mu pamięć. Kiedyś słyszał, że domowe porządki potrafią oczyścić umysł, psychikę, zmienić życie człowieka. Graty symbolizowały uwieczoną energię, stłumioną przeszłość. Co nie znaczy, że to był jego dom. Z drugiej jednak strony był, ponieważ Michael nigdy nie założył własnego; mieszkał w akademikach, wynajętych pokojach. W pewnym sensie nigdy stąd nie odszedł.

Ray opowiedział mu o wizji Eloise, o dwóch mężczyznach goniących kobietę w lesie, o podniesionych głosach. Słyszając to, Michael poczuł, jak żołądek mu się kurczy.

– Eloise zawsze prosi, żebym powiedział, że te wizje mogą nie mieć związku z twoją sprawą – mówił Ray. – Jednak kiedy włożyła buty twojej matki, to właśnie zobaczyła.

Michael i Ray stali na schodach przed domem, bo Muldune nie chciał wchodzić do środka. Zresztą Michael doskonale go rozumiał.

– Co to właściwie znaczy? – spytał Michael. – Co teraz?

Czasami spojrzenie Raya sprawiało, że Michael czuł się nieswojo. Muldune spokojnie, wnikliwie badał to, co miał przed sobą. Zawsze sprawiał wrażenie człowieka nieco zdumionego, jakby nie całkiem dowierzał własnym oczom.

– Niekiedy jej wizje się pogłębiają. Jeśli tak się stanie, w ciągu

następnych dni zobaczy wyraźniej. Wtedy dostaniemy więcej wskazówek. Może Eloise dostrzeże twarz, usłyszy imię. Ale na razie wydaje mi się, że opisywana przez nią okolica znajduje się w lesie, nieco ponad kilometr od twojego domu. Jest tam polana z opuszczoną szopą, którą miejscowi nazywają Kaplicą. Znasz ją?

Owszem, Michael znał to miejsce. Oczywiście, że znał. W głowie zaczęło mu szumieć, poczuł dziwną lekkość w brzuchu, zalało go gorąco. Pot popłynął po plecach. Usiadł na schodach, schował głowę w dłoniach, walcząc z uczuciem mdłości.

– Michael. Dobrze się czujesz?

Nie, stary. Naprawdę kiepsko się czuję. Mój ojciec umarł. Matka zniknęła dawno temu, a ja nie mogę przestać jej szukać. Zaczynam sobie przypominać różne rzeczy, brzydkie rzeczy dotyczące nocy, kiedy znikła. Chryste.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Chyba się przegrzałem albo nawdychałem się nieświeżego powietrza. Próbuję wyremontować kuchnię.

Ray usiadł obok Michaela w milczeniu. Michael opowiedział mu o wizycie Jonesa Coopera, o tym, że przypomniał sobie o podniesionych głosach tamtej nocy.

„Mikey, bądź grzecznym synkiem mamusi, dobrze? Kocham cię nad życie”. To były ostatnie słowa, jakie usłyszał z ust matki. Raz po raz odtwarzał je w myślach, wspominał szybki pocałunek, jaki potem nastąpił, klepnięcie po plecach, gdy wychodził. „Kocham cię nad życie”, powtarzała zawsze lekkim tonem, jak wtedy, gdy był mały, a ona mówiła: „Kocham cię bardziej niż wszystkie gwiazdy na niebie, wszystkie ryby w morzu i wszystkie polne kwiaty”. Michael odpowiadał: „Kocham cię bardziej niż wszystkie biedronki, ważki i motyle”. Wtedy ona mówiła: „Kocham cię nad życie”. Michael słyszał, jak to samo mówiła do Cary. W takich chwilach czuł ból, choć wiedział, że nie powinien. Tamtej nocy, wskoczywszy na rower, obejrzał się, ale mama nie stała w drzwiach jak zwykle, bo pocieszała nieszczęśliwą Carę. Gdyby mama wiedziała, że widzi go po raz ostatni, Michael by to poczuł. Ale pożegnanie nie różniło się niczym od pozostałych, zdawkowe, pospieszne, do zobaczenia niedługo, kochany. Właśnie ta chwila, bardziej niż wszystkie inne, kazała mu podejrzewać, że coś jej się stało, coś, czego sama nie wybrała.

– Czy głosy, które słyszałeś, należały do twoich rodziców? – spytał Ray.

– Chyba tak. – Michael nie brał pod uwagę, że w domu mógł być ktoś inny. Wciąż siedział ze spuszczoną głową. Świat się kolebał; lada chwila

mógł się przechylić i go zrzucić.

Michael wiedział, że powinien powiedzieć o tym, że Jones Cooper widział go, jak kopał dokładnie w miejscu, które Eloise ujrzała w swoim widzeniu. Nie odezwał się jednak ani słowem. Pierwszy raz dał sobie prawo myśleć, że nie poszedł tam szukać zaginionej kopalni. Przecież ostatecznie błędził po omacku. Nie miał pojęcia, gdzie jest ta kopalnia. Nikt tego nie wiedział. To była tylko legenda, podanie ludowe; nigdy nie natrafił na jej ślad podczas badań. Ot, historia opowiedziana mu przez ojca.

Ojca Michaela fascynował pomysł, że ludzie uważali, iż mogą wysadzać w powietrze żyły w ziemi i brać sobie wszystko, co tam znajdują. Zostawiali po sobie wielkie blizny, głębokie doliny wrzynające się w ziemię. Mack wierzył, że jeśli człowiek uważnie patrzył, obserwował, mógł się sporo dowiedzieć o planecie i jej obecnych mieszkańcach. „Szukamy tego, czego chcemy, ani przez chwilę nie troszcząc się o wyrządzane przez nas szkody”, mówił mu ojciec. „Cierpliwa matka ziemia powoli leczy się z ran, które jej zadajemy. Ale pewnego dnia zmęczy się nami, jej niepoprawnymi dziećmi. Nastąpi kosmiczna przerwa. Ziemia upomni się o siebie”.

– Na pewno dobrze się czujesz, synu? – spytał znowu Muldune.

Michael zmusił się do podniesienia głowy i spojrzał na Raya.

– Niezbyt. To wszystko zaczyna dawać mi się we znaki.

Ray położył mu dłoń na ramieniu, potem powiódł wzrokiem po sąsiednim podwórzu.

– Twoja sąsiadka, Gloria, nie chce ze mną rozmawiać. Próbowałem już dwa razy.

– To suka – stwierdził Michael. Widząc zdziwienie na twarzy mężczyzny, zrozumiał, że powiedział to żarliwiej, niż zamierzał. – Zawsze taka była.

– Zauważyłem – zaśmiał się Ray. – Wredna starucha z sąsiedztwa.

– Jeszcze raz spróbuję z nią pogadać – obiecał Michael.

Ulicą przejechała powoli czerwona furgonetka. Wtoczywszy się na podjazd, zawróciła i szybciej pojechała z powrotem. Ktoś się zgubił i znalazł drogę. Gdy samochód ich mijał, Michael nie zauważył, kto siedział za kierownicą.

– Michaelu, posłuchaj – powiedział Ray. – Zabrnąłem w ślepy zaułek. Nie mam już z kim rozmawiać. Nic nam nie dało przeszukiwanie baz danych, zamieszczanie ogłoszeń, rozmowy z ludźmi, którzy pamiętają tamte czasy. Jeśli Eloise nie posunie się naprzód, nie wiem, co mi pozostanie.

Michael poczuł strach. Nie chciał prowadzić tego dochodzenia samotnie. Tylko Ray nie uważał go za wariata dlatego, że pragnął odnaleźć matkę.

– Rezygnujesz? – spytał Michael.

– Nie, ale szczerze mówię ci o tym, gdzie się znajduję.

– Wiesz, zastanawiałem się nad założeniem strony internetowej z jej zdjęciami z tamtych czasów, szczegółami dotyczącymi tej sprawy. Mógłbym ją podczepić do wyszukiwarek. Może nawet założę stronę na Facebooku.

– Czemu miałbyś to robić?

– Ponieważ dzisiaj wszyscy korzystają z internetu, może nawet ona, jeśli żyje. – Michael poczuł przypływ podniecenia. To był dobry pomysł. – Może pewnego dnia wstuka siebie do Internetu i dowie się o wszystkim, co zrobiliśmy, żeby ją znaleźć, zrozumie, że pragniemy, by wróciła, że nie jesteśmy na nią źli, tylko chcemy ją zrozumieć.

Ray nie umiał skrywać uczuć. Michael udał, że nie dostrzega litości w oczach tamtego.

– To dobry pomysł – powiedział mężczyzna. – Nigdy nie wiadomo, co może doprowadzić do przełomu w sprawie. Czasem zawdzięcza się to drobiazgom. Wystarczyłoby, żeby twoja matka lub ktoś, kogo zna, usiadł przy komputerze i wpisał jej imię i nazwisko.

– Właśnie – ucieszył się Michael. – O to mi chodziło.

– Poczekamy na Eloise dzień czy dwa i znowu cię odwiedzimy, zgoda?

– Dobrze. Przepraszam, ale będę mógł wam zapłacić dopiero po sprzedaniu domu.

– Wiem – odparł Ray. – Nie martw się. Poradzimy sobie.

Na przewodzie telefonicznym nad ulicą siedziały dwa gołębie karolińskie. Zbliżało się południe, a Michaelowi wydało się nagle, że dzień jest nietypowo ciepły jak na tę porę roku, choć zauważył, że Ray ma na sobie ciemną wełnianą marynarkę i czapkę z dzianiny. Liście na drzewach wokół nich przechodziły z koloru złocistego w brąz. Jego matka zawsze nienawidziła jesieni. „Wszystko umiera”, mówiła. „Ale na wiosnę rodzi się na nowo”, przypominał jej Michael. Marla potakiwała, chyba nie całkiem przekonana. „Naturalnie, kochanie”.

Nazajutrz Jolie nie przyszła do szkoły, ale nie było w tym nic niezwykłego. Czasami wydawało się, że częściej wagaruje, niż jest na lekcjach. Jolie jechała na ocenach C², chociaż zdaniem Willow było ją stać na więcej. Jolie miała to w nosie. Kiedy Willow dostawała C, matka świrowała. Nie zadowalało jej nic poniżej B. „Ciebie też nie powinno zadowalać nic poniżej B, młoda damo”. Takie podejście bawiło Willow, ponieważ matka była „buntowniczką”, artystką, zawsze namawiała córkę do zadawania pytań i nieulegania autorytetom. W sprawie ocen była jednak równie konserwatywna, jak Laura Bush. „Twoje wykształcenie jest przepustką. Spraw się dobrze w szkole, naucz się, ile tylko możesz, a świat stanie przed tobą otworem”. Czy to rzeczywiście była prawda? Czy wszyscy ci bezdomni w manhattańskich parkach i metrze po prostu nie skupiali się na nauce? Czy sukces życiowy opierał się wyłącznie na algebrze i biologii?

Willow mozolnie brnęła przez kolejne lekcje. Cole’a też nie widziała, choć wypatrywała go na korytarzach. Może Cole i Jolie zerwali się razem, myślała. Pewnie tak. Po tym, jak Bethany upokorzyła Willow, zawlokła do domu i zakazała wychodzić, Cole i Jolie pewnie się spiknęli. Willow nienawidziła własnego życia.

Pan Vance już nie był jej przyjacielem. Chociaż w klasie nadal zachowywał się wobec niej uprzejmie, pochwalił wypracowanie, wiedziała, że nauczyciel już nie oczekuje, że Willow zostanie po lekcji, by porozmawiać na temat omawianej lektury. A *Separate Peace* Johna Knowlesa. Przełomowa powieść o dorastaniu, o wielkiej przyjaźni nastolatków, która się psuje. O konieczności skonfrontowania się z samym sobą z powodu złych uczynków. Czy Gene celowo potrząsnął gałęzią? Oczywiście, że tak. Bez względu na to, czy sobie to uświadamiał, czy nie. Nikt z klasy oprócz Willow nie chciał w to uwierzyć.

– To był wypadek – stwierdziła ładna, przebojowa Jenna niemal desperackim tonem. – On nie mógł tego zrobić celowo. Nie postąpiłby tak. Przecież byli przyjaciółmi. Przyjaciele nie ranią się nawzajem. Przyjaciele nie kłamią.

Willow spostrzegła, że pan Vance patrzy na nią, czekając, aż przyjmie rolę adwokata diabła i powie, co myśli. Mimo to nie odezwała się ani

słowem. Doskonale wiedziała, dlaczego ludzie robią złe rzeczy, dlaczego kłamią. Świetnie знаła to mroczne miejsce w sercu, burzową chmurę gniewu. Kiedy człowiek znalazł się w środku burzy, był zdolny do wszystkiego.

Dopiero po lekcjach, kiedy już straciła nadzieję na zobaczenie Cole'a, pojawił się przy jej szafce.

– Cześć – powiedział. Miał ciemne kręgi pod oczami i wymiętą koszulę.

– Cześć – odpowiedziała, czując, jak jej serce zaczyna tańczyć. – Co słychać?

– Może chcesz, żebym cię odwiózł do domu? – Cole, oparty o sąsiednią szafkę, wpatrywał się w Willow piwnymi oczami.

„Och, tak! Bardzo, bardzo bym chciała, żebyś mnie odwiózł do domu!”

– Nie mogę. – Odwróciła wzrok. Obok nich płynęła rzeka dzieciaków, które wrzeszczały, śmiały się, dokazywały. W powietrzu wybuchła energia tłumiona przez cały dzień. – Mam szlaban. Mama by mnie zabiła.

Cole wbił wzrok we własne stopy.

– Rozumiem. – Willow podobało się, że nie naciskał, jak by to zrobiła Jolie.

– Jeśli chcesz, później możesz mnie odwiedzić. – Te słowa po prostu z niej wyskoczyły. Co za głupota. Niby co mieliby robić? Bawić się lalkami Barbie? – To znaczy pewnie nie chcesz.

Kiedy Willow znów zdobyła się na odwagę, żeby spojrzeć na Cole'a, uśmiechał się nieznacznie. Czyżby się z niej wyśmiewał?

– Czy to byłoby w porządku? – spytał. – Mam na myśli twoją mamę.

– Tak – odparła pospiesznie. – Powiedziała, że mogę zapraszać ludzi, ale nie mogę wychodzić. – Tak naprawdę to Bethany nic podobnego nie powiedziała. Obiecała tylko, że coś wymyślą, kiedy Cole zadzwoni.

– Przykro mi, że masz kłopoty – powiedział.

– To moja wina. Wiedziałam, że powinnam natychmiast wracać do domu.

– Moja mama też jest dość surowa – odrzekł Cole. Oplótł się rękami w pasie i zakołysał się w przód i w tył. – To może wpadnę o czwartej?

Willow zakreśliło się w głowie z podniecenia. Z zażenowaniem poczuła, że płoną jej policzki. Czyżby się rumieniła? Tylko nie to.

– Wiesz, gdzie mieszkam? – spytała i odwróciła się do szafki, by ukryć twarz.

– Jolie mi powiedziała.

– Aha. – Willow zamknęła szafkę. – Gdzie ona się dziś podziewa?

– Nie wiem.

Cole zniknął w tłumie uczniów sunących w stronę autobusów. Chwilę później Willow też wyszła ze szkoły. Płynęła, szybowwała, tańczyła. Jeśli mama nie pozwoli, żeby on przyszedł, Willow umrze, jak amen w pacierzu.

Grove'owie nie byli wiejskimi prostakami. Bill Grove prowadził firmę deweloperską, budującą ogromne domy dla ludzi, którzy przeprowadzali się do The Hollows. Człowiek nie domyśliłby się jednak tego, widząc jego dom, w którym mieszkali rodzice i dziadkowie Billa. Przez lata siedziba Grove'ów stawała się w środku coraz nowocześniejsza. Bill stawiał na swojej posiadłości kolejne budowle, biuro, dom dla rodziny syna. Ale gdy Jones jechał długim podjazdem, odnosił wrażenie, że widzi tę samą starą chałupę, jaką oglądał w dzieciństwie.

Hamując, ujrzał Billa wychodzącego z domu. Dzisiaj Grove rozplątywał się w uśmiechach, wyciągał ręce na powitanie. W wyprasowanej koszuli, bawełnianych spodniach w kolorze khaki, butach roboczych. Brzuszyko miał tak pokaźne, jakby trzymał pod koszulą piłkę lekarską. Bill Grove był wiodącym wygodne życie przedstawicielem zamożnej klasy średniej, ale Jones widywał też jego inne oblicza. Kiedyś wyciągał go z Old Mill Bar, gdzie Bill, czerwony na twarzy z wściekłości i alkoholu, wdał się w pijacką awanturę. Innym razem widział, jak Grove padł na ziemię, wyjąc z żalu, bo myślał, że jego najmłodszy syn zginął w szybie górniczym w lesie. Jones ścierpiął niedźwiedziowały uścisk zapłakanego Billa, kiedy ten dziękował mu za wyciągnięcie syna spod ziemi. Chłopiec złamał nogę, ale poza tym nic mu się nie stało.

– Jak leci, Cooper? Dobrze cię widzieć.

– W porządku – odparł Jones. – Jak się miewa chłopak?

– W miarę możliwości trzymam go z dala od kłopotów. – Serdeczny śmiech.

– Miło słyszeć.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce, wymienili uprzejmości, wy pytali o zwykłe rzeczy – rodzinę, plany na wakacje. Jak Ricky radzi sobie w Georgetown? Wciąż nosi ten zwariowany kolczyk w nosie? Co się stało z dzisiejszą młodzieżą? Czasem zachowywała się jak przybysze z obcej planety, prawda?

W końcu przeszli do rzeczy.

– Co cię tu sprowadza, Jones?

Jones rozejrzał się po obejściu. Dawno temu walały się tu stare gruchoty, rdzewiały huštawki: istne złomowisko. Teraz stały trzy białe samochody

dostawcze marki Dodge ze zgrabnym napisem na drzwiczkach: „Grove and Son General Contracting”. W słońcu lśnił nowy czarny mercedes Billa. Jones wiedział, że ta bryka kosztowała około stu tysięcy dolarów. Do poczynionych spostrzeżeń nie przywiązywał szczególnej wartości, nie oceniał. Po prostu zwracał uwagę na takie szczegóły. Każdy drobiazg mówił ci coś o człowieku.

– Pamiętasz Marłę Holt? – spytał Jones.

– Chyba tak. – Bill zmrużył oczy. – Młoda kobieta, która uciekła od rodziny jakieś sto lat temu? Mack Holt niedawno zmarł, tak?

Słońce stało wysoko na niebie. Przesłaniając dłonią oczy, Jones opowiedział Billowi o tym, że zastał Michaela Holta na kopaniu w ziemi obok Kaplicy, powtórzył zasłyszaną od Holta lokalną legendę.

Kiedy skończył, Bill mocno zmarszczył czoło.

– Chcę, żebyś zezwolił policji z Hollows na kopanie tam, gdzie on kopał – powiedział Jones. – Chcemy wiedzieć, co tam się kryje.

Bill potarł czoło, a gdy oderwał dłoń, zmarszczki wciąż tam były.

– Wiesz, że nie przepadam za tym facetem z Nowego Jorku – rzekł Bill.

W przeszłości Chuck nazwał ziemię Grove’ów „ogrodzonym ugorem”. Ktoś to powtórzył Billowi, a jemu się to nie spodobało.

– Chuck jest w porządku, Bill. To dobry gliniarz.

– W moim słowniku nie ma czegoś takiego. – Bill odchrząknął. – Oczywiście z wyjątkiem tu obecnego.

– Oczywiście. – Jones się uśmiechnął. – Zresztą już nie jestem gliniarzem.

Bill wypuścił powietrze.

– Tak się składa, że nie mogę im przeszkodzić w zdobyciu nakazu. Jeśli go zdobędą, i tak będą mogli kopać. Chciałem tylko okazać ci szacunek i poprosić cię o zgodę. To by dla mnie dużo znaczyło, zwłaszcza że to moja pierwsza praca w roli konsultanta. Jeśli się zgodzisz, dobrze wypadnę.

Jones był pewien, że tamten odmówi i powie, żeby policja wystąpiła o nakaz. Jednak ludzie są pełni niespodzianek.

– Jak mogę ci odmówić? – powiedział w końcu Bill. – Po tym, co zrobiłeś dla mojego chłopca? Ale każ im uważać, każ im szanować ziemię.

Wyjeżdżając z podjazdu, Jones zadzwonił do Chucka i poprosił, by ten wziął tylko kilku ludzi. Poprosił też, by Ferrigno kazał im odnosić się do właścicieli ziemi z szacunkiem i wdzięcznością. Chuck wyraził zgodę, ale rada Jonesa chyba nie przypadła mu do gustu. Ferrigno nie do końca pojmował subtelności, jak to ludzie z miasta. Zanim Jones ruszył w drogę,

zadzwoił do gabinetu doktora Dahla i umówił się na jutrzejsze popołudnie. Gdy zjeżdżał na szosę, zaczął padać deszcz. Właściwie tylko mżawka, kilka kropli załśniło na przedniej szybie. Nawet nie zawracał sobie głowy wycieraczkami. Zza niskich, szarych chmur wciąż wycierał błękit. Słońce się jednak schowało. Jones pomyślał, że nie powinni zwlekać z kopaniem.

CZĘŚĆ II

Wiara

*Przed przyjściem na świat; tak, ale jakże to było wtedy? Tak samo jak teraz;
kiedy zaś pomrą, wszystko nadal pozostanie jak teraz: te drzewa, to niebo, ta
ziemia, żółędzie, słońce i wiatr – wszystko pozostanie takie samo, bo tylko oni,
których serca obrócą się w proch, podlegają zmianom.*

Truman Capote,
*Inne głosy, inne ściany*³

*Ludziom, którzy wierzą, nie trzeba niczego wyjaśniać.
Ludzie, którzy nie wierzą, nie zadowolą się żadnym wyjaśnieniem.*

Joseph Dunninger⁴

Eloise nie pamiętała, by Marla Holt paliła. Mimo to miała ją teraz przed sobą, w dżinsach do pół łydki i świeżutkim białym topie, palącą papierosa. Marla siedziała przy kominku, na krześle od lat nieużywanym przez Eloise. Nogi przełożyła przez poręcz, jakby tu mieszkała.

– Masz coś przeciwko temu? – spytała Marla, unosząc papierosa w dwóch smukłych palcach.

– Ani trochę – odparła Eloise. Walczenie z wizjami mijało się z celem. Lepiej iść za ciosem. Przed chwilą odkurzała. Teraz rozmawiała z Marlą Holt. Tak to już czasem bywało.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytała Eloise, siadając na kanapie.

– Zawsze byłaś dla mnie bardzo dobra – powiedziała Marla i uśmiechnęła się ciepło, tak jak Eloise pamiętała. Szczere, otwarte uśmiechy tego rodzaju należały do rzadkości. – Dobra dla moich dzieci. Dziękuję ci za to.

– Robiłam to z przyjemnością – zapewniła Eloise. – To cudowne dzieci. Słyszałam, że Cara ma dwie córki, bliźniaczki.

– Tak. – Marla wędrowała myślami gdzieś daleko.

Właśnie dzięki temu Eloise zrozumiała na początku, że podobne spotkania nie mają, dokładnie rzecz biorąc, nadprzyrodzonego charakteru. Przekonana była, że nie rozmawia z duchem, w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Umysł Eloise tłumaczył energię, aby mogła ją odczytać jej świadomość, tak więc Marla była raczej hologramem, faksymile. Eloise była pewna, że gdyby rozmawiała z prawdziwym duchem Marli, ta okazałaby większe ożywienie na wzmiankę o wnuczkach. Zjawy przypominały raczej transmisję, wiadomość; dzisiaj przybrała ona postać Marli Holt. Eloise nie miała pojęcia, kto lub co nadało wiadomość.

– Co się z tobą stało, kochanie? – spytała Eloise. – Dokąd pojechałaś?

Czasami rozmowa przebiegała łatwo. Czasem zjawy po prostu mówiły. Oczywiście nie zawsze prawdę. Niekiedy wyrażały się zagadkowo. To wszystko było bardzo pogmatwane.

Zjawa zaciągnęła się papierosem, założyła nogę na nogę. Długie lśniące włosy opadały bujnymi splotami do ramion. Marla Holt zachowała obfite kształty; wciąż miała krągłe piersi i biodra.

– Widzisz, w młodości człowiek myśli tylko o wyjściu za męża. Biała suknia, kwiaty, miesiąc miodowy. Nie zastanawia się nad tym, jak jest

w małżeństwie, co to właściwie znaczy. – Zjawa spojrzała na sufit. – Żałujesz czegoś, Eloise?

W pytaniu rozbrzmiały echa niedawnej rozmowy Eloise z Rayem. To był kolejny powód, dla którego nie sądziła, że Marla w jej salonie jest duchem. Wizje zawsze miały subtelny związek z tym, co działo się w życiu samej Eloise.

– Bywają dni, kiedy tylko żałuję – powiedziała.

– Zatem wiesz, co mam na myśli. – Marla cisnęła papierosa do kominka. Smuzka dymu poszybowała do sufitu. Oczywiście nie zapachniało tytoniem.

– Nie byłam szczęśliwa – stwierdziła Marla. – Dlatego popełniałam błędy.

– Miałaś romans?

– Nie nazwałabym ich romansami. Raczej flirty? – Mocno zacisnęła krwistoczerwone wargi. – On wiedział, że flirtuję. Początkowo to mu się we mnie podobało. Sam był taki cichy, pełen rezerwy. Przy mnie mógł taki być. Moja osobowość rekompensowała to z nawiązką. Poza tym dzięki niemu mogłam twardo stąpać po ziemi.

– Rozumiem. – Eloise już dawno się przekonała, że lepiej się zgadzać ze zjawami, zachęcać je.

– Czyż to nie zabawne, że cechy, które na początku uwielbiamy w ukochanych osobach, są tymi, których później nienawidzimy? Ja byłam ekstrawagancka, on był statecznym profesjonalistą. Chciałam wydawać pieniądze, on wolał oszczędzać. Tak bardzo się różniliśmy. Na początku to nie przeszkadzało. Potem nagle zaczęło mocno uwierać.

– Co się stało? Przyłapał cię z innym mężczyzną? – spytała łagodnie Eloise. Bez ponaglenia te rozmowy mogły się ciągnąć w nieskończoność. Im dłużej trwały, tym bardziej czuła się potem wyczerpana.

– To byłoby proste, prawda? – spytała Marla i zaśmiała się niewesoło. – Mąż przyłapuje mnie na gorącym uczynku i zabija w ataku zazdrości. Albo: nieszczęśliwa żona ucieka od męża i dwojga dzieci, znika na zawsze.

– W takim razie co się stało?

Marla wstała z krzesła i ruszyła do drzwi. Potem odwróciła się i spojrzała na Eloise błagalnie.

– Może zdołałabym cię przekonać, żebyś ten jeden raz odpuściła – powiedziała zjawa.

Właśnie takie zwroty najbardziej niepokoiły Eloise, zarazem znajome i chybione. Odpuścić? Gdyby tylko mogła, pozwoliłaby im wszystkim odejść. To nie ona nie potrafiła pozwolić odejść zmarłym.

– To Michael nie umie pozwolić ci odejść – powiedziała Eloise.

– Przecież to już nie ma znaczenia – odezwała się zjawa takim tonem, jakby Eloise prowadziła z nią spór. – Mack umarł, on zresztą cierpiał najbardziej. Jeśli prawda wyjdzie na jaw teraz, zrodzi tylko więcej bólu.

– Co mogę zrobić? – Eloise uniosła dłonie.

Ale Marla nie słuchała. Zjawy nigdy nie słuchały.

– Wiesz, na czym polegał mój największy błąd? – spytała. Teraz po jej twarzy płynęły łzy. – Pozwoliłam mu, żeby za bardzo mnie kochał. Podsycałam tę miłość. Kochałam to, jak bardzo mnie kochał.

– Mack naprawdę cię kochał – powiedziała Eloise, choć nie miała pewności, co Marla chce powiedzieć. – W waszym domu zawsze widziałam miłość.

– Nie, Eloise. – Marla potrząsnęła głową. – Nie chodzi mi o Macka, ale o Michaela.

Po chwili Eloise leżała na podłodze. Obok stał włączony odkurzacz. Wyłączyła go i znów położyła się, otulona ciszą. Głowa ją bolała, pewnie po upadku, chociaż go nie pamiętała. Kiedyś poznała pewną kobietę, również obdarzoną zdolnościami parapsychicznymi, która u siebie w domu, gdzie najczęściej miewała wizje, zakładała na głowę kask. Tyle ciosów w głowę – to nie może być dobre. *Zmarli nie mają dla nas, żywych, ani krzty szacunku, więc musimy się chronić.*

Przed wypadkiem Eloise była osobą mało wierzącą i jeszcze mniej religijną. Nie wierzyła w katolickiego Boga, choć w tej wierze została wychowana. Niebo i piekło, boski system kar i nagród – wszystko to wydawało się jej zbyt uproszczone. Świat i życie były takie skomplikowane. Czy możliwe, by życie po śmierci wyglądało prościej? Odkąd pamiętała, była twardą agnostyczką. Jej wizje i spotkania, zdolności nabyte po wypadku w żadnej mierze nie zmieniły jej zapatrywań.

W branży działało mnóstwo ludzi, którzy twierdzili, że rozmawiają ze zmarłymi i znają geografie świata po tamtej stronie. Zdarzały się bardzo przekonujące osoby – miliony ludzi kupowały ich książki, chodziły na wykłady. Bywali tacy, którzy na wiele lat z wyprzedzeniem mieli umówione spotkania z ludźmi pogrążonymi w żałobie, mającymi niezłatwione sprawy ze zmarłymi. Eloise nie mogła stwierdzić z całkowitą pewnością, że takie osoby, obdarzone podobnymi mocami jak ona, nie robiły tego, co twierdziły, że robią. Może faktycznie dusze czepiały się świata żywych, chciały się pożegnać, przeprosić, szukać sprawiedliwości – słowem tego, co nie zawsze otrzymujemy za życia. Żywi z pewnością się czepiają, nie mogąc się pogodzić z perspektywą, że po śmierci nie ma nic. Że czasem nie ma

wybaczenia, rozwiązania, sprawiedliwości. Po prostu następuje koniec, zapada mrok.

Eloise wierzyła w energię. Energii nie można zniszczyć; ona może tylko zmienić postać. Tak więc życie jako najwyższa forma energii po śmierci ciała musi znaleźć inny kształt, inny wymiar. Wierzyła w sieć łączącą wszystkich we wszechświecie, żywych i umarłych. Podczas wypadku lub w śpiączce, a może w chwilach gdy była bliska śmierci, przydarzyło jej się coś, co zmieniło ją w sensie biochemicznym, i w rezultacie stała się odbiornikiem energii. Nadal nie wierzyła w Boga ani w życie po śmierci. Ludziom wydawało się to dziwne. Kiedy zwracali się do niej po pociechę, nie otrzymywali tego, czego się spodziewali. Stwierdzali, że Eloise jest zimna, odchodzili zawiedzeni. Może dlatego nie zapraszano jej zbyt często do programów telewizyjnych.

– Eloise. Dlaczego leżysz na podłodze?

Ray stał nad nią. Już zdążył przywyknąć do tego, że znajdował ją w dziwnych miejscach: pod prysznicem w ubraniu, w szafie w piwnicy, często na kuchennej podłodze. *Jesteś jak telefon komórkowy. Czasem musisz się przemieszczać, żeby odebrać najmocniejszy sygnał*, powiedział kiedyś. To miało sens.

– Widziałam Marłę Holt.

Ray podał jej rękę i pomógł wstać. Przez chwilę chwiała się, więc doprowadził ją do kanapy.

– Spytała, czy mogłabym odpuścić.

– Może powinniśmy – powiedział Ray, co nie było do niego podobne. Od ostatniej rozmowy diametralnie zmienił zdanie. Ray nie zwykł odpuszczać.

– Zabrnąłem w ślepy zaułek – mówił. – Najwięcej obiecywałem sobie po rozmowie z sąsiadką Holtów, Glorią Miller, ale ona nie chce ze mną gadać.

Eloise przypomniała sobie, co Marla mówiła jej o flirtach. Kiedy opowiedziała o tym Rayowi, spytał:

– Co to niby znaczy? Miała romans czy nie? – Najwyraźniej słowa zjawy go rozdrażniły, co z kolei rozdrażniło Eloise.

– Skąd mam wiedzieć? – spytała.

Ray zrobił długi wydech, oparł się na kanapie i odchylił głowę do tyłu.

– Mam jeszcze jeden pomysł – powiedział.

Oliver wparadował do pokoju, niezdarnie wskoczył na stolik do kawy, o mały włos nie spadł z drugiej strony, ale w ostatniej chwili złapał równowagę. Leżące na stoliku czasopisma – „Time”, „Newsweek”, program telewizyjny – miękko zsunęły się na ziemię. Eloise ich nie podniosła. Oliver

szybko odzyskał równowagę ducha i groźnie spojrzął na Raya.

– Ten kocur jest tusty – stwierdził. Ray był potężnie zbudowanym, barczystym mężczyzną. Nikt nie mógł mu zarzucić, że jest smukły. Eloise ukryła uśmiech.

– Piękno ma wiele rozmiarów – stwierdziła. Oliver zaczął mrużyć, zgrabnie oblizując łapkę. Zegar na kominku wybił równy kwadrans.

– Przejdźmy się do Kaplicy – zaproponował Ray, potem odwrócił się i wyjrzał przez okno.

– Pada – stwierdziła, idąc za jego wzrokiem.

– Weź pelerynę. Kiedy ostatnio wychodziłaś na dwór?

Faktycznie, od jej wizyty u Jonesa Coopera minęło już parę dni. Czasami zdarzały jej się okresy niewychodzenia z domu. Po kilku dniach nie chciało jej się wychodzić, potem niemal bała się wyjść, nie miała pojęcia, w co się ubrać, żeby inni to zaakceptowali. Niekiedy ogarniał ją strach, że zapomniała, jak się rozmawia z ludźmi, prawdziwymi ludźmi, nie zjawami czy hologramami.

– Ostatnia próba – przekonywał Ray. – Jeśli w Kaplicy niczego nie znajdziesz, jesteś wolna. Powiem Michaelowi Holtowi, że będzie musiał naciskać policję. Nie mam akt sprawy, więc nie wiem, jakie wtedy mieli tropy. Twoje wizje są w najlepszym razie niejasne. Jak sama mówiłaś, przejdziemy do kolejnych spraw. W kolejce czekają ludzie, którym może zdołamy pomóc.

Deszcz padał już od wczesnego popołudnia. Teraz się nasilił. W wiadomościach mówili, że nie przestanie padać przez trzy dni. Eloise wstała z kanapy i podeszła do szafy w holu, Ray i Oliver ruszyli za nią. Założyła okropną żółtą pelerynę i kalosze do kompletu.

– Świetnie – pochwalił Ray.

Jedyną motywacją Eloise była nadzieja, że na tym cała sprawa się zakończy. Marla Holt poprosiła ją, aby odpuściła, i to właśnie zamierzała zrobić. Eloise nie chciała mówić Rayowi, co Marla powiedziała o Michaelu. Sama nie wiedziała dlaczego. Jeśli jednak nauczyła się czegoś na stare lata, to tego, by ufać instynktowi.

Jones wszedł do domu i zamknął drzwi, czując, jak ogarnia go przygnębienie. Idąc za jego radą, policja z Hollows pewnie wróci do sprawy Marli Holt, ale jaka będzie jego rola? Nie wiedział. Chuck nie powiedział: Dobra, zadzwonię do ciebie i dam znać, co odkryliśmy. Powiedział natomiast: Dzięki za pomoc, Cooper. Wstąp do nas, to wypiszemy ci czek. Jones wiedział, że nie chodziło o nic osobistego. Zwykłe cięcia budżetowe. Policja mogła sobie pozwolić na opłacenie kilku godzin konsultacji i to wszystko. Mimo to korciło go, żeby uczestniczyć przy kopaniu w lesie; właściwie liczył na to, że go zaproszą.

Płaszcz odwiesił do szafy. Z kuchni dobiegały odgłosy Maggie krzającej się przy lunchu. Ten zwyczaj towarzyszył im od wielu lat, jeszcze z czasów, gdy był na służbie. Kiedy mogli, spotykali się w kuchni i jedli lunch. Chyba że jedno z nich musiało zostać w pracy. Albo Maggie wkurzyła się na niego. Dzisiaj nie spodziewał się, że będzie na niego czekała, ale oto była.

Wszedł do kuchni. Nie podniosła wzroku znad zupy, którą mieszała na kuchence, więc podszedł do listów na blacie i zaczął je sortować. Rachunki, katalogi, ulotki reklamowe. Czy w dzisiejszych czasach przychodziło pocztą cokolwiek wartościowego? Najwyraźniej wszystkie ważne sprawy załatwiano się przez telefon lub pocztą elektroniczną. Nikt już nie chciał czekać całymi dniami na doręczenie listu. Wszystko musiało być gotowe na wczoraj.

Jones podszedł do żony, objął ją, pocałował w policzek.

– Ciągłe się na mnie gniewasz? – spytał i poczuł, jak jej ciało się rozluźnia. W drzwiczkach kuchenki mikrofalowej widział jej odbicie; powoli unosiła kąciki ust w uśmiechu.

– Tak – odparła.

– Przepraszam, że cię okłamałem. Walczę z tym, Mags.

Mocniej ją przytulił.

– Wiem, że walczysz – powiedziała, nie przestając mieszać zupy. – Postaram się uzbroić się w cierpliwość.

Jones owionął oddechem jej szyję, co zawsze uwielbiała.

– Przełożyłem wizytę u psychoanalityka – powiedział.

Maggie odłożyła łyżkę, odwróciła się i objęła go za szyję.

– Tak się cieszę. – Zabrzmiało to tak, jakby miała się rozplakać. –

Dziękuję.

Kiedy cofnęła się, żeby mu się przyjrzeć, uśmiechała się. To był ten ciepły uśmiech, pełen dumy, który zawsze motywował go do bycia lepszym człowiekiem. Złoty medal, wyraz najwyższego uznania. W młodości, w okresie zakochania, Jones widział ten uśmiech, ilekroć na niego spojrzała. Maggie dostrzegała w nim wtedy coś, czego on sam nie widział. Codziennie starał się być tym człowiekiem. W późniejszych latach nie zawsze mu się udawało. Czasami zawodził na całej linii.

Jones poprawił i wymieszał sałatę, Maggie skończyła szykować kanapki, naląła zupę do czerwonych kamionkowych misek. W końcu zasiedli do stołu w kuchni, deszcz bębnił o szybę. Podczas lunchu opowiedział jej o wydarzeniach dnia, także o swoich odczuciach.

– Więc pojedź tam – powiedziała, gdy skończył.

– Nie zaprosili mnie.

– I co z tego? Przecież właśnie tobie ufa Bill Grove. To ciebie poprosił, żebyś dopilnował, by uszanowali ziemię. Czyli za to odpowiadasz. Jeśli zamierzasz pracować w ten sposób w Hollows, musisz być wiarygodny.

– Słusznie, masz rację – przyznał. Kochał swoją żonę.

Maggie przytaknęła z zadowoleniem, potem wstała i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Myślisz, że sam mógłbyś szukać sobie klientów? – spytała od zlewu.

– Co? Niby jako prywatny detektyw?

Jones podszedł od tyłu do Maggie ze szklankami, wstawił je do zlewu.

– Tak, coś w tym rodzaju.

– To mała miejscina – zachichotał. – Nie jestem pewien, czy znalazłoby się duże zapotrzebowanie na moje usługi.

– Zdziwiłbyś się.

Wtedy przyszła mu na myśl Paula Carr, przypomniał sobie, że w komórce zauważył, że do niego dzwoniła. Po sprawdzeniu wiadomości stwierdził, że nie nagrała się na pocztę głosową. Jego dawny kumpel z Credit Bureau⁵ jeszcze do niego nie oddzwonił. To był z pewnością najszybszy sposób, żeby kogoś znaleźć. Jeśli miałeś odpowiednie znajomości, mogłeś ustalić i namierzyć ostatnią transakcję poszukiwanej osoby. W społeczeństwie, w którym ludzie posługiwali się kartami niemal do wszystkiego, ukrycie się graniczyło z niemożliwością, chyba że znikaleś z radaru – gubiłeś komórkę, zaczynałeś płacić gotówką.

– Tak czy owak mógłbyś pracować dorywczo – powiedziała Maggie.

– Zastanowię się. – Starał się, by zabrzmiało to nonszalancko, ale pomysł

mu się spodobał; widział też, że Maggie to zauważyła. Szybko pocałowała go w policzek, lekko przytuliła.

– Mam pacjenta.

Po tych słowach zniknęła za drzwiami, prowadzącymi do jej drugiego życia. Doktor Cooper. On też miał kiedyś inne życie. Detektyw Cooper, miejscowy gliniarz, dawny sportowiec, chłopak stąd. Tak długo odgrywał te role, że nie umiał być po prostu Jonesem Cooperem, mężem, ojcem, emerytem (nie z własnej woli). Pomyślał o wcześniejszych słowach Maggie. „To, kim byłeś dawniej, kim byliśmy, odeszło w przeszłość. Musimy znaleźć wspólną drogę jako ludzie, którymi jesteśmy teraz”. Jones zaczynał rozumieć, co miała na myśli.

Na kuchennym blacie leżała lista osób, które telefonowały: hydraulikowi nie zapłacono; Andersonowie wyjeżdżali z miasta, czy mógłby nakarmić ich koty? I jeszcze jedna wiadomość, na której widok znieruchomiał. Dzwonił Kevin Carr, mąż Pauli. Czy Jones mógłby do niego oddzwonić?

Jones wyjął komórkę, przeszukał kontakty, znalazł numer Pauli i zatelefonował. Postanowił, że najpierw porozmawia z nią, dopiero potem z jej mężem.

– Halo? – odezwał się męski głos, prawdopodobnie Kevina Carra. Jones rozważał przerwanie połączenia. Ponieważ jednak tamten widział, kto dzwoni, nie miało to większego sensu. Jones milczał.

– Czy to Jones Cooper? – dopytywał się nerwowy głos.

– Tak, to ja – odparł niechętnie Jones. – Kto mówi?

– Tu Kevin Carr. Widziałem pańskie nazwisko i numer na billingu telefonu komórkowego mojej żony. Czy ona z panem rozmawiała?

Co miał teraz zrobić? Skłamać?

– Zgadza się – powiedział obojętnym głosem gliniarza, nie przekraczając granicy grubiaństwa. – Czym mogę panu służyć, panie Carr?

– Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiał pan z moją żoną.

Jonesowi nie spodobał się napastliwy, gniewny ton. Przypomniał sobie słowa Pauli: „Kevin dba o to, o co dba, to wszystko”.

– Myślę, że na ten temat powinien pan porozmawiać z żoną, panie Carr – odrzekł spokojnie Jones.

Po długim milczeniu Carr powiedział:

– Moja żona odeszła.

– Odeszła? – Jones poczuł, jak skacze mu ciśnienie.

– Odeszła wczoraj. – Carr z trudem hamował wściekłość. – Rzuciła się na mnie, potem zabrała dwójkę małych dzieci i odeszła. Porwała moje dzieci.

Jones nie wyobrażał sobie, by Paula Carr rzuciła się na kogokolwiek. Jeśli to zrobiła, najpewniej nie miała innego wyjścia. Owszem, mógł sobie wyobrazić, że się broni, broni dzieci. Zawsze odnosił się podejrzliwie wobec mężczyzn oskarżających żony o porwanie dzieci. Kiedy kobiety w rodzaju Pauli Carr opuszczały dom, zabierając dzieci, najczęściej miały cholernie dobry powód. W przeważającej części przypadków tym powodem był mąż.

– Dlaczego odeszła, panie Carr? – spytał Jones. – Czemu się na pana rzuciła?

– Słuchaj pan. – Wysoki głos Carra stał się opryskliwy. – Dzwoniłem do pana, bo chciałem wiedzieć, kim pan jest i dlaczego rozmawiał pan z moją żoną.

Jones zauważył, że Carr ani razu nie użył imienia Pauli; mówił o niej „moja żona”, co rzucało pewne światło na to, jak ją postrzegał.

– Chwilowo nie chcę o tym z panem rozmawiać – powiedział Jones. – Czy powiadomił pan policję i zgłosił napaść lub to, że nie ma pańskich dzieci? Jeśli tak, policja skontaktuje się ze mną, a wtedy odpowiem na wszystkie pytania.

Jones usłyszał, jak Carr bierze głęboki wdech. Kiedy znów się odezwał, płakał. Jones nie cierpiał, kiedy mężczyźni płakali, czuł się wtedy skrajnie nieswojo.

– Proszę posłuchać, panie Cooper. – Tym razem głos Carra brzmiał błagalnie i łagodnie. – Moja żona nie jest w dobrym stanie. Nie wiem, co panu powiedziała, ale jest rozchwiana, w przeszłości cierpiała na depresję. – Carr przerwał, szlochając, wciągnął powietrze. – Boję się o to, co może zrobić sobie i dzieciom.

Po raz pierwszy Jonesa ogarnęła obawa o Paulę Carr i dzieci. Czy Carr zrobił im krzywdę? Czy teraz dzwonił do niego, żeby mieć alibi, kiedy wyjdzie na jaw coś brudnego?

– Nie mogę panu pomóc, panie Carr. Mogę za to skontaktować się z policją w pana imieniu.

– Nie – powiedział szybko Kevin. – Nie chcę pakować jej w kłopoty. Przecież zabieranie dzieci bez zgody współmałżonka jest sprzeczne z prawem, zgadza się?

A jeśli Carr usiłował zrobić z Pauli niezrównoważoną psychicznie kobietę, która porwała dzieci i mogła im zrobić krzywdę, choć tak naprawdę uciekała od małżeństwa pełnego przemocy?

– To zależy od okoliczności – powiedział Jones.

W słuchawce znowu zapadło milczenie. Jones słyszał, że tamten dyszy.

– Pan jest prywatnym detektywem, tak? – spytał w końcu Carr. Dlaczego wszyscy brali go za prywatnego detektywa? Jones postanowił nie odpowiadać.

– Nieważne, dlaczego ona z panem rozmawiała – ciągnął Kevin Carr. – Po prostu... czy może mi pan pomóc odnaleźć żonę? Chcę tylko, żeby wróciła do domu, abyśmy mogli naprawić to, co trzeba.

Jones milczał, jakby rozważał prośbę tamtego. Nie miał zamiaru pomagać Carrowi, ale z drugiej strony obiecał pomóc Pauli. Jones Cooper dotrzymywał słowa.

– Zgoda, panie Carr. Pomogę panu ją znaleźć. Potrzebuję od pana garści informacji, takich jak nazwa jej rodzinnego miasta, panięskie nazwisko.

Carr zaczął rozplęwać się z wdzięczności. Po chwili wyrzucał informacje z szybkością karabinu maszynowego.

– Po południu skontaktuję się z panem, panie Carr – obiecał Jones, gdy uzyskał wszystko, czego potrzebował. – Do tego czasu proszę coś dla mnie zrobić: niech pan siedzi spokojnie i czeka na mój telefon.

– Nie powiadomi pan policji?

– Na tym etapie nie widzę powodu, by to robić. – Maggie nazywała Jonesa mistrzem wymijających odpowiedzi. Tego uczyła praca w policji.

Po rozłączeniu się zadzwonił do Janey Smith, recepcjonistki w szkole podstawowej w The Hollows. Jones i Janey chodzili razem do przedszkola przy szkole, w której dziś pracowała. Po wymianie uprzejmości spytał, kto wczoraj odebrał Camerona Carra ze szkoły. Nie była to typowa prośba, przypuszczalnie recepcjonistka nie miała prawa udzielać takich informacji. Jones przekonał się jednak, że tylu ludzi przyzwyczało się do niego w roli gliniarza, że udzielali odpowiedzi niejako z obowiązku.

– Zazwyczaj odbiera go mama, ale mogę spytać nauczycielkę Camerona – powiedziała Janey. – Taty prawie nie widzimy. Chyba pracuje w mieście.

– Jones usłyszał, jak recepcjonistka stuka w klawiaturę, potem zapadła cisza.

– Wiesz co? – odezwała się po chwili. – Nie muszę już pytać. Odebrała go Paula. Wstąpiła do sekretariatu i powiedziała, że Camerona nie będzie w szkole przez kilka dni. Wyjeżdżali.

– Jakie sprawiała wrażenie?

– No wiesz, zapracowana, w biegu, jak dzisiaj wszyscy.

– Mówiła, dokąd się wybiera?

– Nie. – Recepcjonistka przeciągnęła tę sylabę, jakby się zastanawiała. – Nie, nie mówiła.

– Dzięki, Janey.

– Wszystko w porządku? – Recepcjonistka ściszyła głos do szeptu. Jones zawsze lubił Janey. Była jedną z nielicznych osób w Hollows, na których dyskrecję mógł liczyć.

– Mam nadzieję – odparł Jones. – Nie mów o tym nikomu, dobrze?

– Naturalnie – zapewniła recepcjonistka. – Przecież mnie znasz.

Po rozmowie z Janey Jones czuł, że wszystkie nerwy ma rozedrgane. Gdyby wciąż pracował w policji, wiedziałby, co robić. Należało postępować zgodnie z procedurą: złożyć raport o zaginięciu, uzyskać dostęp do billingów telefonicznych i wyciągów bankowych, wprowadzić do systemu numer rejestracyjny samochodu zaginionej osoby w nadziei, że została zatrzymana lub ktoś znalazł jej porzucony wóz. Jednak Jones był teraz cywilem i nie mógł zrobić żadnej z powyższych rzeczy. Owszem, mógłby zgłosić zaginięcie Pauli Carr, ale nie chciał tego robić. Jeżeli uciekła, bo miała poważny powód, tylko pomógłby jej mężowi ją namierzyć.

Jones zadzwonił do znajomego z Credit Bureau, którego wcześniej poprosił o sprawdzenie byłej żony Carra i zostawił wiadomość na poczcie głosowej. Jack Kellerman. Od niepamiętnych czasów razem pili, spotykali się co parę miesięcy w mieście lub tu, w The Hollows, gdy Jack przyjeżdżał odwiedzić rodziców. Kellerman był zawsze spłukany, więc Jones płacił. Jack odwzajemniał się tym, że prośbami Jonesa zajmował się zawsze w pierwszej kolejności albo zachowywał dyskrecję, kiedy próbowali obejść oficjalne wezwanie do sądu.

Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej Jack powiedział:

– Myślałem, że wycofałeś się z tego interesu.

– Człowiek pewnie nigdy do końca się z tego nie wycofuje – odparł Jones.

– Faktycznie, ta praca czepia się jak rzep – przyznał Jack. – Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć.

W latach służby Jonesa Jack należał do jego najcenniejszych kontaktów. Miło było słyszeć, że znajomość przetrwała. Gdyby Jones faktycznie zdecydował się na rozpoczęcie prywatnej działalności (a jeszcze tego nie zrobił), taki kontakt okazałby się nieoceniony. Posiadając dostęp do wyciągów z kart kredytowych danej osoby, można ją bez trudu namierzyć... Hotele, stacje benzynowe, automaty telefoniczne, bankomaty. Wszyscy płacili plastikiem. Kiedy ktoś przestawał, to znaczyło, że umarł albo próbował zniknąć.

Następnie zadzwonił do Chucka pod pretekstem, że chce mu opowiedzieć o Pauli Carr i osobliwym telefonie jej męża.

– Myślisz, że powinniśmy się martwić o jej bezpieczeństwo? – spytał Chuck, kiedy Jones skończył. Cooper słyszał, jak tamten stuka w klawiaturę.

– Możliwe – powiedział Jones.

– Chcesz zgłosić jej zaginięcie?

– Do tego bym się nie posunął.

– Dlaczego?

Jones opowiedział Chuckowi o rozmowie ze szkolną recepcjonistką.

– Więc czego ode mnie oczekujesz? – spytał rozdrażniony Chuck. Przepracowany. Ze zbyt niską pensją. Dręczony przez szefów i cywilów, pewnie także przez żonę.

– Chciałem chyba poznać twoje zdanie – powiedział Jones, co nieco mijało się z prawdą. W słuchawce zapadła cisza; Chuck przestał pisać.

– Na twoim miejscu zadzwoniłbym do jej rodziców. Wybadałbym, czy się martwią.

– Tak właśnie myślałem – powiedział Jones. Wyczuł, że Chuckowi pochlebiło pytanie o jego opinię. Sprawa zaczynała go wciągać. Żaden gliniarz nie mógł się oprzeć intrygującej zagadce lub myśli, że ktoś chciał poznać jego zdanie w sprawie.

– Gdyby nie odebrała dzieciaka ze szkoły, namawiałbym cię do złożenia raportu o zaginięciu i zajęciu się tą sprawą, jeśli mielibyśmy do czynienia z czymś śmierzącym. Jeżeli Paula Carr naprawdę rzuciła się na męża i zabrała dzieci, to czemu nie powiadomił policji? Gdyby był grzecznym chłopcem i faktycznie troszczył się o los dzieci, bez względu na to, jak bardzo kocha żonę, wczoraj wieczorem wniósłby oskarżenie. Carr gorączkowo szukałby żony i dzieci, podobnie jak my.

– Otóż to – zgodził się Jones. – Sprawa jest podejrzana.

– Tak, zadzwoniłbym do rodziców – powtórzył Chuck. – Może do nich pojechała.

– To dobra rada. Tymczasem, czy mogę ci podać jej numer rejestracyjny? – spytał Jones. To był prawdziwy powód, dla którego zadzwonił do Chucka. Policja dysponowała nowym programem do rozpoznawania numerów rejestracyjnych. Za pomocą kamer przemysłowych porozmieszczanych po całym kraju gliniarze mogli namierzać tablice z numerami. Działo się to po cichu, bez rozgłosu mediów i grup walczących o prawa obywatelskie. Jako cywil Jones nie miał już dostępu do takich nowinek technologicznych, nie znał też kogoś, kto mógłby mu pomóc. – Może namierzysz gdzieś jej wóz?

Kolejna chwila milczenia. Jones prosił Chucka o przysługę wymagającą

lekkiego nagięcia przepisów.

– Dobra, jasne – powiedział w końcu Chuck.

Wczoraj, wychodząc od Pauli Carr, zanotował markę jej samochodu i numery rejestracyjne. Siła przyzwyczajenia.

– Skoro już rozmawiamy... – powiedział Ferrigno.

– Co jest grane?

– Chciałbyś się przejechać do lasu, gdzie będziemy kopać? Chłopcy z rodziny Grove'ów mocno uprzykrzają życie moim ludziom. Sprawy mogłyby się potoczyć lepiej, gdybyś wystąpił w roli mediatora.

– Już myślałem, że nigdy nie poprosisz – odparł Jones.

– Fajnie jest znów z tobą pracować, stary – zachichotał Chuck.

„Nawet nie masz pojęcia, bracie”.

W lusterku wstecznym Eloise ujrzała Marłę, siedzącą na tylnym siedzeniu.

– Tak wiele się tu zmieniło – powiedziała smutnym głosem, nadawanym z innej planety.

Eloise ją zignorowała. To było coś nowego. Nadal zachowywała świadomość siebie, Raya, wnętrza samochodu. Czuła ciepło uda Raya przy swojej nodze. Wdychała zastarzałą woń cygar, która wgryzła się w tapicerkę. Samochód miał już swoje lata, Raya stać było na lepszy. Na beżowej tablicy rozdzielczej widniało pęknięcie, ktoś wypalił papierosem dziurę w siedzeniu. Do bocznego lusterka przymocowano gumkami stare zdjęcia dzieci. Zajeździć na śmierć – taką filozofię wobec samochodów wyznawał Ray, podobnie zresztą jak wobec prowadzonych spraw, związków międzyludzkich i butów. W zeszłym roku licznik starego cadillaca (kupionego w stanie używanym) przekroczył szesnaście tysięcy kilometrów. Palcem przesunęła po pęknięciu.

– Co? – spytał Ray. – To kupa złomu. Wiem.

– Nic nie powiedziałam.

– Należę do starej szkoły, El. Nie kupuję tych bzdur o masowych odbiorcach. To nieprawda, że wszystko musi być ciągle nowsze, lepsze, bardziej błyszczące. Co z rzeczami w całkiem niezłym stanie, które gniją na wysypiskach śmieci? Jestem za maksymalnym ograniczeniem potrzeb.

– Stara szkoła to nowa szkoła – powiedziała Eloise, tłumiąc uśmiech. – Wyważasz otwarte drzwi. – Ponownie spojrzała w lusterko w nadziei, że Marla zniknęła, ale tak się nie stało.

– Nikt nigdy nie kochał mnie tak jak Michael – powiedziała Marla. – Nawet Mack. W dzieciństwie Michael chciał tylko mnie. Myślałam, że z tego wyrośnie, ale nie wyrósł.

Eloise pamiętała, jak Michael płakał, ilekroć jego mama wychodziła, nawet jeśli wiedział, że wyskakuje do sklepu albo wybiera się na przebieżkę. To nie było normalne. Z małą Carą nie było tego rodzaju problemów. Owszem, czasem trochę marudziła, domagała się mamy, ale łatwo dawało się ją zająć kolorowankami czy krakersami w kształcie zwierzątek. Michael dąsał się przy oknie, czekając na powrót Marli. Kiedy Eloise się nim zajmowała, miał jedenaście czy dwanaście lat, był już za duży na takie zachowanie.

– Tamtej nocy miał czternaście lat – powiedziała Marla. – Za duży, za wysoki jak na swój wiek. Już wtedy przerósł Macka. Michael nigdy łatwo nie nawiązywał przyjaźni. Wystarczyło mu siedzenie w domu ze mną, był wtedy szczęśliwy. Czy to w porządku?

Wtedy Eloise dostrzegła na szyi Marli ciemne sińce. Dotknęła dłonią szyi.

– Na co patrzysz? – spytał Ray.

– Na nic – odparła Eloise i spojrzała na swoje kolana. Chude, kościste nogi wystawały spod żółtej peleryny jak badyle.

– On nie pozwala mi odejść – powiedziała Marla.

Kiedy dopuściła do tego, żeby wizje tak ją wyssały? Nawet lekarz nie był pewien, co jej dolega. Eloise zażywała leki przeciwbólowe, które miały też zapobiegać słabości w stawach. Jeden z lekarzy wysunął przypuszczenie, że jej wizje są małymi wylewami lub przemijającymi atakami niedokrwiennymi. Dlatego zaczęła łykać leki, by zapobiec tym epizodom, ale najwyraźniej bez skutku. Nie powinna prowadzić samochodu; robiła to tylko w razie konieczności, jak niedawno, gdy odwiedziła Jonesa Coopera. Eloise zażywała prozac na bóle brzucha, które zdiagnozowano jako zespół jelita drażliwego. I jeszcze pigułkę na sen. Poziom cholesterolu szybował w niebo, chociaż prawie nic nie jadła. Na to też jej coś dali.

– Mamo, ty łykasz te wszystkie pigułki? – spytała rok temu Amanda, kiedy, bez dzieci, przyjechała do Eloise w odwiedziny. Wizyta z obowiązku, jeszcze gorsza, niż gdyby wcale nie przyjechała. Eloise z najwyższym trudem patrzyła na siebie oczami Amandy. Mimo to córka była taka dobra, pamiętała o prezentach, kartkach i kwiatkach na Dzień Matki. Dzieci przysyłały Eloise swoje rysunki. Matka i córka zawarły niewypowiedzianą umowę, zgodnie z którą Amanda zносиła odwiedziny u Eloise jak doroczne wizyty u dentysty: oczekiwano się ich z przykrością jak czegoś obowiązkowego, ale na szczęście zbawiennie krótkiego.

Owszem, łykała te wszystkie pigułki, zgodnie z receptą albo wedle potrzeby. Niedawno zaczęła się zastanawiać, co by się stało, gdyby tak po prostu przestała je zażywać. Może niezliczone dolegliwości wkroczyłyby i ją zmiotły.

W lusterku wstecznym Eloise zobaczyła, że Marla zniknęła. Wiedziała, że jechali boczną drogą do Lasu The Hollows. Wąska droga była właściwie koleiną biegnącą wśród drzew. Ray zatrzymał samochód.

Przed nimi ciągnęła się mokra droga; piach przechodził w gęste, maziste błoto. Mżyło, ale niebo przybrało jednolicie szary kolor, jakby już na zawsze miało takie pozostać.

– Resztę drogi musimy przejść piechotą – powiedział Ray i spojrzał na nią, mrużąc oczy z niepokojem. – Dasz radę?

– Chyba tak. – Nie chciało się jej silić na oburzenie.

– To tylko kawałek, ale ta staruszka nie przejedzie przez błoto. – Poklepał kierownicę. – Gdyby nawet wjechała, to nie wyjedzie z powrotem.

Natychmiast po wyjściu z samochodu usłyszeli głosy. Eloise ujęła Raya pod ramię i ruszyli po mokrym, niepewnym gruncie. Jej żółte kalosze mlaskały w brunatnym błocie. Kiedy dotarli do polany, ujrzeli czterech mundurowych kopiących w ziemi. Kilku innych mężczyzn w grubych czarnych pelerynach przyglądało się z boku. Uschnięte drzewa i deszcz nadawały scenie posepny, pogrzebowy wygląd. Eloise się wzdrygnęła.

– Gliny – stwierdził Ray takim tonem, jakby mówił: „robactwo”. W jego głosie dało się słyszeć zdziwienie, irytację i strach przed tym, co miało nastąpić. Ktoś mógłby pomyśleć, że on sam nigdy nie był policjantem. – Czego oni tu szukają?

– Założę się, że Marli.

– Nie – odparł Ray. – Skąd mieliby wiedzieć o Kaplicy?

Wśród drzew po drugiej stronie polany coś błysnęło. Wtedy go zobaczyła: za duży, za wysoki, dokładnie taki, jak opisała go matka. Czarne ubranie, długie ciemne włosy opadające w mokrych strąkach i zaciśnięte pięści upodobiały go do upiora. Kiedy przyszedł do niej pierwszy raz, miał miły wygląd mola książkowego. Długie włosy nosił związane w koński ogon, do tego urocze okulary w drucianych oprawkach, schludne dżinsy i niebieska koszulka. Wtedy Michael bardzo przypominał cichego, nieśmiałego chłopca, jakiego zapamiętała. Widok mężczyzny wśród drzew sprawił, że serce załomotało jej ze strachu. Eloise zamierzała go wskazać Rayowi, ale nie zdążyła.

– Mam coś – oznajmił jeden z mężczyzn. Wysoki, zaniepokojony głos przeszył powietrze, płosząc duże ptaki. Po chwili Jones Cooper podszedł do nich od tyłu i chrząknął; Eloise domyśliła się, że nie chciał ich zaskoczyć. Ray odwrócił się i spojrzał na tamtego.

– Nie wiedzieć kiedy zrobiło się tu tłoczno jak na Grand Central – stwierdził Ray. Nawet nie próbował ukryć antypatii, która przybrała wyraz szyderczego uśmiechu. Eloise nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego ci dwaj zawsze na siebie warczeli. Zresztą mało ją to obchodziło. Ot, dwa stare psy walczące o kość.

– Kopę lat, Muldune – powiedział Jones. Eloise zauważyła, że Cooper stale silił się na uprzejmość, nawet w chwilach irytacji. Nie była pewna, czy

to zaleta, czy oznaka dwulicowości. Ponownie spojrzała na polanę i zobaczyła, że Michael niknie w mroku wśród drzew. Wciąż nie powiedziała o nim ani słowa; coś ją powstrzymywało.

Cała trójka ruszyła w stronę mężczyzn stojących wokół wykopanego dołu. Kiedy się zbliżali, Jones zapytał:

– Co tu znalazłeś, synu?

Młody mundurowy odwrócił gładką twarz, bez cienia zarostu. Wyraźnie pobałdł.

– Detektywie Cooper – powiedział. Czy wszyscy w miasteczku znali Jonesa Coopera? – Chyba znalazłem kości.

Wszyscy spojrzeli w głąb dołu i na tle ciemnej ziemi zobaczyli jaskrawobiałą plamę.

– Dobrze – rzekł Jones i podniósł ręce. – Odejdźcie od dołu i przerwijcie kopanie. Wezwijcie detektywa Ferrigno i sprowadźcie speców od kryminalistyki.

– Nie mów im, Eloise. Proszę – powtórzyła Marla. Kobieta słyszała w głowie jej donośny głos.

– Za późno – stwierdziła. Wtedy wszyscy odwrócili się i spojrzeli posępnie na Eloise. Później już nic nie pamiętała.

Marla usiadła i otrzepała się z ziemi. Jak na kogoś, kto leżał pogrzebany od ponad dwudziestu lat, wyglądała nadzwyczaj schludnie. Jeśli nie liczyć sińców na szyi.

– Tamtej nocy miał nocować u przyjaciela. Powinam się była domyślić, że wróci do domu. Cara już spała. Pamiętasz, że zawsze spała jak kamień, prawda? Kiedy zasypiała, miałam bite dwanaście godzin dla siebie. Mack został do późna na uniwersytecie, bo oceniał prace semestralne. Przez cały tydzień czekałam na ten czas, był tylko mój. Marla wstała i mówiła dalej. – Kiedy zostajesz matką i żoną, tracisz czas dla siebie. Tak naprawdę już nigdy go nie masz, prawda? Tak czy owak, on nic takiego nie zobaczył – westchnęła. – Odwiedził mnie przyjaciel. Zwierzałam mu się i zaczęłam płakać. Przyjaciel podszedł, żeby mnie pocieszyć. Właśnie to zobaczył Michael. Przysięgam, tylko tyle. Ale dosłownie się w nim zagotowało, jakby przez całe życie czekał na powód, żeby uderzyć. Mój Boże. Dlaczego on był na mnie taki wściekły?

Po chwili Marla biegła przed siebie, Eloise unosiła się nad nią. Jak gdyby miała przed oczami zdjęcie satelitarne, ale nie mogła przybliżyć obrazu. Z oddalenia patrzyła, jak Marla biegnie przez las. Dwie duże sylwetki goniły ją, potem jedna dopadła Marłę i przewróciła ją na ziemię. Druga

postać zbliżyła się od tyłu, wywiązała się bójka. Marla pobiegła znowu, znikła w Kaplicy, podczas gdy dwaj mężczyźni gwałtownie się bili, na koniec jeden znieruchomiał bez życia na ziemi.

To wszystko. Gdy Eloise odzyskała przytomność, leżała na plecach na polanie, a Ray i Jones stali nad nią.

– Wszystko w porządku, Eloise? – spytał Cooper.

Ray, nie tak zatroskany, pomógł jej wstać.

– Co widziałaś? – spytał.

– Powiedziała, że tamtej nocy ktoś ją odwiedził. Nie kochanek, ale przyjaciel – powiedziała Eloise do Raya. Nie obchodził ją Jones, nie dbała o to, co o niej myśli, czy jej wierzy. Oparła się o Raya.

– On tu był, Ray, patrzył, jak kopią. Teraz, w prawdziwym świecie.

– Kto?

– Michael Holt. Widziałam, jak ucieka. Biegnijcie za nim. – Wskazała kierunek, gdzie uciekł Michael, Ray pobiegł, zostawiając ją z Jonesem.

– Wszystko w porządku? – spytał znowu.

– Tak, nic mi nie jest.

Jones popatrzył za Rayem, jakby zastanawiał się, czy dołączyć do pościgu. Mimo to został. Eloise zauważyła, że na polanę wchodzi inni.

– Ta cała historia, czymkolwiek jest, chyba nie wychodzi pani na zdrowie – zauważył Jones.

Eloise nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dotychczas podobne uwagi słyszała tylko z ust innych mediów oraz córki. „To cię zabija, mamó. Musisz to zostawić”. Właściwie nikt nie zwracał na nią uwagi. Najczęściej ludzi interesowało tylko to, co mogła dla nich zrobić.

– On panią wykorzystuje – stwierdził Jones, ciągle patrząc za Rayem. – Nie powinna pani mu na to pozwalać.

Eloise chciała zaprotestować, ale nie miała siły.

– To mój przyjaciel – powiedziała tylko.

Wyczuła, że Jones zamierza skomentować, ale po chwili oddalił się w kierunku pozostałych, tylko raz oglądając się za siebie. Eloise odwróciła się, opuściła polanę i poszła do samochodu. Dla Marli Holt już nic nie dało się zrobić. Ta kobieta nie przyjdzie więcej do Eloise, bo ona już nie mogła jej pomóc.

Michael biegł przez wilgotny las, gałęzie smagały go po twarzy, korzenie chwyciły za nogi. W piersiach czuł ucisk, przegrzane serce pracowało na zbyt szybkich obrotach. Kiedy w końcu przystanął przy wejściu do kopalni, łkał. Po chwili zawartość żołądka podeszła do góry i chlusnęła pomarańczową strugą. Usłyszawszy plaśnięcie, zaczął łapczywie chwycić powietrze, aż zabrakło mu tchu. W końcu osunął się na ziemię i oparł o drewnianą framugę wejścia do kopalni. Z czasem oddech się uspokoił, mdłości ustąpiły. Chłodne powietrze z szybu obmywało go, koilo.

Do tego miejsca zmierzał przez całe życie. Ojciec wskazał mu drogę. Tu po raz pierwszy zszedł pod ziemię, po raz pierwszy zagłębił się w to zawsze mroczne, chłodne, ciche miejsce. Tu nie rozbrzmiewał jazgot, panował spokój, nikt go nie osądzał, nie oceniał, nie stwierdzał, że czegoś mu brak.

To Cooper ich tam przyprowadził, to on przywiódł policję. Eloise i Ray też tam byli. Gdyby nie ta głupia dziewczucha, wtykająca nos w nie swoje sprawy, nikt nigdy nie dowiedziałby się, że Michael tam kopie. Teraz miejsce było stracone albo na kogoś innego spłynie splendor za odkrycie. Ale nie, chyba nie o to chodziło. Nie dlatego nie mógł przestać płakać.

Michael podniósł się z ziemi i stanął przed wejściem do kopalni. Kiedy przyszedł tu pierwszy raz po śmierci ojca, zastał wejście zabite deskami. „Niebezpieczeństwo”, ostrzegła tablica. „Zakaz wstępu”. Łomem zerwał deski, które leżały teraz na stercie połamanego drewna, szczerząc zardzewiałe gwoździe.

– Co ty jej zrobiłeś?! – zawołał w ciemność. Ten mrok był wilgotny, konkretny. Lada chwila mógł wypełznąć, złapać cię i zawlec pod ziemię.

– Co ty jej zrobiłeś? – Pytanie odbiło się echem od ścian szybu i uderzyło w Michaela. W słowach pobrzmiwały rozpacz i żal; własny głos wydał mu się zniekształcony i obcy.

Jego wspomnienia z tamtej nocy były zabite deskami jak ta kopalnia. Zakaz wstępu. Niebezpieczeństwo. Żaden łom nie był dość mocny, żeby się włamać. Michael pamiętał tylko jazdę na rowerze cichymi podmiejskimi ulicami, wysoki księżyc, ciemne domy. Pozwolił, by rower przewrócił się na trawę. Potem wszedł na werandę, oparł dłoń na klamce. W jego wspomnieniu drzwi nie ustąpiły. Chociaż napierał, ani drgnęły. Nie miał już siły pchać.

– Tam, na dole, są wszystkie odpowiedzi – mówił mu ojciec o kopalniach i jaskiniach. – Na dole człowiek może w końcu usłyszeć siebie.

Może właśnie to powinien zrobić. Zejść na dół. Może ojciec miał rację. Może faktycznie tam były odpowiedzi.

– Michael!

Spojrzał na drzewa. Głos wydał się znajomy. Ray Muldune. Powoli, niepewnie zbliżał się do niego.

– Michael!

Ray był przyzwoitym gościem, ale Michael już nie chciał rozmawiać. Ani z Rayem, ani z nikim innym. Podniósł z ziemi plecak, zarzucił go na ramię. Pochyliwszy głowę, wszedł w błogosławioną ciszę.

Podjeżdżając pod dom, Cole zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Po prostu to wiedział. Samochód taty stał na podjeździe, a przecież Kevin prawie nigdy nie wracał do domu, zanim Claire i Cameron nie poszli spać. SUV Pauli zniknął. Poza tym było coś jeszcze. Siedząc tak i patrząc na dom, Cole uświadomił sobie, że widział go zawsze ze światłami zapalonymi na zewnątrz. Paula stale zapalała wszystkie światła, zarówno w środku, jak i przed domem. „Nienawidzę ciemności”, mówiła. „Ona mnie zasmuca”. Ojciec Cole’a zawsze utyskiwał na lampy palące się w pustych pokojach. Ale Cole je lubił. On też nie przepadał za mrokiem.

Zmusił się do wyjścia z samochodu, chociaż chciał tylko jechać przed siebie. Powinien był pojechać prosto do Willow. Tego właśnie pragnął. Ale obiecał Camowi, że po szkole się z nim pobawi, a Cole lubił dotrzymywać obietnic złożonych bratu. Zamknął za sobą drzwiczki, trzask rozniósł się echem na cichej ulicy. Nie zaparkował na podjeździe, na wypadek gdyby ojciec chciał wyjechać albo Paula chciała wjechać.

Cole minął pusty garaż i po trzech drewnianych schodkach wszedł do pralni. Nie powitał go tu tradycyjny bałagan. Zazwyczaj na podłozie walały się buty, kurtka i plecak szkolny Cama, dopóki Paula nie przybiegła, żeby posprzątać. W typowy dzień Cole usłyszałby telewizor, płacz Claire, Paulę rozmawiającą przez telefon. Z kuchni dobiegałaby woń jedzenia.

Dziś wieczorem stał w drzwiach pustego salonu i czuł, jak ogarnia go niepokój. Podobnie się poczuł, gdy zadzwonił do matki i stwierdził, że telefon odłączono. Albo kiedy nadeszły jego urodziny, a matka nie zadzwoniła ani nie przysłała kartki. Czasami, gdy sądziła, że nikt nie patrzy, zerkał na nią i zastanawiał się, czy ona również czuje w sercu rozprzestrzeniający się smutek.

Cole podniósł ze schodów mechanicznego psa Cama, wóz strażacki, wagon służbowy z kompletu kolejki i ruszył przed siebie. Wtedy usłyszał głos Kevina. Pod uchylonymi drzwiami gabinetu sączyło się słabe światło. Cole stanął i słuchał.

– Przepraszam, kochanie. Przepraszam. Zatrzymali mnie w pracy. Wynagrodzę ci to, obiecuję.

Cole wiedział, że Kevin nie rozmawia z Paulą. Nigdy nie mówił do niej takim tonem. Cole pchnął drzwi. Ojciec siedział na dużym biurku z orzecha

włoskiego, jedną ręką podpierał głowę, w drugiej trzymał komórkę.

– Tato? – Cole zawsze czuł się dziwnie, wymawiając to słowo. Wolałby mówić na ojca „Kevin”, ale on nalegał na „tate”. Cole był posłuszny przez uprzejmość.

Ojciec spojrział na niego zaskoczony, zmusił się do uśmiechu. Potem uniósł w górę palec.

– Posłuchaj, maleńka, muszę lecieć – powiedział. – Porozmawiamy później.

Cole usłyszał, że rozmówczyni Kevina podnosi głos, a ojciec przerwał połączenie. Cole pamiętał z dzieciństwa, jak matka krzyczała na tatę. Widział, jak stoi w kuchni i zalewa się łzami. Nie przypominał sobie, o co się kłócili. Przez wiele lat uważał, że ojciec go nie odwiedza właśnie dlatego, że matka się na niego wydziera. Ostatnio zaczął się zastanawiać, czy to aby na pewno była prawda. Myślał też o tym, dlaczego krzyczała na ojca.

– Jak było w szkole, stary?

Kevin wyglądał okropnie. W blasku ekranu komputerowego majaczyła ziemista cera. Ciemna krecha biegła spod oka do ust. Krew?

– Co się stało, tato? – spytał Cole. – Gdzie Paula i dzieci?

Ojciec nie odpowiedział od razu, ale patrzył na syna z osobliwym, zastygłym uśmiechem.

– Hm, Cole – powiedział w końcu i wskazał krzesło po drugiej stronie biurka. – Usiądź, dobrze?

Cole osunął się na krzesło. Zegar na półce z książkami za Kevinem wskazywał prawie szesnastą. Spóźnił się na spotkanie z Willow.

– Paula i ja robimy sobie małą przerwę.

– Przerwę? – Cole poczuł, że zaczyna go boleć brzuch. Wolałby, żeby ojciec zapalił światło.

– Ona zabrała dzieci i... – Ojciec najwyraźniej nie mógł skończyć zdania. Spojrział na palce rozłożone na bibule na biurku. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

– Co ci się stało w oko?

– Och. – Kevin dotknął palcem twarzy. Krew poplamiła palec. – Uderzyłem głową o drzwi szafy.

Cole nie wiedział, co powiedzieć. Ojciec najwyraźniej kłamał. Cole przypominał sobie, co powiedziała matka, kiedy wyjeżdżał na kilka tygodni do Kevina. „Wiem, że kochasz tatę, i cieszę się, że spędzisz z nim trochę czasu. Pamiętaj jednak, że nie wszystko złoto, co się świeci”. „Jasne, mammo.

Do zobaczenia za parę tygodni”.

Nawet nie czuł smutku, kiedy się z nią rozstawał. Nie obejrzał się, odjeżdżając. Matka była zbyt surowa, miała paranoję, nieustannie wierciła mu dziurę w brzuchu o pracę domową i o to, z kim się spotyka. Kiedy znalazła tego skręta, myślał, że tętniak jej pęknie. Potem odkrył w komputerze, że sprawdzała obozy z zaostrzoną dyscypliną dla młodzieży. Cole naprawdę chciał się oddalić od matki i zamieszkać z Kevinem. Uważał, że ojciec jest bystry, fajny i ma forszę. W przeciwieństwie do matki, która z trudem wiązała koniec z końcem.

– Dobrze się czujesz? – spytał Cole.

Kevin wypuścił powietrze i spróbował się uśmiechnąć.

– Przepraszam, synu – powiedział. – Nie tak planowałem twoją wizytę.

Mówiąc o ich wspólnym lecie, ojciec obiecywał złote góry. Kevin często jednak wyjeżdżał, zanim Cole wstał, czasem wracał do domu bardzo późno. Raz zagrali w golfa. Ojciec zabrał też raz Cole’a i dzieci na plażę. Najczęściej jednak Kevin rozmawiał przez telefon, a Cole zajmował się dziećmi. Od początku roku szkolnego prawie ojca nie widywał.

– W porządku, tato. Nie przejmuj się.

Chciał go wypytać o Paulę, ale coś mu podpowiadało, by tego nie robić. Komórka Kevina znów się rozdzwoniła. Spojrzał na nią, marszcząc nos, jakby poczuł smród.

– Muszę odebrać, dobra? – Podniósł komórkę i utkwiał wzrok w biurku. – Hej, Greg. Jak leci? Wiem, wiem. Jutro to dostaniesz.

Cole wstał i podszedł do drzwi. Stał tam przez pewien czas, nie wiedząc, czy ma wyjść, czy nie. Chciał zapalić światło, żeby Kevin nie siedział przy samym monitorze komputera, bo było w tym coś mocno przygnębiającego. Po chwili jednak wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Cole wszedł do pokoju Camerona, usiadł na łóżku braciszka i powiódł wzrokiem po stertach zabawek i półkach z książkami. W końcu położył głowę na pościeli w planety i gwiazdy, pachnącej szamponem dziecięcym Johnsona.

Teraz przypomniał sobie, jak okłamał Willow w sprawie swojej matki w Iraku. Nawet nie wiedział, czemu to zrobił; co za głupie kłamstwo. Teraz będzie musiał je podtrzymywać, kiedy ją odwiedzi. Ona będzie wypytywać, a on będzie musiał w to brnąć. W dodatku będzie musiał udawać, że wszystko jest w porządku, że panuje nad sytuacją. Nie mógł wyznać Willow, że odchodzi od zmysłów z niepokoju o matkę. Przecież nie miał pojęcia, co się z nią stało. A teraz znikli też Paula, Cameron i Claire. Coś tu nie grało.

Wiele rzeczy nie grało, ale Cole nie wiedział, co z tym zrobić. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jakie to wyczerpujące nieustannie się smucić. Myśląc o tym, zasnął.

Nie przyszedł. Ani o szesnastej. Ani o siedemnastej. Kwadrans po siedemnastej Willow odeszła od okna i zastygła przed telewizorem. Matka szykowała w kuchni kolację.

W pewnym sensie Willow nawet nie czuła zdziwienia. Wręcz zaczęła podejrzewać, że wyobraziła sobie to wszystko – jego pojawienie się przy szafce w szatni, podniecenie, szybsze bicie serca. Nie podobała się chłopakom; była dziwadłem o rudych włosach i kościstych łokciach. Nie była laską o długich rzęsach i dużych cycach. Była jedynie Willow. Cole pewnie tylko się z niej nabijał. Wrócił do Jolie i mieli niezły ubaw.

– Gdzie twój znajomy? – spytała mama, stając w progu. Miała na sobie fartuch oprószony mąką, w ręce ścisnęła ściereczkę. Wszyscy mówili, że jej mama jest piękna. Willow wiedziała, że ona sama przypominała ojca, który, szczerze mówiąc, nie mógł się równać z matką pod względem urody. Na zdjęciach wyglądał jak wypłoszony chudzielec. Dziewczyna zastanawiała się, co matka w nim widziała. „To był cudowny człowiek. Nie znałam nikogo takiego jak on”. Innymi słowy, był dziwadłem. Może dlatego Willow była tak niedopasowana; to było dziedziczne.

Przez chwilę rozważała kłamstwo. Na przykład powie, że Cole zadzwonił i oznajmił, że ma za dużo zadane, albo że kazali mu pojechać do pracy, odpowiedzialnej pracy, przez co nie wyjdzie na palanta, który nie dotrzymuje obietnic, jak Rick. Mimo to nie skłamała.

– Nie wiem – powiedziała, patrząc na jakąś głupią kreskówkę w telewizji. Nawet nie wiedziała, co ogląda. – Chyba wystawił mnie do wiatru.

Walczyła z płaczem, ale duża łza spłynęła jej po policzku. Strzepnęła ją dłonią.

– Och, Willow – powiedziała Bethany i usiadła obok córki. Dziewczyna wtuliła się w ramiona matki. – Na pewno miał poważny powód.

– Mógł zadzwonić – powiedziała Willow.

– Może zepsuł mu się samochód albo coś w tym rodzaju. Nie skreślaj go, póki się nie dowiesz.

– Chyba masz rację – odparła Willow. Już czuła, jak rośnie w niej mrok, ta gniewna, zawiedziona pustka w sercu.

– Wiem, jak trudno jest być w twoim wieku, Willow. Pamiętam.

– Kiedy robi się łatwiej?

– Robi się inaczej – zaśmiała się Bethany. – Ujmijmy to w ten sposób.
– Super.

Bethany wyłączyła pilotem telewizor. Siedziały wsłuchane w bębnienie deszczu o szyby. Mama rozmasowała jej plecy, Willow przymknęła oczy. W pokoju było ciepło, kanapa była miękka.

Willow musiała odpłynąć, ponieważ kiedy się ocknęła, siedziała sama na kanapie i słyszała, jak mama rozmawia przez telefon przyciszonym głosem, który brzmiał zabawnie i uroczo.

– Nie, nie sądzę, że to jest niestosowne – mówiła. – Myślę, że to całkiem w porządku.

Bethany się roześmiała, tak beztrosko i radośnie, że Willow ogarnął gniew. „Jak ona może być szczęśliwa, kiedy ja tonę w żałości?”.

– Brzmi fajnie – powiedziała Bethany. – W porządku.

Kiedy Willow weszła do kuchni, ujrzała stół nakryty dla trzech osób. Bethany upiekła pizzę. Matka odłożyła słuchawkę, a dziewczyna uprzątnęła trzecie nakrycie. Nie musiano jej przypominać przy kolacji, że została wystawiona do wiatru.

– Kto to był? – spytała.

Matka kroїła pizzę na kawałki. Kuchnia wyglądała jak pobojuwisko: wszędzie sos i mąka. Bethany nie zaliczała się do schludnych kucharek.

– Myślałam, że śpisz – powiedziała Bethany, nie patrząc na córkę, ale uśmiechała się szeroko.

– Kto to dzwonił? – spytała Willow. – Nie Rick? Chyba nie przyjeżdża w ten weekend?

– Nie, to nie był Rick – odparła Bethany. – Zresztą nie wiem, czy nadal zamierza przyjechać na weekend. Chcesz, żeby to zrobił? Nie gadaliście od miesiący.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Willow. Miskę z sałatą przyniosła do stołu i klapnęła na krzesło.

– Cóż, powiedziałam mu, że jeśli chce, może przyjechać – rzekła Bethany.

– Tak czy owak, zrobimy coś fajnego. Na przykład odwiedzimy tę starą wytwórnię cydru. Podobno jest odjazdowa.

– Jasne – odparła. – Ubaw po pachy.

Do końca kolacji rozmawiały o szkole – o lekcjach Willow, o panu Vansie, o tym, że w przyszłym roku może powinna spróbować się dostać do kółka dramatycznego. Po kolacji Bethany pomogła Willow odrobić pracę domową na temat lektury *A Separate Peace*. Czy Gene celowo zrzucił Fina z gałęzi? Dlaczego albo dlaczego nie? Jeśli tak, co nam to mówi o Genie

i jego przyjaźni z Finem? Zdaniem mamy pytanie było świetne, ale według Willow zakrawało na kpinę, bo przez cały tydzień rozmawiali o tym na lekcjach. Zresztą czytała już tę książkę w siódmej klasie. Jednak pan Vance uznał, że warto ją znowu omówić, ponieważ tematy były bardzo „skomplikowane”.

Dopiero wiele godzin później, gdy Willow leżała w łóżku, rozmyślając o Cole’u i próbując zasnąć, zdała sobie sprawę, że mama nie odpowiedziała, kto dzwonił.

W nocy śniło się jej, że Cole zatelefonował i powiedział, że jest mu przykro, że ją zawiódł i nie przyszedł. Cole wyznał też, że ją kocha i nie może się doczekać, kiedy znów ja zobaczy. Potem się obudziła, zrozumiała, że to był tylko sen, a uczucie zawodu stało się niemal nieznośne.

Muszę być szczery. Po naszym ostatnim spotkaniu nie sądziłem, że pan wróci.

Doktor Dahl jak zwykle wyglądał jak spod igły, przy tym był zarumieniony, jakby właśnie skończył codzienny trening w siłowni. Na stole obok krzesła psychoanalitka stała otwarta butelka do połowy napełniona wodą.

Jones poruszył się na krześle.

– Cóż, prawdę mówiąc, sam nie byłem pewien, czy tu wrócę.

Lekarz spojrział na niego wyczekująco, z nadzieją. Czyżby także z odrobiną samozadowolenia? Nie, to nie to. Jednak coś w jego twarzy drażniło Jonesa.

– Zatem co pan tu robi?

Jones zaczął mówić o Maggie, o tym, że bał się o losy swojego małżeństwa, gdyby przestał przychodzić na terapię. Chociaż było to po części prawdą, jednak nie całą.

– Zrozumiałem, że ma pan rację – powiedział Jones, chociaż te słowa niemal go zabiły. Odchrząknął. – Miał pan rację, mówiąc, że się opieram i boję się przejść do kolejnego etapu życia.

Lekarz przytaknął z aprobatą, co sprawiło, że Jones znów zapragnął wstać i wyjść.

– Jak pan sądzi, czego pan się obawia?

Tego gościa nie dało się nie kochać. Przechodził prosto do sedna. Żadnej gry wstępnej. Ból głowy już się zaczynał.

– Cóż, obawiam się pewnie, że nie ma żadnego następnego etapu – powiedział Jones. – Że przez kolejne lata będę się tylko pętał, chodził na bezsensowne zajęcia, kosił trawę. Kilka razy wybierzemy się w podróż, popłyniemy statkiem. Wie pan, bałem się, że to już koniec. Że została tylko powolna, nieunikniona wędrówka do kresu. Widzi pan, ja nawet nie gram w golfa.

Doktor Dahl mruknął aprobująco.

– Przecież jest pan jeszcze młody. Wielu policjantów przechodzi na emeryturę w młodym wieku i znajduje sobie inne zajęcia.

– Chyba czasami nie czuję się bardzo młodo – powiedział Jones. – Tak czy inaczej, w ostatnich dniach wydarzyło się kilka rzeczy.

Opowiedział terapeutę o prowadzonych przez siebie sprawach oraz o sugestii Maggie, że mógłby rozpocząć prywatną praktykę.

– Cieszy pana powrót do takiej pracy? Daje panu zadowolenie?

– Owszem. Do policji przyszedłem chyba w ramach pokuty – odparł Jones. – Chciałem zadośćuczynić za zło, jakie wyrządziłem.

– Czy ta sytuacja uległa zmianie? – Doktor Dahl napił się wody z butelki.

– Tak.

– Co ta praca oznacza dla pana teraz?

Jones chwilę się zastanowił, ale nie musiał myśleć długo. W głowie miał dziwną jasność w tej materii.

– Wie pan, myślę, że kiedy nie pomagam ludziom, czuję się nieco zagubiony.

Jones niemal oczekiwał, że terapeuta pochwali go za altruizm. Jednak doktor Dahl milczał przez chwilę, jakby obracał w myślach słowa Jonesa.

– Sądzę, że to jest w porządku, panie Cooper – powiedział w końcu terapeuta. – Pod warunkiem że pod pretekstem pomagania innym nie będzie pan się chował przed swoimi problemami, którymi powinien pan się zająć.

Co to za ludzie ci terapeuci? Czyżby wszyscy czytali z jednego poradnika? Maggie powiedziała to samo, niemal słowo w słowo. Zamiast odpowiedzieć, Jones zmałpował pomruk aprobaty, jakiego często używał doktor Dahl.

– Możemy o tym pomówić następnym razem – powiedział terapeuta. – Czas minął.

To była kolejna rzecz, która wkurzała Jonesa w terapii. Kiedy twój czas mijał, dostawałeś kopa. Właśnie wtedy, gdy człowiek zaczynał się czuć swobodnie, przywykał do zwierzania się drugiej osobie, proszono go, żeby wyszedł.

Po powrocie do samochodu włączył komórkę i spodziewał się znaleźć wiadomości. A tu nic. Żadnych wieści od Chucka o znalezionych kościach, które badano w laboratorium, ani słowa o Michaelu Holcie, który najwyraźniej zniknął w kopalni i dotychczas się nie pojawił. Żadnych wiadomości od rodziców Pauli Carr; Jones telefonował do nich dwukrotnie, ale włączała się poczta głosowa. Nie odezwał się też Jack z Credit Bureau w sprawie Pauli Carr; nie zadzwoniła matka Cole'a, Robin O'Conner.

Tej części pracy detektywistycznej ludzie nie rozumieli. Wprost roilo się w niej od martwych pól, często można było tylko czekać – na wyniki badań DNA albo, jak w tym wypadku, na dane dentystyczne; czekałeś, aż twoi

informatorzy przekopią się przez sterty próśb podobnych do twojej; czekałeś, aż zadzwonią do ciebie ludzie, którzy nie chcieli z tobą rozmawiać. To dlatego gliniarze pili po pracy i przejadali się na służbie. Jak człowiek miał sobie radzić z podnieceniem i napięciem w sytuacjach, nad którymi nie miał żadnej kontroli? Wyskakiwałeś po coś do żarcia i połykałeś to w samochodzie.

Jones, z wyrazem frustracji na twarzy, wciąż wpatrywał się w trzymaną komórkę, gdy ta nagle zaczęła dzwonić jakby pod wpływem jego woli. Ricky ustawił mu sygnał tak, że brzmiał jak dawny telefon z tarczą. Otuchy dodawało to solidne podzwanianie prawdziwego mechanizmu, choć w istocie wcale go tam nie było. W ostatnich latach świat ucichł; urządzenia wydawały ciche, muzyczne, stonowane dźwięki.

– Dobra – powiedział Kellerman. – Oto czego się dowiedziałem.

– Super – ucieszył się Jones, czując ulgę, jak zwykle kiedy zaczynał działać.

– W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin Paula Carr nie korzystała z kart kredytowych ani nie podejmowała pieniędzy z banku. – Kellerman przerwał i mocno się rozkaszał. Jonesowi aż skóra ścierpła na ten odgłos.

– Przepraszam – powiedział Kellerman. – Jest coś ciekawego. Trochę pogrzebałem i znalazłem konto założone na jej panieńskie nazwisko. Mąż Pauli Carr nie ma do niego dostępu. W zeszłym tygodniu podjęto z tego rachunku sporą sumę. Dziesięć tysięcy.

Jones zastanowił się nad tym, co usłyszał, i uznał, że informacje mają sens. Paula Carr planowała ucieczkę. Przed wyjazdem z dziećmi chciała odszukać matkę Cole'a; dlatego do niego dzwoniła. Coś ją skłoniło do pośpiechu. Albo coś gorszego.

– Interesujące – przyznał Jones.

– Wygląda na to, jakby chciała zniknąć.

– Możliwe.

– Jeszcze jedno jest godne uwagi. Paula Carr od lat nie pobierała pieniędzy z bankomatów. Pensję z małej firmy wpłacano bezpośrednio na wspólne konto jej i Kevina Carra. Do tego konta przysługiwała tylko jedna karta bankomatowa, wydana jej mężowi. Zakupy Pauli robione za pomocą karty kredytowej to typowe transakcje matki. Produkty spożywcze, sklepy typu Makro, sklepy z odzieżą dziecięcą, księgarnie internetowe. Nie ma tam transakcji przekraczającej paręset dolarów.

– Innymi słowy, mąż trzymał ją na smyczy – stwierdził Jones. – Kontrolował jej wydatki.

– Szkoda, że nie potrafię utrzymać swojej żony na smyczy – powiedział Kellerman i się roześmiał. Śmiech przeszedł jednak w ten sam upiorny kaszel.

– Dobrze się czujesz, stary?

– No, trochę kaszlę – odparł Kellerman. – W piątek idę do lekarza.

– To na pewno nic poważnego – pocieszył go Jones. – Pewnie alergia. – Głęboki, mokry kaszel brzmiał niepokojąco.

Kontrolowanie pieniędzy było formą panowania nad związkiem. Jones pomyślał o tym, że Carr mówił o Pauli wyłącznie jako o „jego żonie”, przypomniał sobie nieskazitelny dom bez obrazów. W trakcie całej wizyty Jonesa Paula zachowywała się nerwowo, przepraszała. Wszystkie te elementy składały się na spójny obraz: Kevin Carr miał obsesję na punkcie kontroli.

– Jeśli zdobędę coś na jej temat, dam ci znać. Po pewnym czasie ludzie robią się nieuważni, powija im się noga. Myślą, że nikt ich nie pilnuje. Albo kończy im się forsa.

– Będę wdzięczny.

– Co się tyczy tej drugiej kobiety, Robin O’Conner – ciągnął Kellerman. – Jest spłukana. Niedawno wywalili ją z pracy. Ma pięć kart kredytowych z maksymalnym zadłużeniem, a na koncie około dziewięćdziesięciu pięciu dolarów. Dwa miesiące nie płaciła czynszu, aż eksmitowano ją z mieszkania.

– Kiedy ostatnio pobierała pieniądze?

– Wczoraj w motelu Regal w Chester próbowała zapłacić kartą dwadzieścia dolarów i dwadzieścia trzy centy, ale bank nie zrealizował tej transakcji.

Chester, oddalone o godzinę drogi od The Hollows, było kolejnym miasteczkiem klasy pracującej, ale nie rozwinęło się tak jak Hollows. Jones spojrzął na zegarek. Mógł spełnić prośbę Pauli, pojechać tam i odszukać Robin O’Conner. Ale dlaczego? Przecież formalnie nie miał klienta. Nie był gliniarzem. Nie był nawet prywatnym detektywem. Dotrzymanie obietnicy złożonej Pauli Carr kosztowałoby go sporo pieniędzy: jazda samochodem, kolacja postawiona Kellermanowi za wyświadczone przysługi, a ten gość miał niezły spust. Maggie by tego nie zaaprobowała.

– Chcesz, żebym ją też namierzał? – spytał Kellerman.

– Byłbym wdzięczny.

– Jeśli któraś z nich pojawi się na radarze, wyślę ci SMS-a.

Jones i Kellerman umówili się na kolację w przyszłym tygodniu.

Rozłączywszy się, Jones wrzucił bieg. Właściwie dopiero na autostradzie zdał sobie sprawę, że jedzie do Chester. „Czemu nie?“, pomyślał. To przecież jedyny autentyczny trop, jaki miał w sprawie tych trzech zaginionych kobiet. Co niby miał zrobić, wrócić do domu i rozmyślać o swojej przyszłości, małżeństwie, „pracy” nad sobą, jaką miał do wykonania? Nie zamierzał tego robić. Po prostu nie. Na samą myśl robiło mu się duszno.

W drodze zastanawiał się, co musiałby zrobić, żeby uzyskać licencję prywatnego detektywa. Myślał też o tym, czy znów powinien zacząć nosić broń.

Po szkole zaczęła krążyć pogłoska, że policja znalazła w Kaplicy ludzkie kości, podobno należące do Marli Holt. Początkowo Henry Ivy przyjął tę nowinę jak fałszywkę, coś, czemu łatwo można zaprzeczyć, co nietrudno odepchnąć. Jednak w miarę upływu godzin, gdy plotka się rozprzestrzeniała, a pięć osób spytało go: „Słyszałeś?”, Henry poczuł się, jakby grzebano go żywcem pod betonem. Po południu ciężar go przygniatał. Czy ona tam była? Czy leżała tam przez te wszystkie lata? Kiedy on i wszyscy inni wieszali na niej psy? Gniła w płytkim grobie o kilometr od miejsca, gdzie codziennie pracował? Czy Marla wciąż by żyła, gdyby został z nią tamtej nocy, o co przecież prosiła?

Przez cały dzień machinalnie wykonywał obowiązki: wydawał polecenia, sprawdzał listy obecności, dyscyplinował niesubordynowanych uczniów, gawędził z sekretarką. Stale towarzyszył mu straszliwy szum w głowie. Wieczorem zamierzał się spotkać z Bethany Graves. Teraz czuł, jakby ukarano go za to, że próbował być szczęśliwy. Chyba jakaś kosmiczna siła nie chciała pozwolić mu na szczęście.

– Nie mogę wyjść – powiedziała mu wcześniej Bethany. – Tyle rzeczy dzieje się z Willow. Nie mogę wyjść, kiedy ona jest tak nieszczęśliwa.

– Rozumiem – powiedział, usiłując ukryć rozczarowanie. Czuł, że Bethany po prostu uprzejmie daje mu kosza.

– Ale możesz tu wpaść – zaproponowała. – Na przykład na kolację? Jutro wieczorem?

Henry poczuł, jak pierś rozpira mu nadzieja.

– Nie sądzisz, że to byłoby... niestosowne?

– Nie – zapewniła, a on wyczuł, że się uśmiechnęła. – Wcale nie sądzę, że to niestosowne. Myślę, że to całkiem w porządku.

Rano Henry obudził się lekki i szczęśliwy. Jak z płatka poszła mu gimnastyka o szóstej, zjadł pożywne śniadanie (białka z jajek i koktajl owocowy), wcześniej dotarł do pracy, żeby przejrzeć oceny. Jednak o wpół do dziesiątej, gdy do sekretariatu zaczęli napływać ludzie i plotkować, poczuł, jak opada na niego szara zasłona żalu i smutku.

Nigdy im nie powiedział, że na swój sposób ją kochał. Nie tak jak Maggie Cooper. Dawno temu miał nadzieję, że Maggie też go pokocha. Kiedy byli nastolatkami, wyobrażał sobie, że pewnego dnia ich przyjaźń przerodzi się

w coś więcej, że pobiorą się, będą mieli dzieci. To się oczywiście nie stało, ale przyjaźń przetrwała. Henry uznał to za swego rodzaju nagrodę pocieszenia.

Marłę Holt kochał tak, jak kocha się gwiazdę filmową, ani przez moment nie śniąc, że mogłoby do czegoś dojść. Starsza od niego, sprawiała wrażenie kobiety mądrej i światowej. W dodatku była tak piękna, że z trudem wierzył, iż jest prawdziwa. Nawet jej niedociągnięcia – drobniutkie zmarszczki w kącikach oczu, myszka w dolnej części prawego policzka (nazywała ją brodawką czarownicy) – czyniły ją jeszcze bardziej olśniewającą. Kiedy do niego mówiła, słuchał oczarowany... ruchem jej warg, tańcem dłoni przy szyi, mruganiem.

W noc, gdy zniknęła, mieli razem biegać. Henry zadzwonił do niej, aby spytać, o której wyruszają, ale Marla oznajmiła, że nie może. Michael spał u przyjaciela, ona siedziała w domu z Carą. Mack miał zostać do późna w pracy. Ale Henry mógłby na trochę wpaść, prawda? Po prostu na pogawędkę. Bo to właśnie robili podczas biegania. Bez końca rozmawiali o wszystkim.

Początkowo się zawahał, ponieważ wydawało się to niestosowne. Marla nalegała: „Proszę, Henry. Tak czekam na nasze spotkania”. Zgodził się. On też lubił spędzać z nią czas. Czekał na spotkania z Marlą, chociaż wiedział, że nigdy jej nie tknie, bo była hen, daleko za jego zasięgiem. Intuicja podpowiadała mu, żeby nie szedł, że to nie w porządku, że może z tego wyniknąć coś niewłaściwego. Mimo to poszedł, ponieważ go poprosiła, a w jej głosie brzmiał taki smutek.

Henry chciał opowiedzieć o tej nocy Jonesowi w lesie. Kiedy tam stali, może kilka kroków od miejsca, gdzie znaleźli kości, chciał powiedzieć: „Byłem z nią tamtej nocy, Jones. Trzymałem ją w ramionach. Marla czuła się bardzo nieszczęśliwa z Mackiem, męczyła się ze sobą, życie, ich wspólne życie sprawiało jej ból. Powiedziała mi, że popełniła błędy, że w pewnym sensie dopuściła się niewierności. Tuliłem ją i tak bardzo pragnąłem. Mogłem ją mieć. Nie dbałem o to, że był ktoś inny, ktoś, kto nie był jej mężem. Marla otwierała się przede mną jak kwiat”.

Wtedy w lesie Henry chciał powiedzieć Jonesowi, że z najwyższym trudem powstrzymał się przed pragnieniem pocałowania Marli, przed tym, by poczuć na wargach miękkość jej ust. Ona płakała w jego ramionach, a ciało Henry’ego przeszywał ból pożądania. Co by się stało, gdyby Michael nie wrócił do domu i nie zastał ich, kołyszących się w pograżonym w półmroku salonie? Czy Henry znalazłby siłę, aby odejść? Czy zdołałby się

powstrzymać? Dobrze wiedział, że nikt nie podejrzewa go o takie same popędy i potrzeby, jakie mają inni mężczyźni. „Henry jest taki miły. Henry jest taki dobry. Henry to prawdziwy przyjaciel”. Mimo to miał potrzeby, pragnienia, zawsze ignorowane i spychane w kąt. Poza tym tak długo już był sam.

– Mamo?

To słowo przeszło ich oboje, odskoczyli od siebie jak rażeni prądem.

– Michael – powiedziała, co zabrzmiało, jakby, zaskoczona i przestraszona, wypuściła powietrze. – Co ty tu robisz?

– Mamo – powtórzył chłopiec. – Co ty *robisz*?

Osobliwa chwila była jak naładowana elektrycznością.

– Nic takiego, najdroższy – szepnęła Marla. – Henry jest tylko przyjacielem.

„Henry jest tylko przyjacielem”. To zdanie przeszło go, choć w głębi serca wiedział, że jest prawdziwe. Tym właśnie był dla kobiet. Tylko przyjacielem. Chociaż płonął z pożądania, ona szukała jedynie pociechy.

– Przepraszam – powiedział Henry. – Bardzo przepraszam.

Z płonącą twarzą szybko minął chłopca, już wtedy górującego wzrostem nad nim i potężniej zbudowanego. Michael dyszał jak zwierzę. Miał tylko trzynaście, może czternaście lat. Jeszcze był w podstawówce, nawet nie chodził do liceum w Hollows.

– Nie, Henry. – Jej słowa rozbrzmiały za nim, gdy przekraczał próg. Po chwili biegł. Do Marli przyszedł w stroju do biegania, bo nie spodziewał się zostać dłużej, nie chciał też, by widziano, jak idzie do niej w codziennym ubraniu. Henry biegł i biegł, zlewając się potem, zaliczał kilometry, wybiegł na drogę prowadzącą na pola, mijał pastwiska i mleczarnie. Później, gdy zadawano pytania, ludzie widzieli, że biegł, jak prawie każdej nocy. Widzieli, jak biegł sam, bez Marli Holt. Po powrocie ujrzał, że w domu Holtów jest ciemno. Samochód Macka stał na podjeździe. Właśnie wtedy Henry zobaczył Glorię Miller, stojącą w oknie na piętrze; na tle żółtej plamy światła rysowała się czarna sylwetka sąsiadki, która jak zwykle obserwowwała.

Szkolny dzwonek przywołał go do chwili obecnej. Henry zastanawiał się, czy powinien odwołać spotkanie z Bethany Graves. Cóż byłby z niego za towarzysz, skoro miał tyle na głowie? Ile godzin strawił na rozmyślaniach o tamtej nocy z Marlą? Co by się stało, gdyby nie czmychnął jak tchórz? Może teraz byłaby razem z nim, zostałyby jego żoną, zamiast uciekać

z człowiekiem, którego w końcu wybrała.

Henry nigdy nie wierzył, że Marli przytrafiło się coś złego. Podobnie jak wszyscy nabrał przekonania, że zmęczyła się życiem w Hollows i wyjechała bez dzieci. Przecież praktycznie wyznała mu, że spotyka się z kimś innym. Gloria Miller widziała, jak Marla z walizką w ręce wsiada do czarnego sedana.

Może tamta noc stała się kroplą przepełniającą czarę goryczy. Michael powiedział Mackowi, że w domu był inny mężczyzna, po czym między małżonkami wybuchła kłótnia. Może Marla wezwała kochankę i w końcu odeszła, czego tak rozpaczliwie pragnęła. Zabrała urodę, urok i opuściła podmiejskie piekło. Gdyby Henry był innym człowiekiem, to on by ją zabrał. Gdyby nie był Henrym Ivym, ofiarą szkolnych osiłków, która została nauczycielem i wciąż mieszkała w domu rodziców, to on zabrałby Marłę do Nowego Jorku czy Hollywood. Jednak był Henrym Ivym i mimo najszczerzych chęci nigdy nie zdołał stać się nikim innym.

Teraz Henry musiał stawić czoło myśli, że gdyby nie odszedł od niej tamtej nocy, może zdołałby ją ocalić. Nie miał pewności, czy da radę żyć z tą świadomością.

Zmusił się do skoncentrowania uwagi na ekranie komputera. Przesunąwszy listę obecności, spostrzegł, że Cole'a Carra i Jolie Marsh od dwóch dni nie było w szkole. Willow Graves pojawiała się na lekcjach, skupiona i uważna, chociaż, zdaniem nauczycieli, nieco przygaszona. To uradowało dyrektora. Henry wiedział, że Willow przechodzi trudny okres, przystosowuje się do rozvodu rodziców i nowej szkoły. Mimo to nie sądził, by dziewczyna miała prawdziwe problemy albo była zagrożona jak Jolie Marsh. Tę ostatnią mogli stracić, podobnie jak stracili jej brata Jeba. Henry postanowił, że zadzwoni do obu rodzin. Żadna z nieobecności nie została wyjaśniona przez telefon ani mailowo.

Myśl o trójce młodych ludzi przywiodła mu na myśl popołudnie w lesie. Henry i Jones rozmawiali o legendzie, opowiedzianej Bethany Graves przez Michaela Holta. Dyrektor zaproponował, że znajdzie coś na jej temat, ale ograniczył się do pobieżnych poszukiwań w internecie, które, czemu się nie dziwił, nic nie dały. Henry sprawdził nawet Macka Holta, ciekaw, czy jego artykuły lub badania zostały archiwizowane na stronach uniwersytetu. Nie znalazł jednak nic prócz nekrologu Holta, smutnego i lakonicznego. Mąż Marli praktycznie zerwał kontakty z własnymi dziećmi i zmarł samotnie. Według plotkarskiego magla The Hollows Michael Holt wrócił tylko dlatego, że wciąż zadawał pytania o zaginioną matkę – pytania, na które

teraz mogły udzielić odpowiedzi kości znalezione na leśnej polanie.

Henry sięgnął po telefon, by zadzwonić do Maggie, ale nie mógł się na to zdobyć. Może powinien porozmawiać z Jonesem, opowiedzieć mu o tym, co należało wyznać lata temu. Ale jak mógł to teraz powiedzieć? Że tamtej nocy trzymał Marłę Holt w ramionach? Niby jak miał wyjaśnić, że ukrywał to tak długo i ujawnił się dopiero teraz, gdy znaleziono kości? Jak miał się przyznać do strasznego tchórzostwa? Henry zawsze się zastanawiał, dlaczego Michael Holt nigdy nie wspomniał o jego obecności w domu, nigdy nie powiedział o tym ojcu ani policji. Dopiero później Henry dowiedział się, że Michael nie pamiętał tamtej nocy ani tego, co się stało z jego matką.

Kiedy chłopak rozpoczął naukę w liceum, Henry obawiał się, że Michael go rozpozna, że widok nauczyciela pobudzi jego pamięć. Ale młody Holt najwyraźniej go nie zauważał. Henry nie miał Michaela w swojej klasie historycznej dla zaawansowanych. Kiedy mijali się na korytarzu, chłopak przesuwiał po Henrym pustym wzrokiem.

Wszystko to jednak działo się dawno temu. Jak w poprzednim wcieleniu. Przez tyle lat nie myślał o Marli, aż do tego popołudnia w lesie z Jonesem. Marla Holt była po prostu jeszcze jedną kobietą poza jego zasięgiem.

Zadzwonił brzęczyk na biurku.

– Panie Ivy, Bethany Graves na jedyńce. – Już chciał powiedzieć sekretarce Belli, żeby Bethany zostawiła jej wiadomość. Ale nie mógł tego zrobić. Nie chciał.

– Dzięki, Bella.

Z głębokim oddechem podniósł słuchawkę.

– Pani Graves? Czym mogę służyć?

Bethany zachichotała, a Henry poczuł rozlewające się po sercu ciepło.

– Brzmi pan jak... dyrektor – stwierdziła.

Henry spojrział na drzwi. Bella rozmawiała przez telefon, pewnie ze swoim chłopakiem, młodym policjantem z Hollows. To Bella zdobyła informacje o kościach odkrytych w Kaplicy. Ta dziewczyna była urocza, dobrze pracowała, ale paplała jak najęta.

– Przepraszam – powiedział, pozwalając sobie na uśmiech. – Cieszę się na nasze dzisiejsze spotkanie.

– Ja też – zapewniła Bethany. – Myślałam tylko o alergiach. A może jest jakaś potrawa, której pan nie cierpi?

– Nie. Lubię wszystko.

Henry nie zamierzał jej mówić, że jest prawie wegetarianinem; mięso je najwyżej raz w miesiącu. Nie przepadał za pikantnym jedzeniem, bo pocił

się po nim mało przyjemnie i robił się czerwony na twarzy. Raczej unikał nabiątu. Po niektórych winach dostawał zgagi. Kobiety nie lubiły, kiedy mężczyzna kaprysił przy jedzeniu.

– Świetnie – ucieszyła się Bethany. – Jedzenie to życie.

– O tak – zgodził się Henry. To mu się spodobało; naprawdę tak uważał.

– Dzwonię jeszcze z jednego powodu. – Bethany spoważniała. Henry przygotował się na nowy zawód.

– Mianowicie?

– Czy dobrze pan zna Cole’a Carra? – spytała. – Tego chłopaka, którego spotkaliśmy w lesie po południu?

– Jest nowy w szkole – powiedział Henry. – Ale nieźle sobie radzi. Wszyscy nauczyciele są zdania, że to dobry dzieciak, choć nieco wycofany i skryty. Czemu pani pyta?

– Cóż, wczoraj wieczorem wystawił Willow do wiatru. Miał do niej wpaść, ale się nie pojawił. Jest zdruzgotana.

Henry spojrział na nazwisko chłopca na ekranie, opatrzone dwoma czerwonymi znaczkami nieobecności.

– Właśnie miałem dzwonić do jego rodziny. Od paru dni nie ma go w szkole. Może zachorował albo wydarzyła się jakaś pilna sprawa rodzinna. Rodzice nie telefonowali.

W słuchawce zapadło milczenie.

– Willow mówiła, że wczoraj go widziała. Właśnie wtedy się umówili.

W głosie Bethany Henry usłyszał niepokój i rozczarowanie. Chociaż doskonale wiedział, że nie ma z tym nic wspólnego, poczuł się odpowiedzialny.

– Mógł pokazać się w szkole, ale nie przyjść na lekcje – zauważył. – Cole ma samochód.

– Na pewno się pokazał – powiedziała Bethany, choć to wcale nie brzmiało, jakby była przekonana. – Naprawdę nie sędzę, że Willow kłamała.

Dyrektor wiedział o mijaniu się Willow z prawdą. Mnóstwo nastolatków kłamało; to była kwestia poczucia własnej wartości. Najczęściej z tego wyrastały.

– Niedługo skontaktuję się z rodziną Cole’a – obiecał Henry, chcąc pocieszyć Bethany. – Dam pani znać, jeśli czegoś się dowiem.

– Dobrze.

– Postaraj się nie martwić, Beth. – Spodobało mu się brzmienie jej imienia. Przez chwilę obawiał się, że okazał zbyt daleko posuniętą

poufałość, ale wtedy usłyszał jej ciepły głos:

– Jest pan dobrym człowiekiem, panie Ivy.

Sam nie wiedział dlaczego, ale te słowa wcale nie sprawiły mu przykrości.

Jones widywał już gorsze miejsca niż motel Regal. Niektóre takie speluny: przygnębiające betonowe kompleksy w kształcie litery U, stanowiły siedlisko przestępczości: w jednym pokoju narkotyki, w drugim prostytutka. Niedawno podobny motel, położony bliżej The Hollows, spłonął doszczętnie w wyniku wybuchu małego laboratorium do produkcji amfetaminy.

Świeżo pomalowany Regal był przynajmniej czysty na zewnątrz. Leżaki i basen przykryto schludnie na zimę. Krzaki wzdłuż chodnika przycięto. Ktoś zadawał sobie trud, by dbać o to miejsce, co oznaczało, że miał też oko na gości. Sam szyld pozostawiał trochę do życzenia. Z powodu braku litery „g” napis głosił „The Re al Motel”.

Kiedy wszedł do czystego, cichego biura, zabrzączał dzwoneczek. W środku panował chłód, nie włączono ogrzewania. Za biurkiem siedziała masywna kobieta z siwymi lokami, która stuknęła w klawiaturę. Ponieważ nie podniosła na niego wzroku, Jones rozejrzał się po pomieszczeniu. Sztuczna roślina. Sfatygowana kanapa i stolik do kawy. Wieszak z wyświechtanymi, starymi czasopismami dla kobiet. Na ścianie wyłożonej ciemną boazerią niezdarnie porozwieszano zdjęcia bawiących się dzieci oraz dyplomy i pozwolenia od rozmaitych agencji. Jones zauważył też kilka amatorskich rysunków, przedstawiających okoliczne pejzaże. Na brudnym dywanie wydeptano ścieżkę od drzwi do biurka.

– Mogę panu pomóc?

Wciąż nie oderwała wzroku od komputera.

– Szukam przyjaciółki. Słyszałem, że zatrzymała się tutaj. Robin O’Conner.

Siwa kobieta podniosła wzrok, przesunęła okulary na nasadę nosa i omiotła go spojrzaniem.

– Gliniarz? – spytała tonem właścicielki. Nie była pomagierką ani pracownicą; rządziła tu i nie bała się o pracę. To mogła być zarazem dobra, jak i zła wróżba.

– Nie – odparł Jones.

– Emerytowany – stwierdziła.

Jones wzruszył ramionami. Z taką kobietą lepiej trzymać się prawdy.

– Wyświadczam przysługę przyjacielowi. Robin ma syna, który za nią

tęskni.

– Może pan zostawić wiadomość. Dopilnuję, żeby do niej dotarła. – Kobieta wróciła do komputera. W jej okularach Jones dostrzegł niebieskie i białe odbicia. Właścicielka motelu odwiedzała stronę MyFace. Dziwne, że wszyscy w tym siedzieli. Bardziej niż w świecie rzeczywistym.

Jones czekał. Podeszedł do ściany i bacznie przyjrzał się pozwoleniom. W latach służby posługiwał się tym zabiegiem, żeby wyprowadzać rozmówców z równowagi. Kiedy dokumenty były sfalszowane lub przeterminowane, ludzie robili się nerwowi, zaczęli paplać.

– Prowadzę tu przyzwoity lokal – powiedziała siwa. Kiedy znów na nią spojrział, wbijała w niego wzrok. Wyraźnie grał jej na nerwach. Chciała, żeby sobie poszedł. Świetnie.

– Widzę, że tak właśnie jest, droga pani – zapewnił uprzejmie. Nieco zbyt uprzejmie, ale nie szyderczo.

– Która godzina? – spytała.

Jones zerknął na starego timexa, któremu pozostał wierny od studiów.

– Dochodzi południe.

Kobieta popatrzyła w okno. Jones poszedł za jej spojrzeniem i zobaczył niewielką knajpę po drugiej stronie szosy.

– Ona niedługo tam pójdzie, o ile już tam nie jest. Pracuje na zmianie lunchowej.

Robin O'Conner musiała pracować na czarno, bo w przeciwnym razie pozostałby ślad na wyciągu z karty kredytowej. Właścicielka motelu dźwignęła się z krzesła, które zasyczało z ulgą. Nieco utykając, minęła drzwi za biurkiem. Jones uznał, że audyencja dobiegła końca i może po prostu odejść, ale ciekawość wzięła górę.

– Wczoraj odrzucono tu jej kartę kredytową – powiedział podniesionym głosem, aby usłyszała go w sąsiednim pomieszczeniu. Zapadło milczenie i nie sądził, że siwa wróci, ale po chwili stanęła w progu, marszcząc czoło.

– Chyba mówił pan, że nie jest gliniarzem.

– Nie jestem.

Kobieta zdjęła okulary i roztarła nasadę nosa. Oprawki zostawiły na twarzy czerwone odciski.

– Czasami ludziom trzeba odpuścić, nie sądzi pan? – powiedziała.

– Owszem. Ale podejrzewam, że w tym interesie nie stać panią na zbyt częste odpuszczanie.

– To prawda. I nie robię tego często. Ale Robin to dobra dziewczyna. Nie jest naszą stałą klientką.

- Zechciałyby pani to rozwinąć?
- Może sam pan się przekona?

Tym razem, gdy zniknęła za drzwiami, wiedział, że więcej się nie pojawi. Jones lubił takie osoby, solidne i pewne siebie. Zazwyczaj dobrze znali się na ludzkich charakterach, byli wiarygodnymi świadkami. Przypomniał sobie, co Paula mówiła o Cole'u: że jest dobrym chłopcem, a ktoś go kochał i dobrze go wychował. Te słowa potwierdzały opinię starej kobiety o Robin O'Conner.

Od razu ją poznał, ponieważ syn odziedziczył po niej urodę: kruczoczarne włosy, oczy w kształcie migdałów. Robin wyglądała na zmęczoną i za chudą, obojczyk napinał skórę, kostki w przegubach sterczały. Coś w jej wyglądzie przywiodło mu na myśl Eloise, a potem Marłę Holt. Dlaczego raz po raz trafiał na zaginione i skrzywdzone kobiety? „Nigdy nie potrafię odmówić damie w tarapatach”, powiedziała Maggie i może miała rację.

Robin O'Conner pracowała za barem. Jeden klient, kierowca ciężarówki, miał na talerzu więcej, niż Jones zjadł w ciągu dwóch dni – jajka, smażone ziemniaki, boczek, kiełbasę i dwie grzanki unurzane w sosie. Mimo to facet, pochylony nad posiłkiem i wsuwający ze smakiem, był mniej więcej rozmiarów nogi Jonesa. Czy istniała sprawiedliwość na tym świecie?

Robin podeszła, pochyliła się na blacie i spytała ze słodkim uśmiechem:

- Coś podać?
- Tylko kawę – powiedział Jones. – Dzięki.
- Na pewno? Wygląda mi pan na głodnego.
- Zamówiłbym to, co on – powiedział Jones, zerkając na kierowcę. – Ale padłbym trupem.
- Niech pan tylko na niego spojrzy – szepnęła. – Założę się, że w spódnicy wygląda lepiej niż ja.
- Wątpię – stwierdził Jones, ale łagodnym, ojcowskim tonem. Bez aluzji, nie chciał jej spłoszyć.
- Czarus – powiedziała, z tym samym uroczym uśmiechem. – Przyniosę panu jajka sadzone na grzance.
- Brzmi nieźle.

Kierowca wyszedł, Jones skończył jeść i zostali w knajpie tylko we dwoje, jeśli nie liczyć ludzi w kuchni na tyłach. Bez trudu pojął, dlaczego Robin nie stać na czynsz. W okolicy nie było firm, brakowało więc klientów w porze lunchu. Knajpa przycupnęła naprzeciwko motelu, przy mało uczęszczanej dwupasmówce. Klientela sprowadzała się pewnie do kierowców ciężarówek skręcających z autostrady, gości motelowych i nielicznych turystów, którzy

wybierali się w góry na wędrowkę czy biwak.

– Mogę panu coś jeszcze podać? – spytała.

– Nie przyszedłem tu tylko, żeby jeść. Możemy porozmawiać?

Strach wydłużył twarz Robin. Zerknąwszy w stronę kuchni, odeszła od baru.

– Proszę się nie bać – powiedział i uniósł rękę. – Paula Carr poprosiła mnie, żebym panią znalazł.

Robin nie odpowiedziała. Jones postanowił brnąć dalej.

– Domyślam się, że Paula chciała się oddalić od męża, ale nie miała zamiaru zostawiać z nim pani syna. – Widział, jak oczy Robin zachodzą łzami. – Teraz Paula wyjechała. Nie wiem dokąd.

– Gdzie jest Cole? – spytała zduszonym szeptem.

Wcześniej Jones tego nie przewidział. Co za głupota.

– Zakładam, że Cole ciągle jest z ojcem.

– Nie zostawiłby taty – powiedziała Robin i strzepnęła łzę spływającą po policzku. – On kocha Kevina. – Teraz usłyszał w jej głosie twarde, gorzkie tony.

– Niedawno widziałem Cole’a – powiedział Jones. – Był zdrowy i zadbany.

– Tak bardzo za nim tęsknię. – Robin uśmiechnęła się z ulgą.

– Kevin powiedział Pauli, że poprosiła go pani o przyjęcie Cole’a, ponieważ pani nowy chłopak nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Sugerował też problemy z alkoholem i narkotykami.

Robin rozplakała się na dobre.

– Nie – wykrztusiła w końcu. – Nic podobnego.

Jones zaprosił ją gestem ręki, żeby usiadła na jednej z sof, więc Robin wyszła z baru i osunęła się na czerwone winylowe obicie. Z kuchni nikt nie wyszedł sprawdzić, co się dzieje. Parking świecił pustkami.

– Muszę się wziąć w garść – powiedziała, wzięła serwetkę i otarła oczy, wydmuchując nos. Robin O’Conner była ładna, nawet płacząc. – Kim pan jest?

– Nazywam się Jones Cooper – powiedział. – Jestem prywatnym detektywem wynajętym przez panią Carr.

Słowa zabrzmiały fałszywie, chociaż były tak bliskie prawdy, jak to tylko możliwe. Robin przyjęła je najwyraźniej bez zastrzeżeń. Jones uznał, że pasuje do tej roli.

– To miało być tylko na lato – powiedziała, po czym urwała, splotła palce i chyba zastanawiała się nad dalszym ciągiem. – Cole i ja nieustannie się

sprzeczałyśmy. Zadawał się z ciemnymi typami ze szkoły, znalazłam w jego plecaku skręta. Kłóciliśmy się dzień w dzień. Straszne. Rozważałam wysłanie go na jeden z tych obozów z zaostrzoną dyscypliną.

Jones obserwował język ciała Robin: splatała i rozplatała palce, tarła czoło. Wewnętrzne końcówki brwi wędrowały w górę. Ta kobieta była zestresowana i smutna.

– Potem Cole oznajmił, że nawiązał kontakt z ojcem, chociaż nie odzywał się do nas od lat. Cole chciał spędzić lato z dala ode mnie.

– I pani się zgodziła?

– Cole chciał wyjechać. Kevin pojawił się w swoim błyszczącym samochodzie i go oczarował. Mówił dokładnie to, co należało: jak to był nieobecny ojcem i może dlatego Cole tak się rozbrykał. Może wspólne lato dobrze by mu zrobiło. Kevin chciał dostać szansę, żeby być lepszym tatą, chciał, by Cole poznał przyrodnie rodzeństwo. Zresztą nie stać mnie było na wysłanie Cole'a na taki obóz. A co ze studiami? Czy Kevin mógłby je sfinansować?

Robin umilkła i wyjrzała przez okno.

– Prawdę mówiąc, czułam się strasznie zmęczona. Harowałam, żeby związać koniec z końcem, codziennie użerałam się z Cole'em. To inteligentny chłopak, chciał studiować. Nie miałam pojęcia, skąd wziąć na to pieniądze. Kevin powiedział, że zapłaci. Zawsze umiał mówić to, co chciałam usłyszeć. Powinnam była wiedzieć. Może zresztą w głębi serca wiedziałam.

– Co takiego?

– Że albo jesteś posłuszna Kevinowi, kiedy jest miły, albo robi się przykry, a ty tańczysz, jak ci zagra, i nie jest to przyjemny taniec.

– Czyli? – Mimo to Jones czuł, że doskonale wie, co Robin ma na myśli.

– Pod koniec lata, kiedy Cole miał wrócić, Kevin przyjechał sam. Oświadczył, że chce, by Cole skończył szkołę w The Hollows. Jeśli pozwolę, Kevin zapłaci za studia. Odmówiłam. Chciałam, żeby mój syn do mnie wrócił. Chociaż poczułam ulgę, kiedy wyjechał na lato, strasznie za nim tęskniłam. Mijałam jego pusty pokój i serce mi pękało. – Oczy Robin znowu wypełniły się łzami, ale sprawiała wrażenie silniejszej.

– Pan ma dzieci – ciągnęła. – Widzę to. Człowiek strasznie je kocha, prawda? Poświęcasz wszystko, żeby je dobrze wychować, ale ta miłość cię przepenia.

– Święta prawda – przyznał Jones. – Czy Kevin zrobił się przykry, kiedy pani odmówiła?

– Początkowo nie – odparła. – Sugerował, że przyjechał sam, bo Cole jest bardzo szczęśliwy w Hollows. Pokochał Paulę i dzieci, stworzyli trwałą, kochającą się rodzinę. Kevin mówił to tak, jakby starał się mnie nie zranić, ale właśnie taki miał zamiar. I zranił mnie do głębi. Pomyślałam, że może powinnam pozwolić Cole’owi zostać u nich. Ale nie, przecież był moim synem. Poza tym rozmawialiśmy przez telefon, pisaliśmy maile. Cole mówił, że za mną tęskni, był gotów wrócić i przyłożyć się do nauki. Dobrze znałam mojego chłopca. Owszem, walczyliśmy ze sobą, ale zawsze mieliśmy dobre kontakty. Bardzo się kochaliśmy.

Następnie Robin opowiedziała Jonesowi, że Kevin niby się z nią zgadzał, odjechał i obiecał, że następnego dnia wróci z Cole’em. Nie pojawił się. Robin zaczęła wydzwaniać do biura, w nocy na jego komórkę, ale włączała się poczta głosowa. Później zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw wyłączono numer komórki Cole’a. Maile, które do niego pisała, odbijały. Robin domyśliła się, że syn jej unika.

Potem odłączono jej telefon. Kiedy zadzwoniła od sąsiadki, usłyszała od firmy telekomunikacyjnej, że sama zrezygnowała z ich usług. Ktoś, kto to zrobił, znał jej numer ubezpieczenia i hasło. Numer mogła uruchomić ponownie dopiero za kilka dni.

– Wtedy zaczęłam się bać – mówiła Robin. – Wsiadłam do samochodu, żeby pojechać do The Hollows. Postanowiłam zabrać syna z powrotem. Miałam prawa rodzicielskie, byłam gotowa o niego walczyć. Przypomniałam sobie, jakim człowiekiem był Kevin, kiedy go zostawiłam. Zimny jak lód. Ma serce z kamienia. Ten facet jest pozbawiony uczuć. Ludzie się nie zmieniają. Jak mogłam o tym zapomnieć?

– Zawsze próbujemy myśleć o ludziach jak najlepiej. To normalne – powiedział Jones, ale Robin tego nie słuchała. Pobladła z niepokoju, słowa wylewały się z niej, jakby zbyt długo je dusiła.

– Mój samochód nie chciał zapalić. Wezwałam mechanika, żeby go odholował, i usłyszałam, że przepaliła się płyta główna, najważniejsza część układu elektrycznego, a jej naprawa zajmie wiele dni i będzie kosztować tysiące dolarów.

Robin potrząsnęła głową, jakby wciąż nie mogła uwierzyć.

– Ogarnęła mnie panika. Przez trzy dni dzwoniłam do pracy i mówiłam, że jestem chora.

Jones pomyślał o tym, co już wiedział na temat Robin O’Conner.

– Czyli straciła pani pracę.

Przez moment myślał, że kobieta znowu się rozpłacze, ale tak się nie

stało.

– Miałam już sporo nieobecności z powodu problemów z Cole’em. Stąpałam po cienkim lodzie. Kevin chyba o tym wiedział. Chyba sama mu zresztą o tym powiedziałam.

– Czyli straciła pani pracę, telefon, samochód.

– Moje karty kredytowe zbliżały się do maksymalnego zadłużenia. Nie miałam wielu oszczędności. Widzi pan, pieniądze nigdy się mnie nie trzymały. Odkąd pamiętam, żyłam od pensji do pensji.

Tak wielu ludzi żyło w ten sposób. Wystarczyło jedno pchnięcie, by runęli w przepaść.

– Wiedziałam, że w tamtym miesiącu nie uda mi się zapłacić czynszu. W minionych latach już mi się to zdarzało. Firma zarządzająca mieszkaniem uprzedziła mnie, że więcej nie pójdzie mi na rękę.

– Czyli co? Zostawiła pani mieszkanie i przyjechała tutaj?

Jones wyjrzał przez okno na motel, potem popatrzył na kobietę przed sobą. Robin była dobrą matką, ciężko pracowała... przynajmniej takie odniósł wrażenie, tak też powiedziała właścicielka motelu. Jonesowi nie spodobało się to, co widział. Podobnie jak wszyscy, chciał wierzyć, że ludzie, którzy wpadali w kłopoty, sami na to zasłużyli. Z powodu popełnionych błędów trafiali w miejsca w rodzaju motelu Regal.

– Kevin do mnie przyjechał. Właśnie wtedy, gdy znalazłam się na dnie. Już miałam poprosić przyjaciółkę, żeby mnie do niego zawiozła, chciałam zrobić scenę, zawiadomić policję.

– Czemu od razu pani tego nie zrobiła?

– Czego? Nie zadzwoniłam na policję? Nie zrobiłam sceny?

– Tak.

Robin spojrzała na Jonesa jak na kretyna.

– Z powodu Cole’a. Nie chciałam, żeby widział, jak świruję. Wybrał tatę.

– Przynajmniej tak twierdził Kevin.

Robin spojrzała na Jonesa, mrugnęła, potem utkwiała wzrok w stole. Błat był czysty, właściwie nieskazitelny, jakby dopiero co wytarty.

– Kevin spytał, jak zamierzam opiekować się Cole’em, skoro nie mam pracy ani samochodu. Czy nie chciałam, żeby zamieszkał w ładnym domu, z dobrą rodziną? Nie chciałam, żeby się uczył? Chciałam. Naprawdę chcę tych rzeczy dla Cole’a.

– Więc po prostu pozwoliła pani synowi odejść? Chociaż miała pani powody, by sądzić, że Kevin kazał odłączyć pani telefon, unieruchomił pani wóz?

W ramach odpowiedzi Robin wyprostowała się nieco i spojrzała na Jonesa ciemnymi oczami.

– Niech pan posłucha. Nie mam nikogo. Moja mama jest w domu opieki na Florydzie. Od ponad roku nie stać mnie na to, żeby ją odwiedzić. Ona była samotną matką i nie miała dla mnie nic prócz miłości i wsparcia. To nie wystarczyło, żebym poszła na studia. Gdybym w przeszłości miała pieniądze na wykształcenie, może nie przenosiłabym się przez resztę życia z jednej beznadziejnej pracy do drugiej. Chciałam, żeby Cole miał lepszą młodość niż ja. On jest inteligentny, znacznie inteligentniejszy ode mnie. Zasługuje na coś więcej.

Jones docenił logikę jej słów, ale Robin nie mówiła jak wojowniczką. Ta kobieta zrezygnowała z siebie. Lekceważąco wyrażała się o własnych zdolnościach. Wprost wymarzona ofiara dla kogoś takiego jak Kevin Carr. Słońce wyszło zza chmur i zalało ich mleczone światło. Robin odwróciła się do okna jak kwiat do słońca.

– Zanim zaszłam w ciążę, Kevin był księciem z bajki, marzeniem każdej dziewczyny. Przystojny, bogaty, inteligentny. Kobieta, która daje się temu zaślepić, budzi się z ręką w nocniku. Dopiero po latach człowiek pojmuje, że liczy się tylko dobro, odwaga, żeby kochać i być kochaną. Cała reszta to kłamstwo.

W trakcie całej ich rozmowy szosą nie przejechał ani jeden samochód. Nikt nie wyjrzał z kuchni, żeby sprawdzić, co się dzieje z Robin. Wydawała się taka drobna, taka młoda. Jones chciał ją zabrać do domu, otulić, przynieść jej herbatę.

– Chce pani odzyskać syna? – spytał.

Robin gwałtownie wciągnęła powietrze i spojrzała na Jonesa z nadzieją i strachem.

– Tak.

Wtedy powtórzył jej słowa Pauli Carr, która wiedziała, że rzeczy, jakie Kevin wygadywał o Robin, są nieprawdziwe, bo Cole był takim dobrym chłopcem. Przekazał jej też od Pauli, że Cole jest bardzo smutny, bardzo tęskni za matką.

– Nie chodziło tylko o to, by pozwolić Cole’owi odejść – powiedziała Robin i otarła łzy serwetką ze stołu.

– Pani bała się Kevina.

– Tak.

– Skrzywdził panią?

– On nie stosuje przemocy fizycznej. – Robin potrząsnęła głową. – Kevin

ma w sobie dziwną pustkę, jakby był gotów zrobić wszystko, byle tylko zdobyć to, czego chce. Kiedy był w moim mieszkaniu, drżałam z przerażenia. Nie potrafię panu wyjaśnić dlaczego. On nigdy mi nie groził, nigdy mnie nie tknął.

Jones wiedział, że właśnie ta pustka budzi grozę. Kiedy patrzy się w oczy socjopaty, widzi się maskę albo otchłań. Przerażający jest właśnie brak jakiegokolwiek ciepła, czegokolwiek znajomego, ludzkiego.

– Paula też się go bała – powiedział Jones.

– A teraz zniknęła – stwierdziła Robin.

Jones poczuł wzbierający gniew, nad którym tak usilnie starał się zapanować. Chyba nadszedł czas, by złożyć wizytę Kevinowi Carrowi.

– Jak długo może tu pani zostać? – spytał.

– Sama nie wiem. – Robin otarła oczy. – Już i tak mieszkam dzięki dobremu sercu Patty.

– Cóż, tutejsza obsługa jest świetna – powiedział Jones. W portfelu miał sto dolarów, swoją tygodniówkę. Wręczył pieniądze Robin, co Maggie uznałaby za irytujące, ale typowe dla niego. Zresztą wiedział, że żona zrobiłaby to samo.

– Nie mogę tego przyjąć – powiedziała i odsunęła pieniądze. Jones jednak już wstał.

– Niech pani tu zostanie, dopóki się z panią nie skontaktuję – powiedział.

– To powinno wystarczyć na parę nocy, prawda?

– Dziękuję. – Robin spojrzała smutno na pieniądze. – Bardzo panu dziękuję.

– Będę w kontakcie – rzucił Jones i ruszył do wyjścia.

– Przywiezie mi go pan z powrotem?

Jones Cooper nie lubił składać obietnic. Świat sprzysięgał się przeciwko heroicznym oświadczeniom, które często pragnął wygłaszać.

– Spróbuję.

Oboje wiedzieli, że na nic więcej nie mógł się zdobyć.

Dzieci na szczęście spały. Chociaż był wczesny wieczór, przed wpół do ósmą, padły wyczerpane. Claire leżała w przenośnej kołysce w kącie dużego pokoju, Cameron rozłożył się obok niej, brzuchem do góry, na podwójnym łóżku. Pokój nie był wcale obskurny, wydawał się czysty. Wcześniej zaciągnęła żaluzje, przygasiła nocną lampkę i leżała wpatrzona w sufit. Rodzice chcieli, żeby wróciła do domu, ale nie mogła się na to zdobyć. Przecież zabrała dzieci, co w sensie prawnym kwalifikowało się jako porwanie. Opuściła dom rodzinny. Nie było dowodów przemocy fizycznej. Właściwie w wyniku ostatniego starcia to Kevin odniósł obrażenia. Mógł zeznać, że napadła na niego i zabrała dzieci. I z pozoru racja była po jego stronie. To ona miała broń.

Bardzo możliwe, że Kevin zawiadomił policję i w tej chwili szukali jej samochodu. Mimo to ogarnęła ją dziwna martwota. W nocy, gdy dzieci zasnęły, płakała. Minione dni nie należały do lekkich: jeździła od jednej restauracji do drugiej, szukała placów zabaw, żeby Cameron mógł się pobawić, karmiła Claire na tylnym siedzeniu, podczas gdy jej brat marudził i narzekał w foteliku. „Gdzie jest tata? Chcę wrócić do szkoły. To są najgorsze wakacje, jakie mieliśmy. Czemu nie możemy znowu pojechać do Disneylandu?”

Dziś w nocy nie miała już siły płakać. Musiała znaleźć w sobie siłę, zastanowić się, dokąd pojadą. W Maine miała przyjaciółkę, z którą w czasie studiów dzieliła pokój. W zeszłym roku odnowiły znajomość na Facebooku. „Jeśli tylko będziesz w okolicy, wpadnij do mnie!”. Paula zastanawiała się, czy przyjaciółka zapraszała szczerze.

Kevin stanął prawą nogą na niebieskiej ciężarówce, potknął się i runął jak długi. Upadając, wypuścił pistolet, który wylądował na kanapie. Paula skoczyła, żeby chwycić broń, ale Kevin odwrócił się, złapał ją za kostkę i pociągnął na podłogę. Paula upadła na prawe kolano, usłyszała okropny, głośny trzask; ból przeszył jej udo. Kevin usiadł okrakiem na jej biodrach i przygwoździł ręce Pauli do podłogi za głową.

– Paulo, porozmawiajmy – powiedział przez zaciśnięte zęby. Twarz wykrzywił mu upiorny grymas.

Odwróciwszy twarz, zaczęła płakać. Kevin był tak silny, że nie mogła ruszyć rękami.

– Zgoda – powiedziała, biorąc głęboki wdech, który wstrząsnął jej całym ciałem. – Przepraszam.

Kevin spojrzał na żonę podejrzliwie. Paula spróbowała smutno się uśmiechnąć. Po chwili puścił jej lewą rękę, żeby otrzeć pot z twarzy.

– W porządku – rzekł. – Nie chcę, żeby tak to wyglądało.

Wprost nie mogła uwierzyć, jak rozsądnie i normalnie brzmiał jego głos, zupełnie jakby stare małżeństwo prowadziło odwieczny spór. Kevin uśmiechnął się do Pauli z politowaniem i współczuciem. Wtedy poczuła smagnięcie gniewu i dopiero gdy minął, zrozumiała, że zacisnęła pięść i trzasnęła męża w twarz, rozmyślnie celując dużym diamentowym pierścieniem w oko. Z dreszczem rozkoszy usłyszała, jak Kevin wyje z bólu i stacza się z niej na podłogę. Paula skoczyła po pistolet. Kiedy się odwróciła, z bronią w ręku, Kevin stał przed nią. Unosząc ręce w górę, cofnął się o krok. Po twarzy obficie ściekała mu krew, zaczerwienione oko już puchło. Uderzyła go mocno. Ale nie dość mocno.

– Paulo – powiedział. – Bądź rozsądna.

– Nie zbliżaj się do mnie – zapiszczała ledwo zrozumiale.

Zaczęła się cofać ku schodom; córeczka wrzeszczała jak opętana. Płacz świdrował w głowie Pauli jak syrena. Powoli, stopień po stopniu, wstępowała na schody, Kevin szedł za nią.

– Niedobrze, Paulo – powiedział ostrzegawczym tonem. – Co właściwie zamierzasz zrobić?

Paula wzięła głęboki wdech, zmusiła się do zachowania spokoju. Postanowiła, że przestanie krzyczeć, bo czuła wtedy, że nie panuje nad sytuacją. Przecież to ona trzymała broń.

– Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię zabiła, Kevin – powiedziała. – Proszę. Nie chcę tego robić. Ale zrobię.

Paula nie była nawet pewna, co Kevin zobaczył na jej twarzy, co usłyszał w jej głosie, ale stanął jak wryty. Doskonale wiedział, że Paula go zabije. Wiedział, że umie posługiwać się bronią, bo nauczył ją tego ojciec. Paula wiedziała, że ma w ręce glocka, półautomatyczny pistolet bez zabezpieczenia spustu. Wiedziała, że w komorze jest nabój, a w magazynku dziewięć innych. Celnie strzelała; wiedziała, gdzie mierzyć.

Kevin stał w drzwiach pokoju dziecięcego, kiedy brała córeczkę na rękę. Claire przestała płakać i zaczęła szukać buzią sutka Pauli. Mleko boleśnie rozpierało jej piersi.

– Jeśli pozwolisz mi odejść, jak tylko znajdę się w bezpiecznym miejscu, zadzwonię do banku i zezwolę ci na dostęp do mojego konta. Jeżeli

pozwołisz mi odejść z dziećmi, możesz wziąć pieniądze.

Kevin mrugnął, rozważając jej propozycję. Kiedy nie odpowiedział, dodała:

– Moja matka jest beneficjentką tego konta. Jeśli mnie zabijesz, pieniądze trafią do niej.

Tu akurat minęła się z prawdą; nie było nawet takiej możliwości. Wcześniej próbowała wydać takie polecenie w banku, ale powiedzieli jej, że w tym celu potrzebna jest pisemna zgoda męża. W razie jej przedwczesnego zgonu całe środki przechodziły na współmałżonka. Ale może Kevin o tym nie wiedział.

Kevin uniósł dłonie i uśmiechnął się polubownie.

– Przesadnie reagujesz, kochanie. Pomówmy o tym.

Niesamowite, ale nawet w tej chwili Paula prawie wierzyła, że reaguje przesadnie, że to ona zachowuje się jak nienormalna. Kevin zagroził jej pistoletem, ona się broniła, a teraz zastanawiała się, czy postradała zmysły. Oto jak bardzo był przekonujący. Albo jak słaba była Paula. Któż mógł to teraz osądzić?

Wszystko było w samochodzie. Już kilka miesięcy wcześniej Paula spakowała rzeczy dla nich trojga. Chodzik, przenośną kołyskę, ubrania, pieluchy, chusteczki higieniczne, nawet gruszkę do odciągania mleka. Z córeczką w jednej ręce i pistoletem w drugiej, cofała się w stronę wozu. Kevin szedł za nią powoli i mówił łagodnie:

– Kocham cię, maleńka. Nie rób tego. Spójrz na mnie. Ja krwawię. – Rozpłakał się. – Nie odbieraj mi dzieci.

– Nie dzwoń do szkoły. Nie zawiadamiaj policji – powiedziała. – Kiedy będę bezpieczna, załatwię ci dostęp do pieniędzy.

W umyśle Pauli kłębiło się przerażenie, poczucie winy, nienawiść i smutek. Kiedy jednak ujrzała w lustrze własne odbicie, zobaczyła zdecydowaną, chłodną twarz. Ledwo się poznała.

Posadzenie małej w foteliku jedną ręką nie było łatwe, ale Pauli się udało. Matki potrafią robić prawie wszystko jedną ręką. Po zatrzaśnięciu drzwiczek schowała pistolet pod przednie siedzenie i powoli wycofała podjazdem, jakby to było zwykłe popołudnie, a ona właśnie jechała po Cammy'ego. Przyciskiem na osłonie przeciwsłonecznej zamknęła drzwi garażu. Zaczęły się opuszczać, zasłaniając męża potwora, który już nie płakał, ale się uśmiechał.

Córeczka poruszyła się przez sen, westchnęła. Paula bardzo chciała

zadzwoić do matki. Podrózowali juź trzy dni i trzy noce. W internecie czytała, że nie powinno się korzystać z kart kredytowych i telefonów komórkowych, bo w ten sposób policja namierza ludzi. Dlatego płaća gotówką, którą wcześniej zgromadziła w aucie. Aż do tej nocy zachowywała wielką czujność. Aby zarezerwować pokój w hotelu, musiała połużyć się kartą kredytową. Tu było o wiele przytulniej niź w ohydnych przydrożnych motelach, gdzie wcześniej się zatrzymywali. Minionej nocy nie zmrzyła oka, słucała, jak ludzie przechodzą korytarzem, z sąsiednich pokoiów dobiegały glosy, jazgotał telewizor. Pod poduszką trzymała pistolet. Policja chyba jej nie szukała. Przecież zawarła z Kevinem umowę. Umowę, której nie zamierzała dotrzymywać.

Ten hotel nie przyjmował gotówki bez wcześniejszego zabezpieczenia za pomocą karty kredytowej. Paula zaproponowała, że wpłaci depozyt, ale powiedzieli, że do rezerwacji potrzebna jest karta, chociaź na koniec mogła zapłacić gotówką. A ona naprawdę musiała się porządnie wyspać. Dzieci zaczynały juź grać jej na nerwach. Dlatego po raz pierwszy od lat połużyła się kartą kredytową. Moze do jej wyjazdu karta nie zostawi śladu w systemie, choć widziała, jak recepcjonistka przesuwaa ją przez terminal. Zresztą moze nikt Pauli nie szuka.

Jeszcze przez kilka minut biła się z myślami, w końcu podniosła słucawkę, żeby zadzwonić do matki na jej koszt.

– Paulo, kochanie. Gdzie ty się podziewasz?

– Wszystko w porządku, mamoo. Czy on do ciebie dzwonił?

– Nie – odparła matka. – Nie dzwonił, ale niejaki Jones Cooper zostawia wiadomości.

Paula na śmierć o nim zapomniiała. Skąd miał numer telefonu jej rodziców? Dlaczego chciał się z nią skontaktować? Istniało tylko jedno wytłumaczenie: jej mąż znalazł numer Coopera w telefonie Pauli i do niego zadzwonił. Teraz Jones Cooper jej szukał.

– Nic mu nie mów – poprosiła Paula. – To prywatny detektyw.

– On mówił, że chce ci pomóc. Myślisz, że Kevin go wynajął?

– Nie wiem.

Pauli kręciło się w głowie; wzbierała panika, jaka dopadała ją raz po raz od wielu dni. Jeździłi w kółko; pewnie nie znajdowali się dalej niź dwie godziny drogi od Hollows. Nie miała pojęcia, dokąd jechać, ani co robić.

– Paulo – powiedziała matka surowo. – Musisz przyjechać do nas z dziećmi. Dzwoniłam w kilka miejsc. Znalazłam dobrego prawnika, który zajmuje się takimi sprawami. On mówi, że musisz przyjechać do domu,

wystąpić o rozwód, uzyskać tymczasowe prawa rodzicielskie, jakie przyznaje się w wyjątkowych sytuacjach, złożyć skargę na męża, aby policja zakazała mu zbliżania się do ciebie. Zabierzmy się za to jak należy.

Wszystko to wyglądało na właściwy sposób postępowania, ale Paula umierała ze strachu.

– Co będzie, jak on postanowi nas ścigać? Jak tamten facet w Kalifornii, który wtargnął na przyjęcie gwiazdkowe i wszystkich pozabijał.

Matka milczała dłuższą chwilę, wreszcie rzekła:

– Przynajmniej wszyscy będziemy razem. Nie pozwolę, żebyś jeździła sama z Cameronem i małą. Mam tego dość. Pozwól, żebyśmy ci pomogli, żebyśmy cię chronili. Jesteśmy twoimi rodzicami, na miłość boską. Razem z nami na pewno będziesz bezpieczniejsza niż teraz, sama.

Paula nie odpowiedziała. Bardzo chciała wrócić do domu. Musiała wrócić. Prawdę mówiąc, nie była gotowa na ucieczkę z dziećmi, zatrzymanie się w jakimś schronisku, ukrywanie się przed mężem. Poczła obezwładniający spokój.

– Dobrze, mam – powiedziała. – Rano do was przyjadę.

W słuchawce usłyszała głębokie westchnienie matczynej ulgi.

– Zaraz po ciebie przyjedziemy. Gdzie jesteś?

– Nie trzeba. Muszę tylko się przespać, przyjadę z samego rana. Możesz umówić mnie z tym prawnikiem na jutrzejsze popołudnie?

– Jesteś pewna? – dopytywała matka. – Natychmiast wsiadamy do samochodu.

Paula spojrzała na słodko śpiące dzieci. Podobnie jak ona, potrzebowały odpoczynku. Nie mogła znieść myśli, że je budzi.

– Jestem pewna.

Potem powiedziała matce, gdzie się zatrzymali, żeby mogła zadzwonić, gdyby w środku nocy gnębił ją niepokój. W końcu odłożyła słuchawkę i poczuła się znacznie lepiej, bo uwierzyła, że wszystko się ułoży. Wstała i sprawdziła zamki w drzwiach. Klamkę podparła biurkiem. Nie zgasiwszy światła, wpełzła pod koc i zamknęła oczy. Po raz pierwszy od trzech nocy zasnęła, z pistoletem w szufladzie nocnego stolika.

Właśnie wtedy, gdy Willow wydawało się, że jej życie już nie może wyglądać tragiczniej, na kolację miał przyjść pan Ivy. Naprawdę? *Naprawdę?* Rzeczywiście miała to znosić? Czy kiedyś, dawno, dawno temu, nie byłoby społecznie naganne, niewłaściwe w sensie moralnym, by twoja matka umawiała się na randki? Wdowa, po rozwodzie – dlaczego po prostu sobie nie odpuści?

W dodatku poinformowała ją o tym jak gdyby nigdy nic. „Aha, Willow? Mówiłam ci, że zaprosiłam pana Ivy’ego na kolację? Co... kiedy? Hm, dziś wieczorem”. Dopiero wtedy Willow spostrzegła, że jej matka nie ma na sobie tradycyjnych legginsów i rozciągniętego swetra, ale sukienkę. Włosów nie spięła w kok, ale rozpuściła. W dodatku się umalowała! „O, mój Boże... czy on ci się podoba?”. „Nie jestem nastolatką, Willow. Po prostu miło jest mieć przyjaciela”. „Czyli... on jest twoim przyjacielem”. „Na razie nie jest nikiem”. „To czemu się uperfumowałaś?”.

Oto siedział naprzeciw Willow. Jadł powoli, z rozmysłem, czego oczywiście mogła się spodziewać. Pewnie każdy kęs żuł dwadzieścia razy, jak zalecały wszystkie matki świata. Takim już był gościem. Przynajmniej darował sobie sweter w romby i przyszedł w prawie fajnej płóciennej koszuli. Fryzurka kretyna. Może tak właśnie prezentował się na randkach, kiedy rezygnował z wyglądu dyrektora szkoły. Bo to była randka. Nie rozmawiali o Willow ani o tym, jak jej szło w szkole. Rozmowa nie koncentrowała się na jej osobie, choć próbowali ją włączyć.

Pan Ivy dosłownie spijał matce słowa z ust, pochylał się w przód, śmiał się, uśmiechał. O, bawili się setnie. Przy sałacie Willow nadal potrafiła sobie wmówić, że to wszystko jest jednym wielkim nic, matka po prostu uprawiała życie towarzyskie. Po kolacji (jej ulubiony chilijski okoń morski w sosie hoisin z młodą chińską kapustą, tak pyszny, że smakował nawet Willow) już wiedziała. Po rumieńcach na twarzy matki oraz dziwnym uśmiechu, który chyba widziała po raz pierwszy, poznała, że pan Ivy naprawdę podoba się Bethany. Przy deserze Willow zrobiło się niedobrze. Dłużej już nie mogła.

– O której Rick przyjeżdża w ten weekend? – spytała Willow. – Nic nie mówiłaś, że przyjeżdża. Że może zostanie na noc?

Matka spojrzała na córkę z opanowanym uśmiechem. Znały się jak łyse

kobyły.

– Rick to mój były mąż, ojczym Willow – wyjaśniła Bethany panu Ivy’emu, który przestał żuć. – Nie, nie zostanie na noc. Nigdy nie zostawał, o czym Willow wie doskonale.

Bethany i pan Ivy spojrzeli na siebie z porozumiewawczym uśmiechem.

– To było jej drugie małżeństwo – oznajmiła Willow. – Wiedział pan o tym? – Och, już czuła w sobie tę mroczną wredność, czarną dziurę. Wyraz twarzy matki na chwilę ją ocucił. To nie był gniew, ale ból.

– Hm – mruknęła Bethany i utkwiała wzrok w talerzu. Serwetkę gniotła w śmiertelnym uścisku. Willow spostrzegła, że pan Ivy oparł się na krzesło i również spuścił wzrok.

– Mój pierwszy mąż – powiedziała wreszcie Bethany – ojciec Willow, zmarł, kiedy miała trzy lata.

Dyrektor podniósł wzrok, ale Bethany nie patrzyła mu w oczy.

– Tak mi przykro – powiedział. – To musiało być... bardzo trudne.

Bethany zaśmiała się z zakłopotaniem, jak to miała w zwyczaju, gdy nie mówiło się o niczym zabawnym, ale próbowała robić dobrą minę do złej gry.

– To było dawno temu.

– Tak – potwierdziła Willow. – Ona o nim już całkiem zapomniała.

Kiedy Bethany znów podniosła wzrok, dziewczyna ujrzała w jej oczach odbicie własnego okrucieństwa. Willow wiedziała, że powiedziała straszną rzecz; nie było dnia, by matka nie tęskniła za ojcem. Doskonale o tym wiedziała, bo Bethany mówiła o nim nieustannie. O tym, że śpiewał pięknym głosem, uwielbiał się wygłupiać, by je rozśmieszyć, umiał gotować, ubóstwiał czytać i zawsze wierzył, że Bethany zostanie wziętą pisarką, na długo zanim ukończyła pierwszą powieść. Willow wiedziała o tym wszystkim i nie mogła znieść wyrazu twarzy matki.

„Przepraszam”, mogła powiedzieć. „Przepraszam, mamó”. Wtedy matka przyjąłaby przeprosiny i zachowywałaby się miło przez resztę kolacji. Dopiero potem by o tym porozmawiały. Ale Willow nie przeprosiła. Ze wzrokiem wbitym w talerz przesuwiała chińską kapustę, której nie zamierzała jeść. Nie weźmie do ust ani kęsa matczynego jedzenia, chociaż jej smakowało i umierała z głodu.

Od kilku dni mżyło z przerwami, ale teraz deszcz naprawdę lunął. Z taką siłą tłukł o dach i okna, że brzmiało to jak tupot nóg.

– Kurczę, ale się rozpadało – powiedział pan Ivy, odchrząknął i rozmasował czoło. Pewnie bolały go zatoki.

– Prawda? – Bethany chwyciła się jego słów jak tonący człowiek liny ratunkowej. Jej głos z trudem przecisnął się przez gardło i zabrzmiał bardzo słabo.

Willow pozwoliła sztuccom opaść z brzękiem na talerz, potem odsunęła krzesło z głośnym szurgotem.

– Czy mogę wstać od stołu? – spytała.

– Proszę bardzo, Willow. – Matka spojrzała na nią posępnie.

Najgłośniej jak mogła, wyszła z pokoju i udała, że wbiega na schody, ale potem zaczęła się w holu, żeby podsłuchiwać.

– Naprawdę mi przykro, Henry – powiedziała po dłuższej chwili Bethany.

– Nie, nie przepraszaj – odparł. – Naprawdę. Rozumiem.

– To moja wina. Faktycznie ją zaskoczyłam twoją wizytą. Sama nie wiem, co myślałam.

– Może myślałaś, że wszyscy będziemy dobrze się bawić – powiedział Henry łagodnie, pocieszająco.

– Taką miałam nadzieję.

– Chcesz, żebym sobie poszedł?

„Tak! Tak! Idź sobie! Wynoś się i nie wracaj”.

– Wiesz, Henry, rozumiem, że chciałbyś odejść. Dla dobra Willow powinnam pewnie powiedzieć, żebyś to zrobił. Ale nie chcę, żebyś szedł. Poza tym nie jestem pewna, czy Willow powinno się pozwalać na niegrzeczne zachowanie i stawianie na swoim. Może już czas, chociaż wiem, że przeżywa trudny okres, żeby trochę dorosła.

Zapadło milczenie. Willow czuła, że się dotykają. Może trzymali się za ręce. Albo, Boże broń, całowali się!

– Chciałbym zostać – powiedział Henry. – Pomóc ci sprzątnąć ze stołu?

Gdyby Willow mogła wrzasnąć z wściekłości, to by właśnie zrobiła. Zamiast tego poszła cicho po schodach do swego pokoju. Tam rzuciła się na łóżko i zalała się łzami. Nie mogła nawet powiedzieć, czemu czuła się taka nieszczęśliwa. W końcu się wypłakała i leżała na łóżku bez sił, nienawidząc matki, The Hollows i całego swego żałosnego życia. Czy był teraz na świecie ktoś nieszczęśliwszy niż ona? Willow szczerze w to wątpiła.

Bębnienie deszczu o szybę brzmiało tak strasznie i przygnębiająco, że włączyła telewizor, ale stwierdziła, że kablówka nie działa. Jasne. Cisnęła pilotem przez pokój, ale wylądował bez szwanku w koszu z rzeczami do prania, które miała wynieść przed kolacją. Willow siedziała na łóżku, czując się jak zwierzę w klatce i uzalając się nad sobą. Nagle dostrzegła w oknie błyskające światło. Rytmicznie rozbłyskiwało i gasło, na przemian ciemność

i światło.

Podeszła do okna i wyjrzała. W świetle werandy, pod dużym parasolem, stali Cole i Jolie. Cole błyskał latarką, Jolie trzymała parasol. Twarz przyjaciółki rozpromieniał ten uśmiech, któremu Willow nie potrafiła się oprzeć. Bez względu na panującą wszędzie beznadzieję obiecywał świetną zabawę. Uśmiech Cole'a obiecywał coś zgoła innego. Willow pomachała do nich, wystawiła palec. Z szafy wyjęła pelerynę i cicho zeszła po schodach. Słyszała śmiech matki i pana Ivy'ego. Bez cienia poczucia winy wymknęła się na dwór.

Dlaczego nigdy pan się nie ożenił, panie Ivy? – Na przemian nazywała go Henrym i panem Ivym. Podobało mu się brzmienie własnego imienia w jej ustach. Zazwyczaj to pytanie wprawiało go w konfuzję, onieśmiewało. Ale Bethany nie osądzała i miała w sobie taką otwartość, że Henry naprawdę zastanowił się nad odpowiedzią.

– Sam nie wiem – powiedział. – Zawsze lądowałem w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie albo nigdy nie znajdowałem się w tym miejscu co trzeba.

Wcześniej z powodzeniem stłumił myśli o Marli Holt, żeby przyjść na kolację. Po rozmowie telefonicznej z Bethany pomyślał, że kosmiczna siła, która uznała, że Henry nie zasługuje na szczęście, może się pieprzyć. Lubił Bethany Graves, a ona najwyraźniej lubiła jego. Nie zamierzał wracać do domu i pogrążyć się w ponurych rozmyślaniach o tym, co spotkało Marłę Holt i co mógł zrobić, by temu zapobiec. Na co by się to teraz zdało?

W drodze na kolację usłyszał w radiu, że ekspert w dziedzinie medycyny sądowej potwierdził, iż kości należą do Marli. Zatem tam leżała. Przez cały czas tam była. Ale nawet ten fakt Henry teraz zdołał zamknąć w szufladzie. Później mu się przyjrzy.

– Czy kiedykolwiek byłeś zakochany? – spytała Bethany.

Henry za dużo wypił. W jego wypadku oznaczało to ilość przekraczającą dwa kieliszki wina. Właśnie sączył trzeci, czując, jak po jego ciele rozlewa się uczucie ciepłej lekkości. Po rumieńcach na twarzy Bethany poznał, że ona czuje się podobnie. Odkąd Willow powędrowała na górę, dotykali się. Henry ośmielił się łagodnie pogłaskać rękę Bethany. Kiedy opowiadała mu o mężu, który zmarł młodo, zostawiając ją z małym dzieckiem, pospiesznie splekli palce. Potem przenieśli się od stołu na kanapę w salonie, a pragnienie, by ją pocałować, stało się niemal bolesne. Powietrze między nimi było naładowane elektrycznością.

– Tak – powiedział. – Kiedyś byłem zakochany.

Bethany zmarszczyła czoło i położyła dłoń na twarzy Henry’ego.

– Miłość nie powinna tak cię zasmucać – stwierdziła.

Coś było w tym zdaniu, a może w czułości Bethany, w jej otwartej twarzy. Wszystko, co od dawna w sobie dusił, wezbrało w Henrym.

– Nie w tym rzecz – powiedział.

Z pokoju Willow dobiegła muzyka, zgodnie z przewidywaniami hałaśliwa i gniewna. Henry powiódł wzrokiem po salonie, wysokich regałach, płaskim ekranie telewizora; z wnek sączyło się ciepłe bursztynowe światło. Siedzieli na pluszowej kanapie, Bethany przyciskała nogę do jego nogi. Henry mógłby się zanurzyć w to miejsce, w tę chwilę z nią. Gdyby tylko potrafił zablokować myśli.

– Opowiedz mi – poprosiła. – Naprawdę mi opowiedz. I tak możemy tylko rozmawiać, skoro panna Willow działa w trybie „szukaj i niszczy”.

Bethany uśmiechała się szeroko i ufnie. Czekąca, aż opowie jej o swej nieodwzajemnionej lub utraconej miłości albo o tym, jak trudno jest kogoś poznać w małym miasteczku. Oczekiwała czegoś normalnego.

– Słyszałaś o kościach? – zapytał. – Znaleźli je w Lesie The Hollows.

Przez twarz Bethany przemknął cień, jakby przypomniawszy sobie o czymś niepokojącym. Wtedy do niego dotarło. Właściwie to Willow znalazła Marłę Holt. Gdyby tamtego dnia nie uciekła ze szkoły i nie zpuściła się w las, nie spotkałaby Michaela Holta przy Kaplicy. Nie przyprowadziłaby tam przyjaciół, co w konsekwencji przywiódło na miejsce Henry’ego, Bethany i Jonesa Coopera. Gdyby ten ostatni nie wrócił tam i nie zawiadomił policji, kości nie odkryłby nikt prócz Michaela. Ta myśl wydała się Henry’emu niemal zabawna, chociaż głowę rozsadzał mu ból.

– Kości? – spytała. – Jakie kości?

Z trudem poruszał głową. Marla i Bethany. Michael i Willow. To naprawdę zakrawało na kosmiczny żart. Oto siedział obok tej inteligentnej, pięknej kobiety, po raz pierwszy od dawna w romantycznym nastroju. Ponieważ drogi córki Bethany Graves i Marli Holt się skrzyżowały, Henry nie mógł tu po prostu siedzieć, nie mógł jej pocałować, powiedzieć, że według niego jest piękna i uwielbia z nią rozmawiać. Nie mógł jej powiedzieć, że to mu wystarczy, i to z nawiązką. Nawet do tego nie miał prawa.

– Policja znalazła w Kaplicy kości – powiedział.

– Tam, gdzie była Willow? – Bethany z przestrawieniem wciągnęła powietrze.

Henry przytaknął, zmarszczki na czole Bethany się pogłębiły. Wszystko jej opowiedział.

Ray przyszedł przemoczony i rozdrażniony. Eloise wzięła od niego kurtkę i odwiesiła ją do suszarni. Potem zaparzyła herbatę.

– Wyniki badań dentystycznych potwierdzają, że kości należą do Marli Holt – powiedział i ciężko osunął się na krzesło. Eloise podała mu ręcznik, którym się wytarł.

Oczywiście już to wiedziała. W jej pracy nie było co prawda nic pewnego, ale sprawa kości wydawała się jej przesądzona.

– A Michael?

– Szukam go już drugą noc, łączę po tych cholernych lasach i wołam go po imieniu. – Ray wzruszył ramionami. – Dzisiaj przekonałem Chucka Ferrigna, żeby posłał tam ludzi. Przecież w lesie znaleziono kości Marli Holt, popełniono morderstwo. Odbędzie się kolejne śledztwo. W najlepszym razie Michael jest świadkiem, w najgorszym...

Eloise siedziała naprzeciwko Raya.

– Czy on ją zabił, Eloise? Był tylko dzieckiem. Czy Michael Holt zabił matkę?

– Nie mam pojęcia.

– Ale jak myślisz?

Nie odpowiedziała. Ray dobrze wiedział, że nie zamierzała snuć domysłów. Powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od Marli Holt. Łatwo było wyciągać pochopne wnioski.

– Jak mogłem to przeoczyć? Nawet nie przyszło mi to na myśl.

– Nie zadręczaj się.

Czajnik zaczął gwizdać, więc Eloise wstała i nalala wrzątku do imbryka.

– Zastał ją z innym mężczyzną, wpadł w szal i ją zabił. Ale ponieważ ją ubóstwiał, nie mógł znieść tego, co zrobił. Dlatego stłumił wspomnienie.

Eloise wiedziała, że Ray tylko tak mówi, po prostu sprawdza, jak to brzmi.

– Tam był jeszcze jeden mężczyzna – przypomniała mu i spojrzała na porcelanowy imbryk w białe i niebieskie kwiatuszki. Dostała go od córki. Tak bardzo za nią tęskniła. Nie wiedziała czemu, ale w tej chwili tęsknota wprost ją rozdzierała. Eloise postanowiła, że zadzwoni do Amandy. Musiały pomówić. Może pojedzie do córki, bez względu na to, czy ta ją zaprosi, czy nie; może Amandzie łatwiej będzie nie przyjeżdżać do tego domu

zamieszkanego i nawiedzanego przez tyle duchów.

– Mack. – Głos Raya przywołał ją do rzeczywistości. Eloise bardzo chciała koncentrować się na tym, co mówił, ale nie mogła przestać obracać w głowie słów Jonesa Coopera. Przenikały ją myśli o sobie samej, o pracy, o związku z Rayem, którego naprawdę bardzo kochała.

– On pracował tamtej nocy – przypomniała Rayowi.

– Może wrócił do domu? Może przez te wszystkie lata osłaniał Michaela i właśnie to sprawiło, że sfiksował. Czternastolatek nie zdołałby pochować własnej matki.

– Może i nie. – Eloise nie chciała już dziś myśleć o tych sprawach.

– Michael wiedział, że odpowiadzi kryją się w tamtym domu – mówił Ray.

– Podejrzewał też, że Gloria Miller wie więcej, niż mówi.

– Wobec tego może powinieneś jeszcze raz ją odwiedzić – zasugerowała Eloise. – Opowiedz jej o kościach.

– Myślisz, że teraz zaczniesz mówić? Teraz, gdy znaleźliśmy Marłę Holt?

Eloise nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że nie chce więcej rozmawiać o śmierci, morderstwie, bólu i cierpieniu ani o całych latach kłamstw.

– Możliwe.

Ray nie potrzebował większej zachęty; już wszedł w swój stan pobudzenia. Teraz nie będzie odpoczywał, jadł, nie usiądzie spokojnie, dopóki nie uzyska pewności, że sprawdził wszystkie tropy. Potem wpadnie w posępny nastrój. Karen miała rację, że od niego odeszła. Ray nigdy nie dbał o nikogo tak, jak o pracę. Nawet o Eloise.

Mężczyzna minął ją, żeby wziąć kurtkę z suszarni. Po chwili znalazł się przy drzwiach. Przed wyjściem zerknął na Eloise.

– Dobrze się czujesz? – spytał z dłonią na klamce.

– Wiesz, Ray, chyba zrobię sobie małą przerwę – powiedziała, podchodząc do niego. – Może polecę do Seattle zobaczyć się z Amandą i dziećmi.

Na jego twarzy odmalował się smutek, cień żalu. Eloise spodziewała się, że Ray zacznie się sprzeciwiać, przypominać o ludziach oczekujących na ich usługi, o zobowiązaniach wobec wszystkich, którzy szukali sprawiedliwości i odpowiedzi. Ale nie.

– To świetny pomysł, Eloise – powiedział, uśmiechnął się serdecznie, odwrócił się do niej i ujął ją lekko za przegub. – Powinnaś to zrobić. To dla ciebie dobre. Dobre dla Amandy.

– Ray.

Zamknął ją w szybkim, silnym uścisku, po czym ruszył do drzwi. Właśnie

zamierzała spytać, czy pojechałby razem z nią, ale zanim znalazła słowa, odszedł.

Słyszałaś? – spytała Jolie. – O kościach.

Jolie siedziała z przodu obok Cole'a. Samochód cuchnął zastałym papierosowym dymem, który wgrzył się w tapicerkę, drapał Willow w gardle; od smrodu rozboleły ją zatoki.

– Uchyl okno – powiedział Cole. Jolie przewróciła oczami, ale spełniła polecenie. Willow patrzyła, jak dym wypływa cienką, płaską smużką.

– Jakie kości? – spytała Willow. Już znalazła się w tym miejscu żalu, które tak dobrze знаła. Żal zagnieździł się głęboko w jej brzuchu. W lusterku wstecznym zobaczyła, że Cole na nią patrzy, choć odkąd wyslizgnęła się z domu, żeby się z nim zobaczyć, prawie nie zwracał na nią uwagi.

– W Kaplicy – odparła Jolie z tą swoją miną opowiadaczki historii o duchach. Oczy błyszczały jej radośnie i groźnie. – Pamiętasz, gdzie spotkałaś tego świra, Michaela Holta, jak kopał w ziemi? Tam znaleźli kości.

– Czyli to, co powiedział mojej mamie, było prawdą. – Willow poczuła narastającą ciekawość.

– Nie – powiedziała Jolie. – To są kości jego matki. Wszyscy myśleli, że ona uciekła sto lat temu, ale okazuje się, że została zamordowana.

Cole zatrzymał samochód na poboczu i Willow spostrzegła, że wrócili na ten ohydny cmentarz. „O, nie. Co jej dolegało? Czemu robiła takie rzeczy?”.

– Co my tu robimy? – spytała Willow.

– Nie chcesz zobaczyć miejsca, gdzie on kopał?

– Nie.

– On ciągle tam jest – mówiła Jolie. – Uciekł, kiedy znaleźli kości. Myślą, że mógł zejść do kopalni i tam zamieszkać.

– Jasne, jak ludzie-krety – dodał Cole. – Słyszałaś o ludziach, którzy zamieszkali w opuszczonych tunelach metra pod Nowym Jorkiem?

– To miejska legenda – powiedziała Willow ostrzejszym tonem, niż zamierzała. Nie podobało się jej, kiedy ludzie, którzy nigdy tam nie byli, udawali, że znają się na Nowym Jorku. Cole wciąż przyglądał się jej w lusterku, ale Willow zmusiła się, by przenieść wzrok na Jolie.

– Nie chcesz tam pójść? – spytała przyjaciółka z niedowierzaniem.

– Ostatnim razem, kiedy tam poszliśmy, uważałaś, że kłamię – przypomniała jej Willow. – Nie wierzyłaś mi.

– No, teraz ci wierzę.

Cole odwrócił się i spojrział na Willow. Jego twarz jaśniała w półmroku samochodu. Pod oczami miał ciemne kręgi ze zmęczenia. Gdyby nie czuła do niego nienawiści, spytałaby, czy dobrze się czuje. Ale nienawidziła go. Troszeczkę. Deszcz bębnił o dach. Za oknem z trudem dostrzegała nagrobki. Czemu ktoś chciałby łązić po ciemnym lesie, w ulewnym deszczu, kiedy mógł się tam czaić psychopatyczny morderca? Willow zadała Jolie to pytanie, a Cole się roześmiał i rzekł:

– Dokładnie to samo powiedziałem.

Jolie zmarkotniała.

– Właśnie na tym polega problem tej zasranej dziury. Wszyscy są nudni, nudni, nudni. Gdzie wasza chęć przeżycia przygody?

Willow zdała sobie sprawę, że nie dba już o to, co Jolie myśli na jej temat. Całe to przedsięwzięcie było kretyńskie. Co więcej, okropnie zachowała się wobec matki, a teraz siedziała w samochodzie z Cole'em i Jolie, podczas gdy na dworze szalała burza. Znowu uciekła matce, znowu ją zawiodła. Nie miała przy sobie komórki. Kiedy Bethany odkryje nieobecność Willow, a wkrótce się to stanie, ogarnie ją przerażenie.

– Te dzieciaki są zagubione – powiedziała jej matka. – Nikt o nie nie dba. Może myślisz, że to jest fajne, ale się mylisz. To jest smutne. – W tej chwili Willow zrozumiała, co Bethany miała na myśli, ale pewnie było już za późno. Matka nigdy nie wybaczy jej tej nocy. Willow spojrzała na Cole'a w lusterku.

– Możesz mnie odwieźć do domu? – spytała.

– Jasne – odparł i włączył silnik.

– Co? – spytała Jolie piskliwym głosem i zmrużyła oczy do dwóch wściekłych punkcików. – Ale z was mięczaki.

Jolie naciągnęła kaptur i wysiadła na deszcz. Willow widziała oddalające się światło latarki.

– Ona zwariowała – stwierdziła i opuściła okno. – Jolie! – zawołała. – To szaleństwo. Wracaj.

– Pieprzcie się! – Głos przyjaciółki rozbrzmiał w deszczu cicho, dziecinnie, niewiele głośniejszy niż szept. Gdy światło latarki znikło wśród drzew, Willow zamknęła okno. Cole też wpatrywał Jolie.

– Chodźmy po nią – powiedziała Willow, naciągając kaptur na głowę.

– Poczekaj – powstrzymał ją Cole. – Ona za moment wróci. Wierz mi.

Willow nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w noc i modliła się, żeby Jolie wróciła. Wiedziała, że w przeciwnym razie będą musieli po nią pójść.

Nie mogli zostawić jej samej w lesie. Jolie też o tym wiedziała.

– Przepraszam – powiedział po chwili Cole.

– Za co? – Teraz Cole odwrócił się i patrzył na nią. Willow usiłowała się na niego nie gapić. Te gęste rzęsy, ładne, miękkie usta.

– Za to, że do ciebie nie przyszedłem. Chciałem, ale... – Urwał, wypuścił powietrze, spojrzał na własne paznokcie.

– Ale co?

Przez chwilę wydawało się jej, że śni. Oto siedziała z nim sam na sam, na dworze lał deszcz; czuła, że przeniosła się w świat wyobraźni.

– Okłamałem cię – wyznał Cole. – W sprawie mojej mamy.

Willow wiedziała. Przypomniała sobie, jak pomyślała, że Cole kłamie.

– Ona nie jest w Iraku?

– Nie. Nie wiem, gdzie ona jest. Mój tata powiedział, że mama jest z jakimś facetem i przez pewien czas nie chce, żebym z nią mieszkał. Podobno chce, żebym skończył tu szkołę i mieszkał z rodziną taty.

– Przykro mi. – Willow mówiła szczerze. Pamiętała, jak się czuła, kiedy Rick zamieszkał z tamtą striptizerką, chociaż on i mama byli już po rozwodzie. Dobrze wiedziała, jak się czuła, kiedy jej mama bawiła się świetnie z panem Ivym. Czuła się zdradzona i zraniona. Nie była pewna swego miejsca w rodzinie, w świecie. Willow przełożyła rękę przez siedzenie, a Cole ujął jej dłoń. Poczwała ciepło rozlewające się po całym ciele.

– A teraz moja macocha, przyrodni brat i przyrodnia siostra też zniknęli. Podejrzewam, że Paula uciekła od mojego taty. On mówi, że Paula go skrzywdziła i zabrała dzieci. – Cole odsunął się od Willow i oparł się o drzwiczki po stronie kierowcy.

– Ale?

– Ale ona jest taka miła, jest taką dobrą mamą – mówił Cole. – Nie wyobrażam sobie, by kogokolwiek mogła skrzywdzić.

Willow nie widziała dokładnie jego twarzy, bo zasłaniał go fotel. Przecisnęła się między siedzeniami i usiadła z przodu, na miejscu zajmowanym wcześniej przez Jolie.

– Myślisz, że twój tata kłamie?

– Może. – Cole potrząsnął głową. – Sam nie wiem. Jeżeli skłamał w sprawie Pauli, czy kłamał też o mojej mamie?

– Nie możesz do niej zadzwonić?

– Odłączyli jej telefon. Wywalili ją z pracy. Nie odpowiedziała na żaden z moich maili.

Willow pomyślała o matce, o tym, że naprawdę musi wracać do domu.

Potem spostrzegła, że Cole płacze. Po policzku spływała mu łza. Szybko ją otarł. Willow wyciągnęła ku niemu ręce, a chłopak w naturalny sposób wpłynął w jej objęcia.

– Wszystko w porządku – pocieszyła go, chociaż nie miała żadnych podstaw, by tak uważać. Wszystko, co wiązało się z tym chłopakiem, sprawiało, że czuła się dobrze, jego otulające ją ręce, jego twarz przy jej szyi, włosy Cole’a pod jej palcami. – Gdzie jest teraz twój tata?

Cole odsunął się od niej raptownie, odwrócił się i spojrzał w ciemność.

– Słyszałaś to?

Z mocno bijącym sercem Willow wsłuchiwała się w deszcz. Po chwili ona też usłyszała czyjś odległy, przytłumiony krzyk. Chyba. Jednocześnie wysiedli z samochodu prosto w strugi ulewnego deszczu. Willow stanęła u boku Cole’a. Patrzyli w stronę lasu, ale niczego więcej nie usłyszeli. Dziewczyna widziała przed sobą tylko mrok i deszcz. Może wyobraźnia płatała im figle. Może wcale nic nie słyszeli. Mimo to Willow wiedziała, że nie wolno zostawić przyjaciółki samej.

– Chodźmy po nią – powiedziała.

– Zgoda.

Jedynym światłem, jakim dysponowali, był wąski snop latarki Cole’a.

Dzisiejszej nocy w okolicy przewidywane są intensywne opady deszczu – oznajmił prezenter radiowy. – Mamy doniesienia o zalanych ulicach, niektóre lokalne drogi znalazły się całkowicie pod wodą.

Jones nie cierpiał radosnego głosu prezenterów przekazujących złe wiadomości. Ten pozornie opanowany ton był całkowicie nieszczerzy.

– Po raz pierwszy od trzydziestu lat Black River wystąpiła z brzegów. Władze podają, że poziom wody stale rośnie. Moi drodzy, z pewnością nie muszę tego mówić, ale powiem: jeśli nie musicie tej nocy wychodzić, zostańcie w domu.

Jones zaparkował samochód przed domem Carrów i czekał. Przypomniawsobnie niekończące się, wielogodzinne czekanie i obserwowanie, czasem samotne, czasem z partnerem. Kiedy Ricky był mały, Jones często lubił ciszę i samotność, ale czasem zostawanie sam na sam z własnymi myślami było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Właśnie w tych cichych, pustych momentach sprawy, o których nie chce się myśleć, paradowały przed tobą i domagały się uwagi.

Maggie dzwoniła do niego już dwukrotnie. Raz, aby spytać, kiedy wróci, bo niepokoila się o niego z powodu pogody, później zadzwoniła z prośbą,

żeby sprawdził, jak sobie radzi jej matka. Telefony komórkowe działały, ale w starszych dzielnicach miasteczka połączenia stacjonarne zostały zerwane. Podczas burzy telefon Elizabeth zawsze wysiadał jako jeden z pierwszych. Będąc upartą starą oślicą, nie zgadzała się na komórkę, bo to ułatwiłoby życie Maggie i Jonesowi.

– Nie ma problemu – zapewnił żonę Jones. – Panuję nad sytuacją.

– I nie kłóć się z nią.

– Nie będę. – Naprawdę zamierzał dotrzymać słowa, chyba że Elizabeth zacznie pierwsza. Relacja Jonesa z teściową zawsze była ciernista, ale po wydarzeniach minionego roku sprawy znacznie się pogorszyły. Praktycznie przy każdym posiłku wybuchały scysje. To była kolejna rzecz, o którą Maggie miała do niego pretensję, choć zdaniem Jonesa wina nie leżała wyłącznie po jego stronie.

– Nawet gdyby ona cię prowokowała, Jones – nalegała Maggie – postaraj się ją nakłonić, żeby do nas przyjechała.

– Nie zgodzi się.

– Po prostu ją poproś. Gdzie teraz jesteś?

Podczas poprzedniej rozmowy opowiedział żonie o Robin O’Conner i pieniądzach, które jej dał. „Ty stary mięczaku. Była ładna?”. Jones opowiedział też Maggie o wizycie u psychoanalityka, o jego słowach na temat ojca Jonesa. „Faktycznie niewiele rozmawiamy o twoim ojcu. Może doktor Dahl ma rację: warto się temu przyjrzeć”. Teraz Jones powiedział Maggie, że stoi przed domem Carrów, w którym, w przeciwieństwie do innych domów na ulicy, nie paliły się światła. U sąsiadów widział otwarte drzwi garaży, migotały telewizory, w oddali dzwonił telefon.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała.

– Tak daleko nie wybiegam myślą. Chyba nikogo nie ma w domu.

– Co by zrobił Columbo?

– Columbo? Serio? W telewizji masz tylu seksownych detektywów twardzieli, a ja przypominam ci właśnie jego?

– Nie oglądam zbyt wiele telewizji. Zresztą Columbo zawsze wydawał mi się dość pociągający. Masz broń? – Oto jego żona, urodzona pragmatystka.

– Nie. Mam tylko latarkę Maglite. – Na służbie człowiek miał przy sobie broń, pałkę oraz maglite, ulubioną latarkę wszystkich policjantów. Około półtora kilo metalu, w tym baterie; w razie konieczności można nią było zadać solidny cios.

W słuchawce rozległo się niepewne mruknięcie Maggie. Przez chwilę Jones wpatrywał się w okna domu Carrów. Nic.

– Po prostu uważaj, dobrze?

To samo mówiła mu zawsze, gdy wyjeżdżał do pracy. Chociaż Jones był tylko gliniarzem z małej miejsciny, gdzie najczęściej panował spokój, Maggie stale się o niego martwiła. W tamtych czasach wściekała się na niego, kiedy nie dzwonił wtedy, gdy obiecał, albo kiedy zostawał dłużej w pracy. „Nie martw się”, pocieszał ją. „Jeśli naprawdę do czegoś dojdzie, oni przyjdą do ciebie do domu”. „To ma mnie niby pocieszyć?”. Jonesowi podobało się, że Maggie się martwi. Teraz też podobało mu się, że chce, by wracał do domu.

– Czy to znaczy, że wciąż mnie kochasz?

– Nie bądź niemądry – odparła tym swoim ciepłym, zalotnym tonem.

– Wczoraj wieczorem ostro się na mnie wściekłaś.

– Nie wściekałam się, ale martwiłam – sprostowała.

– Nie. Wściekłaś się.

– Zgoda – przyznała. – Byłam zła, zdenerwowana. – Jones przypomniał sobie, że Maggie nie lubi słowa „wściekłość”, bo sugerowało brak wrażliwości, coś poza kontrolą. – Ale kocham cię. Chyba o tym wiesz, prawda?

Owszem, wiedział. Powiedział jej o tym.

– W tym momencie powinieneś powiedzieć, że ty też mnie kochasz.

Jonesowi z trudem przychodziły te słowa. Wymawiając je, czuł się niezręcznie i dziwnie. Abigail domagała się, by codziennie je powtarzał. „Kocham cię, mamo”. Teraz czuł, jakby matka te słowa zużyła. Tyle razy nieszczercze je powtarzał, wymawiał je tylko po to, by ją zadowolić i mieć spokój, że teraz brzmiały fałszywie. Nigdy nie wystarczyły matce. Abigail zawsze było mało.

– Tak właśnie jest – powiedział. – Wiesz o tym.

Maggie rozumiała. Nigdy nie dręczyła o to Jonesa. Nie kazała mu tego powtarzać. Potrzebowała natomiast częstego dotykania, przytulania. W tym też nie był szczególnie dobry.

– Ale powiedz serio – powtórzyła. – Co zamierzasz zrobić?

– Chyba zadzwonię do drzwi i sprawdzę, czy ktoś jest w domu. Potem będę improwizował. – Jones obserwował dom z samochodu już od blisko kwadransa. Przez lata nabrał przekonania, że pustemu domowi towarzyszy aura; człowiek mógł poznać, że nikogo nie ma w środku. Nie chodziło tylko o brak oświetlenia, ale jakby brak oddechu.

– Hm.

– Wiem, to genialny plan, prawda?

– Po prostu uważaj na siebie – powtórzyła.

Nikt nie zareagował na dzwonek. W ulewnym deszczu Jones przeszedł na tył domu i zdobył się na odwagę, by wejść na werandę i zajrzeć do salonu. W kuchni nad kuchenką paliło się światło. Nic nietypowego, żadnych przewróconych mebli ani krwi na ścianach. Dobrze. W oknie na piętrze też paliło się światło. Szarpnął przesuwane przeszkłone drzwi, ale nie ustąpiły. I tak by nie wszedł, raczej by zawołał. Jones przypomniał sobie, że nie miał prawa tu być. Nie był gliniarzem, ale intruzem.

Przeciął podwórze obok domu. Gęste drzewa chroniły go nieco przed deszczem. Już wcześniej zauważył, że na podjeździe nie ma żadnych samochodów. Przytknął dłonie po obu stronach do oczu i zajrzał przez wąskie okienko do garażu. Tam też ani śladu aut... Ani mercedesa Pauli Carr, ani starego bmw, którego miał chłopak. Jones nie wiedział, czym jeździł Kevin Carr.

Jones poruszył klamką przy bocznych drzwiach, a stwierdziwszy, że nie są zamknięte na klucz, wszedł do środka. Na służbie nie zrobiłby czegoś podobnego, chyba że zobaczyłby w środku coś podejrzanego lub groźnego albo miał powody, by sądzić, że komuś zagraża niebezpieczeństwo. A przecież gdyby przyszło co do czego, mógłby pewnie wysunąć argument, że tak właśnie było. W latach służby zawsze trzymał się litery prawa. W przeciwnym razie jaki to miało sens? Gdyby został prywatnym detektywem, nie miałby takiego obowiązku; nie musiałby zawracać sobie głowy nakazami czy dowodami, których nie można było przedstawić, sprawami odrzuconymi przez sąd z uwagi na nielegalnie zdobyte dowody. Oczywiście teraz mogli go aresztować za bezprawne wtargnięcie do domu.

W garażu panował ład: rowery wisiały na ścianach, na półkach leżały rakietki tenisowe, rękawice bokserskie, rolki w rozmaitych rozmiarach i kolorach. Podłoga pomalowana na szary łupek sprawiała wrażenie wolnej od kurzu i brudu, które byłyby jak najbardziej na miejscu. Jonesowi mocniej zabiło serce, pochylił się, by sprawdzić, czy farba na podłodze jest mokra. Ale nie była. Owszem, pokrywał ją kurz i okazała się brudniejsza, niż wyglądała. Spozrzegł, że woda ściekająca mu z kurtki zostawiła ślad od drzwi.

Kiedy zadzwonił jego telefon, o mały włos nie dostał zawału; poziom adrenaliny podskoczył. Uwaga na przyszłość: wchodząc bezprawnie do cudzego domu, wyłącz komórkę. Nie rozpoznał numeru.

Jones wyszedł na dwór, żeby odebrać, i szybko ruszył do samochodu.

Deszcz na chwilę osłabł do mżawki.

– Jones Cooper – przedstawił się.

– Jones, tu Henry Ivy. – Głos dyrektora szkoły brzmiał markotnie. – Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale mamy problem.

Henry opowiedział mu o ucieczce Willow Graves.

– Jestem teraz trochę zajęty – powiedział Jones, co niezupełnie było prawdą. W domu Carrów nie zastał nikogo. Nie znalazł żadnych tropów w sprawie Pauli Carr. Kolejny ślepy zaułek. Postanowił, że sprawdzi, co słyhać u Elizabeth, i wróci do domu.

– To moja wina – mówił Henry. Ściszone głosem opowiedział Jonesowi o wieczorze z Bethany Graves i wybuchowej reakcji Willow. Kiedy tylko Jones wsiadł do wozu, deszcz znowu lunął.

– Myślisz, że uciekła pieszo w taką burzę? – spytał.

– Może nie.

– Czy Willow ma zmotoryzowanych przyjaciół?

Wtedy Jones przypomniał sobie, że Willow Graves znała Cole'a. Cole miał samochód i nie było go w domu. Jones nie przepadał za zbiegami okoliczności, a oto natknął się na kolejny. Owszem, szukał tego chłopaka. Dobrze byłoby spotkać się z Cole'em bez ojca, pomówić z nim na osobności o jego matce.

– Beth zadzwoniła do matki Jolie, która powiedziała, że Jolie jest z Cole'em Carrem. Sądzymy, że wszystkie dzieciaki mogą być razem. – W słuchawce rozległ się głos Bethany mówiącej coś do Henry'ego, ale Jones nie usłyszał wyraźnie. – Sprawdzaliśmy w kilku miejscach, takich jak Pop's Pizza oraz Java Stop. Nikt ich nie widział.

– Dobrze – powiedział Jones. – Nie sądzisz, że mogli wrócić do Lasu The Hollows?

– To niewykluczone, jeśli usłyszeli o kościach – odparł Henry. – Bethany uważa, że mogli tam wrócić. Właśnie tam jedziemy.

– W porządku – rzekł Jones i spojrział na zegarek. Wczesny wieczór, zaledwie kilka minut po wpół do dziewiątej. – Spotkamy się na cmentarzu.

– Dzięki, Jones.

– Od kiedy to zostałem facetem, do którego można dzwonić? – mruknął do siebie Jones. Musiał jednak przyznać, że z przyjemnością spełniał prośbę Henry'ego. Z pewnością było to atrakcyjniejsze niż odwiedzanie starej świruski. Wyjeżdżając, pomyślał o Eloise i jej przepowiedniach co do jego osoby. Szybko i zdecydowanie odsunął od siebie te myśli. Jadąc główną szosą, zupełnie o nich zapomniał.

Pływała, a dotyk wody był cudowny. Kiedy po raz ostatni się zanurzyła? Kiedy czuła na ciele krystalicznie błękitną wodę w basenie albo słony smak oceanu na języku? Ona i Alfie jeździli na plażę, leżeli na piasku pod dużym parasolem w niebiesko-zielone pasy. Pili piwo z chłodziarki turystycznej, słuchali mew, nadrabiali zaległości w lekturach. Potem wskakiwali w chłodne szare fale Atlantyku. To się działo przed przyjściem dzieci na świat, kiedy byli tylko we dwoje. Mogli po prostu siedzieć i cicho być razem.

Chłodna woda była mętna. Przekonała się, że nie musi wypływać na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza, mogła dryfować pod wodą, muskać palcami kamienie, falujące wstęgi wodorostów, gałęzie. To była woda rzeki. Lekko i chłodno pieściła jej skórę. Już tak dawno nie robiła nic, co dawałoby jej przyjemność. Dlaczego karała siebie od tylu lat?

Inna kobieta medium, która nauczyła ją wszystkiego, przestrzegła Eloise. „Nie możesz zapominać o życiu. Nieustanne obcowanie ze zmarłymi wysysa z nas życie, jeśli nie mamy się na baczności. Staraj się żyć, Eloise. Nie pogrzeb się dla nich”.

Ale ona nie słuchała, prawda? Z politowaniem myślała o Rayu, który zrezygnował ze wszystkiego dla ich pracy. Eloise sądziła, że skoro straciła wszystko, nie miała już nic więcej do dania. Ale dała siebie, całą siebie. Dawniej uwielbiała zajmować się ogrodem, czuć dotyk ziemi, przynosić do kuchni świeże kwiaty i warzywa. Dawniej czytała. Robiła na drutach. Niemal wszystkie koce, szaliki i czapki w domu były jej dziełem. Kiedy po raz ostatni cokolwiek zrobiła? Już nawet nie gotowała; jechała na sałatkach i tuńczyku z puszki.

Przed sobą ujrzała długą czarną postać, unoszącą się w wodzie jak trzcina. Eloise popłynęła szybciej, ale postać oddaliła się równie szybko, jak gdyby ruchy Eloise odpychały ją od niej. Mocniej pracowała rękami i nogami, walczyła z wartkim nurtem. Brakowało jej tchu, czuła bolesny ucisk w piersiach.

Wtedy ich zobaczyła. To była dziewczyna, z włosami unoszącymi się w wodzie wokół niej. Syrena o opalizującej skórze i długich rękach rozłożonych jak skrzydła. Młoda i ładna dziewczyna, jak jej córki; one zresztą były tym ładniejsze, że nie miały świadomości własnej urody. Dziewczyna w wodzie nie ruszała się, oczy miała zamknięte jak we śnie, rozluźnione usta.

„To tylko dziewczyna”. Taki głos słyszała w głowie Eloise. „Właśnie dlatego nie będzie miał innego wyjścia, jak ją ratować”.

Wtedy Eloise poczuła strach. Z niewyjaśnionych przyczyn polubiła

Jonesa Coopera. „Czy on zginie, ratując ją?”, spytała bezgłośnie. Nigdy wcześniej nie zadawała pytań głosowi. Owszem, pytała zmarłych, którzy ją odwiedzali, ale nigdy nie głosu w głowie. Teraz zrozumiała dlaczego. On nie odpowiadał. Nigdy nie odpowie.

Eloise obudziła się zrana potem w wannie bez wody. Nawet nie wiedziała, jak się tam znalazła. Ostatnią rzeczą jaką pamiętała, była scena pożegnania z Rayem.

Wstała z wanny, zeszła po schodach, z szafy wzięła pelerynę, ze stołu przy drzwiach portmonetkę. Wyszła na deszcz.

Bethany czuła odrętwienie, ale jednocześnie narastała w niej panika, jakby w głowie zaczynała wyć syrena. Nie miała pojęcia, czemu Willow tak ją karze. Przecież nie mogła jeszcze bardziej kochać córki. Owszem, popełniała błędy. Nawet teraz Rick wydzwaniał raz po raz na jej komórkę, chociaż prosiła, by tego nie robił. Wcześniej zawiadomiła go na wypadek, gdyby Willow pojechała do niego, wiedząc, że striptizerka go zostawiła. „Dlaczego nie potrafisz utrzymać jej na wodzy, Bethany?”, spytał Rick. To było okrutne, śmieszne. Jak mogła wyjść za mąż za człowieka, który potrafił zadać takie pytanie? Bethany się rozłączyła.

– Nie martw się. Znajdziemy ją – obiecał Henry.

Na poboczu zobaczyli bmw z włączonymi światłami. Przez chwilę sądzili, że dzieciaki są w wozie. Bethany o mały włos nie zemdląca z ulgi, ale w środku nie było nikogo. Henry zaparkował, wysiedli na deszcz i zaczęli nawoływać.

– Willow! – Głos jej się załamał i rozpląkała się. Wyraźnie przypomniała sobie tamtą noc, kiedy biegała po Nowym Jorku, sprawdzała ulubione miejsca córki, dzwoniła do jej znajomych. Wtedy Bethany gorączkowała się, odchodziła od zmysłów. Teraz było znacznie gorzej. Willow znikła w mokrej ciemności, gdzie głos Bethany tonął w deszczu, a nieprzenikniony mrok pożerała światło latarki Henry’ego.

Bethany nie chciała czuć nienawiści do siebie za to, że zaprosiła Henry’ego na kolację, nawet za to, że powiadomiła o tym Willow w ostatniej chwili. Jej błąd polegał na tym, że córka sądziła, iż ma prawo tak się zachowywać, obrażać Bethany, a potem uciekać. Bethany za bardzo jej folgowała, była zbyt skora do obarczania się winą za nieszczęście Willow. To musiało się zmienić.

Dopiero gdy Henry podszedł i ją objął, Bethany zdała sobie sprawę, że łka. Oboje byli przemoczeni do suchej nitki. Wiatr się wzmógł, Bethany przytuliła się do mężczyzny, wdzięczna, że nie jest sama.

– Znajdziemy ją – powiedział, a ona dała sobie prawo, by mu uwierzyć.

Na widok świateł zbliżającego się samochodu oboje ruszyli w stronę szosy. Bethany ujrzała za kierownicą Jonesa Coopera, który właśnie hamował. Po chwili wysiadł, a jego ciemny płaszcz przeciwdeszczowy był już mokry.

– Pani Graves – powiedział. Bethany uspokajał autorytatywny ton Coopera. – Muszę panią prosić o pozostanie w samochodzie.

– Nie – zaprotestowała. – Nie mogę tak po prostu czekać.

– Ktoś musi tu być na wypadek, gdyby wyszli z lasu – powiedział Jones i uspokajająco położył dłoń na jej ramieniu.

– Panie Cooper...

– Rzecz w tym, że Henry i ja wychowaliśmy się w tych stronach – mówił Cooper. – Znamy te lasy. Jeśli pójdziemy tylko we dwóch, będzie szybciej.

Bethany chciała się spierać, ale Cooper zaprowadził ją do samochodu i poprosił, by trzymała komórkę na kolanach. Jak tylko coś znajdą, zadzwonią do niej.

– Proszę zamknąć drzwiczki. Gdyby do samochodu zbliżał się ktokolwiek inny niż dzieciaki, proszę wezwać policję i nacisnąć klakson.

– Co pan ma na myśli? – spytała Bethany. – Kto miałby się zbliżyć?

– Na przykład Michael Holt.

Bethany wzięła głęboki wdech i spełniła polecenie. Przez okno patrzyła, jak Henry znika w lesie. Uniesioną dłonią dał jej znak, że wszystko będzie dobrze. Potem skryły ich drzewa. Wiatr się wzmaczał, zginał szczyty sosen na tle nocnego nieba, gwizdał wokół samochodu. Bethany żałowała, że nie jest religijna. Żałowała, że nie potrafi się modlić.

Na polanie z Kaplicą nie było nikogo. Zerwana przez wiatr taśma ogrodzająca miejsce zbrodni owinęła się wokół pobliskiego drzewa. Cooper i Henry okrążali polanę i nawoływali dzieciaki. Odpowiadał im tylko wiatr. Henry wrócił, zatrzymał się i spojrzał w pusty grób Marli. Ten dół wydał mu się najbardziej samotnym, najzimniejszym miejscem na ziemi. Jones stanął obok niego.

– Dziś wieczorem słyszałem, jak specjalista od medycyny sądowej potwierdził, że kości należały do Marli Holt – powiedział Henry.

– Ja też to słyszałem. W radiu – odparł Jones. – Żałuję, że wtedy o tym nie wiedziałem. Szkoda, że pozwoliłem jej tu leżeć tyle czasu.

Henry, zdziwiony słowami Coopera, odwrócił się i spojrzał na niego. Deszcz spływał po twarzy byłego gliniarza. Wiatr się wzmaczał, targając pelerynami obu mężczyzn.

– Przyjaźniłem się z nią – powiedział Henry. – Powinienem być wiedzieć, że Marla nie uciekłyby od dzieci. Podobnie jak wszyscy myślałem o niej jak najgorzej.

Zamiast odpowiedzieć, Jones zaczął się oddalać od miejsca zbrodni.

Henry chwycił go za rękę, Jones się odwrócił.

– Byłem z nią tamtej nocy – wyznał Henry ze wzrokiem wbitym w ziemię. Poczuł, jakby w końcu wypuścił zbyt długo wstrzymywane powietrze. – Przepraszam, że nigdy nie powiedziałem ani tobie, ani nikomu. Ja ją kochałem.

Kiedy Henry zdobył się na to, żeby spojrzeć na Jonesa, napotkał wzrok tamtego. Pod chłodnym, taksującym spojrzeniem Jonesa Coopera ludzie zaczęli kwestionować sami siebie. Co widział, patrząc na Henry'ego? Z pewnością tchórza. Głupca. Mężczyzna wziął się w garść i opowiedział o wydarzeniach tamtego wieczoru.

– Tamtej nocy nawet jej nie tknąłem. Tylko ją przytuliłem, kiedy się rozpłakała. Marla powiedziała mi, że jest nieszczęśliwa, że w jej życiu jest jeszcze ktoś oprócz męża. Michael wrócił do domu i przyłapał nas na tym, jak się obejmowaliśmy. To było bardzo niezręczne. Wyszedłem.

Henry przerwał, żeby złapać oddech, po czym mówił dalej.

– Na myśl mi nie przyszło, że... grozi jej niebezpieczeństwo. W przeciwnym razie bym nie odszedł.

Jones powiódł wzrokiem po polanie; świecił latarką w noc, jakby czegoś szukał, choć Henry nie miał pojęcia czego.

– Dlaczego teraz? – spytał Jones. – Czemu mówisz mi o tym teraz?

Henry'emu cisnęło się na język tysiąc odpowiedzi. „Myślałem, że uciekła z kimś innym. Jak mogłem się przyznać, że kocham kobietę, która nigdy nie mogła mnie pokochać? Wstydziłem się. Byłem zły. Nie sądziłem, że stanie się jej coś złego”. Wymamrotał strzępki powyższych myśli, ale nie miał odwagi, by spojrzeć na Jonesa.

– Teraz to już nie ma wielkiego znaczenia! – Cooper musiał przekrzykiwać wiatr.

– Ale wtedy by miało?! – prawie wykrzyczał Henry. – Czy gdybyś wtedy o tym wiedział, inaczej rozpatrywałbyś jej sprawę?

Jones przekreślił głowę w bok, jakby chciał rozluźnić napięcie w szyi.

– Surowiej przyjrzałbym się tobie – powiedział.

– Ale nie Michaelowi? Albo Mackowi?

– Trudno powiedzieć – odparł Jones i zaczął wracać na ścieżkę. Henry szedł za nim.

– Najpierw uciekłem z domu Marli, ale potem wróciłem. Na podjeździe zobaczyłem samochód Macka. Gloria Miller obserwowała ulicę przez okno. Musiała widzieć, co się stało tamtej nocy. Może kłamała w sprawie tego sedana.

- Czemu miałyby kłamać?
- Wtedy też się nad tym zastanawiałem. Kto wie, dlaczego kłamiemy? Ze stu powodów poważnych i błahych.
- Porozmawiamy o tym później – rzekł Jones. – Tracimy czas. Jeśli dzieciaki łążą po lesie w taką pogodę, musimy je zabrać do domu.
- Jones szedł teraz szybciej, bardziej zdecydowanym krokiem.
- Dokąd idziemy?
- Nad rzekę.
- Nad Black River? – spytał Henry, chociaż w okolicy nie płynęła żadna inna rzeka. – Dlaczego?
- Nie pytaj – uciął Cooper. – Chodź szybciej.

Jones czuł się, jakby śnił. Czyżby tak było? Rok wcześniej w taką noc znalazł się w lesie. Wtedy usiłował pogrzebać własną przeszłość, chronić skrywany od lat upiorny sekret. Dziś w nocy szedł za przepowiedniami, w które sam nie wierzył. Pod stopami miał śliską od deszczu roślinność, od której bił zgniły zapach. Deszcz kapiący mu na kaptur i szum rzeki w oddali otaczały go kokonem odgłosów. Chociaż Henry szedł za nim, Jones bez trudu mógł uwierzyć, że jest sam. W każdej chwili mógł się odwrócić, powiedzieć Henry’emu, że powinni zawiadomić policję, bo warunki pogodowe są zbyt ciężkie, jest za ciemno. Nikt nie zakwestionowałby takiej decyzji. Ale Jones tego nie zrobił. Ironia polegała oczywiście na tym, że gdyby nie wizyta Eloise, może wcale nie przyszłoby mu na myśl, żeby przeszukać brzegi rzeki.

Zazwyczaj Black River nie była głęboka ani wartka, ale tej nocy, jeśli wierzyć prognozom, woda miała się podnieść o sześćdziesiąt centymetrów ponad normalny poziom. Rzeka wiała się wąwozem polodowcowym pełnym głazów, porośniętym sosnami i choiną.

Wspinając się na wzniesienie, Jones spostrzegł, że rzeka wezbrała. W dole, na brzegu, ujrzał światła dwóch latarek tańczące jak robaczki świętojańskie. Droga przed nimi, prowadząca z powrotem ku rzece, została zalana przez deszcz. Szybciej, może także bezpieczniej, byłoby pójść skrótem przez las.

Taka droga mogłaby się jednak okazać zdradliwa. Jones pomyślał, że mógłby kazać Henry’emu wrócić i wezwać pomoc. Po chwili jednak ruszył w dół, ślizgając się i chwytając mokrych drzew. Uderzył kolanem o kamień. Słyszał, jak Henry schodzi równie nieporadnie jak on.

Podniesione, zdenerwowane głosy przebijały się przez szum rzeki, ale

Jones nie był w stanie rozróżnić słów. Zrobiwszy z dłoni megafon, zawołał do nich, żeby nie ruszali się z miejsca. Po chwili jednak ujrzał, że światła latarek szybko przemieszczają się w dół rzeki. Tamci biegli.

Brzeg rzeki zniknął; Jones musiał się przedzierać przez gęste drzewa, które zazwyczaj oglądał z dołu. Przed sobą widział podskakujące światła latarek. Henry, lżejszy i silniejszy, wysforował się przed Jonesa i brnął w kierunku światła. Jones dyszał z wysiłku. Dojmująco czuł, że nie jest w formie, jak mówił mu psychoanalityk. „Wiedział pan”, spytał kiedyś doktor Dahl, „że przetrwanie w ekstremalnej sytuacji może zależeć od tego, jak długo zdoła pan utrzymać własne ciało w swobodnym zwisie? Jak pan myśli, ile razy uda się panu podciągnąć na drążku?”. Trzy, Jones dałby radę podciągnąć się trzy razy, może cztery po lekkim lunchu.

W miarę jak się zbliżali, Jones dostrzegł trzy szczupłe sylwetki. Henry coś zawołał, ale Jones nie usłyszał co. To, co wydarzyło się później, przywodziło na myśl wspomnienie, jakby przeżywał to już ze sto razy. Sto razy wydarzenia rozgrywały się dokładnie tak samo, bez względu na to, jak próbował zmienić ich przebieg. Pomyślał, że może do tego właśnie sprowadza się życie. Może człowiek powtarzał je raz po raz dopóty, dopóki nie zrobił tego, co należało, choć nigdy nie miał całkowitej pewności, co to właściwie było. Jones zbliżył się do tamtych, znowu zawołał, ale jego głos utonął.

Bezradnie patrzył, jak najdrobniejsza postać podeszła za blisko do wody i straciła grunt pod nogami. Widział, jak przez chwilę trzyma się cienkiej gałęzi, ale ta złamała się w jej dłoni. Dwie postacie, z wyciągniętymi przed siebie rękami, wygięły się w stronę trzeciej jak trzciny. Jones patrzył, jak samotna postać wpada w zimny rwący nurt. Po chwili, gdy pozostali zastygli, zbyt daleko od siebie, by mogli się usłyszeć, Jones zbiegł na sam dół zbocza i skoczył za nią do wody.

Zimno runęło na niego jak pociąg towarowy, wstrząsając całym ciałem. Rwąca woda zakotłowała się wokół niego, potem wypchnęła go na powierzchnię, gdzie zaczerpnął powietrza i znów zanurkował. Przed sobą słyszał jej wrzaski. Próbował płynąć, ale porwał go prąd i uderzył Jonesem o skały. Nie sądził, że jego siła fizyczna okaże się niczym wobec potęgi rzeki. „Istnieją rzeczy potężniejsze niż twoja wola”. Czy nie to właśnie powiedziała Eloise? Jones nie wierzył w te słowa nawet w tej chwili, gdy okazały się prawdą.

Potem wszystko ucichło. Dziewczyna przestała krzyczeć, rzeczny prąd

zwolnić. Nadal słyszał głosy na brzegu. Dał nura i początkowo czuł tylko napierający zalew zimna. Potem ujrzał przed sobą unoszącą się w wodzie postać, czy raczej coś ciemniejszego niż reszta mroku. Resztkami sił dopłynął do dziewczyny, pokonując nurt, który unosił ją w dal.

W końcu ją złapał. Ręka dziewczyny była niewiarygodnie chuda i zimna, palce takie drobniutkie. Próbował ją pociągnąć, wynurzyć się z nią na powierzchnię, ale coś ją trzymało. Jones chwycił dziewczynę za nogę, zanurkował głębiej i wyczuł, że jej stopa ugrzęzła między dwoma dużymi głazami. Czując w piersiach narastający ból wstrzymywanego oddechu, szarpnął ją za łydkę. Kiedy pojął, że nie zdoła jej uwolnić, zaczął rozwiązywać sznurowadła grubych skórzanych butów dziewczyny. Ledwo wyczuwał je pod palcami. Nic już nie widział. Pragnął jedynie wynurzyć się i zaczerpnąć powietrza, ale wiedział, że jeśli to zrobi, prąd go porwie i już nigdy nie zdoła jej znaleźć w ciemnej wodzie, nie zdoła znów do niej dopłynąć.

Wreszcie rozwiązał sznurowadło, but swobodnie zdryfował. Wtedy zalało ich światło. Jakby niewidzialne dłonie pociągnęły dziewczynę, która uniosła się i zaczęła się oddalać od Jonesa. Czy to prąd unosił ją w dół rzeki? Skąd pochodziło światło?

Puścił dziewczynę, bo nie miał już sił, obezwładniło go wyczerpanie, zdrewniał z zimna. Tak łatwo było po prostu przestać się ruszać. Zawsze słyszał, że utonięcie to spokojna śmierć, choć wydawało mu się to dziwne. Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć coś takiego? Kiedy jednak mrok zamknął go w mroźnym uścisku, zrozumiał, że tak właśnie jest.

Do przytomności przywróciło go światło. Nie łagodne, niebiańskie światło przyzywające go w zaświaty, ale ostre białe światło latarki. Ktoś bezlitośnie uciskał mu pierś, potem wdychał powietrze w jego usta. W końcu Jones wyrzucił z siebie strugę wody i żółci, wziął urywany wdech, czując się, jakby połknął zyletki. Otworzywszy oczy, nie zobaczył twarzy Boga. Chuck Ferrigno patrzył na niego z troską i rozpaczą. Za Chuckiem stała Eloise z olbrzymią latarką policyjną w ręce. Na jej twarzy malował się pogodny spokój, jakby rezultat wszystkich wydarzeń był jej już dobrze znany. Może zresztą nic ją to nie obchodziło. Trudno było orzec.

– Jones – powiedział Chuck, odsuwając się i klękając. – Chryste. Jesteś za stary, żeby tak wskakiwać do wody.

– Gdzie dziewczyna? – spytał Jones, zziębnięty do szpiku kości.

– Tutaj – odparł Ferrigno. – Cała i zdrowa.

Trójka nastolatków siedziała pod drzewem otulona kocem. Willow Graves, przemoczona do suchej nitki, oparła głowę na ramieniu drugiej dziewczyny, która mocno ją przytulała. Cole Carr patrzył w pustkę za plecami dziewczyn. Deszcz przeszedł w lekką mżawkę.

– Wyciągnąłeś nas?

– Co, nie sądziłeś, że mnie na to stać? – Chuck też był przemoczony i drżał. Nie dałbym rady bez pomocy Henry’ego i chłopaka. Przytrzymali mnie, złapałem dziewczynę, potem ciebie.

– Jak nas znalazłeś? – spytał Jones, choć już właściwie znał odpowiedź. Chuck zerknął na Eloise.

– Eloise przyszła do mnie do domu i powiedziała, że są kłopoty.

– A ty jej uwierzyłeś? – Jones poczuł irracjonalny gniew. Jak ktoś tak pragmatyczny i mocno stąpający po ziemi jak Chuck mógł uwierzyć Eloise Montgomery?

Ferrigno pospiesznie wzruszył ramionami.

– Hej, jestem z Nowego Jorku. Nic mnie nie zdziwi. Poza tym ona zagroziła, że nie odejdzie, jeśli z nią nie pójdę; powiedziała, że będę ją musiał aresztować. Wołałem wyjść w burzę, niż przez całą noc wypełniać papiery, żeby zamknąć miejscową wizjonerkę.

Jones zerknął na Eloise w luźnej żółtej pelerynie i na ogromną latarkę. Pomyślał, że pewnie powinien jej podziękować, ale nie mógł się na to

zdobyć. Czy to nie z jej winy znalazł się w tym miejscu?

– Mówiłam ci, że nie poradzisz sobie z tym ryzykiem – powiedziała niemal z samozadowoleniem.

W górze rozległy się głosy, błysnęły światła. Walcząc z mdłościami i zawrotami głowy, Jones dźwignął się z ziemi. Nie chciał, aby ludzie znaleźli go leżącego nad Black River. Z miejsca, gdzie teraz siedział, rzeka nie prezentowała się zbyt groźnie. Z pewnością nie wyglądała na skłębiony, rwący koszmar, któremu o mały włos nie uległ.

– Wezwałeś wsparcie?

– Owszem. Dzieciaki mówiły, że widziały Michaela Holta przy dole. Gonił ich i dlatego biegły brzegiem rzeki.

– Gdzie jest Henry?

– Poszedł po matkę dziewczyny – odparł Chuck. – Poza tym zadzwoni do Maggie.

Jones podszedł do nastolatków. Cole obejmował obie dziewczyny, które opierały się o niego.

– Wszystko w porządku, Willow?

– Pan prawie utonął, ratując mnie. – Spojrzała na niego ze znużeniem i smutkiem. – Tak mi przykro. W ogóle nie powinno mnie tu być.

Jones położył dłoń na jej ramieniu, a Willow przycisnęła do niej policzek.

– Dziękuję – powiedziała.

– Dzięki, że pomogłeś nas wyciągnąć – zwrócił się Jones do Cole'a, na co ten nieśmiało skinął głową i jakby z zażenowaniem wbił wzrok w ziemię.

– Szukałem cię – mówił Jones.

– Mnie? – Chłopak spojrzał na niego zaskoczony.

– Wczoraj widziałem twoją matkę.

Cole pochylił się do przodu, a Jones spostrzegł, że to jeszcze dzieciak. Nastolatki, stojąc w nieporadnym rozkroku między dzieciństwem a dorosłością, wyglądały czasem dorośle. W tym momencie, mokry i przestraszony, Cole Carr był bliższy chłopięctwa niż męskości.

– Moją mamę? Gdzie?

– Przecież mówiłeś, że twoja mama jest w Iraku – włączyła się Jolie, ale Willow ją uciszyła.

– Gdzie pan ją widział? – spytał Cole i wstał.

Młody człowiek podszedł do Jonesa od tyłu i owinął go kocem. Pracownicy pogotowia i policjanci schodzili po zboczach i zbierali się wokół Chucka. Ciemną noc wypełniły światła i głosy.

– Powinien pan usiąść – powiedział pracownik pogotowia, którego Jones

znał z czasów służby, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywał. Wykapany Ricky, z nastroszonymi ciemnymi włosami i kolczykiem w uchu.

– Dobrze, za chwilę – odparł Jones.

Ciężko dysząc, opowiedział Cole’owi o jego matce, o tym, gdzie była i co zaszło. Dodał, że Robin bardzo za nim tęskni i chce, żeby wrócił. Myślał, że chłopak się rozpłacze, ale tak się nie stało. Przygarbił się w postawie obronnej i wpatrywał się w ziemię.

– Chcesz do niej wrócić, synu?

– Tak – odparł Cole. – Chcę wrócić do mamy.

– Zawiozę cię do niej – obiecał Jones. – Czy wiesz, gdzie jest twój ojciec?

– Nie wiem. – Cole potrząsnął głową. – Chyba ruszył na poszukiwania mojej macochy. Od paru dni jej nie ma.

– Wiedział, dokąd pojechała? – Jonesa ogarnął niepokój o Paulę.

– Nie wiem. Śledził w internecie wyciągi z jej karty kredytowej, żeby sprawdzić, czy za coś płaciła.

– No i?

– Nie wiem.

Z pełnej wody kieszeni kurtki Jones wyjął zepsutą komórkę. Przez chwilę wpatrywał się w nią bezradnie, potem dał się zaprowadzić młodzikowi z pogotowia do sporego płaskiego kamienia, usiadł, a tamten poświecił mu w oczy małą latarką. Gęste chmury skrywające niebo od kilku dni zaczęły się rozplýwać i Jones ujrzał biel księżyca. Przywołał Chucka i powiedział mu o Pauli.

– Natychmiast każe komuś tym się zająć – obiecał Chuck.

– Mam znajomego w banku, który sprawdził dla mnie jej kartę – odparł Jones i podał Chuckowi nazwisko.

– Znam Jacka – powiedział Ferrigno. – Znajdziemy ją.

– Zróbcie to szybko – ponaglił Jones, raz po raz wypatrując na ścieżce Henry’ego i Bethany. Nie przychodzili. Co ich zatrzymało?

– Jak się w to wszystko zaplątałeś, Jones? – spytał Chuck. – Sądziłem, że jesteś na emeryturze.

Jones nie miał jednak okazji odpowiedzieć, ponieważ Chuck uzyskał połączenie. Oddalił się nieco, a Jones słyszał, jak wypytuje o wyciągi z karty kredytowej Pauli Carr. Potem Jones usłyszał, jak Ferrigno mówi: „Jones Cooper wspomniał, że z panem pracował”.

Wtedy podeszła Eloise.

– Tobie się to podoba – stwierdziła. – To wszystko. Dzisiaj, kiedy niemal utonąłeś, jesteś szczęśliwszy niż w dniu, kiedy cię odwiedziłam.

Chciał zaprotestować, ale po co.

– Chyba każdy z nas ma jakieś powołanie. To jest moje.

– Wiem, co masz na myśli.

Jones przyjrzał się jej uważniej. W obszernej pelerynie wyglądała jak drobna dziewczynka. Włosy skołtunione od deszczu; bruzdy na twarzy ciemne i głębokie jak doliny. Pierwszy raz spostrzegł jednak świetlistość jej skóry, osobliwą młodość, jakby rozświetlał ją wewnętrzny blask. Przypomniawszy sobie widziane w jej domu zdjęcia z czasów, gdy była młoda i szczęśliwa. Wciąż dostrzegał w niej tę urodę. Wcześniej wyczytał w Google'ach, że straciła męża i córkę w strasznym wypadku samochodowym, sama o mały włos nie zginęła. Wiedział, że ludzie z całego świata zwracali się do niej po pomoc, ponieważ po wypadku uzyskała dar jasnowidzenia. Jones poczuł, że wbrew własnej woli darzy Eloise szacunkiem.

– Wiedziałaś? – spytała kobieta, patrząc w przejaśniające się nocne niebo. – Że tlen w naszych płucach, węgiel w mięśniach, wapń w kościach i żelazo w naszej krwi powstały w gwiazdach jeszcze przed pojawieniem się Ziemi?

Jones powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem.

– Czy wiesz, gdzie jest Paula, Eloise? – Nie cierpiał się za to, że pyta, ale nie cierpiałby siebie jeszcze bardziej, gdyby tego nie zrobił. Nie odpowiedziała od razu, tylko patrzyła na księżyc wyłaniający się zza chmur.

Pomimo że ścieżka była śliska, Henry biegł truchtem. Kiedy Jonesa i Willow wyciągnięto z rzeki i przybył Chuck, Henry pobiegł po Bethany, poza tym chciał powiadomić Maggie. W połowie drogi potknął się o kamień i upadł na prawe kolano.

Gdy wstał, drogę zagradzał mu Michael Holt. Dotarło to do Henry'ego dopiero po minucie. Wcześniej Jolie powiedziała mu, że Michael Holt jest w lesie, że ścigał ich od miejsca, gdzie znaleziono kości. Henry uznał jednak, że Michael ucieknie, wiedząc, że nadciągają policyjne posiłki. Teraz w mroku nocy rysowała się przed Henrym wysoka, barczysta sylwetka. Dyrektor cofnął się o krok.

– Ja cię znam – stwierdził Michael. Henry słyszał jego gwałtowny, przyspieszony oddech.

– Owszem, znasz mnie – powiedział.

– Byłeś tam tej nocy, kiedy zginęła moja matka.

– Tak – potwierdził Henry i uniósł dłonie. – Ale byłem tylko jej

przyjacielem, dokładnie tak jak powiedziała twoja matka.

– Przytulałeś ją.

– Pocięzałem – sprostował Henry. – Twoja matka była... nieszczęśliwa.

Przepraszam.

– Dlaczego? – spytał Michael tonem zdesperowanego dziecka. – Czemu była taka nieszczęśliwa?

Przez chwilę chciał osłodzić prawdę, ukoić Michaela, ale uznał, że tego już było za wiele. Michael Holt musiał poznać prawdę; szukał jej przez całe życie. Henry przynajmniej po części ponosił za to odpowiedzialność.

– Myślę, Michaelu, że twoja matka chciała od życia czegoś więcej – powiedział tonem, jaki stosował wobec uczniów z problemami. Zdecydowanym, lecz łagodnym, kojącym, ale nieustępliwym.

– Więcej niż my?

Zanim Henry odpowiedział, wziął głęboki wdech.

– Marla bardzo kochała ciebie i twoją siostrę. Ale czasami ludzie mają pewne oczekiwania wobec życia, a dostają coś innego. Większość z nas to akceptuje, ale niektórzy nie potrafią.

Wtedy Henry ujrzał Bethany. Nadeszła ścieżką i stanęła za Michaelem.

– Ona nie porzuciła ciebie i Cary, Michaelu – powiedział Henry. – Została wam odebrana. Akurat ty to wiesz. Ona nie uciekła.

– Nie – powiedział mężczyzna. Zabrzmiało to jak smutny, rozpaczliwy jęk, początek rodzącego się łkania.

Michael oddychał gwałtownie, co Henry początkowo odczytał jako gniew. Obawiał się, że będzie musiał się bronić przed tym potężnie zbudowanym mężczyzną. Michael osunął się jednak na kolana i z jego ust wyrwało się potworne zawrođenje, które wypełniło głowę Henry'ego. Bethany zatkała dłońmi uszy i też zaczęła płakać. To był pierwotny odgłos smutku. Henry nie wiedział, co począć, więc usiadł i objął syna Marli. W tej chwili prawda zaczęła do niego docierać, ale pozwolił, by Michael oparł się o niego.

– Przez wszystkie te lata myślałem, że to mój ojciec – szeptał Michael do Henry'ego. – Sądziłem, że skrywa straszną tajemnicę, a ja jestem jego współnikiem w milczeniu. Nie mogłem się doczekać, aż umrze, żeby zdemaskować jego kłamstwa.

Oddech Michaela cuchnął; syn Marli śmierdział niemytym ciałem i gnijącą roślinnością. Mimo to Henry trzymał go mocno, dla Marli. Henry wiedział, że nawet po tym, co Michael uczynił, Marla chciałaby, żeby pomógł jej synowi.

– Michaelu – powiedział Henry. Jakaś częśćka jego istoty nie chciała poznać prawdy. Po jej wymówieniu dalsze zaprzeczanie przestanie być możliwe.

– Przez wszystkie lata myślałem, że ojciec zakopał się w domu wśród tych śmieci, pogrzebał się za życia z poczucia winy. Ale to nie była wina. To był żal.

– Proszę – powiedział Henry.

Ale nic już nie mogło zatrzymać potoku słów.

– Zabiłem ją. – Słowa zabrzmiały jak upiorne wycie i ugodziły Henry’ego prosto w serce. Usłyszał płacz Bethany. Ona też klęczała.

– Kiedy ojciec wrócił do domu, powiedziałem mu, że wcześniej był tam inny mężczyzna. Gniew wprost mnie rozsadał. Czułem się... zdradzony. Między rodzicami wybuchła kłótnia, gorsza niż kiedykolwiek. Schowałem się u siebie w pokoju.

Henry chciał, żeby Michael zamilkł. Naprawdę nie chciał się dowiedzieć, co się stało z Marlą.

– Słyszałem, jak mama trzaska szufladami w swoim pokoju. Wrzeszczała: „Nienawidzę cię! Nienawidzę tego miejsca! Nienawidzę swojego życia! Wyjeżdżam!”. Nie mogłem pozwolić, żeby wyjechała. Musiała to wiedzieć.

Michael znowu ściszył głos do ochryplego szeptu.

– Próbowałem ją zatrzymać. Mocno ją pchnąłem, spadła ze schodów. Jej walizka się otworzyła i rzeczy wyleciały. Mama wybiegła tylnymi drzwiami i uciekła w las. Pobiegłem za nią. Ojciec usiłował mnie zatrzymać, ale nie zdołał. Nikt nie zdołałby mnie powstrzymać. – Michael wziął głęboki wdech. – Zachowywał ten sekret tyle lat. Ochraniał mnie.

Znowu łkał. Zawodząc jak dziecko, złożył głowę na ziemi. Od strony ścieżki dobiegały głosy, błyskały światła latarek. Po chwili zostali otoczeni. Michael podniósł wzrok, jakby zdziwiony widokiem tłumu.

– Już po wszystkim – powiedział martwym głosem całkowicie rozchwianego człowieka.

Henry pomyślał, że to prawda, a Michael musi odczuwać coś w rodzaju ulgi. Bez względu na to, jak tragiczny i przerażający okazał się rezultat, Michael w końcu odnalazł matkę.

Recepcjonistka w hotelu przekroczyła już czterdziestkę. Nosiła grube okulary w ciemnych oprawkach, mocno ściągnięte do tyłu włosy odsłaniały siwiznę na czubku głowy. Pod kośćmi policzkowymi widniał trądzik. Nie miała obrączki na palcu. Kevin Carr widział, że wciąż żywiła nadzieję. To dobrze. Wszystkie kobiety reagują na przystojnego mężczyznę z olbrzymim bukietem róż, ale taka kobieta zareaguje lepiej niż inne.

Torbę podróżną przerzucił przez ramię. Jadąc samochodem, zdjął marynarkę, żeby się nie pogniotła. Założył jaskraworóżowy krawat, skropił się wodą kolońską. Ubrał się tak, by zrobić wrażenie. Po raz pierwszy od wyjazdu Pauli ogolił się i uczesał. Nie pojechał do pracy; nawet nie zadzwonił. Jego wspólnicy odchodzili od zmysłów, bo tylko Kevin miał klienta. Klient też odchodził od zmysłów. Kevin nie oddzwaniał od wielu dni. Niech się pierdola. Pierdolić ich wszystkich. Kevin czekał, aż ta suka żona dotrzyma obietnicy. Oczywiście nie dotrzymała. Nie zamierzała dawać mu tych pieniędzy, ale on i tak je dostanie.

Jego dziewczyna, Amelia, zaczynała nabierać podejrzeń. Niedawno próbował zapłacić za wspólną kolację kartą, ale została odrzucona; musiała zapłacić Amelia. Kevin wybąkał coś o złodziejach danych, ale widział, że dziewczyna tego nie kupuje. Symulował gripę, udawał, że właśnie dlatego nie widywał się z nią od kilku dni. Nie miał pewności, czy w to uwierzyła. Amelia nie była bystra jak Paula. Właśnie to mu się w niej podobało. Piękna i zdesperowana, ale nie ostra. Ale nawet ona nabierała podejrzeń co do jego osoby.

– Hej – powiedział, podchodząc do recepcji. Udał, że brakuje mu tchu, posłał dziewczynie („Witam, jestem Caroline!”) promienny uśmiech. I spojrzenie. Jest takie spojrzenie, którym można obdarzyć kobietę: ciepły uśmiech, miły wyraz oczu. Spojrzenie, które mówi: „Jesteś taka atrakcyjna”. Większość kobiet odwzajemnia taki uśmiech. Recepcjonistka dosłownie się rozpromieniła.

– Spóźniłem się na spotkanie z żoną i dziećmi – powiedział. – Ona mnie zabije.

– Zatrzymali się tutaj? – spytała recepcjonistka i dotknęła otwieranego naszyjnika w kształcie serduszka.

– Zameldowali się kilka godzin temu – powiedział Kevin. Idiotka.

Wiedział, że użyje tej swojej starej karty American Express, którą ciągle miała. Mniej więcej co godzinę sprawdzał jej stan. Wiedział, że Paula zmęczyła się motelami i zapragnęła czegoś bardziej luksusowego. Odkąd ją znał, była rozpieszczonym bachorem.

Recepcjonistka okazała się zbyt nieśmiała, by długo patrzeć mu w oczy. Przeniosła wzrok na bukiet róż, potem na ekran przed sobą.

– W którym pokoju się zatrzymali?

– Miałem nadzieję, że pani mi to powie. – Kevin opuścił kącki ust, uniósł brwi, bo chciał wyglądać potulnie. – Powiedziała mi, ale zapomniałem.

– Jeśli poda mi pan jej nazwisko, zadzwonię do pokoju i powiem, że pan przyszedł.

– Hm – mruknął i zmarszczył czoło. – Która godzina?

Kevin zerknął na zegarek i zobaczył, że recepcjonistka na niego spojrzała.

– Dzieciaki na pewno już śpią – powiedział. – Jeśli pani zadzwoni, obudzi je pani.

– Przykro mi, ale nie mogę podać panu numeru pokoju. Takie są przepisy.

– Och, rozumiem – odparł, po czym odegrał scenę, jakby szukał rozwiązania. Udał, że wysłał SMS-a do żony. Czekali. Kevin widział, że recepcjonistka chce mu pójść na rękę, ale wciąż trzymała się przepisów. – Na pewno jest pani za młoda, żeby mieć dzieci – powiedział i zobaczył, jak od szyi na twarz wypływa małe apetyczny rumieniec. – Kiedy będzie pani miała dzieci, przypomni pani sobie nasze dzisiejsze spotkanie. Proszę mi wierzyć, wolałbym spać na tamtej kanapie, niż je budzić. – Wskazał na kanapy w lobby.

– Moja siostra ma dzieci – powiedziała recepcjonistka i przyglądała gęste, wełniste włosy, będące pewnie jej utrapieniem. – Wiem, o czym pan mówi.

Kevin ponownie spojrzał na komórkę.

– Biedactwo – powiedział. – Ona też pewnie śpi. Jest wyczerpana. Ostatnio bardzo się o nią martwię. Żyje w okropnym stresie z powodu dzieciaków.

Potem zerknął na róże i dodał:

– To nasza rocznica ślubu. Dziesiąta. Aż trudno uwierzyć.

– Och, jakie to urocze – westchnęła recepcjonistka.

– Tak – powiedział, zaśmiał się cicho i zabawnie przewrócił oczami. – O ile mnie nie zabije za spóźnienie.

– Jak się nazywa pana żona? – spytała. Kevin specjalnie cały czas stał przy recepcji, nie usiadł w lobby, bo wiedział, że dzięki temu przyspieszy bieg wydarzeń. Recepcjonistka była typem szarej myszki; z pewnością nie okaże się na tyle bezczelna, by wezwać szefa.

– Paula Carr – powiedział.

Kobieta spojrzała na Kevina z uśmiechem, przytknęła palec do ust i podała mu kartę magnetyczną do drzwi.

– Są w pokoju 206.

Kevin obdarzył ją szerokim uśmiechem, potem wyjął z bukietu jedną z róż i jej wręczył. Recepcjonistka zaczęła chichotać jak mała dziewczynka.

– Och! – wykrzyknęła.

– Wielkie dzięki – powiedział. – Wprost nie mam słów. Właśnie uratowała mi pani życie.

Na korytarzu panowała cisza, jeśli nie liczyć telewizora włączonego zbyt głośno. To zawsze go wkurzało: ludzie słuchający zbyt głośnej muzyki, podobnie jak ci, którzy opuszczali do oporu siedzenia w samolocie. Co im dolegało? Znieczulica była narodową plagą. Kolejny dowód, że koniec świata się zbliżał.

Paula na pewno zamknęła drzwi na łańcuch, ale Kevin obejrzał w YouTube film o tym, jak zdjąć łańcuch przy użyciu gumki. Łomem mógł bez trudu poradzić sobie z metalową zasuwą. W garażu sprokurował sobie takie narzędzie.

Będzie miał przewagę. Przecież Paula nie skrzywdzi go na oczach Claire i Camerona. Jeśli wezwie policję, Kevin oskarży ją o porwanie dzieci, powie, że Paula ma depresję, że on boi się o to, co może zrobić sobie i dzieciom. Wtedy Paula wpadnie w histerię i policjanci mu uwierzą. Ludzie zawsze wierzyli Kevinowi Carrowi. Co nie znaczy, że zależało mu na dzieciach; to były prawdziwe wrzody na dupie. Ale warto byłoby dopiec Pauli.

Kevin stanął przed drzwiami, przyłożył ucho, ale usłyszał tylko ciszę. Odłożywszy bukiet i torbę na podłogę, wyjął z kieszeni kartę magnetyczną.

– Co ty tu robisz, synu?

Kevin nie rozpoznał człowieka w głębi korytarza.

– Słucham?

Tamten, wysoki i barczysty, przypominał Kevinowi tuszę wołową. Ubrany był w kurtkę, dzinsy, na nogach miał grube brązowe buciory.

– Pytałem, co tu robisz?

– To chyba nie pana sprawa.

– Z tym się akurat nie zgadzam – odparł facet z uśmiechem.

Kevin zaśmiał się i uniósł dłonie.

– Zaszło chyba jakieś nieporozumienie.

– Raczej nie – powiedział facet w kurtce, powoli zbliżając się korytarzem.

– Odejdź od drzwi i trzymaj ręce tak, żebym je widział.

To był jeden z tych gości, z którymi nie było żartów. Nie można go było oczarować, ani zmanipulować; nie było w nim próżności, którą można by połechtać, był pozbawiony złudzeń, które dałoby się rozdmuchać. Ten facet widział cię na wskroś. Kevin szczerze nienawidził takich ludzi. Nie zauważył, by tamten miał broń. Gliniarz? Czy w oddali słyszał syrenę policyjną? Serce zabiło mu mocniej. Odsunął się od drzwi.

– Nazywam się Jones Cooper. Chciałeś, żebym znalazł twoją żonę. No więc ją znalazłem.

Kevin dopiero po chwili przypomniał sobie to nazwisko. Faktycznie, dzwonił do tego psa. Miał wrażenie, że to się działo sto lat temu; na śmierć zapomniał.

– Słuchaj pan – powiedział Kevin i podniósł bukiet róż. – Dzięki, ale Paula i ja już się pogodziliśmy.

– Nie – odparł Jones z szyderczym uśmiechem. – Nie sądzę.

Kevin usłyszał, jak syrena wyje głośniejsze, po czym zatrzymuje się przed hotelem. Drzwi się otworzyły i w progu stanęła Paula.

– Ta kobieta porwała moje dzieci – oświadczył, podnosząc głos o oktawę.

– Przyjechałem, żeby je zabrać. Ona cierpi na depresję poporodową. Boję się o to, co może zrobić sobie i naszym dzieciom.

– Jesteś kłamcą, Kevin – powiedziała Paula, wpatrując się w męża.

– Gdzie są moje dzieci?! – wrzasnęła i udało mu się nawet wycisnąć kilka łez. W głębi korytarza otworzyły się drzwi, mężczyzna z rozczochranymi włosami wystawił głowę i szybko się schował.

– Dzieci są bezpieczne – powiedziała Paula cicho, niemal szeptem. – Teraz mam prawnika.

Kevin spojrzał na nią, ale zachowywała stoicki spokój.

– Nie zrobiłem nic złego – powiedział Kevin i odwrócił się do Jonesa. – Nie możesz wezwać policji.

– Groziłeś mi bronią – powiedziała Paula. – Uciekłam w obawie o własne życie. Teraz mnie ścigasz.

Ktoś najwyraźniej udzielił jej porad, powiedział, co powinna mówić. Odkąd zaczęła rodzić dzieci, miała przyćmiony umysł. Teraz taka nie była.

Znów stała się dawną Paulą z czasów, kiedy ją poznał.

– To kłamstwo – powiedział Kevin. – Przecież to ona ma broń.

– Mam dowody twojego romansu – ciągnęła Paula, jakby w ogóle się nie odezwał. – Wydrukowałam maile do dziewczyny, wszystkie kłamstwa, które pisałeś na mój temat. Wiem też, że okradałeś własną firmę, żeby spłacać długi.

Skąd mogła o tym wiedzieć?

– A ja uciałem sobie dziś pogawędkę z Robin O’Conner – dodał Jones. – Wiem, co jej zrobiłeś.

Drzwi windy się rozsunęły i wysiadło dwoje policjantów: łysy, szczupły, czarnoskóry oficer oraz drobna blondynka. Oboje trzymali ręce na okazałych pistoletach półautomatycznych zatkniętych za pas. Za policjantami ukazała się recepcjonistka w towarzystwie mężczyzny o wyglądzie dyrektora hotelu.

– To on – powiedziała Caroline. Ciepły uśmiech i maślane oczy gdzieś zniknęły.

Jones odsunął się na bok.

– Niech wszyscy trzymają ręce tak, żebyśmy je widzieli – rozkazała policjantka.

Już dawniej przeżywał takie paskudne, mroczne chwile, gdy zostawał zapędzony w kozi róg. W głębi duszy Kevina rozwarła się otchłań. W tym miejscu spotykały się wszystkie stworzone przez niego osoby. Tam, gdzie powinien się znajdować prawdziwy Kevin, nie było nic.

Kiedy wróciła do domu, Ray czekał na podjeździe. Zaparkowała obok niego i zobaczyła, że śpi. Nie zgasił silnika, włączył ogrzewanie i siedział z odchyłoną do tyłu głową i rozdziawionymi ustami. Mógł wejść do domu, bo nie zamknęła drzwi na klucz.

Eloise wysiadła, podeszła do cadillaca i zastukała w okno. Ray ocknął się gwałtownie, spojrzał na nią, zmarszczył czoło. Potem opuścił okno.

– Gdzie się podziewałaś? Balowałaś ze swoim nowym najlepszym przyjacielem Jonesem Cooperem?

– Niezupełnie – odparła. – Chcesz wejść do środka?

Ray wyłączył silnik i ruszył za Eloise do domu. Oliver powitał ich w progu, natychmiast zaczął mruczeć i ocierać się o jej nogi. Zapomniała go nakarmić.

Otwierając puszkę z jedzeniem dla kota i zmieniając mu wodę, opowiedziała Rayowi o nocnych wydarzeniach. Mężczyzna zaparzył kawę, choć było już na to o wiele za późno.

– Sądziłem, że przeszłaś na emeryturę – powiedział w końcu. Przez cały czas, kiedy mówiła, ani razu na nią nie spojrzał. Majstrował przy drzwiczkach szafki, które zawsze wypadły z zawiasów. Z kieszeni wyjął nóż Leathermana, zmarszczył w skupieniu brwi i próbował dokręcić śrubkę.

– Wakacje nie są tym samym co emerytura – odparła. Sprawdziła zamek w tylnych drzwiach i okno nad zlewem. – Zresztą jakie miałam wyjście? Nie mogłam po prostu pozwolić, żeby utonął.

– Wydawało mi się, że masz zasadę: mówisz o swojej wizji, ale nie angażujesz się fizycznie. No wiesz, po tym, co się zdarzyło w Kansas.

Eloise nie lubiła myśleć o Kansas.

– Zmieniłam swoją zasadę – powiedziała. – Ten jeden raz.

– Z powodu Maggie Cooper?

Dawno temu, niemal w poprzednim życiu, Eloise wyjawiała przepowiednię matce Maggie, Elizabeth Monroe. Przepowiednia mogła ocalić życie Maggie albo nie – w tych sprawach trudno było mieć pewność. Inny niezamierzony rezultat jej rozmowy był taki, że pewien nie do końca niewinny człowiek odebrał sobie życie w więzieniu, natomiast Jones Cooper zbudował swoje życie na strasznej tajemnicy. Po latach spędzonych w dużym mieście, po studiach, Maggie wróciła do The Hollows i wyszła za Jonesa. Eloise zawsze

wiedziała, że pewnego dnia Maggie zacznie jej zadawać pytania. W zeszłym roku tak się właśnie stało. Od tamtej pory czuła z Maggie osobliwą więź. Potem przyszły wizje dotyczące Jonesa. Ray o tym wszystkim wiedział. Uzmysłowała sobie, że wie też o niej wszystko.

Eloise usiadła przy kuchennym stole, Oliver otarł się o nią i podszedł do miski z jedzeniem.

– Możliwe – powiedziała. Ray zbliżył się do niej od tyłu, położył dłonie na jej ramionach i zaczął rozmasowywać napięte mięśnie. Eloise poczuła, jak się rozluźnia; gorąco spłynęło po plecach.

– Co z twoją wizytą u Glorii Miller? – spytała.

– Nie chciała ze mną rozmawiać. A jeśli chodzi o dom Holtów, trochę tam pomyszkowałem. To jeden wielki koszmar. Uciekałem stamtąd, jakby mnie gonili.

– Pewne sekrety pozostają sekretami.

Nie wiedziała, czy Ray słyszał o wyznaniu Michaela. Nie była pewna, czy chce być tą osobą, która mu powie. Wyjeżdżając z lasu, widziała Michaela na tylnym siedzeniu wozu policyjnego. Po raz pierwszy odkąd go znała, nie miał wyglądu zaszczutego człowieka. Czasami wyznanie jest równie dobre, jak egzorcyzm.

– Pewnie już słyszałaś – powiedział Ray.

– O Michaelu? – spytała, a gdy nie odpowiedział, dodała: – Owszem, słyszałam.

– Przez cały czas to wiedziałaś, prawda?

– Podejrzewałam.

– Ona ci powiedziała. – Miał na myśli Marłę. Ray był jedynym człowiekiem, który wierzył Eloise całkowicie, bez zastrzeżeń.

– Dała mi to do zrozumienia.

Ray przesunął dłońmi po jej rękach, poczuła, jak rozluźnia się pod jego dotykiem.

– To brudna sprawa, Eloise.

Nie miała pewności, czy się z tym zgadza. Śmierć była życiem. Może wcale nie stanowiła końca, jak sądzili ludzie. Może było coś gorszego od śmierci. Ludzie wyrządzali sobie nawzajem potworne, niewyobrażalne rzeczy. Tyle było bólu. Ale to stanowiło tylko część tej przepysznej, ohydnej, chaotycznej i cudownej mozaiki, jaką przeżywali od chwili narodzin do wydania ostatniego tchnienia i przejścia na tamten świat. Czyż zdolność widzenia wszystkich barw, wszystkich ostrych i popękanych odłamków, od których wszyscy odwracali wzrok, nie była swego rodzaju darem? Według

Kabały każda ludzka dusza jest tylko fragmentem wielkiej duszy świata, maleńkim kawałkiem kosmosu połączonym ze wszystkimi innymi kawałkami. Taka koncepcja podobała się Eloise, która czuła, że może być prawdziwa. Przypuszczała, że już bardziej nie zbliży się do wiary.

– No więc – odezwał się Ray, kiedy nie odpowiedziała. – Nigdy nie byłem w Seattle. – Odchrząknął. – Słyszałem, że to ładne miasto. Dużo pada, ale mają tam dobrą kawę.

Po raz pierwszy od wielu lat Eloise się uśmiechnęła.

Gloria Miller patrzyła, jak przybywają, zgodnie z jej przewidywaniami. Kiedy tylko ujrzała na podwórzu tablicę „Na sprzedaż”, wiedziała, że się pojawią. Najpierw przyjechał jeden wóz patrolowy. Potem czarny nieoznakowany samochód policyjny. Potem kolejne. W końcu jej sąsiedzi z hałaśliwymi, rozbrykanymi bachorami wylegli na werandy i schody, żeby się gapić. Gloria wyczuwała ich nerwowość, podniecenie. Kiedy pogotowie zabierało Macka z tego domu, oczywiście żaden z tych ludzi nawet nie podszedł do okna. Nikt nie stanął obok Glorii przy karetce, kiedy ciągneli go po zarośniętym chodniku i zabierali. Nikogo nie obchodził stary człowiek po raz ostatni opuszczający swój dom.

Sąsiedzi stali i patrzyli. Na ulicy zebrała się cała grupka. W końcu prawnik od czarnego mercedesa (ten, który wynosząc w nocy śmieci, ukradkiem wypalał papierosa) podszedł do mundurowego policjanta na podjeździe.

– Czy może mi pan powiedzieć, co się dzieje? – Głos prawnika rozbrzmiał donośnie w chłodnym powietrzu. Teraz, gdy deszcz przestał bębnić o dach i okna Glorii, w okolicy zapanowała cisza.

Policjant uniósł dłoń i potrząsnął głową. Odezwał się jednak za cicho, by kobieta mogła usłyszeć.

– Mamy prawo wiedzieć – mówił prawnik. Gloria wiedziała, że jeśli nie postawi na swoim, zrobi się przykry. Wiedziała, dlaczego przyjechała policja. Gloria Miller wiedziała wiele rzeczy.

Wiedziała, że ładna blondynka (ile mogła mieć lat – szesnaście?) wykradała się czasem przez okno pod osłoną nocy i schodziła po drabince sznurowej używanej w razie pożaru, jakie ludzie trzymali pod łózkami. Jej chłopak spotykał się z dziewczyną na rogu i po kilku godzinach odprowadzał ją do domu.

Gloria wiedziała, że piersiasta kobieta spod 180 ma romans. Ta wzięta agentka nieruchomości przez cały dzień wpadała i wypadała z domu jak pszczoła znosząca miód do ula. Ale w każdą środę spotykała się u siebie z pewnym mężczyzną. Gloria patrzyła, jak każde z nich wchodzi i wychodzi z domu jak gdyby nigdy nic. Mąż agentki wracał czasem dopiero po północy.

Gloria wiedziała, że kot Misty wcale się nie zgubił, mimo smutnych

ogłoszeń na latarniach i tablicach w supermarkecie. Kiedy gospodyni spod 183 wychodziła po pocztę, kot wymknął się na dwór. Później Gloria widziała, jak wpadł pod samochód, przywłókł się do krawężnika i zdechł. Potem gospodyni wyszła z domu, zobaczyła leżącego kota i rozplakała się na ulicy. Następnie ostrożnie zaniósła martwe zwierzę na śmietnik. Nieco później przyjechała śmieciarka. Dzieciaki nadal szukały kota z nadzieją, że Misty wróci.

Gloria знаła ich sekrety. Każdy był jak klejnot zamknięty w pudełeczku. Należały do niej, ponieważ czuwała.

Tamtej nocy, kiedy Marla Holt zniknęła, Gloria obserwowała. Czekala, aż Mack wróci do domu. Każdej nocy czekała, aż zaparkuje na podjeździe swój wygodny samochód. Czym on wtedy jeździł? Nie pamiętała już takich szczegółów. Powoli wysiadał, brał torbę z tylnego siedzenia. Gloria patrzyła, jak w soboty kosił trawnik, mył auta w niedzielę. Lubiła obserwować, jak na podjeździe grał w koszykówkę z synem (choć odgłos piłki doprowadzał ją niemal do szaleństwa). Lubiła patrzeć, jak woził córeczkę w wózku w noc, gdy marudziła. Barczysty, z wiecznie zmierzwionymi włosami, Mack przypominał Glorii mężczyznę, którego kiedyś kochała. Nawiasem mówiąc, był to człowiek, za którego wyszła jej siostra. Najpierw go poślubiła, a potem wpędziła przedwcześnie do grobu przez swoją rozrzutność i nieustanne zachcianki. Przynajmniej tak to widziała Gloria, nawet jeśli nikt inny nie patrzył na to w ten sposób. Ponieważ zaś nie chciała na to wszystko patrzeć, odsunęła się od nich wszystkich.

Mack Holt był jedynym człowiekiem z sąsiedztwa, który okazywał jej dobroć. Zawsze machał do niej na powitanie albo się uśmiechał. W deszczowe niedzielne poranki przynosił jej na werandę gazetę z chodnika. Dlatego Gloria miała dla niego sprawy na oku.

Tamtej nocy czuwała w oknie. Mack spóźnił się z powrotem do domu. Zamiast niego na podjazd wszedł Henry Ivy. To była ich noc biegania. (Według Glorii mężatce nie przystało prowadzić się po okolicy z innym mężczyzną, ale podejrzewała Marłę Holt o jeszcze gorsze rzeczy).

Potem ujrzała, jak do domu wrócił mały Michael i porzucił rower na podwórzu. Henry Ivy wyszedł. Potem zaczęły się wrzaski. Wkrótce potem wrócił Mack. Nowe wrzaski, odgłos tłuczonych przedmiotów. Potem Gloria zobaczyła, jak Marla wybiega tylnymi drzwiami, a chłopak i mąż za nią gonią. Gloria mogła powiadomić policję, choćby położyć dłoń na słuchawce. Przecież z tego, co zobaczyła, nie mogło wyniknąć nic dobrego. Ale taka

kobieta, co stale zadzierała nosa, pyszniła się, przyjmowała w domu mężczyzn, kiedy mąż pracował... Cóż, może dostała to, na co zasłużyła.

Po wielu godzinach Mack i Michael wrócili. Chłopak był chory albo pijany. Mack praktycznie go włókł. Wprowadził syna do domu, po chwili cofnął się do tylnych drzwi, oparł się ciężko o barierkę i zapatrzył w noc. Gloria widziała go w bursztynowym świetle palącym się nad tylnymi drzwiami Holtów. Sama pogasiła światła, więc nie mógł dostrzec sąsiadki ukrytej za zasłoną.

Potem Mack odwrócił się i spojrzał na jej dom, jakby wiedział, że Gloria go obserwuje. Długo, bardzo długo patrzył. Zrozumiała, że chciał, by zachowała milczenie. Ponieważ Mack Holt przypominał jej o tym, jakie to uczucie być młodą, zakochaną kobietą, ponieważ okazywał jej dobroć, kiedy inni mieli ją w nosie, Gloria złożyła w duchu obietnicę, że to, co zobaczyła tej nocy, zabierze ze sobą do grobu. Tak też zrobi, chociaż Mack już odszedł. Dochowa tajemnicy bez względu na to, kto będzie ją wypytywał.

Przed laty, gdy policjanci zapukali do jej drzwi, powiedziała im, że widziała, jak Marla Holt wsiadła do czarnego sedana i odjechała. Zresztą naprawdę wiele razy to widziała. Samochód stawał przed domem, Marla wybiegała, zawsze wystrojona, i wsiadała. Raz miała małą walizkę. Gloria to widziała, tyle że nie tej nocy, gdy Marla zniknęła.

Spośród wszystkich jej sekretów, jej drobin zmagazynowanej wiedzy, ten był najcenniejszy. Teraz, gdy widziała przez okno, jak w domu Holtów zapalają się światła, światła, których nie widziała od lat, zrozumiała, że ktoś odkrył prawdę. Gloria poczuła gorycz i gniew, jak gdyby coś jej wykradziono.

Zaciągnęła żaluzje i poszła spać.

„The Hollows jest beznadziejne”. Willow napisała to w zeszycie, kiedy pan Vance oddawał im wypracowania o książce *A Separate Peace*. Willow zerknęła na wypracowanie, które położył na jej ławce. Oczywiście szóstka.

– Dobra robota, panno Graves. – Willow spojrzała na nauczyciela, który uśmiechnął się do niej jak dawniej. Odwzajemniła uśmiech. Pan Vance pochylił się, postukał w jej zeszyt i szepnął: – Nie jest aż tak tragicznie.

Pozostałą część lekcji poświęcili na pytanie, będące tematem wypracowania. Willow milczała, aż pod koniec lekcji pan Vance spojrzał w jej stronę.

– Willow napisała niezwykle wypracowanie – powiedział. – Może podzieliłabyś się swoimi przemyśleniami o książce? Jesteś dziś dziwnie milcząca.

Już od paru dni wszyscy w klasie przyglądali się Willow. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli o jej ucieczce, o tym, że wpadła do Black River, skąd wyłowiła ją policja. Koledzy i koleżanki uważali, że dziewczynę gonili Michael Holt. (W istocie tylko Jolie twierdziła, że go widziała. Dlatego zaczęła krzyczeć. Ale Willow nie była pewna, czy przyjaciółka mówiła prawdę). Tak naprawdę to gonili Jolie, próbując nakłonić ją do powrotu z deszczu.

Według niektórych plotek Michael Holt przyznał się do zamordowania matki. (Willow nawet go nie zobaczyła. Kiedy jej matka i pan Ivy wrócili do samochodu, Michaela już zabrano). Wszyscy wiedzieli, że to właśnie Willow widziała, jak kopał w Lesie The Hollows. Z jakiegoś powodu przestali z niej szydzić, już się z niej nie wyśmiewali. Każdy chciał z nią rozmawiać, usłyszeć o tej nocy w lesie, a Willow z przyjemnością opowiadała. W końcu miała do powiedzenia coś strasznego, niezwykłego, co nie było kłamstwem.

– Myślę, że Gene celowo zrzucił Fina z tego drzewa – powiedziała Willow.
– Rozkołysał gałąź.

– Przecież byli przyjaciółmi, najlepszymi przyjaciółmi – przypomniał pan Vance.

– To prawda. Ale czasami ranimy ludzi, których kochamy, ponieważ czujemy w sobie ból – mówiła. – To nie musi mieć związku z drugą osobą. Czasem nosimy w sobie takie szkaradne, nieszczęśliwe miejsce. Tam mieszka wszystko, co złe: gniew, zazdrość, smutek.

Pan Vance wpatrywał się w Willow z takim natężeniem, że niemal zamilkła. Cała klasa nie odrywała od niej wzroku.

– Mów dalej – poprosił nauczyciel.

– Czasami człowiek tam idzie i zamieszkuje w tym miejscu. Kiedy się tam jest, można robić i mówić straszne rzeczy, ponieważ wszystko, co dobre, szczęśliwe i jasne, wydaje się brzydkie i powoduje ból. Chce się to zmiążyć. Chce, żeby inni ludzie czuli ból. Dlatego się ich krzywdzi, chociaż kocha.

– Bardzo przenikliwe, Willow – powiedział pan Vance.

– To tylko książka. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. Kiedy spojrzała na nauczyciela, uśmiechał się smutno. Ona też czuła smutek. Pan Vance był jedną z osób, które skrzywdziła i już nie mogli się przyjaźnić jak dawniej.

– Opowieść to życie, panno Graves – powiedział. Willow słyszała to z jego ust już miliony razy, ale dopiero teraz zrozumiała, co miał na myśli.

Po lekcji na korytarzu czekał na nią Cole. Wziął od Willow plecak i odprowadził ją do szafki.

– Jak było na lekcji? – spytał.

Dziewczyna pokazała mu wypracowanie.

– Mądrała – skomentował, potem pochylił się i pocałował ją w policzek. – Odwieźć cię do domu?

– Muszę spytać mamę – odparła, przewracając oczami.

– To zadzwoń do niej – powiedział Cole. – Poczekam.

– Jak ci minął dzień? – zapytała.

Cole wzruszył ramionami i wbił wzrok we własne stopy.

– W porządku. – Trzeba przyznać, że nie był gadułą.

To był pierwszy dzień Cole'a w szkole po nocy w lesie. Jego ojca aresztowano za sprzeniewierzenia czy coś w tym rodzaju. Chłopak ponownie dołączył do matki. Oboje zamieszkali z jego macochą i przyrodnim rodzeństwem, co Willow uznała za najdziwaczniejsze z możliwych rozwiązań. Próbowała sobie wyobrazić, jak razem z matką zamieszkują u striptizerki Brendy. To nie byłoby w porządku. Ale Cole wyglądał na zadowolonego. Jego mama potrzebowała mieszkania, a on chciał zostać w Hollows, żeby być blisko Claire, Camerona... i Willow. Tak więc na razie ten układ działał. Kiedy jego mama znajdzie dobrą pracę, wynajmą coś własnego.

– Cole pyta, czy może mnie odwieźć do domu – powiedziała przez telefon do Bethany. Szkolny korytarz pustoszał, uczniowie rozchodzili się do autobusów. Na wypadek, gdyby matka odmówiła, oni też ruszyli w stronę

drzwi.

– Willow.

– Przyjedziemy prosto do domu – obiecała.

Po przygodzie w lesie Willow była pewna, że dostanie szlaban na resztę życia. Tak się jednak nie stało, a ona i Bethany przegadały całą noc. Rozmawiały o sprawach, których nigdy wcześniej nie poruszały: o nocy w Nowym Jorku, gdy Willow uciekła po raz pierwszy; o opowiadanych przez nią kłamstwach, które sprawiły, że wszyscy przyjaciele odsunęli się od niej; o tym, jak bardzo czuła się zagubiona i winna po rozwodzie Bethany i Ricka. Willow chciała po prostu zniknąć; nie chciała umierać, nie chciała się zabijać. Chciała się rozplątać, stać się niewidzialna. Trudno to było wyjaśnić, ale matka najwyraźniej słuchała i rozumiała.

Kiedy Willow goniła Jolie w deszczu, próbując ją nakłonić do powrotu do samochodu, poślizgnęła się i wpadła do rzeki. Po pierwszym szoku wywołanym zimnem ogarnęła ją panika. Nurt oddalił ją od Cole'a i Jolie, którzy gonili za nią przez las, w końcu oboje zostali w tyle, a Willow zaczęła wzywać matkę.

Zdjęta przerażeniem, uwierzyła, że Bethany usłyszy jej krzyk i przybędzie na ratunek. Uwierzyła, że jej matka jest jak tamta mama z jej ulubionej książki. Willow uzmysłowiła sobie, że wierzy w to, ponieważ tak zawsze było: zawsze mogła liczyć na mamę. Nawet jeśli zapraszała pana Ivy'ego na kolację. Ale po to, by matka mogła ją usłyszeć, Willow musiała się trzymać blisko. A teraz zapuściła się bardzo daleko. Matka nie słyszała jej wołania o pomoc.

Potem zaczepiła o coś nogą i nurt wciągnął ją głęboko. Niewiele więcej pamiętała prócz tego, że otwiera oczy na brzegu, a Jolie i Cole wpatrują się w nią przerażeni, jakby byli pewni, że umarła.

Wszystko to opowiedziała matce. Bethany o dziwo nie rozplakała się. Wtedy, ponieważ matka sprawiała wrażenie silnej, Willow opowiedziała jej o tym mrocznym, gniewnym miejscu, które czasami w sobie czuła. Miejscu, dzięki któremu zrozumiała Gene'a z *A Separate Peace*. Willow znajdowała się właśnie w tamtym miejscu, kiedy zachowywała się tak okropnie wobec Bethany podczas kolacji z panem Ivym. Nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła.

Nazajutrz poszły do doktor Cooper, z którą porozmawiały o tym, co się stało, jak mogą lepiej się rozumieć, zaskarbić nawzajem swoje zaufanie. Szlaban na resztę życia nie wchodził w grę.

A teraz Willow złamałaby jedną z obietnic, kwestionując wprowadzoną

przez matkę zasadę. Żadnego jeżdżenia samochodem z chłopakami.

– Przepraszam – powiedziała Willow. – Przyjadę autobusem.

– On może spotkać się z tobą tutaj – zaproponowała Bethany. – Upieczemy ciasteczka.

Willow zamierzała odpowiedzieć, że ona i Cole nie mają już trzech lat, a podobne rzeczy straciły urok. Nie zrobiła tego jednak. Nadal uwielbiała piec ciasteczka.

– Muszę pojechać autobusem – powiedziała do Cole’a i schowała komórkę do plecaka. – Mama powiedziała, że możesz wpaść.

Willow ogarnął niepokój, lęk, że Cole weźmie ją za beznadziejną kretynekę i będzie wolał spędzać czas z Jolie, która mogła chodzić wszędzie i robić wszystko, na co miała ochotę.

– Super – powiedział. – Do zobaczenia u ciebie w domu.

Cole dostrzegł coś w jej twarzy i posłał jej ten swój szybki nieśmiały uśmiech.

– Tym razem przyjdę. Obiecuję.

Potem odszedł. Mama uważała, że jest dla niej za stary. W przyszłym roku będzie kończył liceum, a Willow przejdzie dopiero do drugiej klasy. Bethany sądziła, że Cole ma za dużo problemów. „Ten dzieciak ma mnóstwo na głowie. Tata w więzieniu. Mama straciła pracę. Nie chcę, żebyś dźwigała jego bagaż”. Co to niby miało znaczyć? Do tego oczywiście dochodziło gadanie o seksie. O tym, że Willow nie jest gotowa, że to coś szczególnego, a ona jest za młoda, by to zrozumieć, i nie powinna podejmować decyzji o tym, żeby już teraz oddać się w ten sposób. Bethany nalegała, by Willow porozmawiała z nią o tym, jeśli takie rzeczy chodzą jej po głowie, i żeby nie robiła nic, zanim nie porozmawiają. Co za ohydztwo – gadać o takich rzeczach z matką. Zresztą Willow zupełnie o tym nie myślała.

– Czy będziesz uprawiać seks z panem Ivym? – spytała wtedy żartobliwym tonem, jakby się droczyła.

– Willow! – zawołała Bethany. Trafiona, zatopiona. Dziewczyna uwolniła się z haczyka. Na twarz matki wypłynął jaskrawy rumieniec. – Proszę! To nie twoja sprawa.

– Spotkasz się z nim znowu? – spytała Willow, bo tak naprawdę tego właśnie chciała się dowiedzieć.

– Chwilowo jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Ale on ci się naprawdę podoba, prawda? Nie tylko jako przyjaciel.

Bethany i Willow obiecały sobie szczerłość. Żadnych tajemnic ani półprawd. Żadnych kłamstw. Teraz matka odwróciła wzrok.

– Tak, podoba mi się. Ale nie mam gwarancji, że Henry czuje podobnie. Nasza pierwsza randka nie przebiegła bez zakłóceń.

– Podobasz mu się – zapewniła Willow. – Widzę to.

– Tak czy inaczej – powiedziała Bethany – niezależnie, co się ma z tego wykluczyć, będzie się rozwijać bardzo powoli. Dlatego nie musisz zaprzętać sobie tym głowy. To w żadnej mierze nie wpłynie na twoje życie.

Willow wsiadła do autobusu i zajęła miejsce z tyłu. W drodze powrotnej do domu, wsunąwszy do uszu słuchawki, słuchała Lady Gagi. Autobus minął srebrzysto-szary staw okolony drzewami, które traciły liście. Po błękitnym niebie płynęły białe chmury, światło już się złociło. Dni stawały się coraz krótsze. Kiedy autobus zatrzymał się przed jej podjazdem, spłoszone stado ptaków odfrunęło hałaśliwie. Willow wysiadła, autobus odjechał i została sama z ciszą, którą zaczęła doceniać, z aromatem sosen i wonią palącego się drewna. Może pan Vance miał rację. The Hollows nie było takie złe.

Jones zalegał z grabieniem liści. Praktycznie zaścielały cały trawnik. Maggie chciała, żeby sprawił sobie dmuchawę, ale on lubił grabić. Zaliczanie kilometrów na siłowni wydawało mu się stratą czasu. Wszyscy tam dusili jakieś urządzenia, gapili się w telewizor, w uszach mieli słuchawki. Przecież to nie mogło być zdrowe. Przynajmniej kiedy grabił, przebywał na dworze, oddychał świeżym powietrzem, coś osiągał. Mimo to miał wrażenie, że grabi już od wielu godzin, a efektów nie było widać.

Z irytacją i przygnębieniem zauważył, że para gołębi karolińskich uwiła gniazdo w górnym rogu dachu werandy. Kiedy wyszedł po gazetę, usłyszał ich gruchanie, podniósł wzrok i ujrzał dwa ptaki usadowione na gałązkach i skrawkach gazet na niewielkim występie, którego Jones wcześniej nie zauważył.

– Och, zostaw je – powiedziała Maggie. – Są takie śliczne, idzie mroźna zima. Może powinniśmy zawiesić karmnik.

– Nie – postawił się Jones. – Mowy nie ma. Muszą zniknąć.

– Nie bądź takim zmierzłym dziadem.

– One roznoszą wszy.

– Och, Jones.

Teraz gołębie tuliły się do siebie słodko na poręczy. Dobrze wiedziały, że Maggie trzyma ich stronę. Gdyby zlikwidował ich gniazdo w czasie, gdy poleciałyby za swoimi gołębimi sprawami, miałyby kłopoty. Jones oparł grabie o drzewo, rękawice upuścił na ziemię i wszedł do domu przez garaż, żeby nie musieć przechodzić obok zadowolonych z siebie ptaszysk. Jeszcze znajdzie dobry sposób, żeby je przenieść; po prostu przestawi gniazdo. Może później, kiedy Maggie odwiedzi matkę.

W domu, na starym kuchennym stole, leżał egzemplarz „The Hollows Gazette”. W artykule poświęconym odnalezionym szczątkom Marli Holt wspomniano o Jonesie Cooperze, emerytowanym gliniarzu, który został prywatnym detektywem. Jones nie wiedział, skąd ten reporter zdobył informacje. Parę godzin po tym, jak gazetę rozrzucano ludziom pod drzwi, rozdzwonił się telefon. Artykuł nie wspominał o okolicznościach, w jakich Jones przeszedł na emeryturę. Najwyraźniej nikt o tym nie pamiętał albo

nikogo to nie obchodziło.

Maggie odbierała wiadomości. Pewna kobieta chciała odnaleźć siostrę, która zaginęła w 1985 roku. Jakiś mężczyzna chciał, żeby ktoś śledził jego żonę, no wie pani, po prostu żeby sprawdzić, czy jest mi wierna. Były też inne zlecenia... Ktoś chciał przeprowadzić wywiad środowiskowy w sprawie chłopaka swojej córki. Pies jednej pani uciekł, czy Jones mógłby pomóc? Praca prywatnego detektywa nie należała do najbardziej spektakularnych.

– Mówiłam ci, że się zdziwisz – powiedziała Maggie po przeczytaniu maila.

– Nie przyjmuję takich zleceń – uprzedził Jones.

– To znaczy jakich?

– No wiesz, śledzenie niewiernych współmałżonków, sprawdzanie chłopaków, węszenie za ludźmi podejmującymi ubezpieczenie zdrowotne. Do tego poziomu się nie zniżę.

Maggie położyła dłoń na twarzy męża i pocałowała go w czoło.

– Rób po prostu to, co cię porusza.

Teraz, trzymając gazetę w ręce, pomyślał o jej słowach. Co go poruszało? Jones nie był pewien, czy wie. A raczej nie był pewien, czy potrafiłby to wyrazić słowami. Przypuszczał, że rozpozna to coś, kiedy to znajdzie.

Parę godzin później siedział w gabinecie doktora Dahla, gdzie relacjonował wydarzenia minionego tygodnia.

– Czyli już chyba wiemy, na czym polega drugi etap – powiedział psychoanalityk. – Czy chcesz poświęcić energię na pracę prywatnego detektywa?

Jones wyczuł coś w głosie terapeuty. Czyżby zawód?

– Czy to coś złego? – spytał.

– Nie – odparł doktor Dahl. – Oczywiście, że nie. Po prostu ciekawiło mnie, czy chciałby pan przyjrzeć się czemuś innemu. Jeszcze nie podjął pan żadnych konkretnych decyzji. Rozmawialiśmy na przykład o ciesielstwie.

Jones jakoś nie widział siebie zarabiającego na życie wyrabianiem półek na książki. Nie ciągnęło go, by zostać projektantem, nie czuł takiej pasji. Owszem, miał pewne wrodzone zdolności, lubił prace manualne, ale nie fascynowały go tak jak policyjna robota. Powiedział o tym lekarzowi.

– Cóż, w porządku – odrzekł doktor Dahl, wygładził nieskazitelne spodnie w kolorze węgla drzewnego i obdarzył Jonesa ciepłym uśmiechem. – Pasja jest ważna. Zastanawiam się tylko, czy w pracy prywatnego detektywa nie pociąga cię mrok.

Jones nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć. Coś w słowach psychoanalityka go zapiekło, wywołało gniew.

– To brudna robota – ciągnął lekarz. – Wiąże się z nią niebezpieczeństwo. Sam pan mówił, że mógł pan zginąć.

– Ale nie zginąłem – zauważył Jones. – Uratowałem tę dziewczynę. Gdybym nie wyswobodził jej nogi, utonąłaby. To dla mnie coś znaczy.

– Naturalnie – zgodził się lekarz. – Naturalnie.

Po nocy, gdy prawie utonął, koszmary ustały. Już nie budził się zlany potem, z krzykiem, nie brakowało mu tchu przez kolejny tydzień. Maggie wróciła do wspólnej sypialni, gdzie spędzała całą noc. Jones nie mógł powiedzieć, że pokonał swój lęk przed śmiercią; ten upiór wciąż się czaił. Zakradał się do niego, kiedy Jones najmniej się spodziewał, a potem zaczynał rozmyślać. Jak to będzie? Poślizgnie się pod prysznicem? Wypadek samochodowy? Morderstwo? Może zginie z ręki psychologa w rodzaju Kevina Carra? Potem jednak złe myśli mijały. Ten upiór chyba zagrażał wszystkim, prawda?

Może nocne strachy wrócą. Może jednak nie, skoro już wiedział, co ma robić ze swoim życiem. Chciał pomagać innym, a nie chodziło tylko o odbieranie listów i podlewanie roślin. Jones wiedział to ze stuprocentową pewnością. Z tej pewności wynikało podejrzenie, że może jednak istniało coś większego niż on sam. Może.

– Podczas ostatniej wizyty rozmawialiśmy o pańskim ojcu – powiedział doktor, który najwyraźniej postanowił rozdrapać rany. Pewnie Jones wyglądał dziś na zbyt zadowolonego z życia. Psychoanalitik obawiał się, że straci pracę. – Myślał pan o tym?

– Trochę – odparł Jones. – Trochę o tym myślałem.

Owszem, trochę myślał, ale nie był gotów rozmawiać o tym z lekarzem ani z nikim innym, nawet z Mags.

– Zechciałby pan podzielić się swoimi przemyśleniami?

– Nasz czas chyba minął, doktorze – powiedział Jones, patrząc na zegar. Faktycznie, było już kilka minut po przewidzianym końcu wizyty.

– Ach, tak – zgodził się doktor Dahl. – Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

– Zdecydowanie.

W recepcji zapłacił za wizytę. Czekał na pokwitowanie, Jones patrzył, jak do gabinetu doktora Dahla wchodzi inny mężczyzna. Przez chwilę zastanawiał się, co mu dolega. Wyglądał na przygnębionego.

Jones obiecał żonie, że będzie kontynuował wizyty u doktora Dahla, i zamierzał dotrzymać obietnicy. Dobrze wiedział, że mu pomagają, skłaniają do przemyśleń i pracy nad problemami, których w przeciwnym razie mógłby unikać. Maggie potrzebowała tego, zasługiwała na to, podobnie jak on sam. Co więcej, Maggie kibicowała mu teraz gorąco. Jego nowa rola prywatnego detektywa sprawiała jej ogromną radość. Była dumna, że kontynuuje terapię. Spała z nim w ich sypialni. Nie wściekała się na niego, nie posyłała mu już tego charakterystycznego spojrzenia. Maggie była inteligentną kobietą, a Jones robi to, czego chciała. Jeśli będzie wiedział, że to dla niego dobre.

W samochodzie sięgnął po teczkę, którą zostawił na siedzeniu pasażera. Na wystającej karteczce napisał nazwisko: Jefferson Cooper.

Znalezienie ojca zajęło mu zaledwie parę godzin. Po tylu latach wystarczyło tylko sięgnąć po telefon. Po przekopaniu się przez papiery Abigail znalazł jego numer ubezpieczenia. W południe Jones zadzwonił do Jacka, o piętnastej miał adres ojca, jego historie kredytową i zatrudnienia. Jeszcze nie zdecydował, co zrobi z tym fantem. Nigdy nie dawał sobie prawa do hołubienia wspomnień o ojcu. Maggie zaproponowała kiedyś, żeby przypomniał sobie trzy miłe rzeczy związane z nim, ojcem i matką. Ilekroć Jones próbował to zrobić, zaczynała go boleć głowa, musiał pędzić do najbliższego stoiska z hamburgerami i znieczulać się tłuszczem i węglowodanami. Postanowił nie spieszyć się z informacjami o ojcu. Jeszcze nie wiedział, co zrobi.

Kiedy wrócił do domu, słońce już zachodziło. Dni stawały się krótsze. Samochód Ricka czekał na podjeździe. Syn przyjedzie jutro. Już snuli plany poszukania nowego sprzętu grającego do wozu Ricka, który zażyczył to sobie na Gwiazdkę. Jones wiedział, że będzie to pewnie jedyny czas, jaki spędzą razem. Rick chciał odwiedzić znajomych, podobnie jak on przyjeżdżających na weekend, w tym Charlene, która to była, to znów nie była jego dziewczyną. Teraz tylko się przyjaźnili. Z wielu powodów Charlene wzbudzała niepokój Jonesa. Za dużo w tym było historii, jak w przypadku wszystkiego w Hollows. Na przestrzeni lat dzieje wszystkich rodzin splątały się ze sobą. Chciał, żeby Ricky wyjechał, nie dał się uwiązać do tej miejsciny, jak Maggie została uwiązana z powodu Jonesa.

Tak czy owak postanowił, że czas z Rickiem spędzi owocnie. Pogadają, nie będzie mowy o nabieraniu wody w usta. Jones zapisał sobie trochę spraw, pytań o MyFace, maile, wysyłanie SMS-ów. Postanowił, że spyta

Ricka o muzykę. Czy jest fanem jakiegoś zespołu? Jakie są jego ulubione przedmioty? Poznał jakieś dziewczyny? Maggie pomogła Jonesowi w znalezieniu tematów do rozmowy. „Słuchaj, kiedy on mówi. Staraj się nie wygłaszać wykładów, choćbyś się z nim nie zgadzał”.

Na werandzie przystanął, żeby spojrzeć na gołębie karolińskie. Ptaki przycupnęły w gniazdku i wpatrywały się w Jonesa. Jeden zaćwierkał z irytacją.

– Dobra – powiedział Jones. – Jeszcze jedna noc.

Po wejściu do domu usłyszał muzykę klasyczną (powolną, przygnębiającą), może Chopina? Idąc za jej dźwiękiem, znalazł w kuchni Maggie, która gotowała – rzadkość, odkąd Ricky wyniósł się z domu. Szykowała lasagne, ulubioną potrawę syna.

– Mój ostatni pacjent odwołał dziś wizytę – oznajmiła, kiedy Jones wszedł do kuchni. – Pomyślałam, że przygotuję coś szczególnego na przyjazd Ricka. – Dobrze, że tak na niego mówiła, bo ich syn nie lubił już zdrobnienia Ricky.

Jones podszedł do żony od tyłu i ją objął, wdychając lawendowo-szałwiową woń jej włosów. W ciepłej własnej kuchni, z żoną w ramionach, w oczekiwaniu na przyjazd syna, zrozumiał swoje powołanie – choć może jeszcze nie całkiem na nie odpowiedział – Jones Cooper poczuł się dobrze. Czuł, że żyje, i był za to wdzięczny.

– Pod twoją nieobecność dzwonił ktoś jeszcze – powiedziała Maggie. – Eloise Montgomery.

– Ach tak? – Brzmienie tego nazwiska coś poruszyło w nim, może nie niepokój, ale coś pokrewnego.

– Pytała, czy mógłbyś do niej oddzwonić. Dokładnie rzecz biorąc, spytała: „Czy może go pani poprosić, żeby oddzwonił, jeśli będzie miał taką inklinację?”.

Jak to ujął psychoanalityk? „Zastanawiam się tylko, czy w pracy prywatnego detektywa nie pociąga cię mrok”. Lekarz miał rację. Mrok go chyba wzywał, prawda? Jones zamierzał odpowiedzieć. Okręcił żonę i delikatnie pocałował ją w usta. Ale nie odpowie tej nocy.

Przekład: Paweł Lipszyc

Redakcja: Małgorzata Denys
Korekta: Aleksandra Berka, Magdalena Marciniak

Projekt okładki: Izabella Marcinowska
Zdjęcie na I stronie okładki: © Jessica Neuwerth Photography / Getty Images

Skład i łamanie: Typo

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1690-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Artur Wiktorowicz / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

-
- ¹ Gra słów: *fake* to po angielsku „sztuczny, nieprawdziwy”. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.
- ² Skala ocen w szkole amerykańskiej opiera się na punktacji procentowej. Najwyższa ocena to A, najniższa E. C odpowiada siedemdziesięciu kilku procentom.
- ³ Truman Capote, *Inne głosy, inne ściany*, przełożył Bronisław Zieliński, Czytelnik 1958, s. 122
- ⁴ Joseph Dunninger (1892–1975), znany jako Zdumiewający Dunninger, demaskował fałszywych spirytystów, przyjaźnił się z Houdinim. Jeden z pionierów magii w radiu i telewizji.
- ⁵ Credit Bureau – amerykański odpowiednik Biura Informacji Kredytowej.